

Slaughter *znaczy rzeź*

K A R I N  
**Slaughter**

**ZAŚLEPIENIE**

*Stracony czas jest nieodwracalny jak śmierć...*

 **Fabryka  
sensacji**

**KARIN SLAUGHTER**

# **ZAŚLEPIENIE**

**(Blindsighted)**

**Tłumaczenie Piotr Kuś**

**TMN**

**Wydanie polskie: 2013**

**Wydanie oryginalne: 2001**

Tytuł oryginału **Blindsighted**

Przekład **Piotr Kuś**

Projekt okładki **Krzysztof Kielbasiński**

Korekta **Modestia Katarzyna Sarna**

Copyright © by Karin Slaughter, 2001

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

Wydanie II

Warszawa

ISBN 978-83-7881-077-3

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[wab.com.pl](http://wab.com.pl)

Skład wersji elektronicznej **Michał Olewnik** / [Wydawnictwo W.A.B.](#)

i **Magdalena Wojtas** / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

*Dla taty, który nauczył mnie kochać Południe i dla Billie Bennett, która namó-  
wiła mnie, abym o tym napisała*

## PONIEDZIAŁEK

### 1

Sara Linton usiadła wygodniej w krześle, mamrocząc do słuchawki telefonu łagodne: „Tak, mamó”. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy w końcu nadejdzie taki dzień, kiedy matka uznają za wystarczająco dorosłą, aby nie udzielać jej rad w każdej sprawie.

– Tak, mamó – powtórzyła Sara, stukając ołówkiem w blat biurka. Czuliła, jak jej policzki ogarnia gorąco, a do serca wdziera się zakłopotanie.

Usłyszała delikatne pukanie do drzwi i po chwili niepewny głos:

– Doktor Linton?

Sara z trudem ukryła przed matką ulgę.

– Muszę już kończyć – powiedziała do matki, która, zanim się rozłączyła, i tak rzuciła jej jeszcze jakieś krótkie upomnienie.

Nelly Morgan otworzyła szerzej drzwi i rzuciła Sarze gniewne spojrzenie. Jako dyrektor administracyjny kliniki dziecięcej w Hearstdale, Nelly była jej bliską współpracowniczką. Kierowała kliniką, odkąd Sara sięgała pamięcią, nawet wtedy, gdy Sara sama była tutaj pacjentką.

– Masz czerwone policzki – zauważyła Nelly.

– Przed chwilą nakrzyczała na mnie mama.

Nelly zmarszczyła czoło.

– Zakładam, że miała ważny powód.

– Cóż... – westchnęła Sara z nadzieją, że to zakończy temat.

– Mam wyniki badań laboratoryjnych Jimmy’ego Powella – poinformowała Nelly, wciąż wpatrując się badawczo w Sarę. – I korespondencję – dodała, wrzucając potężną stertę kopert do przeznaczonego na ten cel koszyka. Plastikowa siatka na dnie aż wygięła się pod ciężarem papieru.

Sara, wzięwszy do ręki faks z wynikami badań, znów ciężko westchnęła. W dobre dni diagnozowała zapalenia uszu i bóle gardel. Dzisiaj będzie musiała powiedzieć rodzicom, że ich dwunastoletni syn cierpi na białaczkę.

– Niedobrze, prawda? – odgadła Nelly. Pracowała w klinice wystarczająco długo, aby nauczyć się czytania raportów laboratoryjnych.

– Niedobrze – przyznała Sara, przecierając powieki. – Bardzo niedobrze. – Zamyśliła się na chwilę, po czym zapytała: – Powellowie są w Disney World, prawda?

– Tak. Świątują urodziny Jimmy’ego. Dziś wieczorem powinni być z powrotem.

Sara poczuła, jak ogarnia ją smutek. Wciąż nie przyzwyczała się do tego, że czasami musi przekazywać podobnie smutne wiadomości.

– Zapiszę ich na jutro rano, na sam początek – zaproponowała Nelly.

– Dzięki – mruknęła Sara, wsuwając raport do teczki z dokumentami Jimmy’ego Powella. Popatrzyła na ścienny zegar i westchnęła w duchu. – Czy naprawdę już jest ta godzina? – Zdziwiła się, sprawdzając czas na zegarku na ręce. – Piętnaście minut temu miałam spotkać się z Tessą na lunchu.

Nelly popatrzyła na własny zegarek.

– Tak późno? Chyba jest już bliżej kolacji.

– Wcześniej nie mogłam się umówić – odparła Sara, porządkując papiery na biurku. Przypadkowo uderzyła w ustawione pionowo skoroszyty z dokumentami i ich sterty poleciały z hałasem na podłogę. – Cholera jasna! – zaklęła.

Nelly zaczęła jej pomagać, jednak Sara powstrzymała ją ruchem ręki. Poza tym, że nie lubiła, jak ktoś po niej sprzątał, miała poważne wątpliwości, czy Nelly, ukłękawszy na podłodze, zdoła podnieść się o własnych siłach.

– Daj spokój, poradzę sobie – powiedziała Sara i zebrawszy z podłogi papiery, rzuciła je na biurko. – Masz dla mnie coś jeszcze?

Nelly błysnęła uśmiechem.

– Szef Tolliver na trzeciej linii.

Sara przykucnęła, czując, jak przebiega po niej dreszcz strachu. Pełniła w mieście obowiązki pediatry i koronera. Jeffrey Tolliver, jej były mąż, był szefem policji. Istniały tylko dwa powody, dla których mógłby telefonować do niej w środku dnia, i żaden nie wydawał się szczególnie przyjemny.

Sara wstała i podniosła słuchawkę, już na początku nie pozostawiając Jeffreyowi wątpliwości, jak bardzo ucieszył ją tym telefonem.

– Lepiej, żeby ktoś nie żył – warknęła.

Głos Jeffreya był zniekształcony; odgadła, że korzysta z telefonu komórkowego.

– Przykro mi, ale cię rozczaruję – powiedział i po chwili dodał: – Czekam na połączenie od dziesięciu minut. A gdyby to była pilna sprawa?

Sara zaczęła wrzucać dokumenty do swojej teczki. W klinice przestrzegano niepisanej zasady, zgodnej z jej życzeniem, że zanim Jeffrey usłyszy przez telefon jej głos, musi przejść prawdziwą gehennę niemal nieskończonego oczekiwania. Była nawet zdziwiona, że Nelly po tak długim czasie pamiętała jeszcze, iż Jeffrey wciąż czekał.

– Sara?

Popatrzyła na drzwi i mruknęła:

– Wiedziałam, że powinnam już dawno stąd iść.

– Co? – Głos Jeffreya zwielokrotniło echo spowodowane połączeniem z telefonem komórkowym.

– Powiedziałam, że kiedy sprawa jest pilna, zawsze kogoś przysyłasz – skłamała Sara. – Gdzie jesteś?

– W college’u – odparł. – Czekam na uczelniane psy. – Terminem tym określał ludzi z ochrony Grant Institute of Technology, stanowego uniwersytetu położonego w centrum miasta.

– Co się stało? – zapytała.

– Po prostu chciałem wiedzieć, co u ciebie słychać.

– Wszystko w najlepszym porządku – odburknęła, wyciągając z powrotem dokumenty z aktówki i zastanawiając się, dlaczego przed chwilą je tam upchnęła. Przebiegła wzrokiem kilka kart i mimo wszystko pozostawiła je w bocznej kieszeni. – Jestem już spóźniona na lunch z Tess. Czego chcesz?

Zdawał się urażony jej oschłym tonem.

– Wczoraj sprawiałaś wrażenie rozkojarzonej – powiedział. – W kościele.

– Wcale nie byłam rozkojarzona – odburknęła, odruchowo przeglądając pocztę. Zamarła, ujrzawszy widokówkę. Jej ciało niemal zeszywniało. Fotografia przedstawiała Emory University w Alabamie, uczelnię, którą ukończyła. Na odwrocie, obok jej adresu w klinice, ktoś starannie wykaliografował: „Dlaczegoż o mnie zapomniałaś?”.

– Sara?

Na czoło wystąpił jej zimny pot.

– Muszę już kończyć.

– Saro, ja...

Odłożyła słuchawkę, nie dając Jeffreyowi szansy na dokończenie zdania. Dorzuciła do teczki, oprócz widokówki, jeszcze trzy koperty i niezauważona przez nikogo, wyszła z gabinetu bocznymi drzwiami.

Kiedy Sara znalazła się na dworze, oślepiły ją jaskrawe promienie słońca. W powietrzu unosił się jednak chłód. Ciemne chmury, sunące ku miastu, zapowiadały deszcz, najpóźniej pod wieczór.

Minął ją czerwony thunderbird. Z okna pomachała do niej dziecięca rączka.

– Hej, pani doktor Linton! – zawołało dziecko.

Sara również pomachała i odpowiedziała okrzykiem. Przechodząc przez trawnik przed college'em, przełożyła teczkę z ręki do ręki. Następnie skręciła chodnikiem w prawo, zmierzając w kierunku Main Street. Nie minęło pięć minut i była na miejscu.

Tessa siedziała za przepierzeniem w najodleglejszym kącie pustego baru i jadła hamburgera. Nie wyglądała na zadowoloną.

– Przepraszam za spóźnienie – odezwała się Sara, podchodząc do siostry. Spróbowała się uśmiechnąć, jednak Tessa nie zareagowała na uśmiech.

– Mówiłaś, że będziesz o drugiej. Jest już prawie druga trzydzieści.

– Miałam mnóstwo papierkowej roboty – wyjaśniła Sara, wsuwając aktywkę pod stół. Tessa, podobnie jak ojciec, była hydraulikiem. Hydraulicy bardzo rzadko odbierali telefony z prośbą o pilną interwencję, które z kolei



dla Sary były chlebem codziennym. Dlatego właśnie jej rodzina nie potrafiła zrozumieć, jak zajęta bywa lekarka, i irytowała się z powodu jej bezustannych spóźnień.

– Dzwoniłam o drugiej do kostnicy – poinformowała ją Tessa, nabijając frytkę na widelec. – Ale już cię tam nie było.

Z ciężkim westchnieniem Sara usiadła, poprawiając dłonią fryzurę.

– Wpadłam po drodze na chwilę do kliniki i tam zastała mnie mama. – Urwała, przed wygłoszeniem stałej kwestii: – Przepraszam, powinnam do ciebie zadzwonić. – Tessa milczała, Sara dodała więc: – Albo będziesz na mnie zła przez resztę lunchu, albo kupię ci ciastko czekoladowe z kremem.

– Skoro płacisz... – Tessa dała się udobruchać.

– Umowa stoi – powiedziała Sara z ulgą. Wystarczyło jej, że rozzłościła się na nią już dzisiaj matka.

– A skoro mówimy o rozmowach telefonicznych – rzuciła Tessa i Sara w tej samej chwili odgadła, ku czemu zmierza. – Miałaś wiadomości od Jeffreya?

Sara uniosła się i wyciągnęła z kieszeni dwa banknoty pięciodolarowe.

– Zadzwonił do mnie, zanim opuściłam klinikę.

Tessa roześmiała się tak głośno, że można ją było usłyszeć w całej restauracji.

– Co mówił?

– Przerwałam mu, zanim zdołał powiedzieć coś istotnego – odparła Sara i wręczyła siostrze pieniądze.

Tessa wsunęła pięciodolarówki do tylnej kieszeni niebieskich džinsów.

– A telefon od mamy? Chyba jest na ciebie wkurzona.

– Sama jestem na siebie wkurzona.

Dwa lata po rozwodzie, wciąż nie potrafiła uwolnić się od byłego męża. Sara na przemian nienawidziła Jeffreya Tollivera i siebie samą za tę sytuację. Pragnęła, aby minął chociaż jeden dzień, podczas którego nie musiałaby o nim myśleć, chociaż dwadzieścia cztery godziny życia bez niego. Taki dzień nie przydarzył się jej ani wczoraj, ani dzisiaj.

Niedziela Wielkanocna zawsze miała dla matki duże znaczenie. Sara nie była szczególnie religijna, jednak w tę jedną niedzielę w roku, chcąc zadowolić Cathy Linton, wkładała rajstopy i szła grzecznie do kościoła. Nie

spodziewała się, że spotka tam Jeffreya. Kątem oka ujrzała go dopiero, kiedy śpiewano pierwszy hymn. Siedział trzy rzędy za nią, po prawej stronie; odniosła wrażenie, że spostrzegli siebie nawzajem w tej samej chwili. Sara pierwsza zmusiła się, żeby odwrócić wzrok.

Siedząc w kościele, wpatrując się w księdza i nie słysząc ani jednego z jego słów, Sara czuła spojrzenie Jeffreya na swojej szyi. Jego intensywność sprawiła, że zaczął ją oblewać gorący pot. Mimo że siedziała w kościelnej ławce, z matką po jednej stronie i z Tessą oraz ojcem po drugiej, niemal fizycznie czuła, jak jej ciało poddaje się wzrokowi Jeffreya. Wiosna. Było coś takiego w tej porze roku, że zmieniała się w zupełnie inną osobę.

Zaczęła wiercić się w ławce, myśląc o dotyku Jeffreya i o tym, jak jego dłonie pieszczą jej skórę, aż poczuła pod żebrami łokieć Cathy Linton. Wzrok matki powiedział jej, że doskonale wie, co córce chodzi po głowie, i wcale jej się to nie podoba. Cathy niecierpliwie skrzyżowała nogi i wyprostowała się, całą swą postawą mówiąc córce, że pójdzie do piekła za to, iż podczas mszy świętej w Niedzielę Wielkanocną myśli o seksie.

Nastąpiła modlitwa, potem kolejny hymn. Po czasie, który uznała za wystarczająco długi, lekko odwróciła głowę, by spojrzeć na Jeffreya. Rozczarowana, zobaczyła, że ma głowę opuszczoną na piersi, jakby spał. Na tym polegał cały problem z Jeffreyem: w jej wyobrażeniach był o wiele lepszy niż naprawdę.

Tessa uderzyła dłonią o stolik, zwracając na siebie uwagę Sary.

– Sara!

Sara przyłożyła dłoń do piersi, świadoma, że jej serce bije równie mocno jak poprzedniego poranka w kościele.

– Co?

Tessa posłała jej zdziwione spojrzenie, jednak, na szczęście, na tym poprzestała.

– Co powiedział Jeb?

– Co masz na myśli?

– Widziałam, jak rozmawiałś z nim po mszy – odparła Tessa. – Co ci powiedział?

Sara przez chwilę zastanawiała się, czy skłamać, czy nie, wreszcie odparła:

– Chciał mnie zaprosić na dzisiaj na lunch, ale powiedziałam mu, że jestem już umówiona z tobą.

– Mogłaś przecież zmienić plany.

Sara wzruszyła ramionami.

– Umówiliśmy się na środę wieczór.

Tessa jedynie klasnęła dłońmi.

– Dobry Boże – jęknęła Sara. – Po co ja to zrobiłam?

– Na pewno nie dla Jeffrey’a – odparła Tessa. – Mam rację?

Sara wyciągnęła z przegródki na serwetki kartę dań, chociaż wcale nie musiała na nią spoglądać. Odkąd skończyła trzy lata, ona sama i inni członkowie jej rodziny jadali w „Grant Filling Station” przynajmniej raz w tygodniu i jedyną zmianą, jaka w tym czasie zaszła, było dodanie do menu przez właściciela, Pete’a Wayne’a, kruchych orzeszków ziemnych, a to na cześć Jimmy’ego Cartera.

Tessa sięgnęła ponad stołem i delikatnie wyciągnęła kartę z dłoni siostry.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– To chyba ta pora roku – odburknęła Sara, grzebiąc w aktówce. Znalazła wreszcie i wyciągnęła widokówkę.

Tessa nie wzięła kartki do ręki, Sara odwróciła ją więc i głośno przeczytała tekst:

– „Dlaczegoż o mnie zapomniałaś?”

Położyła kartkę na stoliku, czekając na reakcję siostry.

– Czy to z Biblii? – zapytała, chociaż doskonale wiedziała.

Sara wyjrzała przez okno, starając się nad sobą zapanować. Nagle wstała i powiedziała:

– Muszę umyć ręce.

– Sara!

Machnięciem ręki zbyła zaniepokojenie Tessy, próbując wziąć się w garść. Po chwili dotarła do toalety. Od niepamiętnych czasów drzwi do jej damskiej części zacinęły się, dlatego mocno szarpnęła za klamkę. W środku było chłodno. Posadzka składała się z białych i czarnych kwadratów. Znalazszy się tutaj, Sara od razu się uspokoiła. Oparła się o białą ścianę i przyłożyła dłonie do twarzy, próbując zetrzeć z niej kilka ostatnich go-

dzin dzisiejszego dnia. Wciąż prześladowała ją i dręczyła świadomość złych wyników laboratoryjnych Jimmy'ego Powella. A przecież już dwanaście lat temu, pracując na internie w Grady Hospital w Atlancie, poznała śmierć, nawet do niej przywykła. Grady miał najlepszy oddział chirurgiczny na całym Południowym Wschodzie i Sara przeżyła już niejedno. Na przykład przy chłopcu, który połknął paczkę żyletek, albo nastolatce, którą poddano aborcji wieszakiem do ubrań. To były straszne przypadki, jednak niezaskakujące w tak wielkim mieście.

Przypadki takie jak Jimmy'ego Powella uderzały Sarę szczególnie boleśnie. Miała to być jedna z nielicznych spraw, gdy przydadzą się jednocześnie jej obie profesje. Jimmy Powell, który lubił oglądać studenckie mecze koszykówki i który miał jedną z największych kolekcji samochodzików na resorach, jakie Sara kiedykolwiek widziała, najprawdopodobniej nie przeżyje kolejnego roku.

Czekając, aż zlew wypełni się zimną wodą, ściągnęła włosy gumką i zgarnęła je na plecy w postaci luźnego końskiego ogona. Pochyliła się nad zlewem, kiedy nagle poczuła mdły, słodki zapach. Pete najprawdopodobniej przepłukał rury octem, chcąc pozbyć się z nich kwaśnego odoru. Była to stara sztuczka hydraulików, jednak Sara nienawidziła zapachu octu.

Wstrzymała oddech, pochylając się nad zlewem, nacierając twarz wodą, próbując się trochę rozbudzić. Spojrzenie w lustro, na jakie zdobyła się po chwili, przekonało ją, że nic się nie zmieniło, a jedynie pochlapała sobie koszulę.

– Wspaniale – mruknęła z niechęcią.

Osuszyła ręce o spodnie i ruszyła w kierunku kabin. Obejrząwszy z niechęcią dwie spośród nich, skierowała się do tej przeznaczonej dla niepełnosprawnych. Otworzyła drzwi.

– Och... – jęknęła i natychmiast się cofnęła. Stała dopiero wtedy, gdy poczuła z tyłu na udach brzeg ceramicznego zlewu. Schowała ręce za siebie i przytrzymała się jego brzegu. W ustach poczuła jakiś metaliczny smak. Kilkakrotnie głęboko odetchnęła, żeby nie zemdleć. Opuściła głowę, zamknęła oczy, policzyła do dziesięciu i dopiero wtedy odważyła się je otworzyć.

Na toalecie siedziała Sibyl Adams, wykładowczyni z college'u. Głowę

miała odchyloną do tyłu i opartą o ścianę wyłożoną kafelkami, jej oczy były zamknięte. Spodnie miała opuszczone do kostek, nogi rozchylone. Miała rozpruły brzuch. Przy jej stopach zebrała się już kałuża krwi, która wciąż kapała na posadzkę.

Sara z trudem zmusiła się do działania. Przyklęła przed młodą kobietą. Koszula Sibyl była podciągnięta do góry, zobaczyła więc szerokie pionowe nacięcie na jej brzuchu, które przepołowiło jej pępek i kończyło się na wzniesieniu łonowym. Kolejne cięcie, znacznie głębsze, biegło pod jej piersiami. To z tego cięcia pochodziła większość krwi; wciąż ściekała strumieniami wzdłuż ciała kobiety. Sara przyłożyła dłoń do rany, próbując powstrzymać krwawienie, lecz krew jedynie pociekła pomiędzy jej palcami, jakby wyciskała gąbkę.

Wytarła ręce w koszulę i pochyliła głowę Sibyl do przodu. Z jej ust wydobył się jakby cichy jęk, jednak Sara nie potrafiła powiedzieć, czy był to jedynie syk powietrza wydostający się z martwego ciała, czy błaganie o pomoc wciąż żyjącej kobiety.

– Sibyl? – szepnęła Sara, z trudem artykułując to jedno słowo. W jej gardle zagnieżdżyła się, niczym letnie przeziębienie, kula ogromnego strachu. – Sibyl? – powtórzyła, starając się kciukiem otworzyć jej oczy.

Ciało kobiety było gorące, jakby zbyt długo pozostawało w mocno nasłonecznionym miejscu. Na jej prawym policzku widoczna była duża szrama. Podbite oko świadczyło, że otrzymała mocne uderzenie pięścią. Kiedy Sara dotknęła sinego miejsca, pod jej palcami zachrzęściły pęknięte kości.

Kiedy przyciskała palce do tętnicy na szyi Sibyl, ręce jej drżały. Odniosła wrażenie, że wyczuwa puls, jednak nie była tego pewna, gdyż tak bardzo trzęsły się jej własne dłonie. Zamknęła oczy, koncentrując się, próbując odseparować od siebie te dwa wrażenia.

Niespodziewanie ciało zachwiało się i opadło na Sarę. Upadła na posadzkę. Krew znalazła się teraz i na niej, i na Sibyl. Sara instynktownie spróbowała wydostać się spod drgającej w konwulsjach kobiety. Udało jej się to, ale z ogromnym trudem, gdyż posadzka była śliska od krwi. Przewróciła Sibyl na plecy i umieściła jej głowę w swoich dłoniach jak w kołysce, próbując dać jej ostatnie ukojenie. Nagle drżenie ustało. Przyłożyła ucho do ust Sibyl, chcąc usłyszeć, czy ta oddycha. Niestety, Sibyl nie wyda-

wała już żadnych dźwięków.

Ukucnąwszy, Sara zaczęła uciskać klatkę piersiową kobiety, próbując przywrócić życie do jej serca. Zacisnęła palce na jej nosie i wdmuchiwała powietrze do ust. Pierś Sibyl uniosła się nieznacznie, ale to było wszystko. Sara splunęła kilkakrotnie, chcąc oczyścić własne usta, ale szybko pojęła, że jej wysiłki są już daremne. Oczy Sibyl były martwe, reszta powietrza wypłynęła z jej płuc z głośnym świstem. Spomiędzy nóg popłynęła struga uryny.

Sibyl była martwa.

Hrabstwo Grant zyskało nazwę od dobrego Granta, nie Ulyssesa, lecz Lemuela Pratta Granta, który budował linie kolejowe i w połowie XIX wieku poprowadził linię z Atlanty daleko do południowej Georgii i wreszcie aż do morza. To na zbudowanych przez niego torach pociągi woziły przez Georgię wełnę i inne towary. To dzięki tej linii na mapie pojawiły się takie miasta jak Heartsdale, Madison, Avondale i jeszcze kilka miast w Georgii, ochrzczonych jego nazwiskiem. Na początku wojny secesyjnej Grant stworzył plan obronny na wypadek, gdyby Atlanta została oblężona; niestety, lepiej wychodziło mu budowanie szlaków kolejowych niż plany frontowe.

W czasach wielkiego kryzysu mieszkańcy Avondale, Heartsdale i Madison postanowili połączyć swoje policje, straże pożarne oraz szkolnictwo. Dzięki temu funkcjonowanie najważniejszych służb stało się tańsze, a ponadto okazało się dla władz kolejowych decydującym argumentem za tym, by utrzymać połączenie do Grant. Hrabstwo jako całość było znacznie większą i silniejszą jednostką niż poszczególne miasta odrębnie. W roku 1928 w Madison zbudowano bazę wojskową, która z kolei ściągnęła do niepozornego Grant ludzi z całego kraju. Kilka lat później Avondale stało się ważną stacją kolejową na trasie Atlanta-Savannah. Po kilku latach w Heartsdale powstał Grant College. Hrabstwo doskonale prosperowało przez prawie sześćdziesiąt lat, zanim tej prosperity nie zahamowało zamknięcie bazy wojskowej, recesja i „Reaganomika”, w ciągu trzech lat zadając ogromne ciosy gospodarkom Madison i Avondale. Gdyby nie Grant College, który szczęśliwie w 1946 roku przekształcono w uniwersytet techniczny specjalizujący się w agrobiznesie, smutne losy siostrzanych miast podzieliłoby również Heartsdale.

Zatem Grant College był właściwie najważniejszą instytucją w mieście, a pierwsze zadanie, jakie stawiał przed Jeffreyem Tolliverem burmistrz miasta, brzmiało: „Jeśli nie chcesz stracić posady, niech ludzie z nim związani będą uśmiechnięci i zadowoleni”. Jeffrey postępował zgodnie z in-

strukcją i kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy, przebywał właśnie na spotkaniu z szefami ochrony campusu, dyskutując nad planem działań wobec coraz częstszych ostatnio kradzieży rowerów. W pierwszej chwili nie rozpoznał głosu Sary i pomyślał, że ktoś się po prostu wygłupia. W ciągu ośmiu lat doskonale ją poznał i jej głos nigdy nie brzmiał tak desperacko. Teraz głos Sary drżał, kiedy wypowiadała dwa słowa, których już nigdy nie spodziewał się usłyszeć z jej ust: „Potrzebuję cię”.

Wyjeżdżając z bramy college’u, Jeffrey natychmiast skręcił w lewo i pognął lincolnem town car przez szeroką Main Street w kierunku restauracji. Wiosna nadeszła tego roku wcześniej i drzewa, rosnące wzdłuż ulicy, rozkwitały, rozpościerając nad jezdnią biały baldachim. Kobiety z Zieleni Miejskiej sadziły właśnie tulipany na wąskich klombach oddzielających jezdnię od chodnika. Kilkoro dzieci ze średniej szkoły zamiatało pobocza, odrabiając zapewne jakąś karę. Właściciel sklepu z odzieżą wystawił stragan na chodnik, z kolei sklep z artykułami żelaznymi oferował sprzedaż prosto z obszernej werandy. Jeffrey wiedział, że sceny te stanowią wielki kontrast wobec tego, co czeka na niego w restauracji.

Opuścił boczną szybę, pozwalając, aby do gorącego wnętrza samochodu dostało się świeże powietrze. Krawat zaczął go cisnąć w szyję, dlatego bez namysłu ściągnął go i rzucił na siedzenie. W myślach wciąż powtarzał sobie poszczególne słowa Sary, chcąc wydobyć z nich więcej niż tylko krótkie, oczywiste fakty. A były one następujące: w restauracji została zasztylowana Sibyl Adams.

Dwadzieścia lat służby w policji raczej nie przygotowało Jeffreya na taką wiadomość. Połowa jego aktywności zawodowej przypadła na pracę w Birmingham, w Alabamie, gdzie morderstwa rzadko kogoś zaskakiwały. Nie było tygodnia, by nie musiał zajmować się przynajmniej jednym zabójstwem, zwykle spowodowanym skrajną nędzą panującą wśród mieszkańców Birmingham. A to źle poszła jakaś narkotykowa transakcja, a to domowa kłótnia wymknęła się spod kontroli, a przecież broń palna była łatwo dostępna i nikt specjalnie długo się nie wahał przed pociągnięciem za spust. Gdyby Sara zadzwoniła z Madison, a nawet z Avondale, jej wiadomość nie zdziwiłaby Jeffreya. Narkotyki i coraz liczniejsze młodzieżowe gangi stawały się tam poważnymi problemami. Heartsdale było jednak



wśród trzech miast prawdziwą perełką. W ciągu ostatnich dziesięciu lat jedynym podejrzanym zgonem w Heartsdale była śmierć starszej kobiety, którą dopadł atak serca w chwili, kiedy zaskoczyła własnego wnuka na kradzieży jej telewizora.

– Szefie? – usłyszał z radia.

Sięgnął po mikrofon.

– Tak?

Kontaktowała się z nim Marla Simms, operatorka z komisariatu.

– Zająłam się wszystkim, o co pan prosił.

– Dobrze – odparł i po chwili dorzucił: – Teraz cisza radiowa, dopóki nie wydam nowych instrukcji.

Marla milczała, nie zadając pytania, które wisiało w powietrzu. Heartsdale wciąż było małym miasteczkiem i z trudem udawało się tu utrzymać cokolwiek w tajemnicy. Ale Jeffrey nie zamierzał pozwolić, by plotka o morderstwie zaczęła rozprzestrzeniać się, począwszy od komisariatu. Chciał utrzymać informację w tajemnicy najdłużej, jak to tylko było możliwe.

– Zrozumiano? – rzucił pytanie.

– Tak, proszę pana.

Wsunął do kieszeni kurtki telefon komórkowy i wysiadł z samochodu. Na straży przed restauracją stał już Frank Wallace, najstarszy detektyw z jego zespołu.

– Ktoś wszedł albo wyszedł? – zapytał Jeffrey.

Frank zaprzeczył ruchem głowy.

– Brad pilnuje tylnych drzwi – powiedział. – Alarm jest rozłączony. Przewinął skorzystał prawdopodobnie z tylnych drzwi.

Jeffrey obejrzał się. Betty Reynolds, właścicielka sklepu z drobiazgami, pilnie zamiatała chodnik, rzucając ku restauracji podejrzliwe spojrzenia. Bez wątplenia wkrótce zaczną się tu schodzić ludzie, jeżeli nie z ciekawości, to przynajmniej na kolację. Odwrócił się z powrotem do Franka.

– Nikt niczego nie widział?

– Nic a nic – potwierdził Frank. – Przyszła tutaj pieszo z domu. Pete mówi, że bywała tutaj co poniedziałek, kiedy w restauracji jest już pusto po lunchu.

Jeffrey skinął głową i wszedł do środka. Jedyna w Heartsdale stacja benzynowa, przy której mieściła się także restauracja, znajdowała się w połowie Main Street. Wysokie czerwone przepierzenia, zniszczone białe blaty stołów, chromowane barierki i dziurawe wiklinowe kosze na odpadki sugerowały, że restauracji nie modernizowano od dnia, kiedy dawno temu stworzył ją ojciec Pete'a. Oryginalne były nawet kolorowe płytki z linoleum, tak zniszczone, że prześwitywał spod nich czarny podkład. Jeffrey jadł tu lunch niemal codziennie w ciągu ostatnich siedmiu lat. Restauracja uspokajała go, była źródłem otuchy, czymś dobrze znanym i przytulnym, pomagającym wyrzucić z głowy myśli, które pojawiały się w trakcie pracy wśród najgorszych szumowin. Jeffrey rozejrzał się teraz po jej wnętrzu i dotarło do niego, że już nigdy nie spojrzy na nią tak samo.

Przy barze siedziała Tessa Linton, z głową schowaną w dłoniach. Naprzeciwko niej stał Pete Wayne i bezmyślnie wpatrywał się w okno. Jeffrey po raz drugi w życiu zobaczył go w restauracji bez papierowego kapelusza na głowie; pierwszy raz miało to miejsce w dniu, w którym eksplodował prom kosmiczny Challenger. Włosy Pete'a ściągnięte były gumką i postawione na czubku głowy, dzięki czemu jego twarz zdawała się bardziej pościągała niż w rzeczywistości.

– Tess? – odezwał się Jeffrey. Stał przy niej i położył dłoń na jej ramieniu. Oparła o niego głowę i rozplakała się. Jeffrey pogłodził jej włosy i skinął głową Pete'owi.

Pete Wayne na co dzień był wesołym człowiekiem, teraz jednak jego twarz wyrażała absolutny szok. Ledwie zwrócił uwagę na Jeffreya i nadal wpatrywał się w duże frontowe okno restauracji. Jego wargi poruszały się, jednak z ust nie dochodził żaden dźwięk.

Minęło kilkanaście sekund pełnej napięcia ciszy i wreszcie Tessa wyprostowała się. Przez chwilę przecierała powieki i nos papierową serwetką, aż Jeffrey podał jej chusteczkę. Poczekał; aż się wysmarka i wreszcie zapytał:

– Gdzie jest Sara?

Tessa zwinęła chusteczkę.

– Nadal w toalecie. Nie wiem... – Tessa na chwilę urwała. – Tam było tyle krwi. Nie chciała mnie wpuścić.

Jeffrey pokiwał głową i zgarnął kosmyk włosów z jej twarzy. Sara była bardzo opiekuńcza wobec młodszej siostry i podczas ich małżeństwa ta opiekuńczość przeszła również na niego. Nawet po rozwodzie Jeffrey odnosił wrażenie, że Tessa i Lintonowie wciąż są jego rodziną.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Pokiwała głową.

– Idź do niej. Teraz ona cię potrzebuje.

Jeffrey starał się nie myśleć o tym, że gdyby Sara nie była koronerem w hrabstwie, wcale by go nie potrzebowała i na pewno by się dzisiaj nie zobaczyli. Wiele to mówiło o ich wzajemnych stosunkach: ktoś musiał umrzeć, żeby znów mogli znaleźć się jednocześnie w tym samym pomieszczeniu.

Zmierzając na tyły restauracji, czuł, że po plecach przebiegają mu ciarki. Wiedział, że stało się coś strasznego, gwałtownego. Wiedział, że ktoś zamordował Sibyl Adams. Poza tym, szarpiąc za drzwi damskiej toalety, nie miał pojęcia, czego się powinien spodziewać. Ale to, co zobaczył, po prostu odebrało mu oddech.

Sara siedziała na podłodze, na środku pomieszczenia, z głową Sibyl Adams ułożoną na swych kolanach. Wszędzie była krew, pokrywała zwłoki i Sarę, której koszula i spodnie były od przodu całe mokre, jak gdyby ktoś oblał ją czerwoną farbą. Podłogę znaczyły krwawe ślady obuwia oraz odciski dłoni, jakby niedawno stoczono tutaj dziką walkę na śmierć i życie.

Jeffrey stał w progu, starając się jak najszybciej dojść do równowagi.

– Zamknij drzwi – wyszeptała Sara i położyła dłoń na czole Sibyl.

Wykonał polecenie i przeszedł kilka kroków wzdłuż ściany. Otworzył usta, ale wciąż nie mógł nic powiedzieć. Oczywiście pytania nasuwały się same, jednak jakaś część jego umysłu wcale nie chciała poznać odpowiedzi, a jedynie pragnęła zabrać Sarę z tego pomieszczenia, wsadzić ją do samochodu i jechać przed siebie tak długo, aż żadne z nich nie zdoła przypomnieć sobie ani wyglądu, ani zapachu tej obskurnej toalety. W powietrzu unosił się odór przemocy, gęsty i wstrętny. Już samo przebywanie tutaj sprawiało, że Jeffrey czuł na sobie brud.

– Wygląda jak Lena – powiedział wreszcie, mając na myśli siostrę bliźniaczkę Sibyl Adams, detektywa w jego komisariacie. – Przez chwilę my-

ślałem... – Potrząsnął głową. Nie zdołał powiedzieć nic więcej.

– Lena ma dłuższe włosy.

– Taaak – przyznał. Nie potrafił oderwać wzroku od ofiary. W pewnym okresie widywał mnóstwo makabrycznych scen, jednak aż do tej pory nie poznał osobiście żadnej ofiary morderstwa. Nie znał Sibyl Adams zbyt dobrze, jednak w takim małym mieście jak Heartsdale każdy był sąsiadem każdego.

Sara odchrząknęła.

– Czy powiedziałaś już Lenie?

Pytanie spadło na niego niczym ciężki młot. Po zaledwie dwóch tygodniach sprawowania funkcji szefa policji w Heartsdale przyjął Lenę Adams do pracy prosto z akademii w Macon. Na początku czuła się tutaj jak Jeffrey, obco. Po ośmiu latach promował ją na detektywa. A teraz zamordowano jej siostrę, na ich własnych śmieciach, zaledwie dwieście jardów od komisariatu. Poczucie osobistej odpowiedzialności za to zdarzenie przytłoczyło go.

– Jeffrey?

Nabrał w płuca powietrza, a potem powoli je wypuścił.

– Wiezie właśnie jakieś dowody do Macon – odparł po chwili. – Skontaktowałem się z patrolem z autostrady i kazałem jak najszybciej ją tutaj przywieźć.

Sara patrzyła na niego w milczeniu. Jej oczy były zaczerwienione, jednak nie płakała. Jeffrey cieszył się przynajmniej z tego, ponieważ jeszcze nigdy nie widział Sary płaczącej. Pomyślał, że jeśli doczeka takiej chwili, to coś w nim pęknie.

– Wiedziałaś, że była niewidoma?

Jeffrey oparł się o ścianę. Do tej pory nie pamiętał o tym szczególe.

– Nawet nie zobaczyła zagrożenia – wyszeptła Sara.

Opuściła głowę i popatrzyła na Sibyl. Jak zwykle Jeffrey nie potrafił odgadnąć, nad czym jego była żona teraz się zastanawia. Postanowił, że poczeka, aż odezwie się do niego. Bez wątpienia potrzebowała kilku minut, żeby zebrać myśli.

Wsunął ręce do kieszeni i zaczął oglądać pomieszczenie. Naprzeciwko zlewu, o którego wiekowości najlepiej świadczył fakt, że kurki do ciepłej

i zimnej wody umieszczono po przeciwnych stronach miski, znajdowały się dwie kabiny toalety. Nad zlewem wisiało zniszczone, poplamione lustro. W sumie pomieszczenie nie liczyło więcej niż dwadzieścia stóp kwadratowych, jednak czarne i białe kafelki sprawiały, że zdawało się jeszcze mniejsze. Ciemna krew, która kałużą zebrała się pod zwłokami, nie poprawiała wrażenia. Klaustrofobia nigdy nie była problemem Jeffreya, jednak milczenie Sary, niczym czwarty wymiar, przytłaczało go teraz, w tej małej toalecie. Popatrzył na biały sufit, by nabrać choć trochę dystansu.

Wreszcie Sara odezwała się. Jej głos był już silniejszy, brzmiała w nim większa pewność.

– Kiedy ją znalazłam, siedziała na sedesie, w kabinie.

Nie bardzo wiedząc, jak się zachowywać, Jeffrey wyciągnął mały notes. Z kieszeni na piersi wydobyl długopis i, w miarę jak Sara opowiadała o wszystkim, co się wydarzyło, aż do bieżącej chwili, pracowicie notował. Kiedy z klinicznymi szczegółami opisywała śmierć Sibyl, jej głos był monotony.

– Wtedy poprosiłam Tess, żeby podała mi mój telefon komórkowy.

Sara urwała, a Jeffrey odpowiedział na jej nieme pytanie, zanim ponownie otworzyła usta.

– Nic jej nie jest – odezwał się. – Jadąc tutaj, dzwoniłem także do Eddiego.

– Powiedziałaś mu, co się stało?

Jeffrey spróbował się uśmiechnąć. Ojciec Sary nie należał do jego zagorzałych zwolenników.

– Miałem szczęście, że nie rzucił słuchawki.

Sara nie zdołała mu odpowiedzieć uśmiechem, jednak w końcu napotkała wzrok Jeffreya. W jej oczach była łagodność, jakiej nie widział u niej od lat.

– Muszę przeprowadzić wstępne badanie, a potem będzie można zabrać ją do prosektorium.

Jeffrey wsunął notes do kieszeni, a Sara delikatnie ułożyła głowę Sibyl na posadzce. Ukucnęła i wytarła dłonie o nogawki spodni.

– Trzeba umyć ciało, zanim Lena je zobaczy – powiedziała.

Jeffrey pokiwał głową.

– Jest przynajmniej o dwie godziny drogi stąd. Mamy więc czas. – Wskazał na drzwi do kabiny. Zamek z zasuwą był z nich wyrwany. – Czy zamek tak właśnie wyglądał, kiedy ją znalazłaś?

– Wygląda tak od czasu, kiedy miałam siedem lat – odparła Sara, ruchem głowy wskazując na swoją teczkę. – Podaj mi rękawiczki.

Jeffrey otworzył teczkę, starając się nie dotykać plam krwi na aluminiowym zatrzasku. Z wewnętrznej kieszeni wydobył parę rękawiczek z lateksu. Kiedy się odwrócił, Sara stała nad zwłokami. Wyraz jej twarzy zmienił się. Chociaż ubranie miała od przodu całe od krwi, w pełni nad sobą panowała. Musiał jednak zapytać: – Na pewno chcesz to zrobić? Możemy wezwać kogoś z Atlanty.

Z wprawą naciągając rękawice, Sara potrząsnęła przecząco głową.

– Nie chcę, żeby dotykał jej ktoś obcy.

Jeffrey doskonale ją rozumiał. To była sprawa tego hrabstwa. I powinni się nią zajmować ludzie z hrabstwa.

Okrażając zwłoki, Sara oparła ręce na biodrach. Jeffrey wiedział, że musi obejrzeć miejsce zbrodni z odpowiedniej perspektywy, nabrać dystansu. Nie potrafił oderwać wzroku od byłej żony. Była wysoką kobietą, miała mniej więcej sześć stóp wzrostu, bez jednego cala, głęboko osadzone, zielone oczy oraz ciemnorude włosy. Jeffrey mimowolnie zaczął sobie przypominać, jak było mu z nią dobrze. Niestety, ostry głos przywołał go do rzeczywistości.

– Jeffrey! – zawołała Sara, posyłając mu gniewne spojrzenie.

Wytrzymał przez chwilę jej wzrok, świadomy, że przez kilkanaście sekund jego myśli wędrowały po zupełnie innych, znacznie bezpieczniejszych miejscach. Wreszcie odwrócił się ku kabinnie. Wyjął z teczki Sary kolejną parę rękawic. Zaczął je powoli naciągać, a Sara tymczasem mówiła:

– Tak jak już ci wyjaśniałam, kiedy ją znalazłam, siedziała na toalecie. Opadłyśmy na podłogę. Przetoczyłam ją na plecy. – Uniosła rękę Sibyl i sprawdziła skórę pod jej paznokciami. – Nic tutaj nie ma. Wydaje mi się, że została zaskoczona. Aż do chwili, kiedy na ratunek było już za późno, nie wiedziała, co się dzieje.

– Uważasz, że to się odbyło szybko?

– Wcale nie tak szybko. Cokolwiek zrobił napastnik, moim zdaniem sta-

rannie to zaplanował. Kiedy tu weszłam, nie natknęłam się na żadne ślady. Sibyl wykrwawiłaby się na toalecie, gdybym nie zapragnęła z niej skorzystać. – Sara odwróciła głowę. – Albo i nie, gdybym nie pojawiła się tutaj tak późno.

Jeffrey chciał ją uspokoić.

– Nie mogłaś wiedzieć.

Wzruszyła ramionami.

– Na jej przegubach, w miejscach, które uderzyły o barierkę dla niepełnosprawnych, są siniaki. Poza tym – lekko rozsunęła kolana Sibyl – popatrz tylko na jej nogi.

Jeffrey podążył wzrokiem we wskazanym kierunku. Skóra po wewnętrznej stronie kolan denatki była starta.

– Co to takiego? – zapytał.

– To od muszli klozetowej – wyjaśniła Sara. – Plastikowa klapa ma ostre kanty. Sądzę, że walcząc, zaciskała nogi. Na klapie znajdziesz jeszcze fragmenty skóry.

Jeffrey popatrzył na toaletę, a potem znów na Sarę.

– Myślisz, że pchnął ją na toaletę, a potem zasztyletował?

Sara nie odpowiedziała mu. Wskazała natomiast na nagi tułów Sibyl.

– Aż do połowy krzyża, nacięcie nie jest głębokie – zaczęła wyjaśniać, naciskając na brzuch i otwierając ranę natyle, by dobrze się jej przyjrzeć. – Według mnie to był sztylet. Widzisz ten kształt „v” po obu stronach nacięcia? – Sara bez wahania wsunęła palec wskazujący do wnętrza rany. Kiedy przesuwiała palec, rozległ się cichy syk zasysanego powietrza.

Jeffrey zacisnął zęby i odwrócił głowę. Kiedy się opanował, natrafił na pytające spojrzenie Sary.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

Pokiwał głową, bojąc się otworzyć usta.

Sara ponownie poruszyła palcem w ranie na klatce piersiowej Sibyl. Z rany wypłynęła wąska struga krwi.

– Powiedziałałabym, że ostrze było szerokie przynajmniej na cztery cale – oznajmiła, nie spuszczać wzroku z Jeffreya. – Czy to cię osłabia?

Jeffrey pokręcił przecząco głową, mimo że dźwięk, który wydobywał się z rany, kiedy Sara poruszała w niej palcem, sprawiał, że żołądek pod-

skakiwał mu do gardła.

Sara wyciągnęła wreszcie palec ze zwłok i mówiła dalej:

– Sztylet był bardzo ostry. Nacięcia zostały wykonane zdecydowanymi, pewnymi ruchami, dlatego twierdzę, że morderca od samego początku wiedział, czego chce.

– Co zrobił?

Ton głosu Sary był obojętny.

– Przeciął jej brzuch. Dwoma pewnymi ruchami, pionowym, od góry do dołu, i poprzecznym. Następnie wbił sztylet w górną część brzucha. To był śmiertelny cios. Przyczyną zgonu okaże się zapewne wewnętrzny krwotok.

– Wykrwawiła się na śmierć?

Sara wzruszyła ramionami.

– Na nic innego to teraz nie wygląda. Tak, wykrwawiła się na śmierć. Trwało to pewnie około dziesięciu minut. Konwulsje spowodował wstrząs, jakiemu poddany został cały organizm.

Jeffrey przez chwilę nie potrafił opanować drżenia, które niespodziewanie nim zawładnęło. Wreszcie wskazał na ranę.

– To jest krzyż, prawda?

Sara uważnie popatrzyła na nacięcia.

– Powiedziałabym, że tak. Raczej nie wygląda to na nic innego, prawda?

– Uważasz, że to ma jakieś podłoże religijne?

– A kto to może powiedzieć, kiedy mamy do czynienia z gwałcicielem?

– Została zgwałcona?

Jeffrey popatrzył na Sibyl Adams, szukając oczywistych śladów gwałtu. Jednak po wewnętrznej stronie jej ud nie było siniaków ani żadnych ran.

– Znalazłaś coś? – zapytał.

Sara przez chwilę milczała, wreszcie odpowiedziała:

– Nie. To znaczy, sama nie wiem.

– Co znalazłaś?

– Nic. – Ściągnęła rękawice. – Tylko to, o czym ci powiedziałam. Dołączę pracę w kostnicy.

– Ja nie...



– Zadzwońię do Carlosa, żeby ją stąd zabrał – oznajmiła, mając na myśli asystenta z prosektorium. – Spotkajmy się, kiedy tutaj skończysz. – Jeffrey milczał, więc dodała jeszcze: – To nie musiał być gwałt, Jeff. Naprawdę. Po prostu zgadywałam.

Jeffrey nie wiedział, co powiedzieć! Jednego, jeśli chodziło o byłą żonę, był pewien: nie pozwalała sobie w pracy na luźne zgadywanki.

– Saro? – zapytał. – Dobrze się czujesz?

Sara roześmiała się ponuro.

– Czy dobrze się czuję? – powtórzyła. – Chryste, Jeffrey, co za głupie pytanie. – Podeszła do drzwi, lecz ich nie otworzyła. Kiedy po chwili odezwała się, jej słowa były zdecydowane i dobitne: – Musisz znaleźć osobę, która to zrobiła.

– Wiem.

– Nie będzie ci łatwo, Jeffrey. – Posłała mu przeszywające spojrzenie. – To był jakiś rytualny atak, a nie przypadkowy, jeden z wielu. Popatrz na jej ciało. Popatrz, jak ją tutaj pozostawiono. – Sara urwała, ale po chwili kontynuowała: – Ktokolwiek zabił Sibyl Adams, starannie to zaplanował. Wiedział, gdzie ją znajdzie. Poszedł za nią do toalety. To było starannie zaplanowane morderstwo, popełnione przez kogoś, kto chciał w ten sposób coś oznajmić.

Zdając sobie sprawę, że Sara ma zupełną rację, Jeffrey poczuł, że kręci mu się w głowie. Widział już kiedyś podobne przypadki i doskonale wiedział, co Sara ma na myśli. To nie było dzieło amatora. Jego autorowi chodziło o coś znacznie bardziej dramatycznego niż śmierć jednej osoby.

Sara wciąż nie była pewna, czy ją zrozumiał, więc zapytała:

– Czy uważasz, że on poprzestanie na jednej ofierze?

Teraz Jeffrey się nie wahał.

– Nie.

Lena Adams zmarszczyła czoło i błysnęła światłami w kierunku jadącej przed nią hondy civic. Na tym odcinku trasy I-20 obowiązywało w Georgii ograniczenie prędkości do sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę, ale jak większość mieszkańców prowincjonalnej Georgii Lena uważała znaki drogowe jedynie za sugestie skierowane do turystów jadących na Florydę i stamtąd powracających. Tablice rejestracyjne hondy świadczyły, że samochód pochodzi z Ohio.

– Ruszaj się – warknęła, patrząc na prędkościomierz. Z boku, po prawej stronie, miała ciężarówkę na osiemnastu kołach, a z przodu jankesa w hondzie civic, który najwyraźniej nie miał zamiaru przekraczać dozwolonej prędkości. Przez chwilę Lena żałowała, że nie pojechała jednym z radiowozów z hrabstwa Grant. Jazda byłaby nie tylko bardziej płynna niż podróż jej własną celicą, ale miałyby dodatkową przyjemność ze straszenia kierowców poruszających się zbyt szybko.

Niespodziewanie osiemnastokołowiec zwolnił, pozwalając civic, aby go wyprzedziła. Lena pomachała wesoło kierowcy i od razu przyspieszyła.

Pozostawiwszy za sobą ograniczenia prędkości z Macon, celica jeszcze bardziej przyspieszyła. Lena wyciągnęła z pudełka kasetę magnetofonową. Należała do Sibyl i nagrana była na niej muzyka dla kierowców. Wsunęła kasetę do odtwarzacza i uśmiechnęła się, kiedy rozpoznała dźwięki *Bad Reputation* Joan Jett. Piosenka była hymnem sióstr, kiedy chodziły do szkoły średniej. Spędzały wtedy mnóstwo wieczorów, pędząc po bocznych drogach i śpiewając na cały głos: „Gównu mnie obchodzi moja reputacja”. Dzięki ich wujkowi tolerowano fakt, że były trochę postrzelone. Dzięki matce, Hiszpance z pochodzenia, nie miały zupełnie białej skóry. No i nie były biedne.

Przewożenie materiałów dowodowych do laboratorium Biura Śledczego Stanu Georgia w Macon było w schemacie policyjnych zadań czynnością niewiele poważniejszą niż praca kuriera, jednak Lena cieszyła się, że otrzy-

mała to zlecenie. Jeffrey powiedział, że może wykorzystać ten dzień na uspokojenie się; tak brzmiał eufemizm, oznaczający, że powinna trochę powściągnąć swój temperament. Frank Wallace i Lena od pierwszej chwili, kiedy zostali partnerami, zmagali się z tym samym problemem. W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat Frank nie był zachwycony, widząc w policji kobietę, tym bardziej w roli swojej partnerki. Ustawicznie i bez skutku próbował odsuwać Lenę od najważniejszych czynności, tymczasem i ona nie pozostawała mu dłużna w drobnych złościwościach. W końcu ktoś musiał wziąć górę. Ponieważ Frankowi brakowało tylko dwóch lat do emerytury, Lena nie miała wątpliwości, że postawi w końcu na swoim.

W gruncie rzeczy Frank nie był złym facetem. Mimo zaawansowanego wieku starał się pracować jak najlepiej. W swe dobre dni Lena zdawała się rozumieć, że nieprzejednana postawa Franka wobec niej wydobywa się z miejsca znacznie głębszego niż jego ego. Był typem faceta, który zawsze otwiera przed kobietami drzwi i który, znalazłszy się w zamkniętym pomieszczeniu, natychmiast zdejmuje kapelusz. Był nawet masonem w lokalnej loży. Nie potrafił jednak zgodzić się na to, aby jego partnerka miała decydujący głos podczas przesłuchania albo w trakcie rewizji w domu podejrzanego. W złe dni Lena marzyła o tym, żeby zamknąć go w garażu razem z samochodem z włączonym silnikiem.

Jeffrey miał rację, mówiąc, że podróż ją uspokoi. Do Macon dotarła trzydzieści minut przed czasem. Lubiła swojego szefa, będącego całkowitym przeciwieństwem Franka Wallace'a. Frank często kierował się w pracy przecuciem i działał impulsywnie, podczas gdy Jeffrey długo rozważał każdy ruch. Jeffrey był też mężczyzną, który nie zrażał do siebie kobiet i nie oponował, kiedy wygłaszały własne opinie. Znaczenie dla Leny miał też fakt, że to właśnie Jeffrey awansował ją na detektywa. Nie uczynił tego dla poprawienia danych statystycznych czy też dla uzyskania odmiennego wizerunku niż jego poprzednik. Pracował przecież w hrabstwie Grant, którego przed pięćdziesięciu laty nie umieszczano nawet na szczegółowych mapach. Dał jej to stanowisko dlatego, że cenił jej pracę i wysiłek intelektualny, jaki w nią wkładała. Fakt, że była kobietą, nie miał w tym wypadku nic do rzeczy.

– Cholera – syknęła Lena, ujrawszy we wstecznym lusterku błysk nie-

bieskiego koguta na dachu jadącego za nią samochodu. Zmniejszyła prędkość, a kiedy niedawno przez nią wyprzedzona honda civic mijala ją, zjechała na pobocze. Janek nacisnął klakson i pomachał do niej. Miała ochotę pokazać mu środkowy palec wystawiony do góry.

Policjant z patrolu nie spieszył się z opuszczeniem samochodu. Lena sięgnęła do torebki, leżącej na tylnym siedzeniu, w poszukiwaniu swojej legitymacji. Kiedy się odwróciła, ze zdziwieniem stwierdziła, że policjant stoi za jej samochodem. Dłoń trzymał na rękojeści rewolweru. Lena skłęła się za to, że nie poczekała, aż podejdzie do samochodu. Pewnie pomyślał, że szuka broni.

Położyła legitymację na kolanach i podniosła ręce do góry. Wysunęła głowę przez okno i powiedziała:

– Przepraszam.

Policjant ostrożnie postąpił krok do przodu. Przez cały czas żuł gumę. Zdjął ciemne okulary i zaczął uważnie przyglądać się Lenie.

– Posłuchaj – powiedziała, z rękami wciąż uniesionymi do góry. – Jestem w podróży służbowej. Ja...

Nie pozwolił jej dokończyć.

– Czy mam może przyjemność z detektyw Saleną Adams?

Opuściła ręce, posyłając policjantowi pytające spojrzenie. Był raczej niski, ale górna część jego ciała była bardzo umięśniona. Niewielkiego wzrostu mężczyźni często pragną powetować sobie tę niedoskonałość intensywnymi ćwiczeniami, rozwijającymi mięśnie tułowia. Jego ramiona były tak potężne, że nie mógł trzymać ich płasko przy ciele. Guziki munduru miał zapięte pod samą szyję.

– Jestem Lena – odparła, wpatrując się w tabliczkę z jego nazwiskiem. – Czy my się znamy?

– Nie, proszę pani. – Znów nałożył okulary. – Mieliśmy wiadomość od pani szefa. Polecono mi eskortować panią z powrotem do hrabstwa Grant.

– Słucham? – zdziwiła się Lena. Nie wierzyła własnym uszom. – Mój szef, Jeffrey Tolliver?

Grzecznie pokiwał głową.

– Tak, proszę pani.

Zanim zdążyła zadać mu kolejne pytania, skierował się z powrotem do

swojego samochodu. Poczekala, az wlaczy sie do ruchu i ruszyła za nim. Policjant w krótkim czasie osiągnął dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Niedługo minęli niebieską hondę, jednak Lena nawet nie zwróciła na to uwagi. Intensywnie zastanawiała się, co też nabroila tym razem.

Chociaż Centrum Medyczne Grant znajdowało się przy końcu Main Street, ani trochę nie wyglądało na miejsce tak ważne, jak wskazywałyby jego nazwa. Zaledwie dwukondygnacyjny, niewielki szpital, wyposażony był w sprzęt pozwalający na wykonywanie jedynie drobnych zabiegów. Większy szpital znajdował się pół godziny jazdy stąd, w Augustie, i tam właśnie kierowano chorych w poważniejszych przypadkach. Gdyby w piwnicy nie znajdowało się stanowe prosektorium, centrum już dawno zaadaptowano by na dom studencki.

Tak jak pozostała część miasta, szpital zbudowany został w czasach rozkwitu, a więc w latach trzydziestych. Dwie podstawowe kondygnacje od tego czasu wyremontowano i unowocześniono, jednak prosektorium najwyraźniej nie było dla zarządu szpitala aż tak ważne. Jego ściany wyłożono niebieskimi kafelkami, które były tak stare, że powoli znów wracały do mody. Przez sufit, cały w plamach, wielokrotnie przeciekała już woda. Wyposażenie prosektorium było stare, ale funkcjonalne.

Gabinet Sary znajdował się na tyłach i od pozostałej części prosektorium oddzielony był dużym oknem. Sara siedziała właśnie przy biurku i patrzyła przez to okno, próbując zebrać myśli. W prosektorium panował typowy tutaj lekki szum. Cicho szumiał kompresor powietrza w lodówce i woda wypływająca z gumowego węża, bo Carlos właśnie zmywał podłogę. Ponieważ pomieszczenie znajdowało się poniżej poziomu gruntu, jego ściany raczej absorbowwały niż odbijały dźwięki i znajomy pomruk dziwnie uspokajał Sarę. Jej rozmyślenia gwałtownie przerwał terkot telefonu.

– Sara Linton – powiedziała do słuchawki.

Spodziewała się Jeffrey'a, a tymczasem usłyszała głos ojca.

– Cześć, maleńka.

Sara uśmiechnęła się. Głos Eddiego Lintona sprawił, że zrobiło się jej lżej na sercu.

– Cześć, tato.

– Powiem ci dobry kawał.

– Naprawdę? – Próbowała mówić lekko, swobodnie, gdyż wiedziała, że humor i dowcipy to w przypadku jej ojca sposób na złagodzenie stresu. – Co to za kawał?

– Kiedy zaczął tonąć *Titanic*, na jego pokładzie spotkali się pediatra, prawnik i ksiądz. Pediatra zawołał: „Ratujmy dzieci!”. Prawnik krzyknął: „Pieprzmy dzieci!”. Ksiądz natomiast zapytał spokojnie: „Czy mamy na to czas?”.

Sara roześmiała się, bardziej na użytek ojca niż z jakiegokolwiek innego powodu. Eddie Linton milczał, czekając, aż jego córka coś powie. Wreszcie zapytał:

– Jak się ma Tessie?

– Udało jej się zasnąć – odparła. – A co z tobą?

– Och, ze mną wszystko w porządku.

Sara zaczęła rysować kółka w kalendarzu, który leżał na jej biurku. Rzadko zdarzało się, że coś bezmyślnie bazgroliła, teraz jednak musiała coś zrobić z rękami. Jakaś częścią siebie pragnęła sprawdzić zawartość swojej teczki, zobaczyć, czy Tessa wpadła na to, by włożyć do niej widokówkę.

Eddie Linton przerwał jej rozmyślenia.

– Mama mówi, że masz przyjść do nas jutro na śniadanie.

– Tak? – Sara zaczęła wrysowywać kwadraty w kółka.

Głos ojca stał się bardzo melodyjny.

– Będą tosty, bekon, kasza i wafelki.

– Hej! – zawołał Jeffrey.

Sara uniosła głowę. W ręki wypadł jej długopis.

– Przestraszyłeś mnie – powiedziała do Jeffreya. Po chwili odezwała się do ojca: – Tato, tu jest Jeffrey...

Eddie Linton wydał serię nieartykułowanych dźwięków. Jego zdaniem dobrze by się stało, gdyby ktoś w końcu solidnie walnął Jeffreya cegłówką w głowę.

– W porządku – rzuciła Sara do słuchawki, posyłając Jeffreyowi krzywy uśmiech. Bez słowa wpatrywał się w szklaną tabliczkę na jej biurku. Eddie Linton zalepił na niej taśmą izolacyjną nazwisko TOLLIVER i napisał nad nią czarnym mazakiem LINTON. – Tato, zobaczymy się jutro rano.

– Sara odłożyła słuchawkę, zanim ojciec zdołał jeszcze coś powiedzieć.

– Niech zgadnę, pewnie przesyła mi pozdrowienia – mruknął Jeffrey.

Sara zignorowała pytanie, chcąc uniknąć rozmowy na osobiste tematy. Jej były mąż nie dawał jednak za wygraną.

– Jak się ma Tessa? – zapytał.

– Doskonale – odpowiedziała Sara, wyjmując okulary z pudełka. Założyła je, po czym to ona rzuciła pytanie: – A gdzie jest Lena?

Jeffrey popatrzył na ścienny zegar.

– Mniej więcej godzinę drogi stąd. Frank da mi sygnał, kiedy do jej przyjazdu pozostanie jakieś dziesięć minut.

Sara wstała i poprawiła na sobie pożyczoną od kogoś sukienkę. Wzięła prysznic już w szpitalu. Zakrwawione ubranie umieściła w worku na dowody rzeczowe, na wypadek gdyby potrzebne było w dalszym toku sprawy.

– Zastanawiałeś się, co jej powiesz?

Jeffrey pokręcił przecząco głową.

– Mam nadzieję, że zanim dojdzie do rozmowy, uzyskam już jakieś szczegółowe informacje. Lena jest policjantką. Będzie chciała usłyszeć konkretne odpowiedzi.

Sara pochyliła się nad biurkiem i zastukała w szybę. Carlos popatrzył w jej kierunku.

– Możesz już iść! – zawołała. Po chwili wyjaśniła Jeffreyowi: – Zawiezie próbki krwi i moczu do laboratorium kryminalistycznego. Zostaną zbadane jeszcze dzisiaj w nocy.

– To dobrze.

Sara z powrotem usiadła na krześle.

– Masz jakieś dodatkowe ślady z łazienki? – zapytała.

– Za toaletą znaleźliśmy jej laskę i okulary. Ktoś je wcześniej wyczyścił.

– Co z drzwiami do kabiny?

– Nic – odparł Jeffrey. – To znaczy, wcale nie nic, ale to miejsce odwiedziła zapewne każda kobieta mieszkająca w tym mieście. Matt doliczył się odcisków palców prawie pięćdziesięciu osób. – Wyciągnął z kieszeni plik fotografii z polaroidu i rzucił je na biurko. Były na nich widoczne zwłoki, a także odciski butów Sary i jej dłoni na posadzce.



Sara wzięła do ręki jedną z fotografii i powiedziała:

– Chyba nie ułatwiłam wam zadania. Zostawiłam na miejscu mnóstwo śladów. Wiele innych pewnie zatarłam.

– Raczej nie miałaś wyboru.

Nie odpowiedziała, układając fotografie we właściwej kolejności.

Jeffrey kontynuował, potwierdzając jej wcześniejszą ocenę.

– Ktokolwiek tego dokonał, doskonale wiedział, co robi. Wiedział, że Sibyl pójdzie do restauracji sama. Wiedział, że jest niewidoma. Wiedział, że o tej porze dnia restauracja będzie pusta.

– Myślisz, że na nią czekał?

Jeffrey wzruszył ramionami.

– Wszystko na to wskazuje. Morderca najprawdopodobniej wszedł i wyszedł tylnymi drzwiami. Pete wyłączył alarm, żeby można było trzymać je otwarte i wietrzyć salę.

– No tak – westchnęła Sara, przypominając sobie, że tylne drzwi częściej były otwarte niż zamknięte.

– Szukamy zatem osobnika, który znał jej przyzwyczajenia, prawda? Kogoś, kto co nieco wiedział o zwyczajach panujących w restauracji.

Sara nie chciała tego potwierdzać, gdyż twierdząca odpowiedź na to pytanie prowadziła do wniosku, że zabójcą jest mieszkaniec Grant, czyli ktoś, kto zna tutejszych ludzi i miejsca tak dobrze, jak może je znać tylko rezydent. W milczeniu wstała i podeszła do metalowej szafki ustawionej za biurkiem. Wyciągnęła z niej świeży fartuch laboratoryjny, włożyła go, po czym odezwała się:

– Zrobiłam już zdjęcia rentgenowskie i sprawdziłam jej ubranie. Zwłoki są gotowe.

Jeffrey odwrócił się i popatrzył na stół, znajdujący się na samym środku prosektorium. Sara również spojrzała w tym kierunku. Pomyślała, że po śmierci Sibyl Adams jest znacznie mniejsza, niż zdawała się za życia. Nawet ona nie potrafiła pogodzić się z myślą, jak mocno śmierć zmniejsza ludzi.

– Dobrze ją znałaś? – zapytał Jeffrey.

Sara przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Wreszcie odparła:

– Chyba tak. W zeszłym roku obie zostałyśmy zaproszone do szkoły

średniej i opowiadałyśmy o naszej pracy zawodowej. Później czasami widywałam ją w bibliotece.

– Bibliotecę? – zdziwił się Jeffrey. – Przecież była niewidoma.

– Mają tam również książki na taśmach. Tak sędzę... – Sara zatrzymała się przed nim i skrzyżowała ręce na piersiach. – Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Kilka tygodni temu bardzo posprzeczałyśmy się z Leną.

Oczywiście, zaskoczyła tym Jeffreya. Sama była zaskoczona. W mieście żyło bardzo niewielu ludzi, z którymi Sara nie potrafiłaby się dogadać. Lena Adams była jedną z takich osób.

– Zatelefonowała – zaczęła wyjaśniać – do Nicka Sheltona z Biura Śledczego Stanu Georgia, prosząc go o przysłanie raportu dotyczącego jakiejś trucizny, a związanego z jedną z prowadzonych przez nią spraw.

Jeffrey przechylił głowę na bok. Niczego nie rozumiał.

– No i co?

Sara wzruszyła ramionami. Wciąż nie wiedziała, dlaczego Lena próbowała działać za jej plecami, zwłaszcza jeśli brało się pod uwagę fakt, iż Sara doskonale, w najlepszej harmonii współpracowała z Nickiem Sheltonem, agentem Biura Śledczego Stanu Georgia, który nadzorował hrabstwo Grant.

– No i? – ponowił pytanie Jeffrey.

– Nie rozumiem, co Lena chciała osiągnąć, telefonując bezpośrednio do Nicka. Spięłam się z nią. Nie popłynęła krew, ale muszę powiedzieć, że nie rozstałyśmy się jak przyjaciółki.

Jeffrey wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „I co ja na to poradzę?”. Lena robiła karierę, często postępując arogancko wobec innych ludzi. Dawniej, kiedy byli jeszcze małżeństwem, Jeffrey często opowiadał Sarze o swoich wątpliwościach związanych z impulsywnymi poczynaniami Leny.

– Czy ona... – urwał na chwilę, ale zaraz dodał: – Czy ona została zgwałcona, Saro? Nie wiem...

– Zaczynajmy – powiedziała Sara szybko.

Minęła byłego męża i skierowała się do prosektorium. Zatrzymała się na chwilę przy szafie i zaczęła szukać w niej fartucha chirurgicznego. Jeszcze przez kilka sekund zastanawiała się, dlaczego Jeffrey przypuszcza, że

Sibyl Adams została nie tylko zamordowana, ale także zgwałcona.

– Saro? – zapytał. – Co się stało?

Głupie pytanie rozzłościło ją.

– Co się stało?! – Znalazła fartuch i zatrzasnęła drzwi. Metalowa rama zatrzęsała się od siły uderzenia. Sara odwróciła się i rozerwała hermetycznie zamknięty pakunek. – Co się stało? Jestem zmęczona twoimi pytaniami: „Co się stało?”, skoro cholernie dobrze wiesz, co się stało. – Urwała i zaczęła nakładać fartuch. – Zastanów się tylko, Jeffrey. Dzisiaj w moich ramionach zmarła kobieta. I to nie jakaś obca kobieta, ale ktoś, kogo znałam. Powinnam być w tej chwili w domu i odstać swoje pod gorącym prysznicem albo pójść na spacer z psami, ale zamiast tego jestem tutaj i za chwilę będę rozcinać tę kobietę jeszcze bardziej, niż ją rozcięto do tej pory. A ty sobie tu spokojnie stoisz i pytasz: „Co się stało?”, zamiast ścigać zbrojców po całym mieście!

Kiedy ubierała fartuch, jej ręce trzęsły się ze zdenerwowania. Nie dawała sobie rady z wsunięciem ramienia do rękawa i pochyliła się, aby sobie to ułatwić, kiedy wreszcie Jeffrey ruszył się, żeby jej pomóc.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – warknęła.

Podniósł ręce do góry, jakby się poddawał.

– Przepraszam.

Sara mocno zaciągnęła sznurki, jednak przy wiązaniu dwa końce zaplątały się.

– Cholera jasna – syknęła, próbując rozsypać węzeł.

– Może powiem Bradowi, żeby wyszedł z psami?

Sara zrezygnowana opuściła ręce.

– Nie o to chodzi, Jeffrey.

– Wiem, że nie o to – odparł i podszedł do niej.

Wziął sznurki do rąk, a Sara tylko patrzyła, jak je powoli rozsypuje. Po chwili jej spojrzenie powędrowało ku czubkowi głowy Jeffreya. Pomiędzy czarnymi włosami zauważyła kilka siwych.

Rozsypał węzeł i uśmiechnął się, jakby ta prosta czynność mogła wszystko naprawić.

– Gotowe – powiedział.

Sara odebrała od niego końce sznurków i związała je w kokardę. Jeffrey

dotknął dłonią jej podbródka.

– Nic ci nie dolega – tym razem stwierdził, rezygnując z pytania.

– Tak – potwierdziła, robiąc krok do tyłu. – Nic mi nie dolega. – Wyciągnęła z szuflady lateksowe rękawice i postanowiła wreszcie uciąć tę rozmowę. – Skończmy robotę, zanim wróci Lena.

Podeszła do porcelanowego stołu sekcyjnego, przyśrubowanego do podłogi na środku pomieszczenia. Zaokrąglony na końcach biały stół dźwigał teraz drobne ciało Sibyl. Carlos umieścił jej głowę na czarnym bloku z gumy, a pozostałą część zwłok okrył białym prześcieradłem. Gdyby nie czarna szrama nad jej okiem, można było pomyśleć, że Sibyl śpi.

– Dobry Boże – mruknęła Sara, ściągawszy prześcieradło.

Dopiero teraz, z dala od miejsca zbrodni, rany ukazały się w całej okazałości. W jaskrawym świetle prosektorium można było je obejrzeć dokładnie i ze szczegółami. Nacięcia na brzuchu były długie, głębokie i układały się w perfekcyjny znak krzyża. Skóra fragmentami marszczyła się, a w miejscu, w którym zbiegały się nacięcia, widoczna była głęboka rana kluta. Brzegi ran były ciemne, niemal czarne. Szczeliny w skórze Sibyl Adams otwierały się niczym małe, wilgotne usta.

– W jej ciele było niewiele tłuszczu – wyjaśniła Sara.

Wskazała na brzuch, tam gdzie nacięcie było trochę szersze, tuż nad pępkiem. Sztylet wszedł tam głębiej i skóra rozszerzała się tutaj niczym ciasna koszula w miejscu, w którym odpruł się guzik.

– Na podbrzuszu, gdzie ostrze naruszyło jelita, widoczny jest kał. Nie wiem, czy to nacięcie zostało wykonane tak głęboko w jakimś celu czy przypadkowo. W każdym razie cała rana powstała w wyniku jednego pociągnięcia ostrzem. – Sara wskazała na brzegi rany. – Tutaj, na końcu rany, widoczne jest prądkowanie. Może facet obracał sztyлетem dookoła? Także... – urwała, wskazując poszczególne fragmenty – ...na jej rękach oraz na barierkach w toalecie widoczne są ślady ekskrementów. Wnioskuje więc, że po otrzymaniu ciosu przyłożyła dłonie do brzucha, a potem z jakiegoś powodu złapała nimi za poręcze.

Podniosła głowę i popatrzyła na Jeffrey'a, chcąc się przekonać, jak się czuje. Zdawał się przyrośnięty do podłogi, jakby zahipnotyzowany widokiem zwłok Sibyl. Z własnego doświadczenia wiedziała, że umysł potrafi

płatać różne niespodzianki, czasami zacierając ostry obraz przemocy. Nawet dla niej widok Sibyl w tej chwili był znacznie trudniejszy do zniesienia, niż gdyby właśnie widziała jej ciało po raz pierwszy.

Przyłożyła dłonie do zwłok, zdziwiona, że ciało wciąż jest ciepłe. Temperatura w prosektorium zawsze była niska, nawet latem, głównie dlatego, że znajdowało się pod ziemią. Ciało Sibyl powinno być więc już znacznie chłodniejsze.

– Sara? – odezwał się Jeffrey.

– Nic – odparła, nieprzygotowana jeszcze, by wyciągać wnioski. Nacięła ranę na środku krzyża. – To z pewnością był sztylet – zaczęła. – To zapewne ma dla ciebie znaczenie. Zwykle ludzie zabijają się nożami myśliwskimi z ząbkami, prawda?

– Tak.

Wskazała na rozciągający się wokół rany fragment ciemniejszej skóry, jakby opalenizny. Po umyciu zwłok dostrzegła znaczne więcej niż w toalecie, kiedy się na nie natknęła.

– To zostało spowodowane uderzeniem rękojęści, zatem morderca wbił w ciało całe ostrze. Przypuszczam, że kiedy ją otworzę, natknę się na odłamki uszkodzonego kręgosłupa. Kiedy włożyłam do rany palec, wyczułam nieregularne twarde krawędzie. W ranie zapewne znajdują się drobne fragmenty kości.

Jeffrey pokiwał głową, a Sara kontynuowała:

– Jeśli będziemy mieli szczęście, uzyskamy trochę informacji na temat ostrza. Jeśli nie, to chociaż dowiemy się czegoś o wielkości podstawy rękojęści. Kiedy Lena już ją zobaczy... mam na myśli Sibyl... będę mogła usunąć i dokładnie zbadać skórę. – Wskazała na ranę w centrum krzyża. – Uderzenie było bardzo silne, zakładam więc, że zabójca pochylał się nad ofiarą. Sztylet wsunął się w ciało mniej więcej pod kątem czterdziestu pięciu stopni. – Zaczęła oglądać ranę ciętą. – Powiedziałabym, że rana na pierśi pochodzi od innego ostrza niż rana cięta na brzuchu. To nie ma sensu.

– Skąd ten wniosek?

– Nacięcia mają zupełnie inne wzory.

– Czym się różnią?

– Właściwie nie wiem – przyznała szczerze. Przez chwilę milczała,

znów koncentrując się na ranie klutej na środku krzyża. – Facet najprawdopodobniej stanął przed nią, z nogami ugiętymi w kolanach, rękę ze sztyletem cofnął aż za plecy... – Sara zademonstrowała – ...i uderzył w klatkę piersiową Sibyl.

– Naprawdę używał dwóch ostrzy?

– Do końca nie jestem pewna – przyznała Sara, spoglądając ponownie na ranę brzucha. Coś się nie zgadzało.

Jeffrey podrapał się po policzku, patrząc na ranę na klatce piersiowej.

– Dlaczego nie dźgnął jej w serce? – zapytał.

– Po pierwsze dlatego, że serce nie znajduje się na środku klatki piersiowej, a facet chciał zadać uderzenie w sam środek krzyża. Po drugie, serce osłaniają żebra i chrząstki. Żeby się przez nie przebić, musiałby uderzać sztyletem wielokrotnie, a to by zniszczyło prawie doskonały rysunek krzyża, prawda? – Sara urwała na chwilę. – Gdyby trafił w serce, z rany zaczęłyby się wylewać mnóstwo krwi, i to z dużą szybkością. Może chciał tego uniknąć? – Wzruszyła ramionami i popatrzyła na Jeffreya.

– Przypuszczam, że gdyby chciał się dostać do serca, dźgnąłby ją pod żebra, ale musiałby być dobry, żeby trafić za pierwszym razem.

– Uważasz, że miał jakąś wiedzę medyczną?

– Czy wiesz, gdzie znajduje się serce? – odpowiedziała Sara pytaniem.

Jeffrey położył dłoń z lewej strony swojej klatki piersiowej.

– Dokładnie. Wiesz zatem, że twoje żebra nie łączą się na całej długości w centrum.

– Co to jest? – zapytał, przesuwając dłoń dokładnie na środek klatki piersiowej.

– Mostek – odparła. – Rana znajduje się jednak trochę niżej. Nie wiem, czy przez przypadek czy też takie uderzenie zostało zadane celowo.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że jeśli koniecznie chcesz wyryć ostrzem krzyż na czyimś tułowiu, a na środku tego krzyża zadać ranę klutą, jest to najlepsze miejsce, żeby dźgnąć sztyletem tak, aby ostrze przeszło niemal na wylot. Szczególnie, jeśli mamy do czynienia z ofiarą w wieku Sibyl. Ile miała lat? Trzydzieści kilka?

– Trzydzieści trzy.

– Tyle co Tessa – mruknęła Sara i jej myśli na moment powędrowały ku siostrze. Otrząsnęła się jednak szybko i skoncentrowała na zwłokach. – W miarę jak człowiek się starzeje, chrząstki klatki piersiowej stają się po prostu twardsze.

– A może morderca nie chciał nacinać jej piersi?

Sara zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Tutaj chyba nie o to chodzi. – Spróbowała poszukać właściwych słów.

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że powinien właśnie ranić jej piersi. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tym bardziej, że podejrzewamy seksualny motyw zbrodni – podpowiedział Jeffrey. – Gwałt polega na okazaniu własnej mocy, prawda? Facet wyładowuje złość na kobiecie, dąży do pełnej kontroli nad nią. Dlaczego więc nasz morderca pociął Sibyl w zupełnie innym miejscu niż to, które czyni ją kobietą?

– Gwałt to także penetracja – zauważyła Sara. – Tutaj mamy do czynienia z czymś podobnym. Popatrz, silne, zdecydowane pchnięcie w klatkę piersiową. Nie sądzę, żeby... – Urwała i popatrzyła na ranę. Przyszło jej do głowy coś zupełnie innego. – Chryste – jęknęła.

– O co chodzi? – zapytał Jeffrey.

Przez kilka sekund nie mogła nic mówić. Nagle poczuła w gardle jakby ogromną, dławiącą kulę.

– Sara?

W prosektorium rozległ się przytłumiony pisk elektronicznego urządzenia. Jeffrey popatrzył na ekran swojego przywoływacza.

– To nie może być Lena – powiedział. – Mogę skorzystać z telefonu?

– Oczywiście.

Sara położyła ręce na piersiach, sprawiając wrażenie, jakby nagle poczuła potrzebę ochrony samej siebie przed własnymi myślami. Zanim przystąpiła do dalszego badania zwłok, odczekała, aż Jeffrey usiadł za jej biurkiem.

Sięgnęła nad głowę i ustawiła żarówkę w taki sposób, aby lepiej przyjrzeć się miednicy. Przygotowując metalowy wziernik, szeptała modlitwę – do siebie, do Boga, do kogokolwiek, kto zechciałby jej wysłuchać, bez znaczenia, kim by był. Ale kiedy Jeffrey powrócił, była już pewna.

– No i co? – zapytał.

Ręce Sary drżały, kiedy ściągała rękawiczki.

– Była napastowana seksualnie już na samym początku ataku. – Urwała, rzuciła przepecone rękawice na stół i przez moment wyobrażała sobie Sibyl Adams siedzącą na toalecie, przykładającą dłonie do otwartej rany w brzuchu, następnie chwytającą się poprzecznych uchwytów po obu stronach muszli klozetowej, ślepa, całkowicie nieświadoma tego, co się dzieje.

Jeffrey odczekał kilka sekund, po czym ponaglił Sarę:

– I co?

Sara przyłożyła dłonie do skraju stołu.

– W jej pochwie znalazłam kał.

Jeffrey nie zrozumiał.

– Czyli że najpierw ktoś wsadził jej w tyłek?

– Nie ma śladu penetracji analnej.

– Ale znalazłaś kał – powiedział, nadal nie rozumiejąc.

– Głęboko w jej pochwie – odparła Sara, wciąż nie chcąc wypowiadać słów, które, o czym wiedziała, zaraz i tak będzie musiała z siebie wydusić. Jej głos drżał w niekontrolowany sposób, kiedy dodawała: – Nacięcie na jej brzuchu nie bez przyczyny było takie głębokie, Jeffrey. – Urwała, wciąż szukając słów, którymi najlepiej mogłaby oddać przerażającą prawdę.

– Zgwałcił ją – stwierdził Jeffrey. – Wsuwał członek w jej pochwę.

– Tak – potwierdziła Sara, ciągle nie wiedząc, w jaki sposób powiedzieć mu prawdę. Wreszcie wykrztusiła: – Wsuwał członek w jej pochwę dopiero po tym, jak wielokrotnie wsunął go do rany w jej brzuchu.



Noc zapadła bardzo szybko, a temperatura spadła równie gwałtownie, jak niespodziewanie słońce osunęło się za linię horyzontu. Kiedy Lena ustawiała samochód na parkingu przed posterunkiem policji, Jeffrey akurat przechodził przez jezdnię. Zanim zbliżył się do jej auta, zdążyła wysiąść.

– Co się dzieje? – zawołała. Bez wątpienia wyczuwała już, że stało się coś złego. – Chodzi o mojego wujka? – zapytała, pocierając ramiona, żeby odegnać chłód. Miała na sobie cienką koszulkę i džinsy. W pracy nie widywano jej raczej w takim ubraniu, jednak wyprawa do Macon nie wymagała formalnego stroju.

Jeffrey ściągnął marynarkę i podał ją Lenie. Ciężar tego, co powiedziała mu Sara, zalegał na jego piersi niczym kamień. Gdyby to zależało od niego, Lena mogłaby nigdy nie dowiedzieć się, co naprawdę stało się z Sibyl Adams. Nigdy nie poznałaby prawdy o tym, co to zwierzę w ludzkiej skórze uczyniło jej siostrze.

– Wejźmy do środka – powiedział, ściskając ją delikatnie za łokieć.

– Nie chcę wchodzić do środka – odparła, odpychając jego rękę. Marynarka zsunęła się na ziemię pomiędzy nimi.

Jeffrey pochylił się i podniósł ją. Kiedy popatrzył do góry, ujrzał, że Lena opiera ręce na biodrach. Rozpoznał jej rozgniewaną minę. Nie sprawdziło się jego przypuszczenie, że będzie potrzebowała kogoś, żeby się wypłakać albo wysłuchać słów ukojenia po strasznej wiadomości, jaką otrzymała. A jednak nie akceptował tego, że w Lenie nie ma słabości i delikatności; może dlatego, że była kobietą? A może dlatego, że przed kilkoma minutami widział jej porozrywaną siostrę leżącą w prosektorium? Powinien pamiętać, że Lena to bardzo twarda sztuka. Powinien przewidzieć jej złość.

Nałożył marynarkę.

– Nie chcę tego robić na zewnątrz – powiedział.

– A co takiego chcesz mi powiedzieć? – zawołała. – Chcesz powiedzieć, że prowadził samochód, prawda? I że zjechał z szosy?

Po wypowiedzeniu każdego zdania wysuwała z pięści kolejny palec, dokładnie odtwarzając podręcznikową policyjną procedurę informowania człowieka, że zmarł ktoś z jego rodziny. Powoli przygotowuj rozmówcę do najgorszej wiadomości, stanowiła instrukcja. Nie podawaj jej nagle. Niech członek rodziny, ukochany, ukochana, powoli do niej przywyka.

Lena wciąż wyliczała, a jej głos z każdą kolejną kwestią był głośniejszy.

– Czy uderzył w niego inny samochód? Co? I zabrali go do szpitala? I lekarze próbowali go ratować, lecz im się to nie udało? Zrobili wszystko, co było w ich mocy, czy tak?

– Lena...

Skierowała się z powrotem do samochodu, ale po drodze się odwróciła.

– Gdzie jest moja siostra? Już jej powiedzieliście?

Jeffrey nabrał w płuca mnóstwo powietrza i powoli je wypuścił.

– No proszę – syknęła Lena, spoglądając na budynek komisariatu i machając ręką. Z jednego z frontowych okien wychylała się Marla Simms. – Cześć, Marla! – krzyknęła.

– Daj spokój – powiedział Jeffrey, daremnie próbując ją uspokoić.

Cofnęła się o krok od niego.

– Gdzie jest moja siostra?

Jego usta buntowały się, nie chciały się poruszać. Wreszcie, z ogromnym wysiłkiem wykrztusił:

– Była w barze.

Lena znów odwróciła się i ruszyła ulicą w kierunku, w którym znajdował się bar.

– Weszła do łazienki – kontynuował Jeffrey.

Lena zatrzymała się w pół kroku.

– Ktoś tam już był. Dźgnął ją nożem w klatkę piersiową. – Jeffrey poczekał, aż Lena ponownie się odwróci, ona jednak tkwiła w miejscu. Ramiona miała wyprostowane, w całkowitym bezruchu. – Doktor Linton jadła akurat lunch ze swoją siostrą – kontynuował. – Kiedy weszła do łazienki, znalazła ją...

Lena odwróciła się wreszcie. Jej usta były lekko otwarte.

– Sara próbowała ją ratować.

Lena spojrzała mu prosto w oczy. Zmusił się, żeby nie odwrócić wzro-

ku.

– Nie żyje.

Słowa zawisły w powietrzu niczym ómy pod uliczną lampą.

Dłoń Leny powędrowała do ust. Zanim Lena dotarła z powrotem do Jeffa, zatoczyła pijackie półkole. Jej wzrok wbił się w jego oczy w niemym pytaniu. Czy to jakiś żart? Czy jej przełożony potrafi być aż tak okrutny?

– Ona nie żyje – powtórzył.

Nagle jej oddech zaczął się rwać. Niemal widział, jak jej mózg, w miarę jak straszna wiadomość dociera do jego coraz głębszych pokładów, pracuje, z każdą chwilą intensywniej. Niespodziewanie Lena skierowała się do komisariatu. Po drodze jednak zatrzymała się, odwróciła i w milczeniu, wciąż z lekko otwartymi ustami, popatrzyła na Jeffreya. Równie niespodziewanie znów zmieniła zdanie i biegiem popędziła w kierunku baru.

– Lena! – zawołał Jeffrey, ruszając za nią. Była szybka i miała o wiele wygodniejsze buty niż on. Wiedział jednak, że musi ją dopaść, zanim dotrze do baru.

Zawołał za nią ponownie, kiedy znalazła się na wysokości budynku, ona jednak minęła bar i skręciła w prawo. Najwyraźniej zmierzała w kierunku centrum medycznego.

– Nie! – jęknął Jeffrey i przyspieszył. Był już pewien, że celem Leny jest prosektorium. Znów krzyknął, jednak Lena nawet się nie obejrzała. Po chwili znalazła się na szpitalnym podjeździe, a kiedy z całym impetem uderzyła w wahadłowe drzwi prowadzące do środka, uruchomiła system alarmowy.

Jeffrey był w środku zaledwie kilka sekund po niej. Minął załom korytarza i pobiegł w kierunku schodów, słysząc odgłosy sportowych butów Leny na gumowej wykładzinie. Kiedy otworzyła drzwi do prosektorium, na wąskiej klatce schodowej rozległ się suchy trzask.

Jeffreyowi pozostały jeszcze do pokonania cztery schody, kiedy usłyszał zdumiony głos Sary:

– Lena?

Niemal w tym samym momencie do jego uszu dotarł pełen bólu jęk.

Zmusił się do ostatniego wysiłku i prawie wbiegł do prosektorium.

Lena pochylała się nad siostrą, trzymając jej rękę. Bez wątpienia Sara

próbowała zataić przed nią najgorsze rany Sibyl, jednak większa część jej tułowia wciąż była odkryta.

Lena wyprostowała się. Łkała. Jej oddech się rwał, a całe ciało drżało, jakby do szpiku kości przesywało je okrutne zimno.

Sara niemal przecięła Jeffreya na pół groźnym spojrzeniem. On mógł jednak tylko bezradnie rozłożyć ręce. Przecież próbował powstrzymać Lenę.

– Kiedy to było? – zapytała Lena, mimo drżenia ust, które z trudem pozwalały wydobywać się słowom. – O której godzinie umarła?

– Mniej więcej o wpół do trzeciej – odpowiedziała Sara. Na rękawiczkach miała krew. Wsunęła dłonie pod pachy, jakby chcąc je ukryć.

– Wydaje się taka ciepła...

– Wiem.

Lena zniżyła głos.

– Byłam w Macon, Sibby – powiedziała do siostry, głaszcząc ją po włosach. Jeffrey z ulgą zauważył, że Sara zdążyła wyczesać z nich zakrzepłą krew.

W prosektorium zapadła cisza. Widok Leny, stojącej nad martwą kobietą, był niesamowity. Sibyl była jej bliźniaczką, podobną do niej niemal w każdym detalu. Obie były drobnymi kobietami: miały po około pięć stóp i cztery cale wzrostu, żadna z nich nie ważyła więcej niż sto dwadzieścia funtów. Obie miały skórę o lekko oliwkowym odcieniu. Ciemnobrązowe włosy Leny były dłuższe niż włosy siostry, włosy Sibyl za to bardziej się kręciły. Ich twarze kontrastowały teraz ze sobą: jedna była spokojna, pozbawiona wszelkiego wyrazu, na drugiej malowały się nieskończony ból i żal.

Sara zdjęła rękawiczki i stanęła przy Lenie.

– Chodźmy na górę, dobrze? – zaproponowała.

– Ty tam byłeś – powiedziała Lena cichym głosem. – Co zrobiłaś, żeby jej pomóc?

Sara popatrzyła na swoje dłonie.

– Zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy.

Lena pogłaskała martwą siostrę po policzku. Kiedy zadała następne pytanie, jej głos był już ostrzejszy.

– Co właściwie było w twojej mocy?

Jeffrey postąpił krok do przodu, jednak Sara posłała mu spojrzenie, które zatrzymało go w miejscu. Tym jednym spojrzeniem powiedziała mu, że czas, kiedy mógł jeszcze ratować sytuację, skończył się mniej więcej przed dziesięcioma minutami.

– To wszystko stało się tak szybko – powiedziała Sara do Leny, najwyraźniej z niechęcią. – Niemal od razu dostała przedśmiertnych konwulsji.

Lena ułożyła dłoń Sibyl na stole. Naciągając prześcieradło aż pod jej podbródek, odezwała się:

– Jesteś pediatrą, leczysz tylko dzieci, prawda? Co dokładnie zrobiłaś, żeby jej pomóc? – Utkwiła wzrok w oczach Sary. – Dlaczego nie zawiadziłaś prawdziwego lekarza?

Sara parsknęła krótkim śmiechem, nie dowierzając własnym uszom. Zanim odpowiedziała, wzięła głęboki oddech.

– Lena, uważam, że Jeffrey powinien już zabrać cię do domu.

– Nie chcę iść do domu – odparła Lena spokojnym, lekkim głosem, jakby prowadziła niezobowiązującą konwersację. – Czy wezwałaś ambulans? Zadzwońska do swojego chłopaka? – Ruchem głowy wskazała na Jeffrey'a.

Sara cofnęła dłonie za plecy. Sprawiała wrażenie, jakby z trudem nad sobą panowała.

– Nie będziemy dziś kontynuować tej rozmowy. Jesteś zbyt zdenerwowana.

– Jestem zbyt zdenerwowana – powtórzyła Lena, zaciskając dłonie w pięści. – Uważasz, że jestem zdenerwowana? – Mówiła coraz głośniejszym głosem. – Uważasz, że jestem, kurwa, zbyt zdenerwowana, żeby, kurwa, rozmawiać o tym, dlaczego nie pomogłaś mojej siostrze?!

Doskoczyła do Sary tak szybko, jak szybko ruszyła do prosektorium z parkingu przed komisariatem.

– Jesteś lekarzem! – wrzeszczała Lena. – Jak ona mogła umrzeć, skoro był przy niej pieprzony lekarz?

Sara nie odpowiedziała. Cofnęła się o krok i popatrzyła w bok.

– Widzisz, nawet nie potrafisz na mnie spojrzeć!

Sara nawet nie drgnęła.

– Pozwoliłaś mojej siostrze umrzeć, a teraz, kurwa, nawet nie potrafisz

na mnie spojrzeć!

– Lena – odezwał się Jeffrey, uznawszy, że pora już interweniować. Otoczył ją ramieniem i spróbował odciągnąć od Sary.

– Zostaw mnie w spokoju! – wrzasnęła Lena i zaczęła bić go pięściami. Kilkakrotnie uderzyła go w piersi i w twarz, jednak w końcu Jeffrey złapał jej dłonie i mocno przytrzymał.

Mimo to próbowała walczyć, krzyczała, pluła, kopała. Trzymanie jej rąk przypominało ściskanie drutów pod napięciem. A jednak Jeffrey ani myślał osłabić uścisku, przyjmując jej przekleństwa, akceptując jej szarpanie tak długo, dopóki nie padła na podłogę i zwinęła się w kłębek. Wtedy usiadł obok i przytulił ją, pozwalając jej płakać. Kiedy podniósł głowę, nigdzie nie mógł dojrzeć Sary.

Wolną ręką Jeffrey wyciągnął z biurka chusteczkę, w drugiej wciąż trzymał słuchawkę telefonu. Przyłożył chusteczkę do ust, ocierając krew z ich kącika. W tej samej chwili usłyszał nagrany głos Sary, nakazujący mu zostawić po sygnale wiadomość.

– Hej – powiedział, odkładając chusteczkę. – Jesteś tam? – Odczekał dłuższą chwilę. – Chcę się tylko dowiedzieć, czy nic ci nie jest. – Znow minęło kilka sekund. – Jeśli nie podniesiesz słuchawki, przyjdę do ciebie. – Teraz spodziewał się odpowiedzi, jednak nic się nie stało. Jeszcze przez chwilę słuchał szumu taśmy przewijającej się w automatycznej sekretarce, wreszcie odłożył słuchawkę.

Do drzwi jego gabinetu zapukał Frank.

– Dziecko jest w kąpieli – powiedział, mając na myśli Lenę. Jeffrey wiedział, że Lena nienawidzi, kiedy mówi się o niej „dziecko”, jednak Frank Wallace tylko tym słowem potrafił wyrażać troskę o swoją partnerkę. – Chyba będzie z nią dobrze, co?

– Chyba tak. – Jeffrey rozwinął chusteczkę, szukając suchego skrawka. – Czy wie, że czekam tutaj na nią?

– Przypilnuję, żeby nie wybrała okръżnej drogi – zaproponował Frank.

– W porządku – odparł Jeffrey. – Dzięki.

Po chwili ujrzał Lenę maszerującą przez pokój detektywów, na przekór

wszystkiemu z wysoko uniesioną głową. Kiedy znalazła się w jego gabinecie, powoli, starannie zamknęła drzwi, po czym usiadła na jednym z dwóch krzeseł stojących przed biurkiem. Miała wygląd nastolatki, którą wezwał przed swoje oblicze dyrektor szkoły.

– Przepraszam, że cię uderzyłam – wymamrotała.

– Taak... – westchnął Jeffrey, podnosząc chusteczkę. – Bywało gorzej. – Lena milczała, więc dodał: – Ale tylko na służbie.

Lena ułożyła łokieć na bocznym oparciu krzesła i wsparła głowę na dłoni.

– Masz jakieś ślady? – zapytała. – Jakichś podejrzanych?

– W tej chwili pracujemy z komputerem – odparł. – Lista podejrzanych będzie gotowa nad ranem.

Zakryła oczy dłonią. Jeffrey złożył chusteczkę, czekając, aż Lena coś powie.

– Czy została zgwałcona? – wyszeptała wreszcie.

– Tak.

– Bardzo ją bolało?

– Nie wiem.

– Ponacinano ją nożem – zauważyła Lena. – Czy to był jakiś wariat uważający się za drugiego Jezusa?

– Nie wiem. – Znów odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Zdaje się, że w ogóle niewiele wiesz.

– Masz rację – przyznał Jeffrey. – Muszę ci zadać kilka pytań.

Lena wbiła wzrok w ziemię. Zauważył, że lekko wzruszyła ramionami.

– Czy Sibyl z kimś się spotykała?

Po chwili podniosła głowę.

– Nie.

– Jacyś chłopacy z dawnych lat?

Coś błysnęło w oczach Leny i tym razem nie odpowiedziała tak szybko jak poprzednio.

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Tak, jestem pewna.

– Nie przychodzi ci na myśl zupełnie nikt? Nawet sprzed kilku lat? Si-

był przeprowadziła się tutaj... zaraz, zaraz, chyba sześć lat temu.

– Masz rację – przyznała Lena. W jej głosie znów zabrzmiała niechęć. – Podjęła pracę w college’u, żeby być bliżej mnie.

– Czy mieszkała z kimś?

– Co to ma znaczyć?

Jeffrey upuścił chusteczkę na biurko.

– Dokładnie to, co znaczy, Leno. Sibyl była niewidoma. Zakładam, że na co dzień potrzebowała kogoś do pomocy. Mieszkała z kimś?

Lena zacisnęła usta. Przez chwilę jakby wahała się, czy mu odpowiedzieć czy nie.

– Dom przy Cooper Street dzieliła z Nan Thomas.

– Z bibliotekarką? – To by wyjaśniało, dlaczego Sara widziała ją w bibliotece.

– Chyba powinnam powiedzieć o wszystkim Nan – mruknęła Lena.

Jeffrey zakładał, że Nan już wie. Nic w Grant długo nie pozostawało w tajemnicy.

– Sam jej powiem – zaproponował.

– Nie. – Lena posłała mu cięte spojrzenie. – Lepiej niech dowie się od kogoś, kogo zna.

Konsekwencje takiego rozwiązania były dla Jeffreya jasne, jednak postanowił nie sprzeciwiać się Lenie. Było bardziej niż oczywiste, że szuka kolejnego powodu do konfrontacji.

– Jestem pewien, że już coś na ten temat słyszała. Zapewne jednak nie zna szczegółów.

– Chcesz powiedzieć, że nie wie o gwałcie? – Lena nerwowo kołysała nogą założoną na udo. – Chyba nie powinnam jej mówić o krzyżu, co?

– Raczej nie – odparł Jeffrey. – Kilka szczegółów powinniśmy zachować w tajemnicy, na wszelki wypadek, gdyby znalazł się ktoś, kto zechce się przyznać do tej zbrodni.

– Niech ja dostanę tego drania w swoje ręce – mruknęła Lena.

– Nie powinnaś być sama dzisiaj w nocy. Chcesz, żebym zadzwonił do twojego wujka?

Chwycił słuchawkę, jednak Lena zmroziła go spojrzeniem.

– Czuję się doskonale – powiedziała, wstając. – Zapewne jutro się zoba-



czymy.

Jeffrey wstał również, zadowolony, że ta rozmowa dobiega wreszcie końca.

– Zatelefonuję do ciebie, kiedy tylko będziemy coś mieli.

Posłała mu pytające spojrzenie.

– O której jest jutro odprawa?

Natychmiast zrozumiał, do czego Lena zmierza.

– Nie pozwolę ci pracować nad tą sprawą. Wybij to sobie z głowy.

– Nic nie rozumiesz – odpowiedziała. – Jeżeli mnie z niej wyłączysz, wkrótce twoja przyjaciółka z prosektorium będzie miała kolejnego sztywniaka.

Lena gwałtownie załomotała pięściami w drzwi domu swojej siostry. Długo czekała na jakąkolwiek reakcję z drugiej strony i już miała wrócić do samochodu po zapasowe klucze, kiedy drzwi otworzyły się i w progu stała Nan Thomas.

Nan była niższa od Leny i mniej więcej dziesięć funtów od niej cięższa. Krótkie, mysiobrazowe włosy i okulary o grubych szklach czyniły z niej wzorzec bibliotekarki. I rzeczywiście nią była.

Jej oczy były opuchnięte i wytrzeszczone, po jej policzkach ciekły łzy. W ręce trzymała zwiniętą w kulkę chusteczkę.

– Myśle, że już słyszałaś – powiedziała Lena.

Nan odwróciła się. Weszła z powrotem do domu, jednak drzwi pozostawiła otwarte dla Leny. Obie kobiety nigdy nie przepadały za sobą i gdyby nie fakt, że Nan była kochanką Sibyl, zapewne nie zamieniłyby ze sobą nawet dwóch słów.

Budynek miał kształt bungalowu z lat dwudziestych. Większość oryginalnego wystroju znajdowała się w nim nadal, od drewnianej podłogi z desek, po zdobione ornamenty otaczające framugi. Frontowe drzwi prowadziły do wielkiego salonu. Po jego jednej stronie znajdował się kominek, a po drugiej drzwi do dużej jadalni. Z jadalni przechodziło się do kuchni. W budynku znajdowały się jeszcze tylko dwie małe sypialnie, mające bezpośrednie połączenie z jadalnią, i łazienka.

Lena przeszła przez jadalnię i otworzyła pierwsze drzwi po prawej stronie, wchodząc do sypialni, która przerobiona została na gabinet Sibyl. Pokój był wysprzątnany, panował tu absolutny ład i porządek, właściwie z konieczności. Sibyl była niewidoma, dlatego wszystkie jej rzeczy musiały mieć przypisane do siebie konkretne miejsca, w przeciwnym wypadku Sibyl po prostu by ich nie znajdowała. Książki zapisane alfabetem Braille'a stały równo ułożone na półkach. Tygodniki i magazyny, także drukowane alfabetem Braille'a, ułożone były w równiutką stertę na małym stoliku,

ustawionym przed starym fotelem. Na biurku, ustawionym pod przeciwną ścianą, znajdował się komputer. Kiedy Nan weszła do pokoju, Lena właśnie go włączała.

– Co ty właściwie robisz?

– Muszę przejrzeć jej rzeczy.

– Dlaczego? – zdziwiła się Nan.

Podeszła do biurka i położyła dłoń na klawiaturze komputera, jakby w ten sposób mogła powstrzymać Lenę.

– Chcę wiedzieć, czy nie ma tutaj niczego dziwnego, czy, na przykład, nikt za nią nie chodził, i tym podobne.

– Myślisz, że znajdziesz to właśnie tutaj? – warknęła Nan i podniosła klawiaturę z biurka. – Używała komputera tylko wtedy, kiedy przygotowywała się do pracy. Nic z niego nie wydobędziesz. Przecież nawet nie wiesz, w jaki sposób działa system rozpoznawania głosu.

Lena wyrwała jej klawiaturę i położyła na miejsce.

– Dowiem się – oznajmiła.

– Nic z tego – odparowała Nan. – To jest także mój dom.

Lena oparła dłonie na biodrach i przeszła na środek pokoju.

Obok maszyny do pisania alfabetem Braille'a ujrzała stos papierów. Podniosła je i odezwała się do Nan:

– Co to jest?

Nan podeszła i szybko wyrwała Lenie kartki.

– To jej pamiętnik.

– Potrafisz go przeczytać?

– To jej osobisty pamiętnik – odparła Nan przerażona. – Zawiera jej prywatne myśli i doznania.

Lena przygryzła dolną wargę i postanowiła zmienić taktykę na bardziej perswazyjną i delikatniejszą. To, że nigdy nie lubiła Nan, nie było tajemnicą.

– Potrafisz czytać alfabet Braille'a, prawda?

– Trochę.

– Musisz mi powiedzieć, Nan, co jest napisane na tych kartkach. – Lena postukała w niego palcem. – Ktoś ją zabił. Może najpierw śledził ją, chodził za nią? Może Sybil przestraszyła się czegoś i nie chciała nam o tym powie-

dzieć?

Nan odwróciła się i spuściła głowę, wpatrując się w kartki. Przebiegła palcami po górnym rzędzie wypukłych kropek, jednak Lena od razu odgadła, że wcale nie czyta tekstu. Odniosła wrażenie, że Nan przebiega palcami po kartce, ponieważ wcześniej czyniła to Sibyl, jakby bardziej niż przeczytać zapisane na niej słowa, chciała wyczuć na papierze obecność Sibyl.

– Zawsze w poniedziałki chodziła do restauracji – powiedziała Nan. – To był jej dzień, kiedy chciała robić coś zupełnie sama.

– Wiem.

– Miałyśmy dziś wieczorem przygotować burrito. – Nan rzuciła papiery na biurko. – Rób to, co musisz – powiedziała. – Będę w salonie.

Lena odczekała, aż kobieta wyjdzie, wreszcie zaczęła się rozglądać. Nan miała rację co do komputera. Zupełnie nie wiedziała, w jaki sposób z niego korzystać, a Sibyl rzeczywiście używała go tylko do pracy. Dyktowała na twarde dyski to, co było jej potrzebne, a jej asystent robił później odpowiednią liczbę kopii.

Druga sypialnia była nieco większa. Lena stanęła w progu, spoglądając na starannie zasłane łóżko. Między poduszkami leżał szmaciany Kubuś Puchatek. Był stary, miejscami zupełnie pozbawiony futra. W dzieciństwie Sibyl rozstawała się z nim bardzo rzadko, a rzucanie nim, czy w ogóle jakiegokolwiek złe traktowanie, było nie do pomyślenia. Lena oparła się o drzwi i przypominała sobie Sibyl jako dziecko, z Kubusiem Puchatkiem w ręce. Zamknęła oczy, pozwalając, aby całkowicie ogarnęło ją wspomnienie. Nie wiele chciała pamiętać z własnego dzieciństwa, jednak zawsze powracał do niej pewien szczególny dzień. Kilka miesięcy po wypadku, w którym Sibyl straciła wzrok, obie bawiły się na podwórku. Lena kołysała siostrę na huśtawce. Sibyl trzymała Kubusia mocno przy piersi, głowę miała odrzuconą do tyłu, chłonąc twarzą zimny wiatr, a na jej ustach gościł szeroki uśmiech. Po prostu cieszyła się beztroską, przyjemną chwilą. Całkowicie ufała Lenie, że nie popchnie jej ani za mocno, ani za wysoko. Lena czuła ciężar odpowiedzialności za siostrę. Jej piersi wprost rozsadzała duma i popychała huśtawkę z Sibyl tak długo, aż omdlały jej ręce.

Przetarła twarz i zatrzasnęła drzwi sypialni. Przeszła do łazienki i otworzyła szafkę z lekarstwami. Nie zobaczyła zwykłych witamin i ziół

Sibyl: szafka była pusta. Otworzyła szafę ścienną i zaczęła szperać między papierem toaletowym, tamponami, żelem do włosów i ręcznikami. W gruncie rzeczy nie wiedziała, czego szuka. Sibyl nigdy niczego nie chowała, ponieważ byłaby ostatnią osobą, która by później daną rzecz odnalazła.

– Sibby – westchnęła Lena, odwracając lustro stojące w szafce. Chciała mieć przed oczami siostrę, a nie siebie samą. – Powiedz mi coś, proszę – wyszeptała.

Zamknęła oczy, starając się poruszać w ciemnej przestrzeni tak jak Sibyl. Pomieszczenie było małe i stanąwszy na środku, mogła dotknąć dłońmi obu ścian. Z ciężkim westchnieniem otworzyła w końcu oczy. Z pewnością niczego tutaj nie znajdzie.

Gdy wróciła do salonu, Nan Thomas siedziała na kanapie. Miała na kolanach pamiętnik Sibyl i na głos kroków Leny nawet nie podniosła głowy.

– Przeczytałam zapiski z kilku ostatnich dni – powiedziała głucho. – Nie ma tu nic nadzwyczajnego. Martwiła się kimś, kto oblał ważny egzamin.

– Mężczyzna?

– Kobieta. Z pierwszego roku.

Lena oparła się ręką o ścianę.

– Czy w ciągu ostatniego miesiąca pracowali w tym domu jacyś robotnicy?

– Nie.

– Może ktoś dostarczył przesyłkę? UPS albo FedEx?

– Nie było tu nikogo nowego. To jest hrabstwo Grant, Lee.

Lena wzdrygnęła się, słysząc znajome przezwisko. Spróbowała jednak pohamować złość.

– Czy nie mówiła, że czuje, iż ktoś ją śledzi czy coś w tym rodzaju?

– Nie. Wszystko toczyło się utartymi torami, zachowywała się zupełnie normalnie. – Nan przycisnęła papier do piersi. – W pracy wszystko było w porządku. Między nami było w porządku. – Na jej ustach pojawił się słaby uśmiech. – W ten weekend miałyśmy wyjechać na cały dzień do Eufalli.

Lena wyciągnęła z kieszeni kluczyki do samochodu.

– Rozumiem – powiedziała. – Rozumiem, że jeśli sobie coś ważnego

przypomnisz, zatelefonujesz do mnie.

– Lee...

Lena uniosła do góry rękę.

– Przestań.

Nan przyjęła ostrzeżenie, marszcząc czoło.

– Jeśli coś przyjdzie mi do głowy, zatelefonuję do ciebie.

Mniej więcej o północy, przejeżdżając wzdłuż granicy hrabstwa Grant gdzieś w okolicach Madison, Lena kończyła trzecią butelkę rolling rock. Zastanawiała się, czy wyrzucić pustą butelkę przez okno samochodu, jednak w ostatniej chwili się powstrzymała. Roześmiała się nad swoim pokreconym poczuciem praworządności: prowadziła samochód pod wpływem alkoholu, jednak nie chciała śmieć.

Matka Leny, Angela Norton, dorastała, obserwując, jak jej brat, Hank, coraz bardziej pogrąża się w alkoholizmie i uzależnia się od narkotyków. Hank powiedział kiedyś Lenie, że jej matka była wojującym wrogiem wszelkiego alkoholu. Kiedy Angela poślubiła Calvina Adamsa, stanowczo zażądała od niego tylko jednego: żeby nie wychodził z domu na popijawy z kumplami policjantami. Wiadomo było, że Cal od czasu do czasu wymyka się z domu, jednak generalnie honorował życzenia żony. Trzy miesiące po ślubie, podczas rutynowej kontroli samochodu na jakiejś zakurzonej szosie niedaleko Reece, w Georgii, kierowca wycelował w niego pistolet. Strzelił mu dwa razy w głowę i Calvin Adams umarł, jeszcze zanim jego ciało upadło na ziemię.

W wieku dwudziestu trzech lat Angela nie była gotowa na to, żeby zostać wdową. Kiedy na pogrzebie męża straciła przytomność, rodzina uznała, że przyczyną był ogromny stres i napięcie nerwowe. Dopiero po czterech tygodniach porannych mdłości lekarz postawił diagnozę: Angela była w ciąży.

W miarę jak rozwijała się ciąża, Angela stawała się coraz bardziej przygnębiona. Trzeba zacząć od tego, że nigdy nie uważała się za kobietę szczęśliwą. Życie w Reece nie było łatwe, a rodzina Nortonów borykała się z mnóstwem swoich dodatkowych problemów. Hank Norton znany był

w okolicy z gwałtownego charakteru i wszyscy wiedzieli, że kiedy za dużo wypił, lepiej było nie znaleźć się na jego drodze w ciemnej uliczce.

Dwa tygodnie po urodzeniu bliźniaczek Angelę dopadła infekcja. Zmarła w wieku dwudziestu czterech lat. Hank Norton pozostał jedynym krewnym, gotowym zaopiekować się dwiema dziewczynkami.

Według opowieści Hanka, Sibyl i Lena całkowicie odmieniły jego życie. W dniu, w którym zabrał je do domu, przestał znęcać się nad swoim ciałem. Stwierdził, że odnalazł w nich Boga i postanowił poświęcić się im od-tąd bez reszty.

Prawda była jednak taka, że zamieszkawszy z dziewczynkami, Hank zerwał jedynie z narkotykami. Pił jeszcze długo. W dniu, w którym wydarzyła się tragedia, dziewczynki miały po osiem lat. Trudny dzień w pracy całkowicie rozstroił Hanka. Kiedy skończył mu się alkohol, postanowił pojechać po kolejne flaszki samochodem; ani mu było w głowie iść do sklepu pieszo. Nie zdołał wyjechać nawet na ulicę. Sibyl i Lena bawiły się piłką na podwórku przed domem. Lena nigdy nie odgadła, co też myślała wtedy Sibyl, biegnąc za piłką aż na podjazd. Kiedy się po nią pochylała, samochód uderzył ją stalowym zderzakiem prosto w ciemię.

Na miejscu wypadku pojawiły się wszystkie służby hrabstwa, jednak pobieżne śledztwo niczego nie wykazało. Najbliższy szpital znajdował się o czterdzieści minut jazdy od Reece. Hank miał więc mnóstwo czasu, żeby się wypłakać i wymyślić jakąś przekonującą historyjkę. Lena wciąż pamiętała, jak jechała z nim karetką i jak patrzyła na jego poruszające się usta, kiedy w głębi zapijaczonego mózgu układał sobie wyjaśnienia na temat wypadku. Ośmioletnia Lena nie bardzo wiedziała, co się stało, i kiedy policja ją przesłuchiwała, całkowicie potwierdziła opowieść Hanka.

Czasami Lenie śnił się ten wypadek. Bez końca widziała wtedy oczyma wyobraźni, jak drobne ciało siostry upada na ziemię. Fakt, że od tego dnia Hank nie tknął już ani kropli alkoholu, nie miał dla Leny żadnego znaczenia. Tego, co się stało, nie można było już cofnąć.

Otworzyła kolejną butelkę piwa, na czas zdejmowania kapsla puszczając kierownicę. Pociągnęła długi łyk i skrzywiła się, smakując cierpki płyn. Nigdy nie lubiła alkoholu. Nienawidziła tracić nad sobą kontroli, nienawidziła zawrotów głowy i otępienia. Upijanie się uważała za coś godnego lu-

dzi słabych, ucieczkę dla ludzi nie dość mocnych, by twardo stać na ziemi, niezależnie od okoliczności. Picie zawsze było ucieczką od czegoś. Wychyliła kolejny łyk, myśląc przelotnie, że powinna cieszyć się chwilą.

Trochę za ostro skręciła i celicą zarzuciło. Lena wyrównała kierownicę jedną ręką, w drugiej mocno ściskając butelkę. Na końcu ulicy ujrzała stację benzynową i supermarket, największy w Reece. W środku było ciemno. Jak większość interesów w mieście, stację benzynową zamykano o dziesiątej wieczorem. Lena wiedziała jednak, że jeśli poszłoby się na tyły zabudowań, można by natrafić na grupę nastolatków pijących alkohol, palących papierosy i robiących różne inne rzeczy, o których ich rodzice woleliby nie wiedzieć. Lena i Sibyl chodziły tam wielokrotnie podczas ciemnych nocy, wymykając się z domu, spod niezbyt czujnego oka Hanka.

Lena zebrała puste butelki i wysiadła z samochodu. Potknęła się, zahaczywszy nogą o drzwiczki samochodu. Jedna z butelek wysunęła się z jej ręki i rozbiła na beton. Przeklinając, kopnęła szkło daleko od samochodu, żeby nie zniszczyło opon, i ruszyła w kierunku pojemników na śmieci. Wyrzucając butelki, popatrzyła na swoje odbicie w wielkim oknie wystawowym. Przez chwilę zdawało się jej, że patrzy na Sibyl. Podeszła do szyby i dotknęła odbicia swoich ust, potem oczu.

– Jezu – westchnęła. Był to jeden z wielu powodów, dla których nie lubiła pić. Traciła poczucie rzeczywistości.

Z baru po drugiej stronie ulicy docierały dźwięki muzyki. Hank uważał, że jest to test dla jego własnej woli, posiadanie baru i niepicie w nim alkoholu, i to pod żadnym pozorem. Budynek sprawiał z zewnątrz niepozorne wrażenie. Spod starych dachówek wyłaniała się zardzewiała blacha. Po obu stronach drzwi wejściowych ustawiono elektryczne pochodnie z różowymi i czerwonymi żarówkami, a drzwi wymalowane były na kolor soczystej trawy. Od murów odpadał tynk, jednak przyjrawszy się uważnie, wciąż można było zauważyć na ścianie fragmenty namalowanych tu kiedyś bambusów.

Zdrowo już podpita, Lena zachowała na tyle instynktu samozachowawczego, że zanim przeszła przez jezdnię, popatrzyła w lewo i w prawo. Odnosiła wrażenie, że jej stopy postępują w odstępie dziesięciu sekund za resztą ciała. Idąc przez parking, szeroko rozkładała ręce, żeby nie stracić



równowagi. Spośród mniej więcej pięćdziesięciu zaparkowanych tu samochodów, co najmniej czterdzieści stanowiły pick-upy. Oto nowe Południe: zamiast rewolwerów ludzie cenią chromowane, szybkie wozy. Poza nimi na parkingu stały jeepy i kilka innych samochodów z napędem na cztery koła. Numery rejestracyjne pojazdów w wielu wypadkach namalowane były na tylnych szybach. Kremowy mercedes Hanka, z 1983 roku, był jedynym sedanem na parkingu.

W barze unosił się tak gęsty i śmierzący dym z papierosów, że Lena musiała wziąć kilka płytkich oddechów, żeby nie kaszleć. Kiedy podchodziła do kontuaru, piekły ją oczy. W ciągu dwudziestu kilku lat niewiele się tutaj zmieniło. Podłoga lepiała się od piwa, a po każdym stąpieniu rozlegał się chrzęst rozdeptywanych butami orzeszków ziemnych. Po lewej stronie znajdowały się niewielkie, intymne budki. Było w nich zapewne więcej materiału DNA niż w laboratoriach FBI w Quantico. Po prawej stronie ustawiono długi kontuar baru. Pod środkową ścianą widać było scenę. Po jej obu stronach widniały drzwi do męskiej i damskiej toalety. Fragment podłogi przed sceną Hank nazywał parkietem tanecznym. Przez większość nocy pełen był kobiet i mężczyzn w różnych stadiach upojenia alkoholowego. Bar otwarty był do drugiej trzydzieści nad ranem, jeśli o tej godzinie można było znaleźć w okolicy jeszcze kogoś w miarę orientującego się w tym, co dzieje się dookoła.

Hanka nigdzie nie było widać, Lena jednak doskonale wiedziała, że podczas wieczoru amatorów będzie gdzieś w pobliżu. Każdego poniedziałku goście tego przybytku zapraszani byli na scenę i ci, którzy zaproszenia przyjmowali, wykonywali żenujące popisy przed resztą towarzystwa. Na myśl o tym Lena wzruszyła ramionami. Na tle Reece, Heartsdale sprawiało wrażenie tętniącej barwnym życiem metropolii. Gdyby nie fabryka opon, większość mężczyzn znajdujących się w tym barze już dawno by stąd wyjechała. W obecnej sytuacji byli zadowoleni, że mogą upijać się do nieprzytomności i udawać, że są szczęśliwi.

Lena usiadła na pierwszym wolnym stołku, jaki znalazła. Szafa grająca, pełna płyt z piosenkami country, miała przesterowane basy i opierając łokcie na kontuarze, Lena zakryła dłońmi uszy, chcąc, zamiast pulsującej muzyki, słyszeć przynajmniej własne myśli.

Poczuła uderzenie w ramię i obejrzawszy się, ujrzała obok siebie pod ręcznikowy okaz farmera z Południa. Twarz miał opaloną od szyi do linii znajdującej się mniej więcej centymetr poniżej granicy włosów; najwyraźniej pracował na polu w czapeczce baseballowej. Koszulę miał wykrochmaloną, a rękawy ciasno zapięte na grubych przegubach dłoni.

Muzyka z szafy grającej urwała się gwałtownie i Lena przełknęła ślinę, próbując dostosować uszy do względnej ciszy. Sąsiad znów trącił ją w ramię, uśmiechnął się i powiedział:

– Hej, damulko!

Lena popatrzyła z rezygnacją w sufit, ale po chwili uchwyciła wzrok barmana.

– Poproszę jacka danielsa z lodem – zamówiła.

– Na mmój rachuchuneczek – zarządził mężczyzna, przesuwając po kontuarze banknot dziesięciodolarowy. Seplenił i Lena zdała sobie sprawę, że z pewnością jest o wiele bardziej pijany, niż to sobie na dzisiaj zaplanował.

Mężczyzna posłał jej ckliwy uśmiech.

– Wiesz co, słodziutka? Staje mi na twój widok.

Lena pochyliła się do jego ucha.

– Jeśli to zobaczę, obetnę ci jaja kluczykami do mojego samochodu.

Nieznajomy otworzył usta, jednak zanim zdołał wypowiedzieć chociaż słowo, został po prostu zmieciony ze stołka. Hank przez chwilę trzymał go za kołnierz, a potem pchnął w kierunku tłumu kłębiącego się na parkiecie. Spojrzenie, którym obdarzył Lenę, było tak surowe, jak, przynajmniej w ten sposób to sobie wyobrażała, jej własne.

Lena nigdy nie lubiła swojego wujka. W przeciwieństwie do Sibyl, nigdy nikomu niczego nie wybaczał. Nawet wożąc Sibyl na wizyty do Reece, Lena spędzała większość czasu w samochodzie albo na frontowych schodach przed domem, z kluczykami od auta w ręce, czekając, aż Sibyl ukaże się w drzwiach.

Mimo że jako dwudziesto- i trzydziestolatek przez większość czasu chodził naćpany, Hank Norton nie był idiotą. Zrozumiał, że pojawienie się Leny w barze w środku nocy nie może zapowiadać niczego dobrego.

Wciąż wpatrywali się sobie nawzajem w oczy, kiedy muzyka znów za-

grała. Nagle zatrzęsły się ściany i wszystko, od podłogi po sufit, zaczęło wibrować. Lena raczej odczytała z ust Hanka, niż usłyszała pytanie:

– Gdzie jest Sibyl?

Schowane za barem, bardziej przypominające magazyn niż biuro, pomieszczenie, w którym urzędował Hank, było malutkim drewnianym pokoikiem z ocynkowanym dachem. Oświetlała je samotna żarówka, zawieszona bezpośrednio na przewodzie elektrycznym. Za tapety służyły plakaty reklamujące piwo i inne, mocniejsze trunki. Do tylnej ściany przylegały słupy białych kartonów z alkoholami, przez co na biurko i dwa krzesła pozostawało jedynie dziesięć stóp kwadratowych. Biurko otaczały kolejne kartony, tym razem z rachunkami i fakturami, które Hank zgromadził przez lata prowadzenia baru. Brudny strumyk, cicho szumiący za jedynym oknem, sprawiał, że w powietrzu czuć było wilgoć i zapach pleśni. Lena wyobrażała sobie, że Hank bardzo lubi pracować w tym ciemnym i wilgotnym pomieszczeniu. Mógł spędzać czas w miejscu doskonale pasującym do jego charakteru.

– Widzę, że zrobiłeś tu przemeblowanie – powiedziała Lena, stawiając szklanke na jednym z kartonów. Nie była pewna, czy wciąż jest pijana. A może była aż tak pijana, że nie potrafiła tego stwierdzić?

Hank popatrzył z ukosa na szklanke, a potem ponownie na Lenę.

– Przecież ty nie pijesz.

Uniosła szklanke w toaście.

– Za przekwitłe kwiaty.

Hank usiadł na swoim krześle za biurkiem, ręce złożył na brzuchu. Był wysoki i chudy. W mroźne dni jego skóra miała tendencje do łuszczenia się. Choć jego ojcem był Hiszpan, Hank bardziej przypominał swoją matkę, bladą kobietę, tak nijaką jak jej karnacja. Patrząc na niego, Lena określała go w myślach jako węża albinosa.

– Co cię tutaj sprowadza? – zapytał.

– Po prostu wpadłam do ciebie – powiedziała nad brzegiem szklanki.

W ustach czuła gorycz po wypitej whiskey. Dopijając powoli alkohol, wpatrywała się w Hanka. Wreszcie odstawiła pustą szklanke na kartony.

Nie wiedziała, dlaczego wciąż milczy. Przez te wszystkie lata czekała na możliwość odegrania się na Hanku Nortonie. Teraz miała możliwość zranienia go tak bardzo, jak on skrzywdził Sibyl.

– Wdychałaś też kokainę czy płakałaś?

Lena otarła usta wierzchem dłoni.

– A jak myślisz?

Hank wpatrzył się w nią. Nerwowo bawił się palcami rąk, wciąż leżących na brzuchu. Lena wiedziała, że to coś więcej niż tylko nerwowe przyzwyczajenie. Po latach przyjmowania narkotyków Hanka wcześniej dopadł artretyzm. Narkotyki spowodowały też zwapnienie żył w jego rękach i krążenie krwi było w nich bardzo spowolnione. Były zimne jak lód i sprawiały mu nieustannie ogromny ból.

Nagle jego palce zamarły.

– No, powiedz już, co masz do powiedzenia, Lee. Muszę poprowadzić koncert.

Lena spróbowała otworzyć usta, lecz nie wydobyło się z nich żadne słowo. Jakaś jej część buntowała się przeciwko nonszalanckiej postawie Hanka, a przecież był taki wobec niej od samego początku. Równocześnie uświadomiła sobie, że właściwie nie wie, co mu powiedzieć. Mimo że nieawidziła wujka, był przecież ludzką istotą. Hank miał bzika na punkcie Sibyl. Gdy były w szkole średniej, Lena nie mogła zabierać ze sobą siostry, dokąd chciała, i Sibyl spędzała mnóstwo czasu w domu z Hankiem. Istniała pomiędzy nimi głęboka więź, dlatego teraz, chociaż bardzo chciała go zranić, coś ją przed tym powstrzymywało. Lena kochała Sibyl, Sibyl kochała Hanka.

Hank wziął do ręki długopis i kilkakrotnie uderzył nim w blat, zanim wreszcie zapytał:

– Co się stało, Lee? Coś jest nie w porządku, prawda? Potrzebujesz pieniędzy?

Gdyby to było aż tak proste, pomyślała Lena.

– Zepsuł ci się samochód?

Powoli potrząsnęła przecząco głową.

– Chodzi o Sibyl – stwierdził Hank głosem, który nagle zabrzmiał bardzo niepewnie.

Gdy Lena długo nie odpowiadała, pokiwał głową i złożył ręce, jakby do modlitwy.

– Czy jest chora? – zapytał, a jego głos zdradzał, że spodziewa się najgorszego. W tym jednym pytaniu zawarł tyle emocji, tyle troski, ile Lena nie słyszała u niego przez całe lata znajomości.

Popatrzyła na niego uważnie, jakby widziała go pierwszy raz. Jego blada skóra upstrzona była czerwonymi plamkami, pojawiającymi się u mężczyzn o podobnej karnacji w miarę, jak się starzeją. Jego włosy, od niepamiętnych czasów już siwe, poprządkane były ciemnożółtymi pasmami, wyraźnie widocznymi w świetle sześćdziesięciowatowej żarówki. Ubrany był w pomiętą hawajską koszulę, zupełnie do niego niepasującą. Ręce nagle zaczęły mu drżeć.

Lena zrobiła to identycznie jak Jeffrey Tolliver.

– Poszła do restauracji w centrum – powiedziała. – Wiesz, do tej naprzeciwko sklepu z ubraniami.

Hank jedynie pokiwał głową.

– Poszła tam prosto z domu – kontynuowała Lena. – Chodziła tam co tydzień. Rozumiesz, po prostu chciała robić coś samodzielnie.

Hank złożył ręce przed twarzą. Wskazującymi palcami dotknął czoła.

– W restauracji... – Lena wzięła do ręki szklankę; musiała coś zrobić z dłońmi. Wysłała z kostek lodu resztki alkoholu i kontynuowała: – Poszła do toalety i tam ktoś ją zabił.

W małym pokoiku zapanowała niemal absolutna cisza. Z zewnątrz dobiegało jedynie cykanie koników polnych. Cicho szumiał strumyk pod oknem. Z baru za drzwiami docierał pulsujący szmer rozmów.

Niespodziewanie Hank odwrócił się i zaczął szperać pomiędzy pudłami.

– Co dzisiaj piłaś? – zapytał.

Pytanie zdziwiło Lenę, chociaż właściwie powinna się go spodziewać. Mimo że uczestniczył w spotkaniach anonimowych alkoholików, Hank Norton był mistrzem w unikaniu nieprzyjemnych sytuacji. To przecież głównie jego potrzeba ucieczki od szarej codzienności przywiodła go do narkotyków i alkoholu.

– Piwo w samochodzie – odparła Lena, zadowolona, że przynajmniej

Hank nie pyta jej o krwawe szczegóły zbrodni. – A tutaj Jacka Daniela.

Znieruchomiał z butelką Jacka Daniela w dłoni.

– Piwo, a potem mocny trunk, nie może być nic gorszego – ostrzegł ją.

Lena wyciągnęła w jego kierunku szklanę, potrząsając znajdującymi się w niej kostkami lodu, aby zwrócić na siebie uwagę. Patrzyła, jak nalewa alkohol. Nie zdziwiła się, kiedy oblizał sobie usta.

– Jak ci idzie w pracy? – zapytał. Jego głos zabrzmiał metalicznie w za-graconym pomieszczeniu. Jego dolna warga lekko drżała. Na twarzy miał wyraz totalnego, nieukojonego bólu. Próbował jednak udawać, że nad sobą panuje. – Wszystko w porządku?

Lena skinęła głową. Odnosiła wrażenie, że została uwięziona we wraku samochodu, który przed chwilą uległ wypadkowi. Wreszcie zrozumiała znaczenie słowa „surrealizm”. Nagle, w tym małym pokoiku nic nie wydawało jej się prawdziwe. Szklanka w jej ręce jakby nie istniała. Hank znajdował się o całe mile stąd. Czuła się, jakby śniła.

Spróbowała wyrwać się z tego stanu, jednym łykiem wypijając zawartość szklanki. Alkohol uderzył w jej gardło niczym ogień, gorący i twardy, jakby połykała płynny asfalt. A Hank spoglądał jedynie na szklanę, nie na nią. Właściwie nie miała nic przeciwko temu.

– Sibyl nie żyje, Hank – powiedziała.

Nagle do oczu Hanka napłynęły łzy, a ona stwierdziła jedynie to, że wujek wygląda bardzo, bardzo staro. Patrzyła na niego i przyszło jej do głowy, że ma przed oczami zwiędnięty kwiat. Hank wyciągnął chusteczkę i wytarł nos.

Lena powtórzyła słowa, które wcześniej tego wieczoru usłyszała od Jeffreya Tollivera.

– Ona nie żyje.

Głos Hanka drżał, kiedy rzucił pytanie:

– Jesteś pewna?

Lena szybko pokiwała głową.

– Widziałam ją. – Po chwili dodała: – Ktoś ją okropnie pociął.

Hank kilkakrotnie, jak ryba, otwierał i zamykał usta. Wpatrywał się w oczy Leny, jak czynił to zawsze, kiedy próbował złapać ją na kłamstwie. Wreszcie skierował wzrok w kąt i mruknął:

– To nie ma sensu.

Mogłaby wyciągnąć rękę i pogłaskać go po starczej dłoni, mogłaby go jakoś uspokoić, jednak nie potrafiła. Siedziała na krześle jak zamrożona. Zamiast myśleć o Sibyl, skoncentrowała uwagę na nim, na jego mokrych ustach, oczach i włosach wyrastających z nosa.

– Och, Sibby – westchnął, wycierając łzy.

Lena obserwowała, jak porusza się jabłko Adama na jego szyi, kiedy przelykał ślinę. Sięgnął po butelkę i oparł dłoń na jej szyjce. Bez pytania otworzył ją i nalał Lenie kolejną porcję alkoholu. Tym razem ciemny płyn wypełnił szklankę niemal po sam brzeg.

Znów minęło trochę czasu. Hank wydmuchał nos, tym razem znacznie głośniej, po czym jeszcze raz przyłożył chusteczkę do oczu.

– Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś chciał ją zabić. – Kiedy zwijał chusteczkę, jego dłonie drżały. – To nie ma sensu – jęknął. – Gdyby to ciebie ktoś zamordował, zrozumiałbym.

– Dziękuję bardzo.

To wystarczyło, żeby Hank się zirytował.

– Mam na myśli twoją pracę – warknął. Położył dłonie na biurku, po czym przeszył Lenę spojrzeniem. – Gdzie byłaś, kiedy to się stało?

Wypiła kolejny łyk alkoholu. Tym razem nie palił już tak jak poprzednim razem. Hank nie spuszczał z niej wzroku.

– W Macon – mruknęła.

– Potraktowano ją bardzo brutalnie, prawda? Czy była przypadkową ofiarą?

Lena pochyliła się i wzięła butelkę.

– Nie wiem. Być może. – Whiskey zagulgotała w butelce, kiedy Lena przelewała ją do szklanki. – Może została zaatakowana, bo była homoseksualistką? A może dlatego, że była niewidoma? – Lena kątem oka dojrzała kolejny grymas bólu na jego twarzy, kiedy usłyszał jej ostatnie słowa. Postanowiła kontynuować ten wątek. – Gwałciciele atakują takie kobiety, o których sądzą, że będą łatwą zdobyczą, Hank. Wiesz dobrze, że Sibyl była łatwym celem.

– A więc wina leży po mojej stronie.

– Tego nie powiedziałam.

Hank złapał butelkę.

– Masz rację – stęknął i wrzucił do połowy pustą flaszkę z powrotem do pudła. Był teraz rozzłoszczony i z trudem nad sobą panował. Tak jak Lena nigdy nie radził sobie z emocjonalną stroną życia. Sibyl często powtarzała, że Hank i Lena nie potrafią się ze sobą dogadać, ponieważ są zbyt do siebie podobni. Teraz, siedząc z Hankiem w tym żalnym pokoiku i absorbując jego gniew, Lena zdała sobie sprawę, że Sibyl miała rację. Było tak od co najmniej dwudziestu lat.

– Rozmawiałaś z Nan? – zapytał Hank.

– Tak.

– Musimy urządzić pogrzeb – powiedział, biorąc do ręki ołówek i rysując kwadrat na kartce kalendarza leżącego na biurku. Nad kwadratem napisał POGRZEB, drukowanymi literami. – Czy ktoś z Grant nam w tym pomoże? – Przez chwilę czekał na odpowiedź, lecz nie usłyszawszy jej, kontynuował: – Chodzi mi o to, że większość jej przyjaciół mieszka właśnie tutaj.

– Co? – zapytała Lena. Zatrzymała szklankę w połowie drogi do ust. – Co masz na myśli?

– Lee, musimy podjąć przygotowania. Musimy zająć się Sibby.

Lena dokończyła drinka. Kiedy podniosła głowę, rysy twarzy Hanka rozmazywały się w jej oczach. Właściwie cały pokój widziała bardzo niewyraźnie. Odnosiła wrażenie, że znajduje się na wielkiej karuzeli i jej żołądek reagował tak jak na karuzeli. Przyłożyła dłoń do ust i wyprostowała się, bardzo się starając nie wymiotować.

Wieloletnie doświadczenie podpowiedziało Hankowi, co się święci. W chwili gdy Lena przegrała walkę, znalazł się przy niej i podłożył pod jej usta kosz na śmieci.



## WTOREK

### 7

Sara pochylała się nad zlewozmywakiem w kuchni rodziców i używając klucza francuskiego, należącego do ojca, próbowała poluźnić nakrętkę w kranie. Większą część poprzedniego wieczoru spędziła w kostnicy, wykonując autopsję zwłok Sibyl Adams, dlatego późniejszy samotny powrót do własnego, ale ciemnego domu, i samotne spędzenie nocy nie było najmiłą perspektywą. Jeśli dodać do tego groźby Jeffreya – nagrane na automatycznej sekretarce – że ją odwiedzi, nie miała wyboru: wiedziała, gdzie musi spędzić noc. Zajrzała do siebie na chwilę tylko po to, żeby wyprowadzić psy. Nawet się nie przebrała.

Otarła pot z czoła i popatrzyła na zegar wbudowany w ekspres do kawy. Była szósta nad ranem, co znaczyło, że spała w nocy raptem dwie godziny. Za każdym razem, kiedy zamykała oczy, myślała o Sibyl, siedzącej na sedesie, niewidomej i nieświadomej niczego, co się dookoła niej dzieje, ale boleśnie czującej wszystko, co jej robi napastnik.

Jedyną pociechą dla Sary była myśl, że jeżeli nie wydarzy się jakaś wielka rodzinna katastrofa, ten dzień będzie lepszy od wczorajszego.

Do kuchni weszła Cathy Linton. Zanim spostrzegła najstarszą córkę stojącą obok, otworzyła szafkę i wyciągnęła filiżankę do kawy.

– Co tutaj robisz?

Sara popatrzyła wymownie na zlewozmywak.

– Kran przeciekał.

– Dwóch hydraulików w rodzinie – zaczęła narzekać Cathy, nalewając sobie kawę – a moja córka lekarka naprawia kuchenny zlewozmywak.

Sara uśmiechnęła się i odłożyła klucz francuski. Lintonowie byli rodziną hydraulików i, będąc uczennicą, większość letnich wakacji Sara spędzała, pracując z ojcem; uszczelniała wtedy krany i przepychała rury kanalizacyjne. Czasami odnosiła wrażenie, że jedynym impulsem, który nakazał jej ukończyć szkołę średnią rok przed terminem, było przekonanie, że tylko wtedy, jeśli zdobędzie porządne wykształcenie, nie będzie musiała zagłębiać razem z ojcem do ciemnych rur, śmierdzących i pełnych pajaków. Kochała ojca, oczywiście, jednak w przeciwieństwie do Tessy nie potrafiła opanować swojego strachu przed pajakami.

Cathy usiadła na kuchennym taborecie.

– Spałaś tu dzisiejszej nocy?

– Tak – odparła Sara, myjąc ręce. Zakręciła kurek i uśmiechnęła się, kiedy się okazało, że woda już nie cieknie. Zadowolenie z dobrze wykonanej pracy trochę poprawiło jej nastrój.

Na twarzy Cathy pojawił się uśmiech.

– Jeśli przestaniesz ci się podobać medycyna, zawsze możesz zostać hydraulikiem.

– To samo powiedział mi tata, wioząc mnie na pierwsze zajęcia w college'u.

– Wiem. To nie było z jego strony zbyt mądre. – Cathy upiła łyk kawy, spoglądając na córkę ponad brzegiem filiżanki. – Dlaczego nie wróciłaś do swojego domu?

– Pracowałam do późna w nocy, a potem postanowiłam, że przyjdę tutaj. Czy to ci wystarczy?

– Oczywiście – odparła Cathy, rzucając Sarze ręcznik. – Nie denerwuj się.

Sara wytarła ręce.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam, kiedy wchodziłam do domu?

– Nie. Ale dlaczego nie poszłaś do Tess?

Sara udała zajęta wieszaniem ręcznika na haczyku. Tessa mieszkała w dwupokojowym mieszkaniu nad garażem. W ciągu ostatnich lat zdarzy-

ło się kilka nocy, których Sara nie chciała spędzać sama w swoim domu. Wolała wówczas udawać się do siostry, niż ryzykować obudzenie ojca, który niezmiennie w takich momentach przymierzał się do rozmowy z córką, chcąc się koniecznie dowiedzieć, co ją nurtuje.

– Nie chciałam jej zawracać głowy – odparła Sara.

– Akurat! – Cathy roześmiała się. – Dobry Boże, Saro, ten twój college kosztował prawie ćwierć miliona dolarów, a nie nauczyli cię tam nawet porządnie kłamać.

Sara wzięła z półki ulubiony kubek i nalała sobie kawę.

– Może więc powinnaś posłać mnie do szkoły dla prawników?

Cathy skrzyżowała nogi i zmarszczyła czoło. Była drobną kobietą, wciąż w dobrej formie dzięki codziennym seansom jogi. Miała jasne włosy i niebieskie oczy, które odziedziczyła po niej nie Sara, lecz Tessa. Gdyby nie podobny temperament, trudno by było komukolwiek odgadnąć, że Cathy i Sara są matką i córką.

– No, słucham – nalegała Cathy.

Sara nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Powiedzmy, że kiedy tam weszłam, Tess była odrobinę zajęta, w związku z czym taktownie się wycofałam.

– Zajęta? Sama?

– Nie! – Sara roześmiała się z przymusem. Czowała, że jej policzki płoną. – Na Boga, mamó!

Po kilku sekundach Cathy zapytała teatralnym szeptem:

– Czy to był Devon Lockwood?

– Devon? – To imię zaskoczyło Sarę. Tak naprawdę nie potrafiła stwierdzić, z kim Tessa kotłuje się w łóżku, jednak Devona Lockwooda, nowego pomocnika, którego Eddie Linton zatrudnił zaledwie przed dwoma tygodniami, raczej tam się nie spodziewała.

– Cicho, bo tata usłyszy – uspokoiła ją Cathy.

– Co usłyszy? – zapytał Eddie, niespodziewanie pojawiając się na progu kuchni. Jego oczy zapłonęły, kiedy ujrzał Sarę. – Moje maleństwo – podszedł do niej i z głośnym cmoknięciem pocałował w policzek. – Czy to twoje nadejście obudziło mnie dzisiaj nad ranem?

– Tak, to byłam ja – przyznała Sara.

– Mam kilka puszek farby w garażu. Może pójdziemy tam i wybierzesz sobie odpowiedni kolor do twojego pokoju?

Sara upiła łyk kawy.

– Nie wprowadzam się tutaj z powrotem, tato.

Wymierzył wskazującym palcem w kubek z kawą.

– Przystaniesz rosnać, jeśli będziesz to piła.

– Chciałabym – mruknęła. Już od dziewiątej klasy była najwyższą osobą spośród wszystkich członków najbliższej rodziny. O włos przerastała nawet ojca.

Usiadła na taborecie, który zwolniła matka. Obserwowała rodziców, krzątających się, jak co rano, po kuchni. Ojciec nieustannie wchodził w drogę Cathy, aż wreszcie pchnęła go na krzesło. Wówczas zaczesał włosy do tyłu i pochylił się nad poranną gazetą. Miał na sobie koszulkę tak starą, że na ramionach widniały dziury. Wzorki na spodniach od piżamy wyblakły przed jakimiś pięcioma laty, a domowe klapki były popękane. Sara nie mogła wybaczyć rodzicom, że po matce odziedziczyła cynizm, a po ojcu niemal zupełny brak dbałości o własne stroje.

– Widzę, że „Observer” zajmuje się praktycznie tylko tym – zauważył Eddie.

Sara popatrzyła na tytuł z pierwszej strony miejscowej gazety. „Wykładowczyni college’u zamordowana w przerażający sposób”.

– Co piszą? – Sara nie potrafiła powstrzymać się przed zadaniem pytania.

Czytając, Eddie Linton przesunął palec po tekście.

– „Sibyl Adams, wykładowca Grant Institute of Technology, została wczoraj pobita na śmierć. Zdarzenie miało miejsce w restauracji przy stacji benzynowej w Grant. Miejskowa policja jest dezorientowana. Szef policji, Jeffrey Tolliver...” – Eddie na chwilę umilkł, po czym mruknął „drań” i czytał dalej: – „...poinformował nas, że rozpatrywany jest każdy możliwy trop, aby jak najszybciej postawić mordercę młodej pani profesor przed obliczem sprawiedliwości”.

– Wcale nie została pobita na śmierć – powiedziała Sara. Wiedziała, że to nie pojedyncze uderzenie w twarz było przyczyną śmierci Sibyl Adams. Mimowolnie zadrżała, kiedy przypomniawszy sobie, na jakie obrażenia natra-

fiła podczas autopsji.

Eddie odnotował jej reakcję.

– Uczyniono z nią coś więcej?

Pytanie ojca zaskoczyło Sarę. Zazwyczaj rodzina unikała pytań związanych z tą stroną jej życia. Od samego początku rozumiała, że fakt, iż na części etatu pracuje jako koroner, trochę ich deprymuje.

– Na przykład co? – zapytała, zanim dotarło do niej, o co chodzi ojcu. Cathy zatrwożonym wzrokiem popatrzyła na nią znad miseczki z ciastem na naleśniki.

Do kuchni wpadła Tessa, energicznie otwierając drzwi, niemal wyrwijąc je z zawiasów. Bez wątpienia spodziewała się zastać Sarę samą. Zdziwiona zatrzymała się na środku, a jej usta ułożyły się w doskonale okrągłe „o”.

Cathy, przygotowująca naleśniki, rzuciła przez ramię:

– Dzień dobry, słoneczko.

Tessa opuściła głowę i podreptała w kierunku dzbanka z kawą.

– Dobrze spałaś? – zapytał ją Ed.

– Jak niemowlę. – Tessa zawróciła i pocałowała ojca w czoło.

Cathy pomachała szpatułką w kierunku Sary.

– Mogłabyś uczyć się od siostry.

Tessa uznała, że lepiej zignorować tę uwagę. Otworzyła drzwi prowadzące na taras. Wytknęła głowę, a potem skinęła na Sarę, by wyszła na zewnątrz razem z nią.

Sara uczyniła, o co poprosiła ją siostra, wstrzymując oddech, zanim drzwi dokładnie się za nią nie zamknęły. Na zewnątrz wyszeptła:

– Devon Lockwood?

– Wciąż nie powiedziałam im o twojej randce z Jebem – odparowała Tessa.

Sara zacisnęła wargi. Musiała zgodzić się na taki układ. Tessa usiadła na ławce, podwijając jedną nogę pod siebie.

– Co tu robiłaś tak późno?

– Byłam w kostnicy – odparła Sara, siadając obok siostry. Zatarła dłonie, starając się odegnąć od siebie poranny chłód. Wciąż była w szortach i cienkiej białej koszulce, stroju zupełnie nieodpowiednim przy tej tempera-

turze na dworze. – Musiałam coś sprawdzić. Lena... – urwała, niepewna, czy może powiedzieć, co minionego wieczoru stało się w kostnicy z Leną Adams. Jej oskarżenia wciąż bolały, mimo że Sara doskonale zdawała sobie sprawę, iż przemawiały przez nią wyłącznie ból i żal. – Chciałam się jakoś pozbierać – powiedziała. – Rozumiesz?

Wesołość momentalnie znikła z twarzy Tessy.

– Co odkryłaś?

– Przefaksowałam raport Jeffreyowi. Myślę, że znajdzie w nim jakieś punkty zaczepienia. – Zamilkła, chcąc, żeby Tessa zwróciła na jej następne słowa baczniejszą uwagę. – Posłuchaj, Tessie. Bądź bardzo uważna, dobrze? Drzwi za sobą zamykaj zawsze na klucz. Nigdzie nie wychodź sama. W porządku?

– Tak. – Tessa uściśniła jej dłoń. – Jasne. Oczywiście.

– Chodzi mi o to, że... – Sara znów urwała, nie chcąc przerazić siostry, lecz jednocześnie pragnąc jej uświadomić niebezpieczeństwo. – Obie jesteście w tym samym wieku. Ty i Sibyl. Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Taak... – odparła Tessa. Było wyraźnie widać, że zamierza jak najszybciej zakończyć rozmowę na ten temat.

Sara nie mogła mieć do niej o to pretensji. Znając najdrobniejsze szczegóły tego, co spotkało Sibyl Adams, sama z trudem dochodziła do siebie.

– Włożyłam pocztówkę... – zaczęła Tessa, ale Sara ją uciszyła.

– Znalazłam ją w mojej teczce – powiedziała. – Dziękuję.

– Tak – mruknęła Tessa suchym głosem.

Sara popatrzyła na jezioro, nie myśląc o pocztówce, nie myśląc o Sibyl Adams ani o Jeffreyu, ani o niczym innym. Wody jeziora miały w sobie coś kojącego, tak uspokajającego, że po raz pierwszy od wielu tygodni Sara poczuła się zrelaksowana. Mrużąc oczy, mogła dojrzeć małą przystań na tyłach własnego domu. Jak przy większości przystani na tym jeziorze, obok znajdował się niewielki hangar.

Wyobraziła sobie siebie samą, siedzącą na stopniach prowadzących do wody, popijającą margaritę i czytającą jakąś tanią powieść. Nie miała pojęcia, skąd przyszło jej do głowy akurat coś takiego. Ostatnio rzadko miewała czas na odpoczynek, nie lubiła smaku ani zapachu alkoholu, a pod koniec dnia tak ją bolały oczy od wczytywania się w kartoteki pacjentów, magazynu-

ny dla pediatrów i materiały instruktażowe dla medyków sądowych, że nawet do głowy nie przychodziło jej, by czytać powieści.

Jej rozmyślania przerwała Tessa.

– Rozumiem, że mało spałaś ostatniej nocy.

Sara pokiwała głową i oparła ją o ramię siostry.

– Jak to było wczoraj, kiedy Jeffrey cały dzień kręcił się wokół ciebie?

– Chciałabym wziąć jakąś tabletkę, która pozwoliłaby mi o tym zapomnieć.

Tessa otoczyła ręką ramiona Sary.

– To dlatego nie mogłaś spać?

Sara westchnęła i zamknęła oczy.

– Nie wiem. Po prostu rozmyślałam o Sibyl. O Jeffreyu.

– Dwa lata to bardzo długi czas dla nieodwzajemnianej miłości – powiedziała Tessa. – Jeśli naprawdę chcesz się go pozbyć raz na zawsze, powinnaś kilka razy umówić się z nim na randkę. – Machnięciem ręki uciszyła protesty Sary. – Mam na myśli prawdziwe randki, a nie takie, podczas których odpychałabyś faceta, kiedy tylko by się do ciebie zbliżył.

Sara wyprostowała się i podciągnęła kolana pod brodę. Doskonale wiedziała, o co chodzi siostrze.

– Nie jestem taka jak ty. Nie potrafię sypiać z kim popadnie.

Tessa nie obraziła się, zresztą Sara wcale się tego nie spodziewała. To, że Tessa Linton prowadzi niezwykle bujne życie seksualne, wiadome było w mieście wszystkim, z wyjątkiem jej ojca.

– Miałam szesnaście lat, kiedy spotkałam Steve'a – odezwała się Sara, mając na myśli swojego pierwszego prawdziwego chłopaka. – Potem, cóż, wiesz, co się stało w Atlancie. – Tessa pokiwała głową. – To Jeffrey pokazał mi, czym jest seks. Po raz pierwszy w życiu poczułam się kobietą z krwi i kości. – Zaciśnęła dłonie w pięści, jakby zapragnęła przytrzymać w nich to uczucie. – Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczyło, to nagłe przebudzenie po tylu latach koncentrowania się na szkole i pracy, po latach bezbarwnego życia bez żadnego celu.

Tessa milczała, pozwalając Sarze mówić.

– Pamiętam naszą pierwszą randkę. Wiózł mnie z powrotem do domu, padał potworny deszcz, a on niespodziewanie zatrzymał samochód. Pomy-

ślałam, że to żart, ponieważ zaledwie kilka minut wcześniej rozmawialiśmy, jak to oboje lubimy spacerować w deszczu. Wyłączył światła i wysiadł z samochodu. – Sara przymknęła oczy, wyobrażając sobie Jeffreya omiatanego przez potoki wody, z uniesionym kołnierzem marynarki, mającym go chronić przynajmniej przed wiatrem. – Na drodze leżał kot. Ktoś go przejechał i bez wątplenia był martwy.

Tessa milczała, czekając na dalszy ciąg opowieści.

– No i? – nie wytrzymała jednak po chwili.

– Jeffrey podniósł kota i wrzucił do rowu, żeby nikt więcej go już nie przejechał.

Tessa nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– Wziął do ręki martwego kota?

Sara roześmiała się.

– Nigdy ci o tym nie mówiłam?

– Chybabym zapamiętała.

Sara przeniosła się na bujany fotel.

– Widzisz, przy kolacji opowiadał mi, jak bardzo nienawidzi kotów. I oto nagle, w środku nocy, pochylił się nad przejechanym zwierzęciem i usunął je z drogi, żeby już nikt więcej go nie rozjechał.

Tessa nie potrafiła ukryć niesmaku.

– Po czym wrócił do samochodu, z rękami brudnymi po przeniesieniu martwego kota?

– To ja poprowadziłam auto. Jeffrey niczego nie chciał dotykać.

Tessa zmarszczyła nos.

– W tym miejscu historia staje się romantyczna, ponieważ czuję, jak zawartość mojego żołądka podchodzi pod gardło.

Sara posłała jej kose spojrzenie.

– Zawiozłam go do domu. Oczywiście, musiał wejść do środka, żeby umyć ręce. – Roześmiała się. – Włosy miał mokre od deszczu, a ręce trzymał przed sobą jak chirurg, który właśnie zakończył operację i musi je szybko wyszorować. – Sara uniosła ręce, rozpościerając palce, aby zdemontować siostrze sytuację.

– I co dalej?

– No i zaprowadziłam go do kuchni, ponieważ tam trzymam mydło an-



tybakteryjne. Nie mógł wycisnąć go z butelki, nie zanieczyszczając jej, dlatego to ja wycisnęłam mydło. – Sara ciężko westchnęła. – Pochylał się nad zlewem, myjąc dłonie, a potem ja zaczęłam mu w tym pomagać. Te dłonie były takie silne i ciepłe, a on tak cholernie pewny siebie, że natychmiast pocałował mnie, prosto w usta, bez wahania, jakby doskonale wiedział, że dotykając jego dłoni, nie marzyłam o niczym innym jak o jego pocałunkach i o tym, żeby te dłonie dotykały mnie i pieściły bez końca.

Tessa odczekała chwilę, a kiedy była pewna, że opowieść dobiegła końca, odezwała się:

– Z wyjątkiem fragmentu o martwym kocie, jest to najbardziej romantyczna historia, jaką kiedykolwiek słyszałam.

– Cóż... – Sara wstała i podeszła do poręczy przy schodach. – Nie mam wątpliwości, że wszystkie jego dziewczyny czują się nadzwyczajnie. W tym jest dobry, bez dwóch zdań.

– Saro, chyba nigdy nie zrozumiesz, że dla różnych ludzi seks ma różne znaczenie. Czasami chodzi tylko o pieprzenie. – Urwała na chwilę. – A czasami o zwrócenie na siebie uwagi.

– Z całą pewnością zwrócił na siebie moją uwagę.

– On ciągle cię kocha.

Sara odwróciła się i usiadła na poręczy.

– Chce, żebym do niego wróciła, tylko dlatego, że mnie stracił.

– Gdyby ci naprawdę zależało, żeby usunąć go ze swojego życia, rzuciłabyś tę pracę dla hrabstwa – powiedziała Tessa.

Sara otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, jednak nie wiedziała, w jaki sposób wyjaśnić siostrze, że przez wiele dni jedynie ta praca utrzymywała ją przy zdrowych zmysłach. Tylko zapalenia gardła czy bóle uszu jej pacjentów sprawiały, że nie otepiała do reszty. A porzucenie zawodu koronera oznaczałoby rezygnację z tej części życia, którą naprawdę lubiła, mimo jej makabrycznych aspektów.

Wiedząc, że Tessa nigdy tego nie zrozumie, odezwała się:

– Nie wiem, co mam robić.

Odpowiedzi nie było. Tessa wpatrywała się w głąb domu. W kuchni, przy piecyku, stał Jeffrey Tolliver i rozmawiał z ich matką.

Dom Lintonów był wielopoziomowym budynkiem, w ciągu czterdziestu lat istnienia bezustannie remontowanym i przerabianym. Kiedy Cathy zainteresowała się malarstwem, na tyłach dobudowano studio z małą łazienką. Kiedy Sarę ogarnęła obsesja uczenia się, podobne studio zbudowano na strychu. Gdy Tessa zaczęła interesować się chłopcami, suterene przerobiono w taki sposób, że Eddie mógł przejść do niej z dowolnego pomieszczenia w domu w ciągu trzech sekund. Z obu stron pokoju Tessy znajdowały się schody, a najbliższa łazienka była piętro wyżej.

Od czasu, kiedy Tessa wyprowadziła się do college'u, suterena niewiele się zmieniła. Na podłodze leżał jasnozielony dywan, pod ścianą stała kanapa w kolorze ciemnej rdzy. Na środku ustawiony był stół do ping-ponga. Sara złamała tu kiedyś rękę: zanurkowała pod stół po piłeczkę i uderzyła w umieszczoną pod stołem zapomnianą podstawkę pod telewizor.

Kiedy Sara z Jeffreyem zeszli po schodach, jej dwa psy, Billy i Bob, leżały na kanapie. Klasnęła, chcąc sprawić, żeby się ruszyły. Psy nie zareagowały jednak, dopóki Jeffrey nie gwizdnął. Zaczęły machać ogonami, kiedy zbliżył się do nich, żeby je pogłaskać.

Drapiąc Boba po brzuchu, Jeffrey nie tracił czasu na zbędne wstępy.

– Przez całą noc próbowałem się do ciebie dodzwonić. Gdzie byłeś?

Sara nie czuła się zobowiązana do udzielenia mu informacji. Odpowiedziała pytaniem na pytanie:

– Masz już coś nowego na temat Sibyl?

Potrząsnął przecząco głową.

– Według Leny z nikim się nie spotykała. To wyklucza z kręgu podejrzanych rozzłoszczonego chłopaka.

– Może ktoś z jej przeszłości?

– Nikt – odparł Jeffrey. – Zapewne dzisiaj zadam kilka pytań jej współlokatorce. Mieszkała z Nan Thomas. Wiesz, z tą bibliotekarką.

– Tak, wiem – mruknęła Sara, czując nagły zamęt w głowie. – Dostałeś mój raport?

Potrząsnął głową, nie zrozumiałszy pytania.

– Co takiego?

– Temu właśnie poświęciłam prawie całą noc, autopsji.

– Co takiego? – powtórzył. – Nie wolno ci robić autopsji w pojedynkę.

– Wiem o tym, Jeffrey – odparła Sara i złożyła ręce na piersiach. Jedna osoba kwestionująca jej kompetencje w ciągu ostatnich dwunastu godzin zupełnie jej wystarczała. – Dlatego zatelefonowałam do Brada Stephensa.

– Brada Stephensa? – odwrócił się plecami do Sary, szepcząc coś do siebie i drapiąc Billy’ego pod brodą.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałem, że ostatnio dziwnie się zachowujesz. – Znow się odwrócił i stanął przed nią twarzą w twarz. – Przeprowadziłaś autopsję w środku nocy?

– Przykro mi, że to ci się wydaje dziwne, jednak pracuję na dwóch etatach, nie tylko dla ciebie. – Jeffrey próbował ją powstrzymać, ale mówiła dalej. – Gdybyś nie pamiętał, oprócz zajęć w prosektorium przyjmuję mnóstwo pacjentów w klinice. Pacjentów, do których – popatrzyła na zegarek, chociaż aktualny czas wcale jej nie interesował – za kilka minut muszę wrócić. – Oparła ręce na biodrach. – Jaki jest powód twojej wizyty tutaj?

– Chciałem sprawdzić, co się z tobą dzieje – odparł. – Bez wątplenia masz rację. Twoja nocna praca nie powinna mnie aż tak dziwić. Zawsze miałaś rację. – Oczywiście.

– Sara Linton, twardsza od stali.

Sara posłała mu spojrzenie, które według niej miało być protekcyjne. Bezpośrednio przed rozwodem odgrywali tę scenę tak wiele razy, że znała już na pamięć argumenty, które padały podczas kłótni. Sara jest zbyt niezależna. Jeffrey zbyt wiele od niej wymaga.

– Muszę już iść – powiedziała.

– Poczekaj chwilę. Co z raportem?

– Przesłałam ci faksem.

Teraz to Jeffrey oparł ręce na biodrach.

– Rzeczywiście. Dostałem. Myślisz, że znalazłaś coś ważnego?

– Tak – odparła, ale po chwili dorzuciła: – Nie.

W obronnym geście złożyła ręce na piersiach. Nienawidziła momentów, kiedy ich kłótnia przeradzała się w dyskusję na tematy zawodowe. Był to stary trick Jeffrey’a, na który zawsze dawała się złapać. Wzięła głęboki oddech. Opanowała się na tyle, by powiedzieć:

– Muszę przeprowadzić jeszcze dziś rano kilka testów z krwią. O dzie-

wiątej ma do mnie dzwonić Nick Shelton, potem będę już mogła ci coś powiedzieć. – Umilkła, jednak po chwili dodała: – Napisałam to na pierwszej stronie faksu.

– O co chodzi z tą krwią? – zapytał Jeffrey.

– Mam pewne przeczucie – odparła Sara. To było wszystko, co mogła mu w tej chwili odpowiedzieć. Nie lubiła snuć domysłów na podstawie szczątkowych informacji. Była w końcu lekarką, a nie wróżką. Jeffrey doskonale o tym wiedział.

– Powiedz mi, do czego doszłaś do tej pory? – poprosił Jeffrey.

Oparła ręce na biodrach. Nie miała zamiaru spełnić tej prośby. Popatrzyła w kierunku schodów, chcąc się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje.

– Czytałeś raport – powiedziała.

– Proszę cię, chcę to usłyszeć od ciebie.

Sara oparła się o ścianę. Na sekundę przymknęła oczy, nie dlatego, żeby łatwiej przypomnieć sobie fakty, ale po to, aby nabrać dystansu do tego wszystkiego, co już wiedziała.

– Została zaatakowana, kiedy siedziała na sedesie – zaczęła. – Napastnik bez trudu ją ogłuszył, w końcu była niewidoma. Zadziałał też czynnik zaskoczenia. Sądzę, że niemal natychmiast zrobił nacięcia na jej tułowiu, uniósłszy do góry jej bluzkę i wycinając znak krzyża. Miejsce na brzuchu, w którym krzyżują się nacięcia, jest zbyt płytkie dla pełnej penetracji. Bandyta wsunął tam swój penis raczej po to, żeby ją zbeczczyć, niż z jakiegokolwiek innego powodu. Następnie zgwałcił ją, wkładając członek do pochwy, co tłumaczy pochodzenie ekskrementów, które w niej znalazłam. Nie jestem pewna, czy miał orgazm. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by orgazm był w tej sytuacji dla niego najważniejszy.

– Uważasz więc, że chodziło mu przede wszystkim o zbeczczenie ofiary?

Wzruszyła ramionami. Wielu gwałcicieli cechowały różnego rodzaju zaburzenia seksualne. Nie widziała powodu, aby tym razem było inaczej. Fakt, iż napastnik wsunął członek do rozprutego brzucha ofiary, w zasadzie przesądzał sprawę.

– Może chodziło mu tylko o to, żeby działać niemal w publicznym miejscu? Mimo że minęły już godziny największego ruchu, a ludzie byli po lun-

chu, przecież w każdej chwili ktoś mógł wejść do tej toalety i go nakryć.

Jeffrey podrapał się po policzku, najwyraźniej zastanawiając się nad tą sugestią.

– Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

– Czy znajdziesz wolną chwilę, żeby wpaść na posterunek? – zapytał Jeffrey. – Na dziewiątą trzydzieści zwołałem naradę.

– Odprawę w pełnym składzie?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie chcę, żeby zbyt dużo ludzi znało wszystkie szczegóły – powiedział i po raz pierwszy od dłuższego czasu Sara przyznała przed sobą, że całkowicie się z nim zgadza.

– Jasne. Przyjdę.

– A więc o dziewiątej trzydzieści – powtórzył.

Sara przebiegła w myślach cały swój plan zajęć na dzisiejszy poranek. O ósmej pojawia się u niej rodzice Jimmy'ego Powella. Jeśli z jednego okropnego spotkania pójdzie od razu na drugie, zapewne później dzień będzie już łatwiejszy. Poza tym zdawała sobie sprawę, że im szybciej przekaze detektywom informację o rezultatach autopsji Sibyl Adams, tym szybciej będą mogli skutecznie zabrać się do poszukiwania człowieka, który ją zabił.

– Dobrze – powiedziała, ruszając w kierunku schodów. – Będę tam.

– Poczekaj chwilę – poprosił Jeffrey. – Lena także tam będzie.

Sara odwróciła się i potrząsnęła głową.

– Nie ma mowy. Nie będę prezentowała drastycznych szczegółów związanych ze śmiercią Sibyl w obecności jej siostry.

– Ona musi się tam znaleźć, Saro. Zaufaj mi. – Spojrzenie, jakie mu posłała, zachwiało jego pewnością siebie. – Ona chce znać szczegóły. Poradzi sobie. Jest policjantką.

– Nic dobrego z tego dla niej nie wyniknie.

– Sama podjęła decyzję – nalegał Jeffrey. – W końcu poznałaby fakty, tak czy inaczej, Saro. Lepiej będzie, jeśli usłyszysz prawdę od nas, niż gdyby miała później brać za dobrą monetę brednie, które wypisywać będą gazety. – Urwał na chwilę, widząc, że jeszcze jej nie przekonał. – Gdyby chodziło o Tesę, z pewnością chciałabyś dokładnie znać wszystkie szczegóły.

– Jeffrey – powiedziała Sara, czując, że ustępuje, chociaż rozsądek nakazywał jej upierać się przy swoim. – Ona nie powinna zapamiętać siostry w takim stanie, w jakim znalazła się u progu śmierci.

Jeffrey wzruszył ramionami.

– A może powinna?

Za piętnaście ósma rano hrabstwo Grant właśnie budziło się ze snu. Niespodziewany nocny deszcz zmył z jezdni kurz i pył, dlatego Sara, choć wciąż było chłodno, prowadziła bmw Z3 z odsuniętym dachem. Kupiła auto krótko po rozwodzie, kiedy przechodziła mentalny kryzys i musiała koniecznie zrobić coś, co poprawiłoby jej samopoczucie. Podziałało – przez dwa tygodnie. Później spojrzenia gapiów i komentarze na temat ekstrawaganckiego samochodu zaczęły sprawiać, że było jej trochę głupio. Auto nie pasowało do małego miasteczka tym bardziej, że jego właścicielka była przecież lekarzem, i to nie takim zwykłym lekarzem, ale pediatrą. Podejrzała, że gdyby nie fakt, iż urodziła się i wychowała w Grant, musiałyby swoje bmw szybko sprzedać albo utracić połowę pacjentów. W każdym razie musiała wysłuchiwać nieustannych docinków matki, twierdzącej, że to co najmniej dziwaczne, iż kobieta, która nawet nie potrafi utrzymać porządku w szafie z ubraniami, jeździ takim pojazdem.

Po drodze do kliniki Sara pomachała Steve'owi Mannowi, właścicielowi sklepu z artykułami żelaznymi. Zauważył ją i pomachał jej również, chociaż na jego twarzy rysował się pełen zaskoczenia uśmiech. Steve był żonaty i miał trójkę dzieci, jednak wiedziała, że wciąż jest pod jej urokiem, tak jak na zawsze chłopcy bywają zadurzeni w swoich pierwszych miłościach. Był jej pierwszym prawdziwym chłopakiem, dlatego Sara wciąż lubiła go, ale nic poza tym. Nadal pamiętała niezręczne chwile, które, jako nastolatka, spędziła na tylnym siedzeniu jego samochodu. Pamiętała, jak bardzo unikała jego spojrzenia po nocy, podczas której po raz pierwszy się kochali.

Steve był facetem, który z radością powrócił do Grant. Gwiazdor drużyny futbolowej w szkole średniej imienia Roberta E. Lee, natychmiast po jej ukończeniu bez wahania podjął pracę w sklepie swojego ojca. W tym wieku Sara nie pragnęła niczego bardziej jak uciec z Grant do Atlanty

i wieść życie o wiele bardziej ekscytujące i pełne wyzwań, niż rodzinne miasteczko mogło jej kiedykolwiek zaoferować. Jak to się stało, że wylądowała jednak tutaj, było zagadką zarówno dla Sary, jak i dla większości jej znajomych.

Mijając restaurację, patrzyła prosto przed siebie, nie chcąc przypominać sobie zdarzeń z wczorajszego popołudnia. Tak skupiła się na tym, by tam nie spojrzeć, że nieomal potrafiła Jeba McGuire'a, przechodzącego przez jezdnię do swojej apteki.

W ostatniej chwili zahamowała i powiedziała:

– Przepraszam.

Jeb roześmiał się serdecznie i pochylił się nad nią.

– Czyżbyś próbowała wywinąć się z jutrzejszej randki?

– Oczywiście, że nie! – zawołała Sara, z trudem przywołując uśmiech na twarz. Od kiedy Jeb sprowadził się do Grant jedenaście lat temu i wykupił miejscową aptekę, widywała się z nim od czasu do czasu, jednak o kolejnym spotkaniu zupełnie zapomniała. Nie działo się pomiędzy nimi nic ważnego, a ich wzajemne stosunki całkowicie się ochłodziły, kiedy pojawił się Jeffrey. Właściwie nie miała pojęcia, dlaczego po tak długim czasie znów zaczęła się z nim umawiać.

Jeb odgarnął włosy z czoła. Był patykowatym mężczyzną o budowie biegacza długodystansowca. Tessa porównała kiedyś jego ciało do psów myśliwskich Sary. Był jednak na tyle przystojny, że raczej nie miał trudności ze znalezieniem kobiety, która zechciałaby spędzić z nim wieczór. Pochylił się nad Sarą jeszcze niżej.

– Czy zastanawiałaś się, co zechcesz zjeść na kolację?

Sara wzruszyła ramionami.

– Nie potrafię się zdecydować – skłamała. – Zaskocz mnie.

Jeb zmarszczył czoło. Cathy Linton miała rację. Jej córka to straszna kłamczucha.

– Wiem, w co się wczoraj wplątałaś – powiedział, wskazując na bar. – Zrozumiem, jeśli będziesz chciała odwołać nasze spotkanie.

Poczuła, jak jej serce żywszym biciem reaguje na tę ofertę. Jeb McGuire był jednak miłym mężczyzną. Jako jedyny aptekarz w mieście cieszył się sporym zaufaniem i szacunkiem swoich klientów. Ponadto był przystojny.

Problem polegał jedynie na tym, że był zbyt miły i zbyt ugodowy. Sara nigdy się z nim nie kłóciła, ponieważ nie dawał jej do tego powodu; po prostu w ogóle nie podnosił głosu. Chociażby dlatego panowały pomiędzy nimi raczej braterskie stosunki i Sara nie traktowała go jako potencjalnego kochanka.

– Nie chcę niczego odwoływać – powiedziała Sara i, prawdę mówiąc, rzeczywiście nie miała takiego zamiaru. Może dobrze jej zrobi ta randka? Może Tessa miała rację? Może nadszedł czas, żeby znów serio zainteresować się jakimś mężczyzną?

Twarz Jeba rozjaśniła się.

– Jeśli nie jest za zimno, wyprowadzę moją motorówkę i popływamy sobie po jeziorze.

Zmierzyła go badawczym spojrzeniem.

– Myślałam, że zamierzałeś kupić coś dopiero w przyszłym roku.

– Cierpliwość nigdy nie była moją najsilniejszą stroną – odpowiedział, chociaż fakt, iż wciąż spotyka się z Sarą, świadczył o czymś zupełnie przeciwnym. Wskazał kciukiem na aptekę, sugerując, że musi już iść. – Przyjadę po ciebie około szóstej, dobrze?

– O szóstej – potwierdziła Sara. Na myśl o spotkaniu z Jebem poczuła zaskakujące podniecenie. Kiedy odszedł w kierunku apteki, wrzuciła bieg i powoli ruszyła. Na progu apteki stała Marty Ringo, kobieta, która prowadziła Jebowi rachunki. Otwierając kluczem drzwi, Jeb otoczył ją ramieniem.

Po chwili Sara zatrzymała samochód na parkingu przed kliniką. Klinika dziecięca w Heartsdale miała kształt prostokąta, jednak frontowa ściana, wykonana w całości ze szkła, przypominała okrojony w połowie ośmiokąt. Za tą ścianą znajdowała się poczekalnia dla pacjentów. Na szczęście doktor Barney, który osobiście zaprojektował ten budynek, był lepszym lekarzem niż architektem. Front budynku skierowany był na południe, dlatego latem w poczekalniach było gorąco jak w piecu, a zimą pacjenci odnosili wrażenie, że znajdują się w lodówce.

Kiedy Sara otworzyła drzwi, poczekalnia była chłodna i pusta. Rozejrzała się po ciemnym pomieszczeniu. Postanowiła, nie po raz pierwszy, że powinna jakoś zmienić wystrój. Pod ścianami ustawione były niewygodne krzesła dla pacjentów i ich rodziców. Niegdyś Sara i Tessa spędziły na tych



krzesłach mnóstwo czasu, z Cathy pomiędzy nimi, czekając, aż pielęgniarka wywoła ich nazwisko. W rogu znajdował się kącik do zabawy: trzy stoliki i krzeselka. Dzieci, które czuły się na tyle dobrze, by czytać, pisać i rysować, korzystały z niego, czekając na swoją kolej. Na stolikach, ułożone w sterty, leżały egzemplarze kolorowych magazynów: „Highlights”, „People” czy wreszcie „House & Garden”.

Sięgając myślami wstecz, Sara często zastanawiała się, czy to nie tutaj właśnie postanowiła, że zostanie lekarką. Inaczej niż w przypadku Tessy, perspektywa spotkania z doktorem Barneyem nigdy Sary nie przerażała, pewnie dlatego, że jako dziecko bardzo rzadko poważnie chorowała. Lubiła, kiedy doktor wołał ją i Tessę i przez kilka chwil mogły przebywać tam, gdzie wstęp mieli tylko lekarze. W siódmej klasie, gdy Sara okazała zainteresowanie naukami ścisłymi, Eddie natrafił na profesora biologii z college’u, któremu trzeba było wymienić w domu całą instalację wodociagową. W zamian za wykonaną pracę profesor udzielał Sarze lekcji. Dwa lata później hydraulik potrzebował z kolei profesor chemii i Sara otrzymała jego zgodę na przeprowadzanie doświadczeń razem ze studentami college’u.

Rozbłysły żarówki i kilkakrotnie zamrugła, by przyzwyczaić oczy do światła. Nelly otworzyła drzwi oddzielające poczekalnię od gabinetu lekarskiego.

– Dzień dobry, doktor Linton – powiedziała. Podała jej kilka różowych kartek z notatkami, a odebrała teczkę. – Odebrałam wiadomość o naradzie na policji. Przesunęłam już na później kilka umówionych spotkań. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, by popracować trochę dłużej?

Przeglądając zapiski, Sara pokręciła przecząco głową.

– Powellowie będą tu za mniej więcej pięć minut. Poza tym na biurku leży faks.

Sara podniosła głowę, żeby podziękować, ale Nelly już nie było. Prawdopodobnie pobiegła przygotować plan dnia dla Elliota Felteau. Sara zaproponowała mu posadę natychmiast, kiedy skończył mu się okres rezydentury w szpitalu w Auguście. Wprost chłonał wiedzę i był zdecydowany zostać w Grant jej partnerem. Sara nie była pewna, czy potrzebny jest jej partner, natomiast wiedziała jedno: zanim Elliot stanie się na tyle dobrym lekarzem, że zasłuży na taką ofertę, minie co najmniej dziesięć lat.

W holu natknęła się na Molly Stoddard, pielęgniarkę.

– Mały Powell ma dziewięćdziesiąt pięć procent komórek blastycznych  
– powiedziała Molly, cytując wynik badań laboratoryjnych.

Sara pokiwała głową.

– Powellowie będą tu w każdej chwili.

Molly posłała jej uśmiech, który miał oznaczać, że nie zazdrości jej czekającego ją zadania. Powellowie byli dobrymi ludźmi. Kilka lat wcześniej się rozwiedli, jednak w sprawach dotyczących ich wspólnych dzieci okazywali nadzwyczajną solidarność.

– Mogłabyś wykonać dla mnie jeden telefon? – zapytała Sara. – Chciałabym posłać ich do Emory, do kogoś, kto podejmuje interesujące próby leczenia we wczesnych stadiach szkliviaka.

Podawała Molly nazwisko i otworzyła drzwi do swojego gabinetu. Nelly zdążyła już postawić jej teczkę na krzesło, a na biurku filiżankę kawy. Obok filiżanki leżała kartka z faksu, o której wspomniała. Były to wyniki badania krwi Sibyl Adams. Na górze Nick napisał przeprosiny, informując, że większość dnia spędzi na różnych spotkaniach i wysłał faks, wiedząc, iż Sara zechce jak najszybciej poznać wyniki. Dwukrotnie przeczytała raport. W miarę jak docierała do niej jego treść, czuła, jak chłodny ból zalewa jej żołądek.

Usiadła na krzesło i rozejrzała się po gabinecie. Przez pierwszy miesiąc pracowała tu jak oszalała; musiały minąć kolejne trzy, zanim trochę zwolniła. Miała do czynienia z zapaleniami uszu, gardła, jednak, tak na dobrą sprawę, bardzo mało dzieci przychodziło do niej z poważnymi chorobami. Takie niemal natychmiast wysyłała do szpitala w Auguście.

Mama Darryla Harpa była pierwszą, która podarowała Sarze fotografię swojego dziecka. Wkrótce potem w jej ślad podążyli inni rodzice i Sara zaczęła wieszać te zdjęcia na ścianach w gabinecie. Od tego pierwszego minęło dwanaście lat; w tym czasie fotografie utworzyły w pokoju barwną tapetę. Wpatrując się w twarze małych pacjentów, Sara bezbłędnie przypominała sobie ich imiona i nazwiska oraz, w większości przypadków, ich choroby. Kiedy przychodzili do niej, mając osiemnaście lat, przypominała im, że w wieku lat dziewiętnastu będą musieli zmienić lekarza. Niektóre dzieci płakały. Kilkakrotnie w takich sytuacjach i jej łzy popłynęły po policzkach.

Ponieważ sama nie mogła mieć dzieci, czuła do swoich małych pacjentów wielkie przywiązanie.

Otworzyła tekturową teczkę, szukając w niej rejestru pacjentów na dzisiaj. Na widok leżącej w niej widokówki, która zapewne przyszła w porannej poczcie, zastygła w bezruchu. Przez chwilę wpatrywała się w fotografię bramy wejściowej, prowadzącej na teren Emory University. Pamiętała dzień, kiedy z Emory przyszedł list z informacją, że przyjęto ją na studia. Oferowano jej stypendia w uczelniach położonych dalej na północ, o większej renomie, jednak jej marzeniem zawsze było Emory. Tam zajmowano się prawdziwą medycyną, a poza tym nie potrafiła wyobrazić sobie życia gdzie indziej niż na Południu.

Przewróciła widokówkę na drugą stronę, kładąc palec na starannie wypisanych na maszynie literach, układających się w adres. Od czasu, kiedy opuściła Atlantę, co roku, mniej więcej w połowie kwietnia, otrzymywała podobne pocztówki. W zeszłym roku nadeszła z World of Coke, a treść korespondencji brzmiała: „Cały świat w Jego rękach”.

Niemal podskoczyła, kiedy z głośnika w telefonie usłyszała słowa Nelly:

– Doktor Linton, państwo Powellowie już tutaj są.

Sara położyła palec na czerwonym guziku, przełączającym kierunek komunikacji. Wrzuciła widokówkę do teczki i powiedziała:

– Dobrze. Już do nich idę.

Kiedy Sibyl i Lena były w siódmej klasie, pewien starszy chłopak o nazwisku Boyd Little uznał, że zabawne będzie, jeśli dopadnie Sibyl w jakimś ustronnym miejscu i wsadzi palec do jej ucha. Któregoś dnia Lena wybiegła za nim, kiedy wysiadał ze szkolnego autobusu, i wskoczyła mu na plecy. Była drobna i szybka, jednak Boyd był rok od niej starszy i niemal pięćdziesiąt funtów cięższy. Zbił Lenę na kwaśne jabłko, zanim rozdzielił ich kierowca autobusu.

Przypominając sobie to zdarzenie, Lena Adams była świadoma tego, że mimo wszystko jeszcze nigdy nie odczuwała tak fizycznej żądzы zemsty jak następnego poranka po śmierci siostry. Wreszcie dowiedziała się, co to takiego kac: całe ciało odmawiało posłuszeństwa i dopiero po trzydziestu minutach spędzonych pod gorącym prysznicem zdołała się wyprostować. Ból głowy, który ją męczył, był okrutny, odnosiła wrażenie, że jej głowa w każdej chwili może eksplodować. Żadna ilość pasty do zębów nie zdołała usunąć okropnego smaku z ust, a jej żołądek zachowywał się tak, jakby ktoś dokładnie obwiązał go nicią dentystyczną.

Siedziała teraz pod ścianą w pokoju konferencyjnym na komisariacie, modląc się w duchu, by znów nie wymiotować. Właściwie nie miała już czym. Czula się tak pusta w środku, jakby jej żołądek był wręcz wklęsły.

Podszedł do niej Jeffrey i podał kubek z kawą.

– Wypij trochę tego – polecił.

Nie protestowała. W domu, nad ranem, Hank poradził jej to samo. Była zbyt zażenowana, by wziąć coś od niego, nie zamierzała skorzystać nawet z rady. Wskazała mu więc zupełnie inne miejsce na jego kawę.

Kiedy odstawiła kubek, upiwszy kilka łyków, Jeffrey odezwał się:

– Jeszcze nie jest za późno, Leno.

– Chcę tu być – powiedziała. – Muszę wiedzieć.

Wytrzymał jej spojrzenie przez sekundy, które Lenie wydały się wiecznością. Mimo że każde źródło światła działało na nią jak szpilki wbijane

w oko, to nie ona pierwsza przerwała ten kontakt. Poczekała, aż Jeffrey wyjdzie z pokoju i dopiero wtedy znów usiadła. Postawiła kubek na kolanie i przymknęła oczy.

Nie pamiętała, jak dotarła poprzedniego wieczoru do domu. Trzydziestominutowa jazda z Reece pozostawiła w jej umyśle tylko kilka zamazanych obrazów. Wiedziała, że to Hank prowadził jej samochód, ponieważ, kiedy nad ranem zajęła miejsce za kierownicą, żeby pojechać na komisariat, oparcie fotela kierowcy ustawione było pod dziwnym kątem, fotel odsunięty maksymalnie do tyłu, a lusterko ustawione tak, że nic w nim nie widziała. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała z wieczoru, było odbicie własnej twarzy w szybie okiennej baru przy stacji benzynowej. Następnym jej wspomnieniem był natarczywy dzwonek telefonu nad ranem: to Jeffrey zatelefonował do niej z informacją o dzisiejszym spotkaniu. Właściwie błagał ją, żeby nie przychodziła. Wszystko inne pozostawało za czarną zasłoną niepamięci.

Ubranie się nad ranem było chyba najtrudniejszym wyczynem. Po długim prysznicu Lena pragnęła jedynie wsunąć się z powrotem pod kołdrę i zwinąć w kłębek. Byłaby szczęśliwa, gdyby mogła tak przeleżeć cały dzień, nie miała jednak prawa pozwolić sobie na taką słabość. Ostatni wieczór był pomyłką, ale konieczną. Bez wątpienia potrzebowała kilku chwil zapomnienia, całkowitego oddania się rozpacy, w przeciwnym wypadku rozpadłaby się na drobne kawałki.

Dzisiaj było już inaczej. Zmusiła się, by włożyć spodnie i ładny żakiet, czyli strój, jaki na co dzień nosiła do pracy. Nałożywszy olstro i sprawdzwszy rewolwer, Lena poczuła, że z siostry ofiary przeistacza się z powrotem w policjantkę. Wciąż jednak bolała ją głowa i nie potrafiła zapanować nad własnymi myślami. Poczwała nagle współczucie dla wszystkich alkoholików. Jednak w zakamarkach jej mózgu kołatała się myśl, że dobrze by jej zrobił solidny drink.

Z głośnym skrzypieniem otworzyły się drzwi sali konferencyjnej i Lena podniosła głowę na tyle szybko, by zobaczyć Sarę Linton. Stała w holu, odwrócona tyłem do niej. Mówiła właśnie coś do Jeffreya, jednak nie sprawiała wrażenia grzecznej i spokojnej. Nagle Lenę ogarnęło poczucie winy za to, jak potraktowała ją poprzedniego wieczoru. Przecież doskonale wiedziała,

że Sara jest dobrym lekarzem. W końcu zrezygnowała ze świetnie zapowiadającej się kariery w Atlancie, żeby wrócić do Grant. Należały się jej przeprosiny, jednak było to coś, o czym w tym momencie Lena nawet nie chciała myśleć.

– Lena – powiedziała Sara. – Podejdź do mnie na chwilę.

Nawet nie zauważyła, jak Sara weszła do pokoju konferencyjnego. Stała przy drzwiach obok wnęki pełniącej rolę magazynku podręcznych materiałów, narzędzi i dowodów rzeczowych.

Lena zerwała się na równe nogi, niemal zapominając o kawie. Trochę płynu rozlało się na jej spodnie, jednak nie zwróciła na to uwagi. W porę, by nie upadł, chwyciła kubek i postawiła go na podłodze. Podeszła do Sary. Wnęka była na tyle duża, że w zasadzie stanowiła odrębne pomieszczenie. Prowadzące do niej drzwi nie były w żaden sposób oznaczone, jednak wszyscy wiedzieli, co się za nimi znajduje.

– Siadaj. – Sara podsunęła jej krzesło. – Tutaj.

Lena ponownie posłuchała polecenia. Patrzyła, jak Sara wyjmuje z torby butlę z tlenem.

Sara podłączyła do butli maskę i znów się odezwała:

– Głowa boli cię dlatego, że alkohol uszczupla zawartość tlenu w twojej krwi. – Przymocowała do maski gumową taśmę i zbliżyła ją do głowy Leny. – Powoli, głęboko oddychaj. Z każdą chwilą będziesz się czuła lepiej.

Lena wzięła do ręki maskę. Nie ufała Sarze, jednak w tej chwili gotowa była lizać nawet odbyt skunksa, gdyby ktoś powiedział, że to zlikwiduje okropny ból głowy.

Gdy kilkakrotnie odetchnęła tlenem, Sara zapytała:

– Lepiej?

Lena pokiwała głową, ponieważ rzeczywiście tlen przynosił jej ulgę. Wciąż nie czuła się tak, jakby chciała, mogła już jednak szeroko otworzyć oczy.

– Lena – powiedziała Sara, odsuwając maskę od jej twarzy. – Chciałabym zapytać cię o coś, na co się natknęłam...

– Tak? – zapytała Lena. Od razu stała się czujna. Spodziewała się, że Sara zechce odwieść ją od zamiaru uczestniczenia w naradzie, dlatego następne słowa bardzo ją zaskoczyły.

– Kiedy badałam Sibyl – powiedziała, kładąc butlę z tlenem na szafce – znalazłam fizyczny dowód czegoś, czego w ogóle się nie spodziewałam.

– Na przykład czego? – znów spytała Lena. Jej umysł pracował coraz lepiej.

– Nie sędzę, by to miało jakikolwiek związek z tą sprawą, ale muszę o tym powiedzieć Jeffreyowi. Decyzja, czy to jest ważne, nie należy do mnie.

Mimo że Sara uwolniła ją od bólu głowy, Lena zaczynała tracić dla niej cierpliwość.

– O czym ty mówisz?

– Mówię o tym, że błona dziewicza twojej siostry była nietknięta aż do momentu gwałtu.

Lena poczuła, że jej żołądek kurczy się gwałtownie. Powinna o tym pomyśleć wcześniej, jednak w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin działy się tak niesamowite rzeczy, że nie potrafiła wyciągać z nich logicznych wniosków. A teraz cały świat miał się dowiedzieć, że jej siostra była lesbijką.

– Nie ma to dla mnie znaczenia, Leno – powiedziała Sara. – Naprawdę. To, w jaki sposób chciała żyć twoja siostra, nic mnie nie obchodzi.

– Do diabła, co to znaczy?

– To, co słyszysz – odparła Sara, najwyraźniej uważając, że taka odpowiedź w zupełności wystarczy. Ponieważ Lena nie zareagowała, dodała: – Posłuchaj, wiem o Nan Thomas. Dwa plus dwa zawsze równa się cztery.

Lena oparła głowę o ścianę i przymknęła oczy.

– Powiesz teraz wszystkim, że moja siostra była lesbijką?

Sara przez chwilę milczała.

– Nie miałam zamiaru ujawniać tego podczas narady.

– Więc to ja powiem Jeffreyowi – postanowiła Lena, otwierając oczy. – Możesz dać mi chwilkę?

– Jasne.

Lena poczekała, aż Sara wyjdzie z pokoju, po czym zakryła twarz dłońmi. Zapragnęła rozplakać się, ale łzy jakoś nie chciały popłynąć z jej oczu. Jej ciało było tak odwodnione, że dziwiła się, iż wciąż ma ślinę w ustach. Głęboko odetchnęła i mocno postanawiając, że będzie nad sobą panować,

wstała.

Kiedy wyszła z magazynku, w sali znajdowali się już Frank Wallace i Matt Hogan. Frank skinął jej głową, natomiast Matt udawał zaabsorbowanego mieszanym mleka w kubku z kawą. Obaj detektywi liczyli sobie po około pięćdziesiąt lat i, tak jak pozostali zaawansowani wiekiem funkcjonariusze, zawsze postępowali zgodnie ze starymi zasadami policyjnego braterstwa oraz w zgodzie z ideą, że sprawiedliwość i prawo należy egzekwować za wszelką cenę. Policja była ich rodziną. Kiedy cokolwiek złego przydarzało się któremukolwiek funkcjonariuszowi, postępowali tak, jakby krzywda działa się ich bratu. Chociaż wszyscy mieszkańcy Grant byli sobie bliscy, detektywi stanowili niemal jedność.

Lena przez chwilę zastanawiała się, co ci dwaj starsi faceci powiedzą, kiedy dotrze do nich informacja, że mają rozwiązać zagadkę gwałtu na lesbijce. Pewnego dnia usłyszała, jak Matt zaczyna jakąś wypowiedź słowami: „Dawno temu, kiedy Ku-Klux-Klan pilnował tu elementarnego porządku...”. Czy wiedza o preferencjach seksualnych Sibyl nie odbierze im zapału do pracy? Wolą nie uzyskać twierdzącej odpowiedzi na takie pytanie.

Kiedy zapukała do otwartych drzwi gabinetu, Jeffrey czytał jakiś dokument.

– No i co, czy Sara trochę ci pomogła? – zapytał, uniósłszy głowę.

Nie spodobał się jej sposób, w jaki zadał to pytanie. Odparła jednak, że tak, owszem, i zamknęła za sobą drzwi.

Widząc, co robi, Jeffrey wyraźnie się zdziwił. Odłożył papiery na bok, wskazał ręką, żeby usiadła, i dopiero wtedy zapytał:

– O co chodzi?

Lena uznała, że najlepiej będzie, jak od razu wyłoży kawę na ławę.

– Moja siostra była lesbijką.

Jej słowa ciężko zawisły w powietrzu nad ich głowami. Lena zwalczyła ochotę, by parsknąć nerwowym śmiechem. Nigdy dotąd głośno tych słów nie wypowiedziała. Życie seksualne Sibyl nie było czymś, o czym chętnie by rozmawiała, nawet z nią. Kiedy Sibyl zamieszkała z Nan Thomas, niecały rok po przenosinach do Grant, Lena nie pytała jej o powody. Właściwie wcale nie chciała ich poznać.

– Cóż – westchnął Jeffrey. Był bez wątplenia zaskoczony. – Dziękuję, że



mi o tym powiedziałaś.

– Czy uważasz, że to będzie miało jakieś znaczenie dla śledztwa? – zapytała Lena.

– Nie wiem – odparł i poczuła, że mówi prawdę. – Czy ktoś wysyłał jej jakieś listy z pogrózkami? Może czynił jakieś pogardliwe uwagi?

Lena zastanawiała się już i nad tym. Nan powiedziała jej, co prawda, że w ciągu ostatnich tygodni nie wydarzyło się nic nowego, jednak doskonale zdawała sobie sprawę, że nie powinna rozmawiać z Leną o czymkolwiek, co przypominałoby, że pieprzy jej siostrę.

– Sądzę, że powinieneś porozmawiać z Nan.

– Nan Thomas?

– Tak. Mieszkały razem. Na Cooper. Może pojedziemy tam po nardzie?

– Trochę później – postanowił Jeffrey. – O czwartej, zgoda?

Lena skinęła głową. Nie potrafiła jednak powstrzymać się przed zadaniem kolejnego pytania:

– Czy powiesz o tym chłopakom?

Najwyraźniej zaskoczyła go. Zanim odpowiedział, posłał jej długie spojrzenie.

– Uważam, że na tym etapie śledztwa nie jest to konieczne. Oboje porozmawiamy po południu z Nan i potem podejmię decyzję.

Lena poczuła ogromną ulgę.

Jeffrey tymczasem popatrzył na zegarek.

– No, chodźmy. Pora zaczynać.

Jeffrey stał przed policjantami zebranymi w sali konferencyjnej, czekając, aż Lena wróci z toalety. Po zakończeniu rozmowy z nim poprosiła o pięć minut dla siebie. Miała nadzieję, że w tym czasie jakoś zdoła nad sobą zapanować. Mimo temperamentu choleryczki, Lena Adams była bystrą kobietą i dobrą policjantką. Jeffrey z trudem znosił myśl, jak bardzo teraz cierpi, i to samotnie. Z drugiej strony, doskonale wiedział, że Lena nie jest kobietą, która chciałaby wypłakiwać się komuś w rękaw.

Sara usiadła w pierwszym rzędzie, założywszy nogę na nogę. Ubrana była w oliwkową płócienną sukienkę, kończącą się trochę ponad kostkami. Nacięcia na bokach urywały się poniżej kolan. Rude włosy miała związane w koński ogon, tak jak w minioną niedzielę w kościele. Jeffrey pamiętał wyraz jej twarzy, kiedy zauważyła, że siedzi w ławce kilka rzędów za nią. Zastanawiał się wówczas, czy znów nadejdzie taki dzień, gdy jego widok ucieszy Sarę. Niemal podczas całej mszy wpatrywał się w swoje dłonie i wymknął się z kościoła tuż przed jej zakończeniem.

Sara Linton była jedną z takich kobiet, przed jakimi ojciec przestrzegał Jeffrey'a. A jednak związał się z nią – dzięki jej sile woli i absolutnej niezależności. Spodobała mu się jej powściągliwość i sposób, w jaki rozmawiała z jego kolegami od piłki. Podobały mu się drogi, jakimi wędrowały jej myśli, oraz to, że mógł opowiadać jej o swojej pracy, a ona nigdy nie okazywała znudzenia. Lubił to, że Sara nie umie gotować, oraz to, że nie potrafi spać, gdy za oknami hula potężny huragan, tak bardzo się boi. Lubił jej zamięłowanie do czystości, lubił jej stopy, tak duże, że mogła nosić jego buty. Lubił też to, że Sara doskonale sobie z tych wszystkich swoich przymiotów zdaje sprawę i że jest z nich dumna.

Oczywiście jej niezależność miała i złe strony. Po sześciu latach małżeństwa nie był w gruncie rzeczy pewien, czy wszystko, co o niej wie, jest do końca prawdą. Sara była tak dobra w otaczaniu się szerokim murem niezależności, że Jeffrey zastanawiał się chwilami, czy ona naprawdę go potrze-

buje. Pomiedzy jej rodzina, klinika i prosekorium dla Jeffreya nie pozostawalo wiele czasu.

Wiedzac, ze oszukiwanie Sary nie jest najlepszym sposobem na wymuszenie na niej zmian, zdawal sobie tez sprawe, ze w pewnym momencie ich malzenstwo osiagnelo punkt krytyczny. Niespodziewanie dla samego siebie zapragнал widziec ja zraniona, cierpiaca. Zapragнал, aby walczyła o niego i o trwałość ich wzajemnego uczucia. Nie spodziewal się, ze w koncu doczeka tylko tego pierwszego. Ale bywal tez zly na Sare, ze cos tak bez znaczenia, cos tak glupiego jak jego bezmyslna niedyskrecja dotyczaca ich wspolżycia seksualnego, stalo się w koncu powodem rozpadu malzenstwa.

Jeffrey oparl się łokciami o mównice i zlozył przed sobą dłonie. Odegnal od siebie mysli o Sarze i skupil się na czekajacym go zadaniu. Na stoliku obok niego lezala szesnastostronicowa lista z imionami, nazwiskami i adresami. Wszyscy przestępcy, osadzeni za przestępstwa seksualne, którzy mieszkali albo przeprowadzili się po skazaniu do stanu Georgia, mieli obowiazek rejestrowac swój aktualny adres w Biurze Śledczym Stanu Georgia, w Centrum Informacji Kryminalnej. Niemal calą noc i wiekszą część poranka Jeffrey spędzil nad kompletowaniem tej listy. Od 1996 roku, kiedy obowiazek ten wszedł w życie, w centrum zarejestrowalo się sześćdziesięciu siedmiu mieszkańców hrabstwa Grant. Juz samo czytanie o ich wyczynach bylo odpychajacym zajęciami. Poza tym Jeffrey doskonale wiedzial, ze skompletowanie listy wcale nie musi dac jakiegokolwiek efektu, poniewaz na kazdego skazanego przestępcę seksualnego przypadalo przynajmniej dwudziestu nieujawnionych.

Czekajac na mozliwosc rozpoczęcia narady, odegnal od siebie i tę myśl. Sala konferencyjna wcale nie pekala w szwach. Na spotkanie przyszli Frank Wallace, Matt Hogan i pieciu innych, jego zdaniem najlepszych detektywów, których wyznaczyl do śledztwa w sprawie zamordowania Sibyl. On sam i Lena zwiększali liczbe obecnych tu policjantów do dziewięciu. Z tej dziewiętki tylko Jeffrey i Frank pracowali kiedyś w terenie gęsciej zaludnionym niz Grant. Zabójca Sibyl Adams chocby z tego tylko powodu mial nad nimi przewage.

Brad Stephens, posterunkowy, który mimo mlodego wieku i niskiej rangi juz cieszył się dużym powazaniem i potrafil trzymac jezyk za zębami,

stał przy drzwiach. Miał za zadanie uniemożliwić wejście do sali wszelkim niepowołanym osobom. Brad wciąż miał twarz dziecka i był na posterunku swoistą maskotką. Jego cienkie, jasne włosy, znajdowały się w ciągłym nieładzie, jakby były naelektryzowane. Bardzo często matka przynosiła mu na komisariat drugie śniadanie. Jak mówiła, był dobrym dzieckiem. Brad był jeszcze uczniem szkoły średniej, kiedy przyszedł do Jeffreya z postanowieniem, że zostanie policjantem. Jak zdecydowana większość służących tu młodych policjantów, pochodził z Grant. Tu mieszkała cała jego rodzina i wszyscy znajomi. Zależało mu więc, żeby ulice były bezpieczne.

Kiedy Brad zamknął drzwi po wejściu Leny, Jeffrey odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę. Jeśli ktokolwiek był zaskoczony obecnością dziewczyny, nie dał tego po sobie poznać. Zajęła miejsce w ostatnim rzędzie, ramiona spłotła na piersiach. Oczy wciąż miała czerwone, czy to od płaczu, od nadmiaru wypitego wczoraj alkoholu, czy też z obu tych powodów.

– Dziękuję bardzo, że wszyscy zdołaliście tak szybko się zjawić – zaczął Jeffrey. Skinął na Brada, by zaczął rozdawać pięć plików dokumentów, które przygotował wcześniej. – Pozwólcie, że zacznę od pewnego zastrzeżenia: wszystko, co zostanie dziś w tym pokoju powiedziane, stanowi informację poufną. To, co usłyszycie, nie powinno przedostać się na zewnątrz. Wszelkie przecieki mogą na sprawę wpłynąć negatywnie.

Odczekał, aż Brad rozda wszystkie materiały, po czym kontynuował:

– Jestem pewien, że wszyscy już wiecie, iż wczoraj w „Grant Filling Station” zamordowana została Sibyl Adams. – Ci spośród mężczyzn, którzy nie zdążyli jeszcze zająć się dokumentami, zgodnie pokiwali głowami. Następne zdanie Jeffreya sprawiło jednak, że wszyscy niemal podskoczyli. – Morderca najpierw ją zgwałcił.

Można było odnieść wrażenie, że w sali konferencyjnej podniosła się temperatura. Ci mężczyźni wychowali się w innych czasach. Kobiety były dla nich takimi zagadkami, jak pochodzenie planet. Fakt, że Sibyl zgwałcono, jak żaden inny skłoni ich do działania.

Jeffrey wziął do ręki listę z nazwiskami.

– Dziś rano wyciągnąłem z komputera listę przestępców seksualnych. Podzieliłem ją i przydzielam do sprawdzenia stałym grupom, z wyjątkiem

Franka i Leny. – Ujrzał, jak otworzyła usta, żeby zaprotestować, jednak kontynuował: – Z tobą będzie pracował Brad, Leno. Ze mną Frank.

Lena wyprostowała się, przyjmując niechętną postawę. Jej spojrzenie nie pozostawiło Jeffreyowi wątpliwości, że doskonale zdaje sobie sprawę, dlaczego to Brad ma jej partnerować. Poza tym, zapoznawszy się z fragmentem listy, który Jeffrey obojgu im przydzielił, zrozumiała natychmiast, że zamierza ją trzymać raczej z daleka od centrum wydarzeń. Gwałciciele atakują na ogół kobiety z własnej grupy etnicznej, mniej więcej równe im wiekiem. Ona tymczasem miała wraz z Bradem przesłuchiwać kolorowych, i to w większości po pięćdziesiątce.

– Doktor Linton zapozna was za chwilę ze szczegółami. – Jeffrey na chwilę urwał. – Moją pierwszą myślą było podejrzenie, że napastnikiem kierowały jakieś pobudki kultowe, może był fanatykiem religijnym. Przepytując tych ludzi, nie musicie skupiać się na tym przypuszczeniu, jednak przez cały czas o nim pamiętajcie. – Przez chwilę przekładał kartki. – Jeśli ktokolwiek natrafi, jego zdaniem, na coś ważnego, chcę, żeby się natychmiast ze mną skontaktował. I nie życzę sobie, żeby jakiś podejrzany niespodziewanie wykorkował w areszcie albo przypadkiem zarobił kulę w łeb.

Wypowiadając ostatnie słowa, unikał wzroku Sary. Był gliniarzem i doskonale wiedział, jak sprawy mają się na ulicy. Wiedział, że każdy spośród obecnych tu mężczyzn będzie chciał się wykazać w sprawie Sibyl Adams. I doskonale orientował się, jak łatwo jest przekroczyć granicę pomiędzy stosowaniem prawa a zwykłą ludzką złością, mając do czynienia ze zwierzęciem, które potrafiło zgwałcić niewidomą kobietę i wyryc na jej brzuchu krzyż.

– Czy to jest jasne? – zapytał. Nie spodziewał się odpowiedzi i też żadnej nie usłyszał. – Oddaję więc głos pani doktor Linton – powiedział i zwolnił jej miejsce przy mównicy. Przeszedł pod tylną ścianę sali i przystanął za Leną, trochę po jej prawej stronie.

Sara weszła na podium i rozciągnęła na ścianie biały ekran. Większość z obecnych w sali mężczyzn widywała ją jeszcze w pieluchach. Fakt, iż siedzieli teraz z skupieniem i trzymali na kolanach otwarte notesy, najlepiej świadczył o tym, jak cenią jej wiedzę zawodową.

Skinęła na Brada, który natychmiast zgasił światło.

Szarozielony projektor ożył, rzucając na ekran snop jaskrawego światła. Sara wsunęła pod obiektyw pierwszą fotografię.

– Znalazłam Sibyl Adams w damskiej toalecie restauracji przy stacji benzynowej, wczoraj po południu, około godziny drugiej trzydzieści – zaczęła, regulując ostrość w projektorze.

W sali zapanowało poruszenie, kiedy oczom policjantów ukazały się częściowo obnażone zwłoki Sibyl Adams, leżące na podłodze w toalecie. Jeffrey złapał się na tym, że wpatruje się w dziurę w jej klatce piersiowej i zastanawia się, jak można nazywać człowiekiem kogoś, kto potrafił uczynić coś takiego nieszczęsnej młodej kobiecie. Odganiał od siebie widok niewidomej Sibyl Adams, siedzącej na sedesie w chwili, kiedy napastnik, z tylko sobie wiadomych, chorych powodów, otwiera drzwi. Nawet nie chciał się zastanawiać, o czym myślała, kiedy morderca wsuwał członek w jej rozcięty brzuch.

Sara tymczasem kontynuowała:

– Kiedy weszłam do środka, siedziała na toalecie. Jej ręce i nogi były szeroko rozłożone, a rana, którą tutaj widzicie – wskazała na ekran – obficie krwawiła.

Jeffrey lekko się pochylił, próbując dojrzeć, jak reaguje Lena. Nie poruszała się, a jej wyprostowane, sztywne plecy tworzyły dokładny kąt prosty w stosunku do podłogi. Rozumiał, dlaczego dziewczyna tak się zachowuje, nie potrafił jednak pojąć, dlaczego koniecznie chce to przeżywać. Gdyby coś podobnego przydarzyło się komuś z jego rodziny, gdyby na przykład Sara musiała przejść przez to, przez co przeszła Sibyl, Jeffrey – Bóg mu świadkiem – za nic w świecie nie chciałby poznać szczegółów. Nie potrafiłby...

Sara, z rękami złożonymi na piersiach, zaczęła chodzić po sali.

– Chwilę po tym, jak wyczułam jej puls, dostała drgawek przedśmiertnych. Obie upadłyśmy na podłogę. Próbowałam jeszcze jej pomóc, ale po kilkunastu sekundach zmarła.

Sara podeszła do projektora i wymieniła fotografie. Maszyna była już bardzo stara i mogła uchodzić za dinozaura wśród tego typu urządzeń. Specjalnie na dzisiaj została wypożyczona z miejscowej szkoły średniej. Kolejna fotografia prezentowała w zbliżeniu szyję i głowę Sibyl Adams.

– Szramę pod okiem Sibyl spowodowało uderzenie, zadane od góry. Najprawdopodobniej miało uniemożliwić jej walkę z napastnikiem. Do szyi przyłożył jej nóż o ostrej krawędzi, długi mniej więcej na sześć cali. Skłonna byłabym powiedzieć, że był to nóż do mięsa, taki, jakie można znaleźć niemal w każdej kuchni. Popatrzcie na to niewielkie nacięcie – przesunęła palcem po ekranie, wskazując na sam środek szyi Sibyl. – Nie jest na tyle głębokie, by popłynęła krew, jednak pozostawiło ślad na skórze. – Odwróciła głowę i poszukała spojrzeniem wzroku Jeffreya. – Sądzę, że nóż posłużył do powstrzymania ofiary przed wydawaniem jakichkolwiek odgłosów, kiedy ją gwałcił.

Sara na chwilę umilkła, zaraz jednak kontynuowała.

– Na jej lewym ramieniu znajduje się niewielki ślad, z pewnością po ugryzieniu. – Na ekranie pojawiła się kolejna fotografia. – Z takimi śladami mamy, w przypadku gwałtów, do czynienia dość często. Tutaj znajduje się wyraźny odcisk jedynie kilku górnych zębów. Nie układają się w jakiś charakterystyczny wzór, posłałam jednak... – Sara urwała, jakby w tej chwili przypomniał sobie o obecności Leny. – Fotografia została wysłana do laboratorium FBI w celu przeprowadzenia prób porównawczych. Jeśli w kartotekach znajdzie się identyczny wzór użębienia, nasz zabójca zostanie namierzony. Jednak – ostrzegła – jak się zdążyłam zorientować, FBI nie traktuje tej sprawy priorytetowo, nie możemy więc pozwolić sobie na spokojne czekanie, aż nadejdą wyniki. Wydaje mi się, że ten odcisk użębienia posłuży jako dodatkowy dowód, kiedy złapiemy mordercę na podstawie innych śladów. To znaczy, jeśli znajdzie się podejrzany, tym odciskiem go przyskrzynimy.

Następnie na ekranie ukazały się uda Sibyl, sfotografowane od wewnętrznej strony.

– W okolicach kolan zauważycie rany, które powstały, kiedy zaatakowana zacisnęła nogi wokół deski klozetowej. – Po chwili pojawiło się kolejne zdjęcie, prezentujące pośladki Sibyl. – Na pośladkach znajdują się szramy i zadrapania. Powstały w taki sam sposób. Znow są to odciski deski klozetowej.

– Jej przeguby – powiedziała Sara, wsuwając pod obiektyw kolejną fotografię. – Siniaki powstały od uderzeń o barierki dla niepełnosprawnych.

Dwa paznokcie złamały się, kiedy zaciskała dłonie na barierkach. Najprawdopodobniej chciała się podnieść i uciekać przed napastnikiem.

Sara włożyła następne zdjęcie.

– Ta fotografia przedstawia zbliżenie nacięć na brzuchu Sibyl – mówiła. – Pierwsze wykonane zostało spod obojczyka, aż do kości łonowej. Drugie poziomo od prawej strony do lewej. – Na chwilę urwała. – Z nieregularnej głębokości drugiego nacięcia wnioskuję, że napastnik wykonał je backhandedem i był leworęczny. W miarę jak zbliża się ku prawej stronie, nacięcie jest coraz głębsze.

Następna odbitka z polaroidu przedstawiała klatkę piersiową Sibyl. Sara przez kilka sekund milczała, prawdopodobnie rozmyślając o tym samym co Jeffrey. W dużym powiększeniu na fotografii widoczna była rana kluta. Nie po raz pierwszy zawartość żołądka Jeffa podskoczyła mu niemal do gardła w obliczu świadomości, co tej nieszczęsnej kobiecie uczyniono. Podświadomie modlił się do Boga, by prawdą było to, że w tych ostatnich, najstraszliwszych chwilach nie zdawała sobie w ogóle sprawy, co się z nią dzieje.

– Oto efekt ostatniego ciosu nożem zadanego przez napastnika – powiedziała Sara. – Rana kluta. Ostrze przeszło przez mostek i dotarło aż do kręgosłupa. Przebiło go. Moim zdaniem, ta rana spowodowała największe krwawienie. – Odwróciła się do Brada. – Poproszę o światło.

Podeszła do swojej aktówki i znów odezwała się:

– Symbol, wyryty na jej piersiach, to oczywiście krzyż. Podczas gwałtu napastnik użył prezerwatywy, co, jak wiemy, skutecznie eliminuje możliwość przeprowadzenia badań DNA. Nie natrafiłam na ślady spermy ani na inne płyny. Krew na miejscu zbrodni najprawdopodobniej pochodzi tylko od ofiary. – Wyciągnęła z aktówki kartkę papieru. – Nasi przyjaciele z Biura Śledczego Stanu Georgia byli tak uprzejmi, że w ciągu minionej nocy pociągnęli za pewne sznurki. Wykonali dla mnie analizę krwi. – Założyła okulary w oprawkach o miedzianym kolorze i zaczęła czytać: – „We krwi i moczu natrafiono na wysoką koncentrację hioscyjminy i atropiny, jak również na śladowe ilości skopolaminy”. – Na chwilę oderwała wzrok od papieru. – To by oznaczało, że Sibyl Adams przyjęła niemal śmiertelną dawkę belladonny, halucynogennej rośliny zwanej też wilczą jagodą.



Jeffrey popatrzył na Lenę. Milczała, ze wzrokiem skierowanym na Sarę.

– Przedawkowanie belladonny może skutkować całkowitym zniszczeniem przywspółczulnego układu nerwowego. Sibyl Adams nie widziała, lecz jej źrenice były rozszerzone od narkotyku. Oskrzela były nabrzmiące. Jeszcze długo po śmierci utrzymywała się bardzo wysoka temperatura ciała, dlatego postanowiłam jak najszybciej przeprowadzić badanie krwi. – Popatrzyła na Jeffreya i odpowiedziała na pytanie, które zadał jej dzisiaj nad ranem: – Miała ciepłą skórę nawet wtedy, kiedy przeprowadzałam sekcję. Żadne czynniki zewnętrzne nie mogły tego spowodować. Wiedziałam, że coś nie gra ze składem jej krwi. – Na chwilę urwała. – Belladonna bywa używana dla celów medycznych, jednak stosuje się ją także jako narkotyk... rozweselający.

– Uważasz, że podał go jej sprawca? – zapytał Jeffrey. A może sama, świadomie go przyjmowała?

Sara zastanawiała się nad odpowiedzią bardzo krótko.

– Sibyl Adams była chemiczką. Z całą pewnością nie zażyłaby tak wyniszczającego narkotyku, chcąc zaraz potem wyjść na lunch. To bardzo silny środek halucynogeny. Zakłóca działanie serca, oddychanie i krążenie krwi.

– Wilczych jagód jest pełno w okolicy – zauważył Frank.

– Rzeczywiście, są bardzo popularne – zgodziła się Sara, spoglądając w notatki. – Jednak uprawa ich specjalnej, halucynogennej odmiany wcale nie jest łatwa. Najistotniejsza sprawa to sposób zażycia. Według Nicka; najłatwiejszy i najpopularniejszy sposób na przyjmowanie belladonny to wypicie wody, w której, zalane wrzątkiem, moczyły się nasiona. Dziś rano znalazłam w internecie trzy przepisy, jak przygotować herbatę z belladonny.

– Sibyl lubiła pić gorącą herbatę – zauważyła Lena.

– Właśnie. Nasiona bardzo łatwo reagują z gorącymi płynami. Zaledwie po kilku minutach od wypicia takiej herbatki wzrasta ciśnienie krwi, szybciej bije serce, wargi stają się suche, wzrasta pobudliwość. Jeśli wypiała w restauracji herbatę z nasionami belladonny, z pewnością było to jedną z przyczyn, dla których szybko pobiegła do toalety, gdzie czekał na nią gwałciiciel.

Frank popatrzył na Jeffreya.

– Musimy porozmawiać z Pete’em Wayne’em. On podawał jej lunch. To on podał jej także herbatę.

– Co ci chodzi po głowie? – zaprotestował głośno Matt. – Pete mieszka w tym mieście przez całe życie. Nigdy nie zrobiłby czegoś takiego! – Po chwili, jakby miał to być ostatni argument świadczący za niewinnością Pete’a, dodał: – Jest teraz u siebie w chacie.

Po sali przebiegł szmer przyciszonych rozmów. Ktoś, Jeffrey nie był pewien kto, zapytał:

– A co z teorią Franka na temat kolorowych?

Jeffrey poczuł, jak po plecach przebiegają mu ciarki. Już wiedział, do czego ta dyskusja może doprowadzić. Szybko wyciągnął w górę obie ręce, żądając ciszy.

– Razem z Frankiem porozmawiamy z Pete’em. A teraz pora ruszać do roboty. Pod koniec dnia czekam na raporty.

Matt sprawiał wrażenie, jakby jeszcze chciał coś powiedzieć, jednak Jeffrey powstrzymał go.

– Nie pomożemy Sibyl Adams, siedząc tutaj i wygłaszając nedorzeczne teorie. – Umilkł na chwilę, po czym wskazał na listy z nazwiskami, które na początku rozdał Brad. – Dotrzyjcie do wszystkich tych ludzi. Chcę, żeby jeszcze dzisiaj każdy, kto znalazł się na tych listach, został dokładnie sprawdzony.

Idąc wraz z Frankiem do restauracji, Jeffrey wciąż powtarzał w myślach słowa: „Co z teorią Franka na temat kolorowych?”. Ciążyły mu tak, jakby w żołądku miał rozżarzoną bryłę węgla. Nie potrafił przyjąć do wiadomości, że rasizm wciąż tutaj istnieje i ma się dobrze. Dodatkowo przygnębiał go fakt, że przypomniano mu o tym w sali konferencyjnej na komisariacie, którym on sam kierował! Pracował w Grant od dziesięciu lat, jednak wciąż czuł się tutaj obco. I jego południowe korzenie nie miały właściwie nic do rzeczy; pochodził z Alabamy, jednak wcale nie ułatwiało mu to aklimatyzacji. W południowych stanach można było czasami usłyszeć typowe westchnienie: „Dzięki ci, Boże, za Alabamę”. Tak naprawdę znaczyło to: „Dzię-

ki Bogu, nie jesteśmy tak źli jak ludzie stamtąd”. Między innymi dlatego zawsze starał się mieć Franka Wallace’a pod ręką. Był jednym spośród ludzi, którzy myśleli w ten właśnie sposób. Należał do klubu.

Frank ściągnął marynarkę i, idąc u boku Jeffrey’a, przełożył ją sobie przez ramię. Był wysoki i chudy jak trzcina. Lata służby w policji sprawiły, że potrafił zachowywać nieodgadniony wyraz twarzy.

– Ten czarny facet, Will Harris – odezwał się. – Kilka lat temu byłem wezwany do rodzinnej awantury. Okazało się, że bił żonę.

Jeffrey zatrzymał się.

– Naprawdę?

Frank również przystanął.

– Tak – odparł. – Nieźle jej przyłożył. Rozciął jej wargę. Kiedy tam przyjechałem, leżała na podłodze. Ubrana była w bawełnianą suknię, jedną z tych, co to wyglądają jak worki. – Wzruszył ramionami. – Suknia była podarta.

– Uważasz, że ją zgwałcił?

Frank znów wzruszył ramionami.

– Nie wniosła oskarżenia.

Jeffrey ruszył.

– Czy oprócz ciebie ktoś o tym wie?

– Matt – odparł Frank. – Był wówczas moim partnerem.

Otworzywszy drzwi do baru, Jeffrey poczuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach.

– Zamknięte! – zawołał Pete z zaplecza.

– To ja, Jeffrey!

Pete wyszedł z magazynku, wycierając ręce w fartuch.

– Cześć, Jeffrey – powiedział, kiwając głową. Po chwili dodał: – Cześć, Frank.

– Powinniśmy tu skończyć jeszcze dzisiaj po południu, Pete. Jutro już będziesz mógł otworzyć.

– Interes będzie zamknięty do końca tygodnia – mruknął Pete, zawiązując na szyi sznurek fartucha. – Nie chcę otwierać od razu po tym, co stało się z Sibyl i tak dalej. – Wskazał na rząd wysokich stołków przed kontuarem. – Napijcie się kawy?

– Z ochotą – odparł Jeffrey i usiadł na stołku pierwszym od brzegu. Frank wybrał miejsce obok niego.

Jeffrey patrzył, jak Pete wraca za kontuar i wyciąga z szafki trzy ciężkie ceramiczne kubki. Po chwili nalał do nich gorącą kawę z dzbanka stojącego na ekspresie.

– Macie już coś? – zapytał Jeffrey.

Jeffrey sięgnął po jeden z kubków.

– Możesz mi opowiedzieć, co tu się wczoraj stało? To znaczy, od chwili, kiedy Sibyl Adams weszła do baru.

Pete oparł się o kuchenkę.

– Przyszła około wpół do drugiej – powiedział. – Zawsze przychodziła w poniedziałek, kiedy już kończyła się pora lunchu i mijał największy ruch. Myślę, że nie chciała, aby ludzie patrzyli na nią, jak chodzi z białą laską. To znaczy, oczywiście, wszyscy wiedzieliśmy, że Sibyl jest niewidoma, jednak nie chciała, żebyśmy zwracali na nią uwagę właśnie z tego powodu. To się czuło. Poza tym odnosiłem wrażenie, że w tłumie robiła się nerwowa.

Jeffrey wyciągnął notatnik, chociaż w gruncie rzeczy nie musiał niczego zapisywać, mimo że Pete zdawał się wiele wiedzieć o Sibyl Adams.

– Często tu przychodziła?

– Już mówiłem, co poniedziałek, punktualnie jak w zegarku. – Pete na chwilę zmrużył oczy, zastanawiając się. – Mniej więcej od pięciu lat. Czasami zjawiała się wieczorem z innymi wykładowcami albo z Nan z biblioteki. Zdaje się, że wynajmowały razem dom na Cooper.

Jeffrey pokiwał twierdząco głową.

– Ale te wieczory to była jednak rzadkość. Regularnie przychodziła tylko w poniedziałki, zawsze sama. Siadała, zamawiała lunch i krótko po drugiej wychodziła. – Pete potarł policzek. Widać było, że jest bardzo smutny. – Zawsze zostawiała dobry napiwek. Wczoraj nic straszego nie przyszło mi do głowy, kiedy zobaczyłem, że jej stolik jest pusty. Pomyślałem, że wyszła, kiedy przebywałem na zapleczu.

– Co zamówiła? – zapytał Jeffrey.

– To samo, co zawsze. Trzeci zestaw.

Jeffrey wiedział, że trzeci zestaw to jaja na bekonie i kukurydza.

– Tyle, że Sibyl nie jadała mięsa, dlatego zawsze odgarniałem bekon,

kiedy nakładałem jej na talerz jajecznicę – wyjaśnił Pete. – Nie piła też kawy, dlatego podawałem jej gorącą herbatę.

– Jaką herbatę?

Pete przeszedł kilka kroków i wyciągnął spod kontuaru puszkę z torebkami gatunkowej herbaty.

– Udało mi się to zdobyć w sklepie spożywczym, specjalnie dla niej. Nie cierpiała kofeiny. – Roześmiał się cicho. – Lubilem jej dogadzać, wiesz? W końcu nie miała wiele z życia. Często mówiła do mnie, że lubi do mnie przychodzić, bo czuje się tutaj swobodnie i jest jej wygodnie. – Pete przez chwilę bawił się puszką z herbatą.

– Miała jakiś ulubiony kubek?

– Nie, skądże. Wszystkie są takie same. – Ruszył w kierunku drugiego końca kontuaru i po chwili wyciągnął dużą metalową szufladę.

Jeffrey podszedł i pochylił się, żeby zajrzeć do środka. Szuflada okazała się zmywarką do naczyń, pełną kubków i talerzy.

– To wszystko z wczorajszego dnia?

Pete pokiwał twierdząco głową.

– Nie potrafię odgadnąć, z którego kubka piła Sibyl. Uruchomiłem zmywarkę, zanim... – Urwał i wbił wzrok w swoje dłonie. – Mój ojciec mawiał, że jeśli będę dbał o klientów, oni także będą troszczyć się o mnie. – Uniósł głowę. W jego oczach błyszczały łzy. – Była miłą dziewczyną, wiesz? Komu mogło przyjść do głowy, żeby zrobić jej krzywdę?

– Nie wiem, Pete – odparł Jeffrey. – Czy pozwolisz, że to zabiorę? – Wskazał na puszkę z herbatą.

Pete wzruszył ramionami.

– Jasne, nikt poza nią nie pił tej herbaty. – Znow cicho się zaśmiał. – Kiedyś jej spróbowałem. Smakuje jak brudna woda.

Frank wyciągnął z puszek jedną torebkę.

– Czy stary Will pracował tu wczoraj? – zapytał.

Pete zdawał się zaskoczony tym pytaniem.

– Jasne. Od piętnastu lat codziennie pomaga mi przy lunchu. Przychodzi o jedenastej, a wychodzi około drugiej. – Popatrzył na Jeffrey'ego. – Jak u mnie skończy, pracuje u różnych ludzi w okolicy. Zwykle pomaga w ogrodzie, czasami zlecają mu jakieś drobne prace ciesielskie.

– Czy podaje do stołów? – zapytał Jeffrey, mimo że jadł tu lunch wystarczająco dużo razy, by orientować się, jakie są zadania Willa.

– Jasne. Nakrywa, podaje jedzenie, zmywa podłogę i robi jeszcze wiele innych rzeczy. – Pete zmierzył Jeffreyego uważnym spojrzeniem. – Dlaczego o to pytasz?

– Bez szczególnego powodu. – Jeffrey wyciągnął rękę i potrząsnął dłonią starszego mężczyzny. – Dzięki, Pete. Jeśli jeszcze będziemy czegoś od ciebie potrzebowali, damy ci znać.

Lena przesuwała palcem po mapie leżącej na jej kolanach.

– Teraz w lewo – powiedziała do Brada.

Zrobił, co mu kazała, skręcając radiowozem w Baker Street. Uważała go za całkiem porządnego faceta i miała całkowitą rację. Kiedy w komisariacie powiedziała, że idzie do toalety, po czym skierowała się dokładnie w przeciwną stronę, Brad nie zareagował. Bardzo popularnym dowcipem na komisariacie było permanentne chowanie jego policyjnego kapelusza. W Boże Narodzenie kapelusz znalazł się na porożu jednego z reniferów ustawionych przed wejściem do ratusza. A przed miesiącem Lena zauważyła kapelusz Brada na głowie Roberta E. Lee, którego pomnik stał przed miejscową szkołą średnią.

Lena doskonale wiedziała, że przydzielając jej Brada jako partnera, Jeffrey miał zamiar trzymać ją na uboczu śledztwa. Była przekonana, że na liście ludzi, których miała sprawdzić razem z Bradem, znajdowali się albo umarli, albo najwyżej osobnicy, którzy nie potrafili już poruszać się o własnych siłach.

– Na następnym skrzyżowaniu w prawo – powiedziała i złożyła mapę.

W czasie, który na komisariacie spędziła rzekomo w toalecie, wślizgnęła się pospiesznie do gabinetu Marly i w książce telefonicznej sprawdziła adres Willa Harrisa. Skoro Jeffrey zamierzał najpierw przesłuchać Pete'a, Lena postanowiła jeszcze przed swoim przełożonym dotrzeć do Willa.

– Tutaj – odezwała się do Brada, wskazując mu miejsce, gdzie ma zaparkować samochód. – Tu możesz się zatrzymać.

Brad zwolnił i w zamyśleniu przyłożył palec do ust.

– Co to za adres? – zapytał.

– Czterysta trzydzieści jeden – odparła Lena, wskazując na skrzynkę pocztową. Odpięła pas bezpieczeństwa i wyslizgnęła się na chodnik, jeszcze zanim auto całkowicie się zatrzymało.

Kiedy Brad ją dogonił, szła już wąskim podjazdem w kierunku chaty.

– Co ty robisz? – zapytał Brad, idąc bezradnie obok niej. – Lena!

Zatrzymała się i wsadziła rękę do kieszeni.

– Posłuchaj mnie, Brad, wróć do samochodu.

W policyjnej hierarchii znajdowała się o dwa stopnie wyżej od niego. Chociażby z tego powodu Brad powinien posłuchać jej rozkazu. Wiedział o tym, jednak pokręcił przecząco głową.

– To dom Willa Harrisa, prawda? – zapytał.

Lena odwróciła się do niego plecami i kontynuowała marsz w kierunku chaty.

Był to mały domek, w środku najprawdopodobniej podzielony jedynie na dwa pokoje i łazienkę. Zbudowany został z wąskich desek, pomalowanych na biało i utrzymanych w nieskazitelnej czystości. Trawnik przed domem był starannie, równo przycięty. Posesja sprawiała wrażenie tak porządkowej i schludnej, że Lena na chwilę się zawahała. Czy facet mieszkający w takim domku potrafiłby tak straszliwie postąpić z jej siostrą?

Zapukała do drzwi z grubego, matowego szkła. Dotarły do niej przytłumione odgłosy dochodzące z wnętrza domu, najprawdopodobniej z włączonego telewizora. Przez szybę dostrzegła niewyraźną sylwetkę mężczyzny, niezdarnie podnoszącego się z fotela. Miał na sobie biały podkoszulek i białe spodnie od pidżamy. Na jego twarzy malował się wyraz zdziwienia.

W przeciwieństwie do wielu ludzi w miasteczku, Lena była rzadkim bywalcem restauracji przy stacji benzynowej. W jej podświadomości tkwiło przeświadczenie, że jest to terytorium Sibyl, którego nie chciała naruszać. Na dobrą sprawę nigdy dotąd nie spotkała się z Willem Harrisem. Spodziewała się więc kogoś młodszego, kogoś wyglądającego znacznie groźniej. Tymczasem Will Harris sprawiał wrażenie starego, spokojnego człowieka.

Gdy wreszcie dotarł do drzwi i ujrzał Lenę, ze zdziwienia szeroko otworzył usta. Oboje przez chwilę milczeli, po czym to Will przerwał ciszę:

– Pani jest chyba jej siostrą.

Lena wciąż bez słowa wpatrywała się w starego człowieka. Już w głębi serca wiedziała, że to nie Will Harris zamordował jej siostrę. Wciąż jednak istniała możliwość, że Will wie, kto to zrobił.

– Tak, proszę pana – odezwała się wreszcie. – Czy mogę wejść do środka?



Drzwi zaskrzypiały, kiedy starzec je uchylał. Cofnął się i przepuścił Lenę.

– Proszę wybaczyć mój wygląd – powiedział, wskazując na pidżamę. – Nie spodziewałem się dzisiaj gości.

– W porządku, nic się nie stało – odparła Lena, rozglądając się po małym pokoju. Część, która służyła za salonik, oddzielała od kuchni kanapa. Wąski korytarzyk prowadził w lewo, zapewne do łazienki. Sypialnia musiała znajdować się również z lewej strony. Tak jak na zewnątrz było tu schludnie, czysto i panował wzorowy porządek. Will dbał o dom, mimo swego zaawansowanego wieku. Najważniejszym sprzętem w saloniku zdawał się telewizor. Zajmował centralne miejsce przy ścianie, wzdłuż której stały długie półki na książki. Znajdowały się na nich jednak taśmy wideo.

– Bardzo lubię oglądać filmy – powiedział Will.

Lena uśmiechnęła się.

– To widać.

– Przede wszystkim stare, czarno-białe... – zaczął starzec, kiedy jednak odwrócił się w kierunku okna wychodzącego na ulicę, aż zbladł. – Boże wszechmogący – wyjąkał. – Stałem się dzisiaj bardzo popularny.

Lena zdusiła w sobie przekleństwo, kiedy zobaczyła, że w kierunku drzwi podąża Jeffrey Tolliver. Albo powiadomił go Brad, albo to Pete Wayne wskazał na Willa.

– Dzień dobry panu – powiedział Will, otwierając drzwi przed Jeffreyem.

Jeffrey skinął mu głową, po czym posłał Lenie takie spojrzenie, że zrobiło się jej gorąco. Will chyba pojął, że atmosfera nagle stała się napięta.

– Mogę wyjść na podwórze, jeśli państwo zechcą – powiedział.

Jeffrey odwrócił się do niego i potrząsnął głową.

– Nie trzeba, Will. Chciałbym zadać ci kilka pytań.

Szerokim ruchem ręki Will wskazał na kanapę.

– Czy mogę nalać sobie trochę kawy? – zapytał.

– Proszę bardzo.

Jeffrey przeszedł obok Leny i usiadł na kanapie. Nie spuszczał z niej źle wróżącego spojrzenia, jednak Lena mimo wszystko usiadła obok niego.

Will powrócił i stękając, zajął miejsce na swoim krześle. Widząc zdzi-

wione spojrzenie gości, uśmiechnął się przepaszajaco i wyjaśnił:

– Większość dnia spędziłem w ogródku, pracując na kolanach.

Jeffrey wyciągnął notes. Lena niemal fizycznie odczuwała jego złość.

– Will, zadam ci kilka pytań.

– Tak, proszę pana.

– Czy wiesz, co się stało wczoraj w restauracji?

Will odstawił kubek z kawą na mały stolik.

– Ta dziewczyna jeszcze nigdy nikomu niczego złego nie zrobiła – powiedział. – To, co zrobiono jej... – urwał i popatrzył na Lenę. – Łączę się w bólu z tobą i twoją rodziną, moja droga. Naprawdę.

Lena głośno odchrząknęła.

– Dziękuję – powiedziała.

Jeffrey wyraźnie spodziewał się z jej strony innej reakcji. Wyraz jego twarzy zmienił się, nie potrafiła jednak odgadnąć jego myśli. Znowu skoncentrował uwagę na Willu.

– Do której godziny przebywałeś wczoraj w restauracji?

– Och, do wpół do drugiej albo trochę dłużej, jak sądzę. Widziałem pani siostrę – odparł, zwracając się do Leny – wychodząc.

Jeffrey odczekał chwilę, po czym zapytał znowu:

– Jesteś tego pewien?

– Och, tak, tak, proszę pana. Musiałem zabrać ciocię z kościoła. Próba chóru kończyła się dokładnie o drugiej piętnaście. A ciocia nie lubi czekać.

– Gdzie ona śpiewa? – zapytała Lena.

– W Madison – odpowiedział Will. – Była tam pani kiedyś?

Potrząsnęła przecząco głową, w myślach porównując godziny. Nawet gdyby Will Harris mógł być podejrzanym, nie zdążyłby zabić Sibyl i na czas dojechać do Madison po ciotkę. Krótka rozmowa telefoniczna da Willowi niepodważalne alibi.

– Will – zaczął Jeffrey – z przykrością cię o to pytam, ale jeden z moich ludzi, Frank, powiedział mi, że jakiś czas temu miałeś pewne problemy z policją.

Twarz starego człowieka zachmurzyła się. Aż do tej chwili wpatrywał się w Lenę, teraz jednak utkwiał wzrok w dywanie.

– Tak, proszę pana, to prawda. – Mówiąc, patrzył przed siebie ponad

ramieniem Jeffreya. – Chodziło o moją żonę, Eileen. Źle ją traktowałem. Jeszcze tu pana wtedy nie było... Pobiłem ją. Jakieś osiemnaście, dziewiętnaście lat temu. – Wzruszył ramionami. – Zaraz potem mnie opuściła. Alkohol sprawił, że zszedłem na złą drogę. Nawróciłem się jednak, jestem przykładnym chrześcijaninem. Źle wspominał tamten czas. Rzadko widuję syna, ale z córką spotykam się, kiedy tylko mam taką możliwość. Mieszka teraz w Savannah. – Na jego twarz powrócił uśmiech. – Mam już dwoje wnucząt.

Jeffrey postukał długopisem w notes. Nad jego ramieniem Lena widziała, że nic jeszcze nie zapisał.

– Czy kiedykolwiek podawałeś Sibyl coś do stolika? – zapytał. – Oczywiście w barze.

Jeśli to pytanie go zaskoczyło, Will nic nie dał po sobie poznać.

– Chyba tak. Prawie codziennie pomagam Pete’owi. Kiedy bar prowadził jego ojciec, zatrudniał jako kelnerkę jakąś kobietę. Ale Pete... – Zachichotał. – Stary Pete oszczędza każdego dolara. – Will machnął ręką, lekceważąc problem. – W końcu jeżeli czasem przyniosę komuś do stolika porcję ketchupu albo kubek z gorącą kawą, nic mi od tego nie ubędzie, prawda?

– Podawałeś Sibyl herbatę?

– Czasami. Czy to coś złego?

– W żadnym wypadku. – Jeffrey zamknął notes. – Czy widziałeś wczoraj w okolicach baru kogoś podejrzanego?

– Dobry Boże – westchnął Will. – Gdybym widział, już dawno bym panu powiedział. Byłem tam tylko ja i Pete, a w czasie lunchu nasi stali goście.

– Dziękuję ci za czas, który nam poświęciłeś. – Jeffrey wstał z kanapy, a Lena natychmiast uczyniła to samo.

Will podszedł do nich. Najpierw potrząsnął dłonią Jeffreya, a następnie Leny. Rękę dziewczyny przytrzymał trochę dłużej.

– Niech cię Bóg błogosławi – powiedział. – I uważaj na siebie.

– Cholera jasna, Lena – zaklął Jeffrey, rzucając notes na półkę obok tablicy rozdzielczej w samochodzie. Notes odbił się od ścianki i pofrunął na

podłogę, jednak Lena złapała go w powietrzu. – Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz?

Lena odłożyła notes na miejsce.

– Nic sobie nie wyobrażam – odparła. – Pieprzone żarty się ciebie trzymają?

Odjeżdżając z piskiem opon spod domu Willa, usta miał zaciśnięte w złości. Frank odjechał na komisariat razem z Bradem, Lena nie miała więc wyboru, musiała wsiąść do auta Jeffreya.

– Dlaczego nie mogę ci ufać? – zawołał. – Dlaczego nie mogę zaufać, że wykonasz zgodnie z moją wolą chociaż jedną rzecz, o którą cię poproszę? – Nie czekał na odpowiedź. – Posłałem cię razem z Bradem, żebyście wykonali konkretne zadanie, Leno. Wyzaczyłem ci rolę w tym śledztwie, ponieważ bardzo tego chciałaś, a nie dlatego, że ci się ona należała. I w jaki sposób mi za to odpłacasz? Oszukujesz mnie. Na oczach Brada i Franka działasz za moimi plecami! Do cholery, czy jesteś policjantką czy nieodpowiedzialnym dzieciakiem?

Nacisnął na hamulec i Lena poczuła, jak pas bezpieczeństwa wpija się jej w piersi. Zatrzymali się na środku ulicy, jednak Jeffrey na to nie zważał.

– Popatrz na mnie – zażądał i obrócił się w fotelu. Lena wykonała polecenie, starając się, żeby nie dojrzał w jej oczach strachu. Jeffrey wściekał się na nią w przeszłości już wiele razy, jednak nigdy dotąd aż tak. Gdyby jej podejrzenie dotyczące Willa Harrisa sprawdziło się, miałyby jakąś pozycję do obrony. W obecnej sytuacji nie miała na swoje usprawiedliwienie po prostu nic. – Trzymaj prosto głowę! Czy mnie słyszysz?

Lena tylko potaknęła.

– Nie mogę pozwolić na to, żebyś działała za moimi plecami. Co by się stało, gdyby Will cię zaatakował? – Umilkł, żeby treść pytania dotarła do Leny. – Co by było, gdyby Will naprawdę był człowiekiem, który zamordował twoją siostrę? Gdyby otworzył przed tobą drzwi, zobaczył cię i oszalał? – Znów przeklinając, Jeffrey uderzył pięściami w kierownicę. – Masz postępować zgodnie z moimi poleceniami, Leno! Czy to jest jasne? Od teraz, zgodnie z moimi poleceniami, kroczonek po kroczonek. – Wymierzył w nią wyciągnięty palec wskazujący. – Jeżeli rozkażę ci przesłuchiwać mrówki w lesie, będziesz to robić i przynosić mi poprawnie sporządzone protokoły

z tych przesłuchań. Jasne?

Z trudem jeszcze raz potaknęła.

– Tak.

Jeffreya to nie zadowoliło.

– Czy to jest jasne, detektywie Adams?

– Tak, jasne – powtórzyła Lena.

Jeffrey włączył pierwszy bieg. Opony zapiszczały, kiedy gwałtownie ruszył, pozostawiając na nierównym asfalcie sporo gумы. Obie dłonie zaciskał na kierownicy tak mocno, że pobiełały mu knykcie. Lena milczała z nadzieją, że złość w końcu mu przejdzie. Miał prawo być na nią wściekły, a ona nie wiedziała, jak na to reagować. Przeprosiny wydawały się jej tak samo bezużyteczne jak leczenie miodem bólu zęba.

Jeffrey opuścił szybę po swojej stronie i połuźnił krawat.

– Moim zdaniem, Will tego nie zrobił – powiedział niespodziewanie.

Lena kilkakrotnie pokiwała głową, wciąż bojąc się otworzyć usta.

– Nawet w obliczu tego epizodu z żoną z przeszłości, nic nie wskazuje na niego jako mordercę – mówił. Nagle w jego głosie znów pojawiła się złość. – Frank zapomniał mi powiedzieć, że to było dwadzieścia lat temu.

Lena nadal milczała.

– W każdym razie – Jeffrey zaczął bagatelizować rolę Willa – facet ma sześćdziesiąt, a może siedemdziesiąt lat. Z trudem siada nawet na krzesło, więc nie wyobrażam sobie, żeby wygrał walkę ze zdrową, trzydziestoletnią kobietą.

Przez chwilę w samochodzie panowała cisza, ale Jeffrey zaraz kontynuował:

– W kwestii personelu baru pozostaje nam więc Pete, prawda? – Nie czekał na odpowiedź Leny, po prostu głośno myślał.

– Tyle że jadąc tutaj, zadzwoniłem do Tessy. Pojawiła się tam wczoraj na krótko przed drugą. Willa już nie było, Pete pracował sam. Powiedziała, że zarejestrował jej zamówienie w kasie, a potem osobiście przygotował jej hamburgera. – Potrząsnął głową. – Mógł wyslizgnąć się na zaplecze, ale kiedy? Kiedy miałby na to czas? Ile by go potrzebował? Dziesięć, piętnaście minut? Poza tym musiałby to zaplanować. Jaką miałby pewność, że by mu się udało? – Pytanie znów było retoryczne. – Poza tym wszyscy znamy

Pete'a. To znaczy, Chryste, stała się rzecz, której nigdy nie dokonałby niezauważony jakiś cholerny zbrodniarz debiutant.

Umilkł, najwyraźniej rozmyślając. Lena nie zamierzała przerywać ciszy. Wyglądała przez okno, zastanawiając się nad tym, co Jeffrey powiedział na temat Pete'a Wayne'a i Willa Harrisa. Jeszcze godzinę temu obaj byli dla niej głównymi podejrzanymi. Teraz na liście podejrzanych nie miała nikogo. Jeffrey całkiem słusznie był na nią zły. Powinna jeździć po okolicy z Bradem, docierać do ludzi, których mieli na liście, i może w ten sposób natrafiłaby na człowieka, który zabił Sibyl.

Skoncentrowała spojrzenie na domach, które mijali. Przy kolejnym zakręcie tabliczka na murze podpowiedziała jej, że wjechali na Cooper Street.

– Myślisz, że Nan będzie w domu? – zapytał Jeffrey.

Lena wzruszyła ramionami.

Uśmiech, który jej posłał, miał świadczyć, że przechodzi mu złość.

– Możesz już mówić – oznajmił.

Otworzyła usta, jednak nie zdołała się do niego uśmiechnąć.

– Dziękuję – powiedziała. – Przepraszam za...

Machnął ręką, żeby ją uciszyć.

– Jesteś dobrą policjantką, Leno. Cholernie dobrą policjantką. – Zatrzymał samochód przed domem, w którym do wczoraj razem mieszkali Nan i Sibyl. – Czasami jednak musisz słuchać przełożonych.

– Wiem.

– Właśnie że nie wiesz – zaoponował Jeffrey, jednak w jego głosie nie było już ani śladu złości. – Całe życie wywróciło ci się do góry nogami i z tego też jeszcze nie zdajesz sobie sprawy.

Chciała coś powiedzieć, lecz znów jej przerwał.

– Rozumiem, że koniecznie chcesz pracować nad tą sprawą, chcesz być teraz czymkolwiek zajęta, ale musisz tak postępować, żebym mógł ci ufać, Leno. Jeśli jeszcze raz przekroczysz tę linię, tak cię zdegraduję, że będziesz podawać kawę Bradowi Stephensowi. Jasne?

Lena zdołała pokiwać głową.

– W porządku – powiedział Jeffrey i otworzył drzwiczki. – Chodźmy.

Chcąc zyskać na czasie, powoli odpinała pas. Wysiadłszy z samochodu, poprawiła pas i kaburę z rewolwerem i dopiero wtedy ruszyła w stronę

domu. Kiedy stanęła w progu, Jeffrey od kilku chwil był już w środku.

– Cześć – powiedziała do Nan.

– Cześć – odparła Nan. W ręce trzymała zwiniętą w kłębek chusteczkę, tę samą, którą wycierała oczy przez całą noc. Oczy miała spuchnięte, a jej nos miał jaskrawoczerwony kolor.

– Cześć – usłyszała głos Hanka. Zatrzymała się zaskoczona.

– A ty co tutaj robisz?

Hank wzruszył ramionami i zatarł dłonie. Miał na sobie koszulkę bez rękawów i ślady po nakłuciach igieł na jego rękach były doskonale widoczne. Lena poczuła zakłopotanie. Spotykała się dotąd z Hankiem jedynie w Reece, gdzie wszyscy doskonale znali jego przeszłość. Rany po igłach widywała na jego ramionach tyle razy, że wydawały się jej oczywistością. Teraz po raz pierwszy patrzyła na nie w obecności Jeffreya. Zmieszało ją to tak bardzo, że zapragnęła jak najszybciej wybiec z tego domu.

Hank zdawał się czekać, aż Lena coś powie. Jąkając się, wbrew sobie, niechętnie zaczęła prezentację:

– To jest Hank Norton, mój wujek – powiedziała. – A to Jeffrey Tolliver, szef policji.

Hank wyciągnął rękę i Lena zobaczyła szramy na jego przedramieniu. Niektóre, tam, gdzie igły wbijał sobie najczęściej, szukając żyły, osiągały długość pół cala.

– Dzień dobry – powiedział.

Jeffrey wyciągnął rękę i mocno potrząsnął jego dłonią.

– Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach – powiedział.

– Rzeczywiście – zgodził się Hank. Wyprostowane ręce opuścił wzdłuż tułowia i zacisnął dłonie w pięści.

Przez chwilę panowała cisza, aż wreszcie odezwał się Jeffrey:

– Zapewne wiecie państwo, dlaczego tutaj przyjechaliśmy?

– Chodzi o Sibyl – powiedziała Nan. Jej głos był o kilka oktaw niższy niż zazwyczaj, prawdopodobnie dlatego, że przez całą noc płakała.

– Zgadza się – odparł Jeffrey i wskazał ręką na sofę. Poczekał, aż Nan usiądzie, po czym przysiadł obok niej. Lena była zaskoczona, kiedy ujął jej rękę i odezwał się delikatnym tonem: – Przykro mi z powodu straty, jaką poniosłaś, Nan.

Łzy znów potoczyły się po policzkach kobiety. Ale uśmiechnęła się.

– Dziękuję panu.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby się dowiedzieć, kto popełnił to morderstwo. Jeśli czegoś pani potrzeba, jesteśmy tutaj, żeby pani pomóc...

Wyszeptała kolejne podziękowanie, ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Czy wiadomo pani o kimś, kto miałby jakieś pretensje do pani albo Sibyl?

– Nie – odpowiedziała Nan. – Mówiłam już Lenie wczoraj wieczorem. Nic nadzwyczajnego się ostatnio nie zdarzyło.

– Wiem, że pani i Sibyl wiodłyście spokojne, ciche życie – kontynuował Jeffrey.

Był o wiele bardziej subtelny niż Lena w dniu wczorajszym.

– Tak – zgodziła się Nan. – Lubiliśmy to. Obie byłyśmy spokojnymi kobietami z małego miasteczka.

– I nie potrafi pani wskazać nikogo, komu by to przeszkadzało?

Nan potrząsnęła przecząco głową. Jej usta drżały. Można było odnieść wrażenie, że nic więcej nie zdoła powiedzieć.

– Dobrze – odezwał się Jeffrey i wstał. Położył dłoń na ramieniu Nan, nakazując tym gestem, aby siedziała. – Sam znajdę drogę do drzwi. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął wizytówkę. Lena patrzyła, jak zapisuje coś na niezadrukowanej stronie. – To jest mój telefon domowy – powiedział. – Proszę do mnie dzwonić, jeśli się pani coś ważnego przypomni.

– Dziękuję – odparła Nan, przyjmując wizytówkę.

Z kolei Jeffrey popatrzył na Hankę.

– Czy zechce pan odwiedzić Lenę do domu? – zapytał.

Lena poczuła się, jakby ktoś uderzył ją w twarz. Nie chciała, nie mogła przecież tutaj zostać.

Hank był najwyraźniej zaskoczony tak samo jak ona.

– Jasne – odparł jednak. – To żaden problem.

– Doskonale – stwierdził Jeffrey. Lekko klepnął Nan w ramię, po czym odezwał się do Leny: – Bardzo cię proszę, żebyś razem z Nan przygotowała listę osób, z którymi pracowała Sibyl. – Posłał jej znaczący uśmiech. – Jutro



o siódmej rano chcę cię widzieć na komisariacie. Musimy pójść do college'u, zanim złączą się zajęcia lekcyjne.

Lena nic z tego nie zrozumiała.

– Mam nadal pracować z Bradem?

Jeffrey potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Ze mną.

## ŚRODA

### 11

Ben Walker, który był szefem policji przed Jeffreyem, miał gabinet na tyłach komisariatu, zaraz przy sali konferencyjnej. Na środku pokoju postawił wielkie biurko, a przed nim rząd niewygodnych krzesel. Co rano wzywał do siebie najstarszych rangą funkcjonariuszy i przydzielał im zadania na cały dzień, a gdy wreszcie wychodzili, z trzaskiem zamykał za nimi drzwi. To, co robił Ben od tej chwili do godziny piątej po południu, kiedy widywano go idącego do baru na wczesną kolację, dla wszystkich było tajemnicą.

Pierwszą decyzją, jaką podjął Jeffrey, kiedy przejął stanowisko po Benie, było wydzielenie części pokoju detektywów i umieszczenie w niej własnego gabinetu za przeszklonymi ścianami działowymi. W ten sposób, siedząc za biurkiem, miał oko na swoich ludzi przy pracy i, co z jego punktu widzenia było równie ważne, oni w każdej chwili mogli popatrzeć także na niego. Oczywiście na szybach zainstalowane były żaluzje, jednak nigdy ich nie wykorzystywał. Co więcej, drzwi do jego gabinetu prawie zawsze były otwarte.

Dwa dni po znalezieniu zwłok Sibyl Adams Jeffrey siedział za swoim biurkiem, czytając raport, który przed chwilą przekazała mu Marla. Nick Shelton z Biura Śledczego Stanu Georgia był tak miły, że niemal od ręki przeprowadził analizę puszki z herbatą. Rezultat badania nie pozostawiał

wątpliwości: w środku naprawdę była herbata.

Jeffrey potarł policzek i rozejrzył się po pomieszczeniu. Było niewielkie, jednak wzdłuż jednej ze ścian na całej długości ustawione były wysokie regały, ze starannie i w odpowiednim porządku ustawionymi materiałami i dokumentami. Instrukcje i raporty sąsiadowały z trofeami sportowymi, które zdobył w Birmingham i w drużynie piłkarskiej w Auburn. Nie był jednak ani dobrym, ani zapalonym zawodnikiem. Większość czasu spędzał na ławce rezerwowych, obserwując, jak inni robią sportowe kariery.

W rogu na którejś z półek stała fotografia jego matki. Kobieta ubrana była w różową bluzkę, a w rękach trzymała mały bukietik kolorowych kwiatów. Fotografia wykonana została w tym samym dniu, w którym Jeffrey ukończył szkołę średnią. Matka uśmiechała się na fotografii, co było u niej rzadkością. Na jej twarzy widoczne były duma i radość, spowodowane zapewne myślami o świetlanej przyszłości rysującej się przed ukochanym synem. Fakt, że rok po ukończeniu szkoły wyjechał z Auburn i wstąpił do policji w Birmingham, był wciąż zadrą tkwiącą w jej sercu. Mimo upływu lat nadal nie potrafiła tego wybaczyć swojemu jedynemu dziecku.

Marla lekko pchnęła drzwi do gabinetu. W jednej ręce trzymała kubek z kawą, a w drugiej pączka. W pierwszych dniach pełnienia przez Jeffreya funkcji szefa policji powiedziała mu, że nigdy nie przynosiła kawy Benowi i nie zamierza też przynosić kawy jemu. Jeffrey roześmiał się. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby tego od niej wymagać. Od tego dnia codziennie wchodziła do niego z gorącą kawą.

– Pączek jest mój – powiedziała, podając mu tekturowy kubek. – Nick Shelton na trzeciej linii.

– Dziękuję – powiedział Jeffrey i odczekał, aż Marla wyjdzie. Zanim podniósł słuchawkę, rozsiadł się wygodnie na krześle. – Nick?

Z słuchawki dotarł do niego głos z wyraźnym południowym akcentem.

– Jak u ciebie?

– Bez rewelacji – odparł Jeffrey.

– Właśnie słyszę. Masz mój raport?

– O herbacie? – Jeffrey wziął do ręki kartkę papieru z analizą Nicka. Jak na najprostszy napój na świecie herbata zawierała, jego zdaniem, zbyt wiele chemikaliów. – Rozumiem, że to jest najzwyklejsza, tania herbata, kupio-

na w pierwszym lepszym sklepie. Czy mam rację, Nick?

– Całkowitą. Posłuchaj, dziś rano próbowałem złapać Sarę, ale nigdzie nie mogę jej znaleźć.

– No i co z tego?

Nick zarechotał rubasznym śmiechem.

– Czy nigdy mi nie wybaczysz, że pewnego pięknego dnia to ze mną, a nie z tobą zjadła kolację w mieście?

– Nawet o tym nie marz. – Jeffrey uśmiechnął się.

– Jeden z moich ludzi, zajmujących się narkotykami, wariuje z tą belladonną. Nie mamy tu wielu spraw tego rodzaju, dlatego zaoferował się, że osobiście wam kilka rzeczy wyjaśni.

– To by nam bardzo pomogło – odparł Jeffrey. Przez szybę dojrzał Lenę i pomachał ręką, żeby do niego przyszła.

– Czy Sara rozmawia z tobą w tym tygodniu? – Nick nie czekał na odpowiedź. – Bo mój człowiek ma zamiar z nią pomówić. Chce jej zadać kilka pytań na temat stanu ofiary.

Jeff w milczeniu przełknął zgryźliwą uwagę. Starając się, aby jego głos zabrzmiał w miarę raźnie, powiedział:

– O dziesiątej, może być?

Właśnie wpisywał godzinę do kalendarza, kiedy do jego gabinetu weszła Lena, Kiedy tylko na nią spojrział, zaczęła mówić:

– On już nie ma nic wspólnego z narkotykami.

– Co?

– Przynajmniej tak sędzę.

Jeffrey potrząsnął głową, nic nie rozumiejąc.

– O czym ty mówisz, dziewczyno?

Zniżyła głos niemal do szeptu.

– O moim wujku, Hanku.

– Och! – Jeffrey wreszcie pojął, o co chodzi. Aż do tej chwili nie wiedział, czy Hank Norton był ofiarą dawnego uzależnienia czy jakiegoś pożaru, tak zniszczona była skóra na jego rękach. – Tak, widziałem. Odniosłem wrażenie, że to bardzo stare rany.

– Brał amfetaminę, rozumiesz?

Ton jej głosu był nieprzyjazny, niemal wrogi. Jeffrey odgadł, że dusiła

w sobie to wyznanie od momentu, kiedy zostawił ją w domu Nan Thomas. A więc natrafił już na drugą rzecz, której się wstydziła. Obok homoseksualizmu siostry było to dawne uzależnienie wuja od narkotyków. Przez chwilę po jego głowie błąkało się pytanie, czy, oprócz pracy, cokolwiek w życiu sprawiało Lenie przyjemność.

– No i co? – zapytała Lena.

– No i nic – odparł Jeffrey, wstając. Zdjął z wieszaka marynarkę i zaczął delikatnie wypychać Lenę z biura. – Masz tę listę?

Zdawała się zirytowana faktem, że szef nie zamierza w żaden sposób skomentować dawnego uzależnienia jej wuja. Podała mu kartkę wyrwaną z notesu.

– Oto, do czego doszliśmy z Nan wczoraj wieczorem. To lista osób pracujących z Sibyl, które mogły rozmawiać z nią, zanim... – Nie dokończyła.

Jeffrey popatrzył na kartkę. Znajdowało się na niej sześć nazwisk. Jedno wyróżnione było gwiazdką z prawej strony. Lena odgadła jego następne pytanie.

– Richard Carter przygotowywał pod jej kierunkiem pracę na egzamin końcowy. O dziewiątej miała z nim zajęcia. Nie licząc Pete'a, najprawdopodobniej jest ostatnią osobą, która widziała ją żywą.

– Dziwne, ale to nazwisko wydaje mi się znajome – powiedział Jeffrey, wkładając marynarkę. – Czy to jedyny student na liście?

– Tak – odpowiedziała Lena. – Dodam, że to trochę dziwny chłopak.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. – Lena wzruszyła ramionami. – Nigdy go nie lubiłam.

Jeffrey chciał coś powiedzieć, ale w porę ugryzł się w język. Lena nie lubiła wielu ludzi. Nie był to raczej wystarczający powód, by podejrzewać ich o morderstwo.

– Dobrze, zacznijmy od tego Cartera – postanowił. – Potem pójdziemy do dziekana. – Otworzył przed Leną drzwi prowadzące na ulicę. – Burmistrz dostanie ataku serca, jeśli zanadto będziemy niepokoić profesorów. Ze studentami będzie łatwiej.

Campus, należący do Grant Institute of Technology, składał się z centrum studenckiego, czterech budynków dydaktycznych, budynku administracyjnego i skrzydła rolniczego, ufundowanego w swoim czasie przez wdzięcznego swojej uczelni bogatego producenta nasion. Z jednej strony uczelnia graniczyła z kompleksem leśnym, z drugiej granicę jej terenów stanowił brzeg jeziora. Domy studenckie rozmieszczono tak, że odległości pomiędzy nimi można było pokonywać pieszo w ciągu kilku minut, jednak większość studentów korzystała z rowerów, najpopularniejszego środka transportu na terenie campusu.

Jeffrey podążył za Leną na trzecie piętro jednego z budynków dydaktycznych. Ucznia swojej siostry musiała poznać już wcześniej, na twarzy Richarda Cartera pojawił się bowiem niechętny grymas, kiedy tylko ujrzał ją w progu. Był niskim, lekko łysiejącym chłopakiem. Na nosie miał okulary w ciężkich oprawkach, a ubrany był w niedopasowany biały fartuch laboratoryjny, niedbale narzucony na jaskrawożółtą bluzę od dresu. Grant Institute of Technology był uczelnią niezbyt wymagającą i swoje szanse dostawali nawet osobnicy pokroju Cartera. Język angielski był tu co prawda obowiązkowy, ale traktowany raczej po macoszemu. Szkoła nastawiała się raczej na uzyskiwanie jak największej liczby patentów niż na wypuszczanie w świat doskonale wykształconych absolwentów. I to był największy problem, jaki miał z Grant Institute of Technology Jeffrey. Większość profesorów i wszyscy studenci trzymali głowy zadarte tak wysoko do góry, że nie dostrzegali, jak wygląda realny świat wokół nich.

– Sibyl była błyskotliwym naukowcem – odezwał się Richard, pochyłony nad mikroskopem. Mruknął jeszcze coś pod nosem, po czym niespodziewanie wyprostował się i powiedział do Leny: – Miała nadzwyczajną pamięć.

– Musiała – odparła Lena i otworzyła notes.

Jeffreya nie po raz pierwszy ogarnęły wątpliwości, czy dobrze zrobił, pozwalając Lenie przyjechać do campusu razem z nim. Uspokajała go myśl, że dzięki temu kontroluje jej ruchy, a przecież wszystko miało swoją cenę. Po wydarzeniach wczorajszego dnia nie mógł już wierzyć, że będzie wykonywała jego polecenia. Tak więc lepiej było trzymać ją blisko przy sobie i mieć ją na oku, niż pozwolić, by chodziła własnymi drogami.

– Jej praca... – kontynuował Richard. – Naprawdę, wprost nie potrafię opisać, jaka była skrupulatna, z jaką radością do niej podchodziła. To rzadkość w naszej dyscyplinie. Sibyl była dla mnie wzorem.

– I słusznie – powiedziała Lena.

Richard posłał jej kwaśne, niechętne spojrzenie i zapytał:

– Kiedy będzie pogrzeb?

Pytanie zaskoczyło Lenę.

– Zostanie skremowana – odparła. – Tego chciała.

Richard złożył ręce na brzuchu. Znów popatrzył niechętnie na Lenę. Było to niemal protekcyjne spojrzenie, jednak nie do końca. Przez moment Jeffreyowi zdawało się, że kryje się za nim coś jeszcze, jednak to wrażenie szybko minęło. Richard odwrócił się do niego tyłem, a policjant doszedł do przekonania, że zbyt pośpiesznie wyciąga nietrafne wnioski.

– Dziś odbędzie się... Pewnie nazwałbyś to czuwaniem – powiedziała Lena. Szybko napisała coś na kartce, po czym wyrwała ją z notesu i podała Richardowi. – W Domu Pogrzebowym Brocka, King Street numer pięć.

Richard uważnie przeczytał notatkę, po czym starannie złożył kartkę na pół i jeszcze raz na pół. Dopiero wtedy schował ją do kieszeni laboratoryjnego fartucha. Głośno wciągnął powietrze nosem, po czym otarł jego koniec wierzchem dłoni. Jeffrey nie potrafił odgadnąć, czy chłopak jest przeziębiony czy po prostu stara się nie rozpłakać.

– Czy nikt obcy, zwracający na siebie uwagę, nie kręcił się ostatnio przy Sibyl albo jej laboratorium? – zapytała Lena.

Richard potrząsnął przecząco głową.

– W każdym razie nikt nowy. – Roześmiał się, ale zaraz gwałtownie zamilkł. – Chyba nie powinienem się śmiać.

– Nie – zgodziła się Lena. – Raczej nie.

Jeffrey odchrząknął, chcąc zwrócić uwagę młodego człowieka na siebie.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni, Richard?

– Po jej porannych zajęciach. Nie czuła się najlepiej. Chyba zaraziła mnie grypą. – Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, jakby chcąc dodatkowo potwierdzić swoje słowa. – Była wspaniałą osobą. Wprost trudno mi wyrazić, jakie miałem szczęście, że przyjęła mnie pod swoją opiekę.

– Co robiłeś, kiedy Sibyl wyszła z uczelni?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie poszedłem do biblioteki.

– Pewnie? – zapytał Jeffrey. Nie lubił tego typu zdawkowych odpowiedzi.

Richard jakby zrozumiał powód irytacji Jeffrey'a.

– Z całą pewnością poszedłem do biblioteki – poprawił się. – Sibyl poprosiła mnie, żebym odszukał dla niej pewne materiały źródłowe.

– Czy nie zauważyłeś przy niej nikogo, kto zachowywałby się dziwnie?

– Inicjatywę znów przejęła Lena. – Może ktoś starał się przebywać w jej towarzystwie częściej niż normalnie?

Richard stanowczo pokręcił głową i wydał wargi.

– Nikogo takiego nie spostrzegłem, naprawdę. Przecież dawno minęło już półrocze. Sibyl prowadziła zajęcia na wyższych latach, zdecydowana większość jej studentów przebywała tu więc od dawna.

– Żadnych nowych twarzy w tym tłumie? – zapytał Jeffrey. Richard znów przecząco pokręcił głową. Jeffrey porównał go w myślach do pie-sków z ruchomymi głowami, które czasami można zauważyć na tylnych półkach w samochodach.

– Nasza uczelnia to mała społeczność, wszyscy się tutaj dobrze znamy. Gdyby ktoś nagle zaczął odbiegać od normy, każdy by to zauważył.

Jeffrey miał właśnie zadać kolejne pytanie, jednak do laboratorium wszedł dziekan, Kevin Blake. Nie miał wesołej miny.

– Szefie Tolliver – powiedział. – Rozumiem, że przyszedł pan do nas w sprawie zaginionej studentki.

Julia Matthews studiowała fizykę i była już na trzecim roku. Według dziewczyny, która dzieliła z nią pokój, zniknęła przed dwoma dniami.

Jeffrey uważnie oglądał pokój Julii Matthews w domu studenckim. Na ścianach wisiały plakaty z napisami sławiącymi sukcesy i zwycięstwa. Na stoliku przy łóżku stała fotografia zaginionej dziewczyny. Pozowała do zdjęcia u boku dwojga starszych ludzi, zapewne swoich rodziców. Julia Matthews była atrakcyjną dziewczyną. Na fotografii długie, ciemne włosy spięte miała po bokach głowy w dwa kucyki. Miała trochę nierówne przed-



nie zęby, jednak poza tym była śliczną, młodą dziewczyną. Jeffrey zauważył, że była bardzo podobna do Sibyl Adams.

– Wyjechali – wyjaśniła współlokatorka zaginionej, Jenny Price. Podczas gdy Jeffrey i Lena przeszukiwali pokój, stała w progu, nerwowo bawiąc się palcami. – Właśnie obchodzą dwudziestą rocznicę ślubu – kontynuowała, mając na myśli rodziców Julii. – Popłynęli na wyspy Bahama.

– To bardzo ładna dziewczyna – odezwała się Lena, chcąc uspokoić Jenny.

Jeffrey zastanawiał się, czy Lena zauważyła podobieństwo pomiędzy Julią Matthews a swoją siostrą. Obie miały skórę o oliwkowej barwie i bardzo ciemne włosy. Sprawiały wrażenie, iż są w tym samym wieku, mimo że Sibyl w rzeczywistości była o dziesięć lat starsza. Jeffrey poczuł się trochę skonsternowany. W chwili, w której przyszło mu do głowy, że do obu dziewczyn podobna jest także Lena, odstawił fotografię na miejsce.

– Kiedy stwierdziłaś, że Julia zaginęła? – zapytała Lena.

– Chyba wczoraj, kiedy wróciłam z zajęć – odpowiedziała Jenny. Na jej twarzy pojawił się lekki rumieniec. – Już wcześniej zdarzało się, że nie wracała na noc.

– Rozumiem.

– Początkowo myślałam, że jest gdzieś z Ryanem. To jej poprzedni chłopak. – Jenny na chwilę umilkła. – Zerwali ze sobą jakiś miesiąc temu. Kilka dni temu spotkałam ich razem w bibliotece, wieczorem, o dziewiątej. Później już nie widziałam Julii.

Mając na myśli chłopaka Julii, Lena odezwała się:

– To chyba stresująca rzecz, jeśli się próbuje z kimś ułożyć życie, mimo natłoku zajęć lekcyjnych i prac, które trzeba wykonywać po lekcjach.

Jenny posłała jej słaby uśmiech.

– Tak. Ryan jest na wydziale rolniczym. Ma prawie tyle samo zajęć co Julia. – Uniosła wzrok ku sufitowi. – Jeśli tylko jego roślinki nie poumierają, zda na następny rok. Ale to prawda, wszyscy uczyliśmy się po nocach, żeby później jakoś wypaść na zajęciach laboratoryjnych.

– Pamiętam, jak to było – powiedziała Lena, chociaż w życiu nie uczęszczała do college'u. To, że kłamstwa przychodziły jej tak łatwo, zarówno fascynowało, jak i niepokoiło Jeffrey'a. Bez wątplenia jednak trudno było zna-

leżć kogoś lepszego od niej w przesłuchiwaniu ludzi.

Jenny znów się uśmiechnęła. Zdawała się teraz bardziej rozluźniona.

– Ryan to jej absolutnie pierwszy chłopak. Julia była na niego bardzo zła. – Rzuciła nerwowe spojrzenie na Jeffreya. – Obraziła się na niego, wie pani? Ale kiedy zerwali, zachorowała z żalu. W ogóle nie wychodziła z łóżka.

Lena zniżyła głos, jakby chciała, żeby Jeffrey jej nie usłyszał.

– Zerwali dlatego, że nie miała dla niego dość czasu? – zapytała.

Jenny pokiwała głową.

– Zapewne, kiedy spotkałaś ich w bibliotece, wcale się nie uczyli, co?

Jenny popatrzyła na Jeffreya.

– Nie – powiedziała i roześmiała się nerwowo.

Lena stanęła tak, żeby dziewczyna nie mogła widzieć Jeffreya. On zrozumiał, o co chodzi, i stanął tyłem do kobiet, udając, że jest bardzo zainteresowany czymś na biurku Julii. Lena tymczasem zmieniła sposób rozmowy. Zachowywała się teraz tak, jakby chciała jedynie prowadzić z Jenny swobodny dialog.

– Co myślisz o Ryanie?

– Chodzi pani o to, czy go lubię?

– Tak, ale niezupełnie. Czy to, obiektywnie rzecz biorąc, miły chłopak?

Dziewczyna przez chwilę milczała. Jeffrey wziął z półki jakieś opasłe dzieło naukowe i zaczął wertować kartki.

– Widzi pani, facet wydaje mi się trochę samolubny – odpowiedziała wreszcie Jenny. – I bardzo się awanturował, kiedy czasem mówiła mu, że nie może się z nim zobaczyć.

– Chciał ją stale kontrolować?

– Tak, tak myślę. Julia to dziewczyna z prowincji i Ryan w pewien sposób to wykorzystywał. Ona niewiele jeszcze wie o świecie, ale jest przekonana, że Ryan jest już bardzo doświadczony.

– A jest?

– Dobry Boże, nie. – Jenny roześmiała się. – To znaczy, on nie jest złym chłopakiem...

– Oczywiście, że nie.

– On jest po prostu... – Urwała na chwilę. – Na przykład bardzo nie

lubi, jak ona rozmawia z innymi mężczyznami. Chyba boi się, że szybko natrafi na kogoś lepszego od niego. Przynajmniej tak sędzę. Tymczasem Julia, zanim zjawiła się tutaj, przez całe życie chowana była pod kloszem. Nie wie, w jaki sposób zwracać na siebie uwagę wartościowych chłopaków. – Znów umilkła. – Ryan nie jest zły, ale czasami bywa natrętny, rozumie pani? Musi wiedzieć, dokąd Julia idzie, z kim będzie przebywać, kiedy wróci i tak dalej. Właściwie, gdyby to od niego zależało, nie miałyby ani chwili dla siebie.

– Czy kiedykolwiek ją uderzył? – Głos Leny wciąż był niski, konfiden-  
cjonalny.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. – Ponownie chwila ciszy. – Ale dużo na nią krzyczał. Czasami, kiedy wracała po zajęciach, słyszałam wrzaski przez drzwi. Nie, żebym podsłuchiwała, ale musiałam na chwilę przystanąć, rozumie pani?

– Jasne. Żeby się upewnić – zgodziła się Lena.

– Właśnie – przytaknęła Jenny i nerwowo zachichotała. – Hmm, pewnego razu słyszałam, jak wykrzykiwał do niej okropne świństwa.

– Na przykład?

– No, że jest złą dziewczyną. Pójdzie do piekła za to, że jest taka niedobra.

Przed zadaniem kolejnego pytania Lena zastanawiała się dłuższą chwilę.

– Czy Ryan jest wierzący?

Jenny prychnęła szyderczo.

– Kiedy mu wygodnie. Wie, że Julia jest bardzo religijna. Chodzi regularnie do kościoła i tak dalej. A raczej chodziła, kiedy mieszkała jeszcze w domu. Często opowiadała, jak śpiewała w chórze kościelnym. Mówiła, że chce być dobrą chrześcijanką i tym podobne rzeczy.

– Ale Ryan nie wierzy w Boga?

– Udaje, że wierzy, i to tylko wtedy, kiedy może przez to wpływać na Julię. A przecież nosi te wszystkie kolczyki, zawsze ubiera się na czarno i...

– Jenny zamilkła.

– Co chciałaś powiedzieć? – zapytała Lena niemal szeptem. – Nikomu nie powtórzę. – Jeszcze bardziej zniżyła głos.

Jenny coś wyszeptała, jednak jej słowa nie dotarły do Jeffreya.

– Och! – zawołała nagle Lena, która zrozumiała Jenny. – Chłopacy to tacy głupcy!

Jenny roześmiała się.

– Ale ona mu wierzyła.

Lena zachichotała również, po czym rzuciła kolejne pytanie:

– Cóż Julia robiła takiego złego, jak sądzisz? Z jakiego powodu Ryan mógł się na nią aż tak bardzo rozzłościć?

– Nic – odpowiedziała Jenny gwałtownie. – Później zadałam jej takie samo pytanie. Nie odpowiedziała mi ani słowem. Pamiętam, przeleżała wtedy cały dzień w łóżku i w ogóle nic nie mówiła.

– Czy to wówczas ze sobą zerwali?

– Mniej więcej – potwierdziła Jenny. – W zeszłym miesiącu, jak już pani powiedziałam. – Po chwili, zmartwionym głosem, rzuciła pytanie: – Chyba nie uważa pani, że on ma coś wspólnego z zaginięciem Julii, co?

– Nie, nie martwiłabym się o to.

Niespodziewanie Jeffrey odwrócił się i zapytał:

– Jak nazywa się ten Ryan?

– Gordon – odparła dziewczyna. – Uważa pan, że Julia ma kłopoty?

Jeffrey nie odpowiedział od razu. Mógł, oczywiście, powiedzieć Jenny, żeby się nie martwiła o koleżankę, jednak taka odpowiedź mogłaby jej dać fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Wybrał inny wariant.

– Nie wiem, Jenny. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ją znaleźć.

Krótką wizyta w dziekanacie pozwoliła policjantom dowiedzieć się, na jakich zajęciach powinien właśnie przebywać Ryan Gordon. Skrzydło wydziału rolniczego znajdowało się na skraju kampusu. Idąc w tym kierunku, Jeffrey odczuwał coraz większe zaniepokojenie. Zdawał sobie sprawę, że Lena jest równie spięta. Minęły już dwa dni od zbrodni, a oni nie mieli żadnego wyraźnego śladu. Być może w tej chwili szli na spotkanie z człowiekiem, który zamordował Sibil Adams.

Jeffrey nie spodziewał się, że zaprzyjaźni się z Ryanem Gordonem, jednak w chłopaku było coś takiego, co nastawiło go przeciwko niemu w tej samej chwili, w której go zobaczył. Miał przekłutą brew i uszy, metalowy kolczyk zwisał mu nawet z przebitej przegrody nosowej. Kolczyk był czarny i chyba zardzewiały i na pierwszy rzut oka nadawał się raczej do znaczenia bydła niż jako ozdoba czy biżuteria dla człowieka. Jenny nie opisała Ryana Gordona zbyt miłymi słowami, jednak przypominając je sobie, Jeffrey musiał przyznać, że była dla niego bardzo wyrozumiała. Ryan wyglądał wstrętnie. Na twarzy miał trądzik i białe paski jakiejś maści leczniczej. Tłuste włosy wyglądały, jakby nie mył ich przez długie tygodnie. Jego czarne dżinsy i czarna koszula były wymięte. Dobiegał od niego nieprzyjemny odór.

Julia Matthews, jakkolwiek by na nią spojrzeć, była bardzo atrakcyjną dziewczyną. W jaki sposób ktoś taki jak Ryan Gordon potrafił zdobyć jej uczucie? Odpowiedź na to pytanie pozostawała dla Jeffreya zagadką.

Zauważył, że uprzejmy wyraz twarzy, jaki zachowywała Lena przy Jenny, zniknął. Przeszła przez całą salę dydaktyczną, nie zważając na zaciekawione spojrzenia studentów, głównie chłopaków. Wreszcie przystanąła przed pierwszą ławką.

– Ryan Gordon? – zapytała, pochylając się nad chłopakiem. Jej marynarka lekko odchyliła się i Jeffrey zauważył, jak spojrzenie Gordona kieruje się ku ukrytemu pod nią rewolwerowi. Usta miał jednak zaciśnięte, a kiedy się odezwał, Jeffrey z trudem zwalczył w sobie ochotę, by go uderzyć.

– Czego chcesz, suko?

Jeffrey złapał Gordona za kołnierzyk i bezceremonialnie wywłókł z sali. Nie miał złudzeń: kiedy wróci na komisariat, będzie już na niego czekało żądanie, by wytłumaczył się z tego przed burmistrzem.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, Jeffrey pchnął chłopaka na ścianę. Następnie wyciągnął chusteczkę i wytarł z dłoni tłusty brud.

– Mają w tym twoim akademiku prysznic? – zapytał.

Głos Gordona był cienki i piskliwy, dokładnie taki, jakiego Jeffrey się spodziewał.

– Wiedziałem, że policja jest brutalna – powiedział.

Ku zaskoczeniu Jeffreya, Lena uderzyła chłopaka otwartą dłonią

w twarz.

Gordon potarł policzek, mierząc Lenę wzrokiem. Powstała niemal komiczna sytuacja. Chłopak był chudy jak tyczka i o wiele lżejszy od policjantki, która dorównywała mu wzrostem. Jeffrey zdawał sobie sprawę, że jeśli Ryan popełni błąd i rzuci się na nią, Lena zdolna jest do rozerwania mu gardła gołymi rękami.

Gordon zdawał się to rozumieć. Przyjął pasywną postawę i zaczął mówić. Kółko, tkwiące w przegrodzie nosowej, śmiesznie podskakiwało, kiedy wypuszczał powietrze.

– Czego ode mnie chcesz, człowieku?

Oślonił się rękami, kiedy Lena chciała złapać za koszulę pod jego szyją.

– Ręce wzdłuż ciała, śmieciu – zażądała. Sprawnym ruchem wydobyla na wierzch krzyżyk, wiszący na jego szyi. – Sympatyczny wisiorek – skomentowała.

– Gdzie byłeś w poniedziałek po południu? – zapytał Jeffrey.

Gordon przez chwilę przenosił, zdezorientowany, spojrzenie z jednej twarzy na drugą.

– Co takiego?

– Gdzie byłeś w poniedziałek po południu? – powtórzył Jeffrey.

– Nie wiem, człowieku! – zapiszczał. – Pewnie spałem. – Pociągnął nosem. Jeffrey z obrzydzeniem patrzył, jak podskakuje jego kolczyk.

– Stań twarzą do ściany – zarządziła Lena i, nie czekając na jego reakcję, odwróciła Gordona. Chciał protestować, ale Lena uspokoiła go skutecznym kuksańcem. Bez słowa już wykonał jej polecenie: rozstawił nogi, a ręce podniósł do góry.

Szybko zrewidowała go, mówiąc przy tym:

– Mam nadzieję, że nie natrafię na żadną igłę. Nie skaleczę się niczym?

– Nie – wystękał Gordon akurat wtedy, gdy wsuwała dłoń do przedniej kieszeni jego spodni.

Wyciągnąwszy torebkę z białym proszkiem, Lena uśmiechnęła się.

– To chyba nie jest cukier, co? – zapytała Jeffreya.

Jeffrey wziął do ręki torebkę, zaskoczony. Narkotyk wyjaśniałby wstrętny wygląd chłopaka. Narkomani to najbardziej zapuszczeni i zaniebdani osobnicy na świecie. Po raz pierwszy tego ranka był zadowolony, że

zabrał Lenę ze sobą. Sam nie wpadłby chyba na pomysł, żeby przeszukać chłopaka.

Gordon popatrzył przez ramię, wbijając wzrok w torebkę.

– To nie są moje spodnie.

– Wszystko jasne – mruknęła Lena. Znow odwracając Gordona, zapytała: – Kiedy ostatni raz widziałeś Julię Matthews?

Wyraz twarzy Gordona odzwierciedlał jego myśli. Bez wątpienia wiedział, o co chodzi policjantom. Biały proszek był jego najmniejszym problemem.

– Zerwaliśmy przed miesiącem.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Kiedy ostatni raz widziałeś Julię Matthews? – powtórzyła.

Gordon splótł ręce na piersiach. W tym samym momencie Jeffrey zrozumiał, że jednak źle rozegrali z Leną tę sytuację. W jego myślach zabrzmiały następne słowa Gordona, jeszcze zanim zostały wypowiedziane:

– Chcę rozmawiać z adwokatem.

Jeffrey położył nogi na blat stołu. Znajdowali się w pokoju przesłuchań, czekając, aż Ryan Gordon zmięknie. Niestety, od momentu, w którym Lena pouczyła go o jego prawach, trzymał język za zębami. Szczęście sprzyjało policjantom przynajmniej w jego pokoju w akademiku. Współmieszkaniec Gordona z prawdziwą radością zgodził się na przeszukanie. Poza zwojem bibułki do papierosów oraz brzytwą, leżącą na ramie brudnego lustra, nie natrafili jednak na nic bardziej podejrzanego. Jeffrey nie był niczego pewien, jednak sądząc po aparycji chłopaka mieszkającego z Gordonem, narkotyk mógł naprawdę należeć do któregośkolwiek z nich. Staranne przeszukanie laboratorium, w którym pracował Gordon, także nie przyniosło niczego nowego. Można była przyjąć założenie, że Julia Matthews rzeczywiście zorientowała się, jakim dupkiem jest jej przyjaciel i zerwała z nim.

– Spieprzyliśmy sprawę – powiedział Jeffrey, opierając dłoń na egzemplarzu „Grant County Observer”.

– Tak – przytaknęła Lena.

Jeffrey wziął głęboki oddech.

– Kto by przypuszczał, że taki szczeniak natychmiast zażąda adwokata.

– Gnojek za dużo gapił się w telewizor.

A jednak powinni wziąć to pod uwagę. Byle idiota w tym kraju, mający dostęp do telewizora, wiedział, że gdy gliniarze pojawiają się u drzwi, należy natychmiast skontaktować się z prawnikiem.

– Mogłam być trochę łagodniejsza – stwierdziła Lena. – Jeśli to facet, którego szukamy, rozumiem, że nie ucieszył się, kiedy zaczęła go popychać kobieta. – Roześmiała się ponuro. – Tym bardziej ja, tak podobna do swojej siostry.

– Może to podobieństwo coś nam da? – myślał głośno Jeffrey. – Co byś powiedziała, gdybym zostawił cię tutaj z Gordonem, i sam poszedł na spotkanie z Buddym Confordem?

– Dostał Buddy'ego? – zawołała Lena. W jej głosie brzmiał niesmak. W Grant było wielu adwokatów, którzy przyjmowali za skromne honoraria funkcje obrońców z urzędu. Spośród nich Buddy Conford był najtwardszy i najbardziej nieustępliwy.

– Ma dyżur w tym miesiącu – powiedział Jeffrey. – Jak myślisz, czy Gordon jest na tyle głupi, że zacznie mówić?

– Wcześniej nigdy go nie aresztowano. A nie wygląda mi na największego bystrzaka.

Jeffrey milczał; czuł, że Lena jeszcze nie skończyła.

– Bez wątplenia jest na mnie wkurzony za to, że go uderzyłam. Może wnerwie go jeszcze bardziej? Na początku spróbuję się do niego nie odzywać.

Jeffrey pokiwał głową.

– To może podzielać.

– W każdym razie nie zaszkodzi.

Przez chwilę oboje milczeli. Jeffrey wpatrywał się w stół. Wreszcie postukał palcem w rozłożoną gazetę. Większość pierwszej strony zajmowała fotografia Sibyl Adams.

– Chyba to widziałaś?

Lena jedynie skinęła głową, nie patrząc na gazetę. Jeffrey odwrócił kartkę.

– Nie napisali, że została zgwałcona, jednak chyba coś czują. Powie-



działem im, że ją pobito, chociaż to nieprawda.

– Wiem – mruknęła Lena. – Czytałam.

– Frank i chłopacy nie natrafili na razie na nikogo interesującego, chociaż od wczoraj chodzą z listą przestępców na tle seksualnym od drzwi do drzwi. Dwóm facetom Frank przyjrzał się dokładniej, jednak nic z tego nie wyniknęło. Obaj mieli alibi.

Lena wpatrywała się w swoje dłonie.

– Po rozmowie z Gordonem będziesz mogła już iść – kontynuował Jeffrey. – Potrzebujesz trochę spokoju.

Jej zgoda zaskoczyła Jeffreya.

– Dziękuję ci.

Rozległo się pukanie i w drzwiach pojawiła się głowa Brada Stephensa.

– Mam tu waszego ptaszka.

– Wprowadź go. – Jeffrey wstał.

Ryan Gordon wyglądał znacznie mizerniej w pomarańczowym kaftanie więziennym niż w czarnych dżinsach i koszuli. Szurał nogami, na które włożono mu pomarańczowe klapki. Miał mokre włosy po kąpieli, którą Jeffrey zarządził natychmiast po przetransportowaniu go do komisariatu. Ręce miał skrępowane z tyłu kajdankami. Wychodząc z pokoju, Brad wręczył Jeffreyowi kluczyki.

– Gdzie jest mój adwokat? – zapytał Gordon.

– Przyjdzie tu mniej więcej za piętnaście minut – odparł Jeffrey i pchnął chłopaka na krzesło. Rozpiął kajdanki, jednak zanim Gordon zdążył poruszyć rękami, przypiął mu je do krzesła.

– Za ciasno – jęknął chłopak i szarpnął się, chcąc podkreślić, jak mu jest niewygodnie. Pociągnął za krzesło, jednak nic mu to nie dało.

– Uspokój się – mruknął Jeffrey, po czym powiedział do Leny: – Zostawiam cię tu z nim. Tylko nie pozwól mu mówić nic, zanim nie zaczniemy protokołować. Rozumiesz?

– Tak jest, szefie – odpowiedziała regulaminowo.

– To nie żarty, detektywie.

Posłał Lenie spojrzenie, które dla Gordona miało wyglądać groźne, po

czym wyszedł z pokoju. Otworzywszy na korytarzu pierwsze drzwi po prawej stronie, znalazł się w pomieszczeniu obserwacyjnym. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach stanął przed lustrem weneckim i zaczął obserwować Gordona i Lenę.

Pokój przesłuchań był stosunkowo mały, jego ściany wykonano z cementowych bloków, byle jak pomalowanych. Na środku znajdował się stół, przyśrubowany do podłogi, a wokół niego przy długich bokach stały trzy krzesła: dwa z jednej strony i kolejne naprzeciwko. Jeffrey patrzył, jak Lena bierze do ręki gazetę. Minęły zaledwie sekundy, gdy nogi oparła, jak on wcześniej, na blacie stołu, wygodnie rozsiadła się na krześle i zaczęła kartkować „Grant County Observer”. Mikrofony rejestrowały głośny szelest papieru.

– Chcę się napić wody – odezwał się Gordon po chwili.

– Nic nie mów – zarządziła Lena. Mówiła tak cicho, że Jeffrey musiał przekręcić gałką potencjometru dla lepszego odbioru.

– Dlaczego? Możesz mieć kłopoty?

Lena nie odrywała wzroku od gazety.

– Będziesz miała kłopoty – oznajmił Gordon, pochylając się w jej kierunku tak daleko, jak tylko mógł. – Powiem mojemu adwokatowi, że uderzyłaś mnie w twarz.

Lena parsknęła śmiechem.

– Ile ty ważysz, sto pięćdziesiąt funtów? Masz jakieś pięć stóp i sześć cali wzrostu? – Odłożyła gazetę i posłała mu niewinne spojrzenie. Niespodziewanie zaczęła mówić wysokim, dziewczęcym głosem. – Wysoki sędzie, nigdy w życiu nie uderzyłam zatrzymanego. A Ryan Gordon? Przecież jest taki duży i silny, obawiałabym się o swoje życie.

Oczy Gordona zwięziły się.

– Myślisz, że jesteś zabawna?

– Tak – odpowiedziała Lena, powracając do gazety. – Tak właśnie myśle.

Gordon przez minutę lub dwie rozważał sytuację. Wreszcie wskazał na gazetę.

– Jesteś siostrą tej lesby?

Głos Leny nadal brzmiał beztrosko, chociaż Jeffrey zdawał sobie spra-

wę, że kobieta z trudem powstrzymuje się teraz, by nie przejść na drugą stronę stołu i nie zabić chłopaka.

– Tak, rzeczywiście.

– Ktoś ją zabił – stwierdził Gordon. – Wszyscy w kampusie wiedzieli, że była lesbą.

– Bo była.

Gordon pogardliwie wyduł wargi.

– Pierdolona lesbą.

– Właśnie. – Lena ze znudzoną miną przekartkowała gazetę.

– Lesbą – powtórzył Gordon. – Pieprzony pizdoliz. – Urwał, czekając na reakcję Leny. Cisza jedynie go rozżłościła. – Zboczeniec seksualny.

Lena westchnęła ze znudzeniem.

– Chyba wiem, dlaczego mnie tu zamknęliście – mówił znów Gordon. – Myślicie, że zgwałciłem tę sukę.

Lena uniosła wyżej gazetę, żeby Gordon nie widział jej twarzy. Jeffrey zdawał sobie sprawę, że jej serce bije teraz równie szybko jak jego własne. Czy Gordon zgadywał, czy przygotowywał się do wyznania prawdy?

– A zgwałciłeś ją? – zapytała Lena.

– Być może. – Gordon zaczął kołysać krzesłem jak mały chłopiec, który chce zwrócić na siebie uwagę. – Może ją przerzynałem? Chcesz wiedzieć, w jaki sposób?

– Jasne – odparła Lena. Odłożyła gazetę i skrzyżowała ręce na piersiach. – Możesz mi o tym powiedzieć, dlaczego nie?

Gordon pochylił się ku niej.

– To się stało w łazience, wiesz?

– To ty wiesz, ty mi to powiedz.

– Myła łapska, a ja wszedłem tam i posunąłem ją w dupę. Tak jej się to spodobało, że na miejscu wykitowała z rozkoszy.

Lena ciężko westchnęła.

– I tylko tyle potrafisz? – zapytała.

Zdawał się urażony.

– Nie.

– Może więc powiesz mi, co zrobiłeś Julii Matthews?

Wyprostował się i położył ręce na stole.

– Nic jej nie zrobiłem.

– A więc gdzie ona teraz jest?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie nie żyje.

– Dlaczego tak mówisz?

Pochylił się do przodu i oparł pierś o brzeg stołu.

– Już wcześniej próbowała sama się zabić.

– Wiem. Podcinała sobie żyły – rzuciła Lena, jakby od niechcienia.

– No właśnie – przytaknął Gordon, chociaż Jeffrey dostrzegł zaskoczenie rysujące się na jego twarzy. Jeffrey był również zaskoczony, chociaż to mogło mieć sens. Spośród wielu metod samobójstwa kobiety najczęściej wybierają podcięcie żył. Lena doskonale o tym wiedziała.

– Cięła się w zeszłym miesiącu – stwierdziła Lena.

Gordon pochylił głowę i posłał jej ostre spojrzenie.

– Skąd o tym wiesz?

Lena znów westchnęła i ponownie skoncentrowała się na gazecie. Dość gwałtownie ją otworzyła i zaczęła czytać. Tymczasem Gordon po raz kolejny rozpoczął bujanie na krześle.

– Gdzie ona jest, Ryan? – zapytała Lena, nie odrywając wzroku od gazety.

– Nie wiem.

– Zgwałciłeś ją?

– Nie musiałem jej gwałcić. Suka, w głowie było jej tylko pieprzenie. Bez przerwy szukała okazji, żeby na mnie wsiąść.

– Siadała na tobie?

– Jasne.

– Tylko w takiej pozycji potrafiłeś ją zaspokoić?

– Do cholery! – Gordon kopnął sąsiednie krzesło. – W ogóle nie powinnaś ze mną rozmawiać.

– Dlaczego?

– Bo to nieoficjalna rozmowa. Mogę powiedzieć, co mi się będzie podobało, a ty i tak nie będziesz mogła tego wykorzystać.

– A co chcesz powiedzieć?

Wydał wargi. Pochylił się jeszcze bardziej do przodu.

– Może chciałbym porozmawiać jeszcze o twojej siostrze? – wyszeptał.  
Lena zignorowała go.

– Może chciałbym porozmawiać o tym, jak ją zająłem na śmierć?

– Wyglądasz mi na faceta, który nie potrafi używać młotka.  
Wydawał się zdumiony tym stwierdzeniem.

– Potrafię, potrafię – zapewnił. – Walnąłem ją w głowę, a potem napię-  
przałem młotkiem po całym ciele.

Lena przekartkowała gazetę.

– Co zrobiłeś z tym młotkiem?

– Chciałabyś wiedzieć? – Wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Czym zawiniła ci Julia, Ryan? – zapytała Lena zdawkowo. – Może  
marnowała z tobą czas? Może znalazła prawdziwego faceta?

– Pieprzyć tę sukę! – warknął Gordon. – To ja jestem prawdziwym face-  
tem.

– Racja.

– Zdejmij mi te kajdanki, a ci pokażę.

– Nie wątpię – powiedziała Lena. Ton jej głosu świadczył, że prze-  
chwálki Gordona nie robią na niej wrażenia. – Dlaczego zaczęła cię unikać?

– Nic z tych rzeczy! – zaprotestował. – To pewnie ta suka, Jenny Price,  
nagadała ci głupot. Ona nie ma o nas zielonego pojęcia.

– Także o tym, że Julia miała cię dość? O tym, że łąziłeś za nią bez prze-  
rwy, że nie dawałeś jej chwili spokoju?

– I o to w tym wszystkim chodzi? – zdziwił się Gordon. – To dlatego  
mnie przyskrzyniliście?

– Zostałeś zatrzymany za posiadanie koki.

– Nie była moja – parsknął.

– Spodnie także nie były twoje?

Oparł piersi o brzeg stołu. Na jego twarzy pojawił się grymas złości.

– Posłuchaj, suko...

Lena gwałtownie wstała i przybliżyła twarz do jego twarzy.

– Gdzie ona jest?

Z ust Gordona pociekła strużka śliny.

– Pierdolę cię.

Gwałtownym ruchem Lena złapała za kółko, zwisające z jego nosa.

– O kurwa! – wrzasnął Gordon. Ciężko padł brzuchem na stół; nie zdołał zamortyzować uderzenia, ponieważ ręce miał skrępowane z tyłu. – Pomocy! – krzyknął. Wrzask był tak głośny, że aż zadrżała szyba oddzielająca pokój obserwacyjny od pokoju przesłuchań.

– Gdzie ona jest? – wyszeptała Lena.

– Nie wiem! – zawył. – Proszę, naprawdę nie wiem. Bo mi rozerwiesz nos!

Lena puściła kółko i wytarła dłoń w spodnie.

– Ty mały, zasrany głupcze.

Ryan zmarszczył nos, zapewne chcąc sprawdzić, czy wciąż jest na miejscu.

– To bolało – pisnął.

– Mam poprawić? – zapytała Lena, opierając dłoń na rękojeści rewolweru.

Gordon opuścił głowę, mrużąc pod nosem:

– Próbowала się zabić, ponieważ ją zostawiłem. Tak bardzo mnie kochała.

– Myślę, że zawróciłaś jej w głowie – stwierdziła Lena. – Julia była nieodświadczoną dziewczyną, dopiero zaczynała uczyć się samodzielnego życia, a ty ją wykorzystałaś. – Wstała i znów pochyliła się nad stołem. – A jeśli chodzi o ciebie, nie masz na tyle jaj, żeby zabić muchę, a co dopiero człowieka. Jeśli jeszcze kiedykolwiek... – Lena uderzyła otwartymi dłońmi w stół; jej złość eksplodowała jak granat. – Jeśli jeszcze kiedykolwiek usłyszę, że mówisz o mojej siostrze, chłopaczku, cokolwiek, zabiję cię, możesz mi wierzyć. Nie zawaham się ani przez chwilę.

Usta Gordona poruszały się, jednak milczał. Jeffrey był tak zaaferowany spektaklem za szybą, że nie usłyszał pukania do drzwi.

– Szefie – odezwała się Marla, wsuwając głowę do pokoju obserwacyjnego – mamy problem z Willem Harrisem.

– Z Willem Harrisem? – powtórzył Jeffrey. Nie spodziewał się usłyszeć dzisiaj tego nazwiska. – Co się stało?

Marla weszła do środka i zniżyła głos:

– Ktoś rzucił kamieniem we frontową szybę jego domu.

Kiedy Jeffrey zajechał na miejsce, Frank Wallace i Matt Hogan stali na trawniku przed domem Willa. Sprawiali wrażenie, jakby byli tutaj już dość długo. Jeffreyowi przemknęła przez głowę myśl, że może już wiedzą, kto rzucił kamieniem. Matt Hogan nigdy nie starał się ukrywać swoich uprzedzeń, inaczej niż Frank. Jeffrey nigdy do końca nie odgadł, jakie są jego poglądy na temat kolorowych. Wysiadłszy z samochodu, od razu poczuł napięcie. Nie lubił sytuacji, w których nie mógł ufać własnym ludziom, a w tej właśnie chwili w takiej sytuacji się znajdował.

– Do diabła, co się stało? – zapytał. – Kto to zrobił?

– Jakies pół godziny temu Will wrócił do domu. Powiedział, że pracował u starszej panny Berty, sprzątając jej podwórze. Kiedy się tu znalazł, zobaczył wybitą szybę.

– To był kamień?

– Właściwie cegła – odparł Frank. – Pełno ich tutaj dookoła.

– Macie tę cegłę?

Frank przez chwilę patrzył w ziemię, a potem znów spojrzał na Jeffreya.

– Will ją ma.

Jeffrey popatrzył na frontowe okno domu Willa. Teraz widoczna w nim była duża dziura. Boczne okna były całe, jednak naprawa tego jednego rozbitego z pewnością będzie dość droga.

– Gdzie on jest? – zapytał.

Matt ruchem głowy wskazał na drzwi. Jego oczy miały taki sam nieprzyjemny blask jak oczy Ryana Gordona przed kilkunastoma minutami.

– W domu – powiedział.

Jeffrey ruszył w kierunku domu, ale nagle się zatrzymał. Sięgnął do portfela i wyciągnął dwudziestodolarowy banknot.

– Idź i kup mu jakąś sklejkę – powiedział. – I wracaj jak najszybciej.

Matt zaniemówił, jednak Jeffrey postanowił to zlekceważyć. Popatrzył na niego groźnie.

– Coś chcesz powiedzieć?

– Może uda nam się dostać jakąś szybę? – wtrącił szybko Frank. – Skoro już tu jesteśmy...

– Tak – mruknął Matt i ruszył w kierunku samochodu.

Frank chciał iść za nim, ale Jeffrey zatrzymał go.

– Wiesz, kto mógł to zrobić? – zapytał.

Frank przez kilka chwil wpatrywał się w czubki swoich butów.

– Matt był ze mną przez całe przedpołudnie, jeśli o niego ci chodzi.

– Rzeczywiście, o niego.

Frank popatrzył Jeffreyowi w oczy.

– Powiem ci coś, szefie. Dowiem się, kto to zrobił. Zajmę się tym.

Nie zamierzał czekać na komentarz Jeffrey'a. Odwrócił się i poszedł w kierunku samochodu Matta. Jeffrey poczekał, aż odjadą, i dopiero wtedy skierował się do drzwi domu Willa.

Delikatnie zapukał i wszedł do środka. Will Harris siedział na krześle, na stoliku obok stała filiżanka mrożonej herbaty. Ujrawszy Jeffrey'a, wstał.

– Nie chciałem, żebyście tu przyjeżdżali – powiedział. – Złożyłem jedynie meldunek. Moja sąsiadka trochę mnie przestraszyła...

– Która sąsiadka?

– Pani Barr, po drugiej stronie ulicy. – Wskazał na okno. – To starsza kobieta. Powiedziała mi, że nie widziała, kto to zrobił. Pana ludzie już u niej byli. – Powrócił do stolika i podniósł z niego kartkę białego papieru. – Po raz drugi przestraszyłem się, kiedy zobaczyłem to.

Jeffrey wziął kartkę. Czytając napisane na maszynie słowa poczuł, jak w gardle rośnie mu wielka kula: „Uważaj na siebie, czarnuchu”.

Złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni. Oparł ręce na biodrach i powiedział:

– Ładnie tu mieszkasz.

– Dziękuję – odparł Will.

Jeffrey podszedł do okna. Miał złe przeczucia w związku z tym incydentem. Życie Willa Harrisa zostało nagle zagrożone, i to tylko z tego powodu, że Jeffrey z nim wczoraj rozmawiał.

– Będziesz miał coś przeciwko temu, że prześpię się dziś u ciebie na kanapie? – zapytał go niespodziewanie.

Will był zaskoczony.

– Myśli pan, że to konieczne?

Jeffrey wzruszył ramionami.

– Lepiej dmuchać na zimne, nie uważasz?



Lena siedziała przy kuchennym stole w swoim domu, wpatrując się w czarno-biały koktajl. Próbowwała uporządkować w myślach wszystkie wydarzenia dzisiejszego dnia. Była pewna, iż jedyne przestępstwo Ryana Gordona stanowił fakt, że był skończonym gówniarzem i dupkiem. Jeśli Julia Matthews była bystrą dziewczyną, wyjechała na jakiś czas do domu albo po prostu chwilowo gdzieś się ukrywała, chcąc dać do zrozumienia niechcianemu chłopakowi, żeby się od niej odczepił. A to, niestety, oznaczało, że wizyta w college'u nic jej i Jeffreyowi nie dała. Lista podejrzanych o zamordowanie jej siostry nadal była pusta.

Z każdą upływającą minutą, z każdą mijającą godziną, nieprzynoszącą śladu mordercy jej siostry, Lena była coraz bardziej rozżłoszczona. Sibyl zawsze ją ostrzegała, że złość to rzecz destrukcyjna i nigdy nie powinna się jej poddawać. Lecz ona nie potrafiła sobie już wyobrazić siebie samej w innym stanie – szczęśliwej albo chociażby po prostu smutnej. Strata otumaniała ją, a złość była jedyną rzeczą pozwalającą jej jeszcze wierzyć, że wciąż jest żywą osobą. Ogarnęła ją cała, rosła w niej jak rak. Potrzebowała złości, aby nie dopuszczać żalu ani rozpacz. Będzie na to czas, kiedy złapany zostanie morderca Sibyl, kiedy znajdzie się Julia Matthews.

– Sibby – westchnęła Lena i zakryła dłońmi oczy. Oczyma wyobraźni widziała siostrę nawet wtedy, gdy przesłuchiwała Gordona. Im bardziej chciała się pozbyć tego obrazu, tym energiczniej ją atakował.

Wspomnienia napływały urywkami filmów. W jednej chwili siedziała naprzeciwko Gordona, słuchając jego żalonych wynurzeń, a już w następnej była nastoletnią dziewczynką na plaży i prowadziła Sibyl do oceanu, by mogły razem poplaskać się w wodzie. Niemal zaraz po wypadku, w którym Sibyl straciła wzrok, Lena stała się jej oczami. To dzięki siostrze oglądała świat. Do dzisiejszego dnia Lena uważała, że te właśnie doświadczenia uczyniły z niej dobrą policjantkę i detektywa. Musiała uważać na szczegóły. Często czyniła to, co podpowiadał jej instynkt. Teraz instynkt podpo-

wiadał jej, że nie ma sensu zajmować się więcej Gordonem, że każda chwila jemu poświęcona, jest chwilą straconą.

– Jak się masz – powiedział Hank, sięgając do lodówki po cokie. Wyciągnął rękę z butelką w kierunku Leny, ona jednak odmówiła poczęstunku ruchem głowy.

– Skąd to masz? – zapytała.

– Byłem dziś w sklepie. Jak minął dzień?

Lena nie odpowiedziała na jego pytanie.

– Dlaczego poszedłeś do sklepu?

– Nie miałaś nic do jedzenia – odparł. – Aż dziw, że nie umierałaś z głodu.

– Nie musisz mi nic kupować. Kiedy wracasz do Reece?

Pytanie jakby go zabolowało.

– Myślę, że za kilka dni. Jeśli nie życzysz sobie mojej obecności w domu, mogę zamieszkać u Nan.

– Możesz tu zostać.

– Nie rób sobie kłopotu, Lee. Nan zdążyła mi już zaoferować miejsce na sofie.

– Nie musisz u niej mieszkać – warknęła Lena. – I dość już tego. Jeśli chcesz tu pobycć kilka dni, nie mam nic przeciwko temu. Ale tylko kilka dni.

– Mogę się przenieść do hotelu.

– Hank! – zawołała Lena. Zdała sobie sprawę, że jej głos jest głośniejszy, niż być powinien. – Daj już spokój, dobrze? Miałam naprawdę trudny dzień.

Hank bawił się butelką cokie.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Przed wypowiedzeniem słów: „Nie z tobą”, Lena w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Nie – odparła.

Hank wypił łyk cokie, wpatrując się w jakiś punkt ponad ramieniem Leny.

– Nie mamy żadnych śladów – powiedziała Lena. – Dysponujemy tylko listą. – Widząc zdziwione spojrzenie Hanka, uzupełniła: – Mamy listę ludzi,

którzy popełnili przestępstwa na tle seksualnym, a w ciągu ostatnich sześciu lat sprowadzili się do Grant.

– Robicie takie zestawienia?

– I dzięki Bogu – powiedziała Lena, w duchu oczekując już oburzenia wuja i gromkich uwag o prawach obywatelskich. Jako były narkoman, Hank miał tendencje do stawiania prawa do wolności osobistej ponad zdrowy rozsądek. A ona nie miała nastroju do dyskusji na ten temat.

– Masz tę listę?

– Wszyscy ją mamy – wyjaśniła Lena. – Pukamy do drzwi i próbujemy dopasować ludzi do zabójstwa Sibyl.

– Dopasować do zabójstwa?

Popatrzyła na niego, wahając się, czy wyjaśniać dalej.

– Chodzi o ludzi, którzy w przeszłości zostali skazani za przestępstwa seksualne z użyciem przemocy. Wśród tych ludzi musimy znaleźć faceta rasy białej, w wieku od dwudziestu ośmiu do trzydziestu pięciu lat. Kogoś, kto uważa siebie za religijnego. Kogoś, kto mógł kręcić się lub przebywać niedaleko Sibyl. Ktokolwiek ją zaatakował, znał jej zwyczaje, mamy więc do czynienia z osobą znającą ją przynajmniej z widzenia.

– Wygląda na to, że w grę wchodzi niewiele osób.

– Na liście jest prawie sto nazwisk.

Hank cicho gwizdnał.

– W Grant? – Kilkakrotnie z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Chodzi tylko o ostatnich sześć lat, Hank. Jeśli sprawdzimy wszystkich i do niczego nie dojdziemy, cofniemy się jeszcze bardziej. Może dziesięć albo i piętnaście lat wstecz.

Hank odgarnął dłonią włosy z czoła, dzięki czemu Lena mogła dokładnie zobaczyć rany na jego przedramieniu. Wskazała na nie palcem.

– Na wieczór włóż koszulę z długim rękawem – zażądała.

Hank popatrzył na stare ślady.

– Jeśli sobie tego życzysz, nie ma sprawy.

– Będą tam policjanci. Moi przyjaciele i znajomi. Ludzie, z którymi pracuję. Zobaczą te ślady i od razu zgadną.

– Nie trzeba być policjantem, żeby się zorientować, co to jest.

– Nie sprawiaj mi dodatkowych kłopotów, Hank. Wystarczy, że musia-

łam powiedzieć mojemu szefowi, że mój wujek to były narkoman.

– Bardzo mi przykro z tego powodu.

– Tak, oczywiście – powiedziała Lena. Powinna na niego nawrzeszczyć, pokłócić się z nim, zaatakować go. Tymczasem odwróciła się na krześle i odezwała się spokojnie: – Nie mam dziś nastroju na szczerą rozmowę.

– Przykro mi to słyszeć – odparł Hank. Nie ruszył się jednak z miejsca.

– Musimy porozmawiać o tym, co zrobić z prochami twojej siostry.

Lena uniosła do góry rękę, uciszając go.

– Nie teraz.

– Rozmawiałem z Nan...

Lena przerwała mu.

– Nie obchodzi mnie opinia Nan w tej sprawie.

– Ona była jej ukochaną osobą, Lee. Żyły razem...

– Tak jak i ja z Sibyl. Była moją siostrą, Hank. Na miłość boską, nie zamierzam pozwolić, żeby to Nan decydowała o jej losie po śmierci!

– Nan to bardzo miła osoba.

– Nie wątpię.

Hank przerzucał butelkę z ręki do ręki.

– Nie możemy odmówić jej wszelkich praw tylko dlatego, że jej nie lubisz, Lee. – Urwał na chwilę, po czym kontynuował. – Były w sobie nawzajem zakochane. Nie rozumiem, dlaczego zaakceptowanie tego jest dla ciebie problemem?

– Zaakceptowanie? – Lena roześmiała się. – Jakżebym mogła tego nie zaakceptować? Mieszkały razem. Jeździły razem na wakacje. – Przypomniała sobie komentarze Gordona. – Bez wątplenia wiedziała o tym cała pieprzona uczelnia! – Po chwili dodała spokojniej: – Przecież nie miałam wyboru.

Hank z westchnieniem usiadł na krześle.

– Być może, maleńka. Byłaś o nią zazdrosna?

Lena przekrzywiła głowę.

– O kogo?

– O Nan.

Roześmiała się.

– W życiu nie słyszałam, żebyś powiedział coś głupszego. A oboje wie-

my, że wygadywałeś już różne głupie rzeczy.

Hank wzruszył ramionami.

– Miałś Sibyl tylko dla siebie przez długi czas. Wyobrażam sobie, że fakt, iż się z kimś spotykała, z kimś się związała, mógł być dla ciebie trudny do zaakceptowania.

Całkowicie zaskoczona, Lena otworzyła szeroko usta. Kłótnia, na którą nie miała siły, mimo wszystko zawisła w powietrzu.

– Sądzisz, że byłam zazdrosna o Nan Thomas dlatego, że pieprzyła moją siostrę?

Hank drgnął, słysząc te słowa.

– Uważasz, że tylko o to im chodziło?

– Nie wiem, o co im chodziło, rozumiesz? O tej części jej życia w ogóle z Sibyl nie rozmawiałam.

– Wiem.

– Dlaczego więc poruszasz ten temat?

Hank odpowiedział dopiero po długiej chwili.

– Nie jesteś jedyną osobą, która ją utraciła.

– A czy kiedykolwiek twierdziłam, że jestem? – Lena wstała.

– Tak mi się czasami wydaje – odpowiedział Hank. – Posłuchaj, Lee, może powinnaś o tym z kimś porozmawiać?

– Właśnie rozmawiam o tym z tobą.

– Nie chodzi o mnie. – Hank zmarszczył czoło. – Ale, na przykład, o tego chłopaka, z którym się spotykasz.

Lena roześmiała się.

– Zerwałam z Gregiem ponad rok temu, ale nawet gdybym nie zerwała, nie wyobrażam sobie, żebym mogła wypłakiwać mu się w koszulę.

– Nie to miałem na myśli.

– To dobrze.

– Na tyle cię przecież znam.

– Gównu o mnie wiesz – powiedziała Lena ze złością. Niemal wybiegła z kuchni i przeskakując po schodach po dwa stopnie, z zaciśniętymi pięściami pognęła do sypialni. Z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi.

W szafie miała głównie żakiety i spodnie, na samym spodzie natrafiła jednak na czarną sukienkę. Ustawiła deskę do prasowania, jednak kiedy

zdejmowała z półki żelazko, uczyniła to tak niezdarnie, że spadło na podłogę, boleśnie uderzając ją w stopę.

– Cholera jasna – syknęła, łapiąc się za uderzone miejsce. Usiadła na łóżku, masując stopę. To wszystko wina Hanka, to on doprowadził ją do takiego stanu. Zawsze tak się wobec niej zachowywał, zawsze w nieodpowiedniej chwili wyskakiwał ze swoją filozofią nawróconego nałogowca. Jeśli dzięki tej filozofii nie zaćpał się ani nie zapił na śmierć, proszę bardzo, ale dlaczego próbował narzucać ją Lenie?

Ocena, że Lena była zazdrosna o Nan, brzmiała po prostu śmiesznie. Przez całe życie czyniła przecież wszystko, żeby Sibyl stała się niezależną osobą. To Lena czytała na głos wszystkie szkolne teksty, żeby Sibyl nie musiała czekać na wersję zapisaną alfabetem Braille'a. To Lena pomagała siostrze przygotowywać się do ustnych egzaminów. Robiła to wszystko dla jej przyszłej niezależności, by Sibyl kiedyś dostała pracę, by mogła żyć swoim życiem.

Ułożyła sukienkę na desce do prasowania. Wygładziła dłonią materiał, przypominając sobie chwile, kiedy po raz ostatni pogmiotła tę sukienkę. Sibyl poprosiła ją, żeby poszła z nią na wydziałową imprezę w college'u. Mimo zaskoczenia Lena zgodziła się. Nie czuła się dobrze wśród studentów, to nie było jej środowisko. Sibyl, wręcz przeciwnie, znalazła się w swoim żywiole. Lena pamiętała ją otoczoną tłumem ludzi, rozmawiającą z grupą profesorów, najwyraźniej zainteresowanych tym, co ma do powiedzenia. Nikt nie patrzył na nią tak, jak spogląda się na dorastające dziewczynki. Nikt nie nabijał się z niej i nie czynił kąśliwych komentarzy o tym, że nic nie widzi. Po raz pierwszy w życiu Lena zdała sobie sprawę, że Sibyl jej nie potrzebuje.

Nan Thomas nic z tym objawieniem nie miała wspólnego. Hank się mylił. Sibyl była niezależna od pierwszego dnia. Potrafiła się o siebie zatroszczyć. Potrafiła właściwie zachowywać się między ludźmi. Mogła być ślepa, ale w pewien sposób wszystko widziała. Sobie wiadomymi sposobami rozpoznawała ludzi lepiej, niż gdyby ich widziała, a to dlatego, że potrafiła ich słuchać. Słyszała zmianę barwy głosu, kiedy kłamali, lub jego drżenie, kiedy byli zdenerwowani. Lenę rozumiała jak nikt inny na świecie.

Hank zapukał do drzwi.

– Lee?

Lena wytarła nos, zdając sobie sprawę, że przed chwilą płakała. Nie otworzyła mu.

– Co chcesz?

Jego głos był przytłumiony, jednak słyszała go wyraźnie.

– Przepraszam, małeńka, że to powiedziałem.

Lena głęboko wciągnęła powietrze i zaraz je wypuściła.

– Wszystko jest w porządku.

– Po prostu się o ciebie martwię.

– Nic mi nie jest – powiedziała Lena, włączając żelazko. – Daj mi dziesięć minut i będę gotowa do wyjścia.

Popatrzyła na drzwi; klamka lekko obróciła się, po czym powróciła do pierwotnej pozycji. Lena usłyszała odgłosy jego stóp, kiedy wracał do holu.

Dom Pogrzebowy Brocka zapełniony był do granic przez przyjaciół i kolegów Sibyl. Po dziesięciu minutach ściskania dłoni i słuchania kondolencji składanych przez ludzi, których w większości nigdy dotąd nie spotkała, Lena poczuła, że żołądek zwija się jej w ciasny węzeł. Odnosiła wrażenie, że jeśli zbyt długo będzie stała w miejscu, to eksploduje. Nie chciała tutaj być, nie chciała dzielić swojego bólu z nieznanymi. Pomieszczenie zdawało się powoli zaciskać wokół niej. Mimo że klimatyzacja działała na tyle wydajnie, iż kilkoro ludzi pozostawało w płaszczach, Lena pociła się.

– Hej – powiedział Frank i uściśnął jej łokieć.

Lenę zdziwił ten gest, jednak nie odepchnęła mężczyzny. Odczuła ogromną ulgę, że może wreszcie porozmawiać z kimś znajomym.

– Słyszałaś, co się stało? – zapytał Frank, patrząc z ukosa na Hankę.

Świadoma tego spojrzenia, Lena zaczerwieniła się; pamiętała przecież, że Frank przytknął kiedyś jej wuja za włóczęgostwo.

– Nie – odparła Lena, odprowadzając Franka na bok.

– Will Harris... – zaczął konfidencjonalnym szeptem. – Ktoś rzucił kamieniem we frontowe okno jego domu.

– Dlaczego? – zapytała Lena, chociaż potrafiła odgadnąć odpowiedź.

Frank wzruszył ramionami.

– Nie wiem. – Zerknął za siebie ponad ramieniem. – Myślę, że Matt. – Znów wzruszył ramionami. – Był ze mną przez cały dzień. Sam nie wiem.

Lena zaciągnęła go do holu. Tutaj nie musieli szeptać.

– Uważasz, że Matt coś zrobił?

– Matt albo Pete Wayne. To znaczy, tylko oni dwaj przychodzą mi na myśl.

– Może ktoś z łąży?

Frank jakby się najeżył. Wiedziała, że tak się zachowa. Z równym powodzeniem mogłaby oskarżyć papieża o igraszki z nieletnią.

– Co z Bradem? – zapytała.

Frank popatrzył na nią uważnie.

– Tak – powiedziała Lena z westchnieniem. – Rozumiem, co masz na myśli.

Nie mogła stwierdzić bez cienia wątpliwości, że Brad Stephens nie lubił Willa Harrisa, jednak wiedziała, że Brad prędzej dałby sobie odrąbać rękę, niż złamałby prawo. Kiedyś Brad cofnął się samochodem aż o trzy mile, żeby podnieść z ziemi jakiś śmieć, który przypadkowo wypadł przez okno jego samochodu.

– Zastanawiałem się, czy nie porozmawiać później z Pete’em – powiedział Frank.

Lena odruchowo popatrzyła na zegarek. Było kilka minut po wpół do piątej. Pete powinien być teraz w domu.

– Może weźmiemy twój samochód? – zapytała, decydując rozsądnie, że swój pozostawi Hankowi, żeby mógł wrócić do domu.

Frank spojrział w kierunku sali.

– Nie chcesz dłużej czuwać przy siostrze? – zapytał, nie ukrywając zaskoczenia.

Lena wbiła wzrok w podłogę, zdając sobie sprawę, że powinna przynajmniej się zawstydzić. A jednak była pewna, że musi jak najszybciej opuścić to pomieszczenie, pełne obcych ludzi. Szybciej niż żal, który odczuwała, zapanuje nad nią na tyle, że będzie zdolna już tylko usiąść w kącie i płakać.

– Spotkajmy się przy samochodzie za dziesięć minut – postanowił Frank.



Lena powróciła do sali, rozglądając się za Hankiem. Stał przy Nan Thomas, otaczając ją ramieniem. Widok ten sprawił, że aż zadrżała z niechęci. Hank potrafił koić ból zupełnie dla niego obcej osoby, nie zważając na to, że ktoś z jego rodziny znajdował się kilka stóp dalej, zupełnie samotny.

Lena wróciła do holu po płaszcz. Nakładała go właśnie, kiedy poczuła, że ktoś usiłuje jej pomóc. Odwróciła się i ze zdziwieniem ujrzała twarz Richarda Cartera.

– Chciałem ci powiedzieć – odezwał się cichym głosem – że bardzo mi przykro z powodu twojej siostry.

– Dziękuję – wykrztusiła. – To bardzo miło z twojej strony.

– Dowiedziałaś się czegoś o tej drugiej dziewczynie?

– Matthews? – zapytała, zanim zdołała ugryźć się w język. Dorastała w małym miasteczku, jednak wciąż dziwiło ją, jak szybko w takim miasteczku rozchodzą się wszelkie wiadomości.

– Ten Gordon – powiedział Richard, znacząco wzruszając ramionami – to chyba nie jest najmilszy typ.

– Tak – mruknęła Lena, chcąc jak najszybciej się od niego odczepić. – Bardzo ci dziękuję, że dzisiaj przyszedłeś.

Posłał jej lekki uśmiech. Odgadł jej intencje, jednak najwidoczniej nie miał zamiaru ułatwić Lenie ich realizacji.

– Naprawdę, bardzo lubiłem pracować z twoją siostrą. Była dla mnie bardzo dobra.

Lena przestąpiła z nogi na nogę, nie chcąc, by Richard przypadkiem odniósł wrażenie, że jest zainteresowana towarzyską rozmową. Znała Franka na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie będzie na nią długo czekał.

– Ona także lubiła z tobą pracować, Richard – powiedziała.

– Tak mówiła? – zawołał, najwyraźniej zadowolony. – To znaczy, wiem, że ceniła moją pracę, ale czy naprawdę kiedyś tak powiedziała?

– Tak – odparła Lena. – Wielokrotnie to powtarzała.

Wyłowiła z tłumu sylwetkę Hankę. Wciąż obejmował Nan. Wskazała ich oboje Richardowi.

– Zapytaj zresztą mojego wujka. Powiedział mi o tym zaledwie wczoraj.

– Naprawdę? – zapytał Richard, przykładając dłoń do ust.

– Tak – odpowiedziała Lena, wyciągając z kieszeni płaszcz kluczyki do

samochodu. – Posłuchaj, mógłbyś dać je mojemu wujkowi?

Wbił wzrok w kluczyki, nie wyciągając po nie ręki. Właśnie dlatego tak dobrze układała się Sibyl współpraca z Richardem, że nie dostrzegała protekcyjnych spojrzeń, które czasami rzucał.

– Richard – odezwała się Lena, potrząsając kluczykami.

– Jasne – odparł w końcu, wyciągając rękę.

Lena wcisnęła mu kluczyki w dłoń. Oczekwała, aż odejdzie kilka kroków, po czym szybko skierowała się ku bocznym drzwiom. Frank czekał w samochodzie, światła były już włączone.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała, wsiadając do środka. Zmarszczyła nos, wyczuwszy dym z papierosa. W zasadzie Frankowi nie było wolno palić, kiedy razem pracowali, jednak tym razem się nie odezwała. W końcu, pozwalając jej pojechać z sobą, czynił jej uprzejmość.

– Ci ludzie z college’u... – odezwał się Frank. Zaciągnął się jeszcze raz, po czym wyrzucił papierosa przez okno. – Przepraszam – mruknął.

– Nic się nie stało – odparła Lena.

Czuła się dziwnie w sukience, w samochodzie Franka. Nie wiadomo dlaczego, przypomniała sobie swoją pierwszą randkę. Od zawsze była dziewczyną przyzwyczajoną do dzinsów i bawełnianych koszulek, dlatego nałożenie sukni było dla niej wielkim i niechcianym wyczynem. Dziwacznie czuła się w butach na szpilkach i w pończochach, i nigdy nie wiedziała, w jaki sposób siedzieć w takim stroju lub gdzie trzymać ręce. Zatęskniła za olstrem z rewolwerem.

– Jeśli chodzi o twoją siostrę... – zaczął Frank.

Lena ułatwiła mu sytuację.

– Tak, dziękuję za kondolencje.

W czasie, kiedy przebywali w domu pogrzebowym, zapadła noc i im bardziej oddalali się od miasta, im dalej od lamp ulicznych i ludzi, tym ciemniej było w samochodzie.

– W sprawie tego zdarzenia w domu starego Willa – odezwał się Frank, przerywając ciszę. – Wiesz, nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

– Sądzisz, że Pete przyłożył do tego rękę?

– Nie wiem – powtórzył Frank. – Will pracował dla jego ojca chyba ze dwadzieścia lat wcześniej, zanim Pete przejął interes. To jest fakt, o którym

nie powinniśmy zapominać. – Sięgnął po papierosa, ale powstrzymał się. – Po prostu nie wiem.

Lena czekała, ale nie usłyszała już ani słowa. Trzymała dłonie na kolanach i wpatrywała się przed siebie. Przecięli granicę miasta i przejechali spory kawał Madison, kiedy Frank odrobinę zahamował i ostro skręcił w ulicę bez przejazdu.

Dom mieszkalny na farmie Pete'a Wayne'a zbudowany był z cegieł i, tak jak właściciel, wydawał się bardzo nowoczesny. Na skraju podjazdu parkował dodge rocznik 1996, z lewej strony oblepiony czerwoną taśmą w miejscu, w którym powinny się znajdować tylne światła pozycyjne.

Frank podjechał do krawężnika i wyłączył światła. Po chwili roześmiał się nerwowo.

– Jesteś tak elegancko ubrana, że chyba powinienem wysiąść pierwszy i otworzyć ci drzwiczki.

– Ani mi się waż – warknęła Lena i na wszelki wypadek szybko złapała za kłankę.

– Poczekaj – powiedział Frank i położył dłoń na jej ramieniu. W pierwszej chwili pomyślała, że wciąż żartuje, jednak w jego głosie było coś, co ją zaalarmowało. Z domu właśnie wychodził Pete z kijem baseballowym w ręce. – Zostań w środku – zarządził Frank.

– Do diabła, ani myślę! – zawołała Lena i otworzyła drzwi samochodu, zanim zdołał ją powstrzymać. W aucie zapaliła się lampka i Pete Wayne popatrzył ze zdumieniem na twarz Leny.

Frank ją wyprzedził. Ruszyła za nim ku Pete'owi, czując się bardzo głupio w butach na szpilkach i w długiej sukni. Pete patrzył, jak nadchodzą i wciąż trzymał kij u boku.

– Co się stało? – zapytał, kiedy znaleźli się przy nim.

– Możemy na chwilę wejść? – zapytał Frank i dodał: – Bracie.

Pete popatrzył niechętnie na Lenę. Wiedziała, że ludzie z łoży posługują się własnym, zakodowanym językiem. Nie miała jednak pojęcia, co Frank naprawdę miał na myśli, nazywając Pete'a bratem. Może poprosił go, żeby trzasnął ją kijem w głowę?

– Właśnie wychodziłem – powiedział Pete.

– Widzę – odparł Frank, znacząco spoglądając na kij. – Trochę jednak za

późno na trening, co?

Pete nerwowo przełożył kij z ręki do ręki.

– Miałem go właśnie zanieść do furgonetki. Trochę się zdenerwowałem ostatnim zdarzeniem w barze. Pomyślałem, że dobrze będzie, jeśli będę go trzymał przez jakiś czas pod ręką.

– Wejdzmy do środka – powiedział Frank i ruszył, nie dając Pete’owi szansy na reakcję.

Wszedł po schodach i stanął pod frontowymi drzwiami, czekając, aż Pete do niego dołączy. Stał nad nim, obserwując, kiedy ten wsuwał klucz do zamka.

Lena szła za nimi. Kiedy znaleźli się w kuchni, Pete jakby się nastroszył. Był uważny i czujny. Zaciskał dłoń na kiju tak silnie, że aż pobiełały kostki na jego rękach.

– Jaki macie problem? – zapytał Pete, kierując pytanie do Franka.

– Dziś po południu to Will Harris miał problem – odparł Frank. – Ktoś rzucił kamieniem we frontowe okno jego mieszkania.

– To bardzo źle – powiedział Pete beznamiętnym głosem.

– Powiedziałbym, Pete, że moim zdaniem ty to zrobiłeś.

Pete zaśmiał się niepewnie.

– Uważacie, że mam czas na to, by biegać po okolicy i rzucać cegłami w okno jakiegoś faceta? Mam swój biznes i muszę o niego dbać. Bywają dni, że nie mam czasu się wyspać, nie w głowie mi więc jakieś wycieczki.

– Dlaczego uważasz, że to była cegła? – zapytała Lena.

Pete z trudem przełknął ślinę.

– Zgadywałem.

Frank wyrwał mu z ręki kij.

– Will pracował dla twojej rodziny prawie pięćdziesiąt lat.

– Wiem o tym – odparł Pete, cofając się o krok.

– Były czasy, kiedy twój ojciec płacił mu jedzeniem zamiast pieniędzmi, bo w przeciwnym wypadku nie byłoby go stać na pomocnika. – Frank bał się kijem. – Pamiętasz te czasy, Pete?

Pete zaczerwienił się.

– Jasne, że pamiętam.

– Pozwól, że ci coś powiem, chłopcze – powiedział Frank, wsuwając

czubek kija baseballowego pod podbródek Pete'a. – I uważnie mnie słuchaj, kiedy będę mówić. Will Harris nie tknął tej dziewczyny.

– Jesteś tego zupełnie pewien?

Lena dotknęła kija i opuściła go. Podeszła do Pete'a i popatrzyła mu w oczy.

– Ja jestem pewna – powiedziała.

Pete odwrócił wzrok pierwszy. Jego spojrzenie powędrowało ku podłodze. Zaczął nerwowo bawić się dłońmi. Potrzęsnał głową i ciężko westchnął. Kiedy uniósł głowę, odezwał się do niego Frank:

– Musimy porozmawiać.

Eddie Linton nabył ziemię nad brzegiem jeziora, kiedy tylko zaczęło mu się powodzić w zawodzie hydraulika. Posiadał także sześć domów niedaleko college'u, które wynajmował studentom. Jego własnością był również kompleks apartamentów w Madison, ale często groził, że je sprzeda. Kiedy Sara wróciła do Grant z Atlanty, odmówiła ponownego zamieszkania z rodzicami. Powrót do domu, do własnego, starego pokoju, oznaczałby, zdaniem Sary, porażkę i przyznanie się, że wciąż nie ma własnego kąta na ziemi.

Przez pierwszy rok po powrocie wynajmowała jeden z domów ojca, później zaczęła pracować w weekendy w szpitalu w Auguście, chcąc oszczędzić tyle pieniędzy, by wreszcie kupić coś dla siebie. Zakochała się w swoim domu natychmiast po tym, jak pośrednik nieruchomości ją po nim oprowadził. Zbudowano go jakby w pośpiechu. Frontowe drzwi znajdowały się w jednej linii naprzeciwko tych, które prowadziły na tyły budynku. Po obu stronach długiego holu kolejne drzwi prowadziły do dwóch sypialni, łazienki i wydzielonej części po prawej stronie, z salonem, jadalnią, następną łazienką i kuchnią. Sara bez wątpienia kupiłaby ten dom, gdyby był o wiele brzydszy i w gorszym stanie, a to z powodu wspaniałego widoku na jezioro, rozpościerającego się z tylnego balkonu. Na balkon wychodziły drzwi i trzy wielkie okna jej sypialni. W dni takie jak dzisiejszy wzrokiem mogła ogarnąć nawet budynki uniwersytetu po drugiej stronie jeziora. Czasami, kiedy była ładna pogoda, udawała się do pracy łódką, cumując ją na szkolnej przystani.

Sara szeroko otworzyła okno sypialni, dzięki czemu z wyprzedzeniem dotarły do niej odgłosy motorówki Jeba, dopływającej właśnie do pomostu. Ostatniej nocy znów siąpił drobny deszcz i znad jeziora docierała chłodna bryza. Przyjrzała się sobie w lustrze umieszczonym na drzwiach. Dzisiaj ubrała się w spódniczkę w kwiatki i ciasną czarną koszulkę z lycry, opadającą odrobinę poniżej pępka. Najpierw związała włosy w kok, a później

znów je rozpuściła. Kiedy usłyszała dobijającą łódź, właśnie spinała je ponownie. Szybko włożyła sandały, wzięła dwa kieliszki i butelkę wina, po czym wyszła z domu tylnymi drzwiami.

– Cześć! – zawołał Jeb, rzucając linę. Następnie wsunął dłonie za paski pomarańczowej kamizelki ratunkowej, rzucając Sarze spojrzenie, które w założeniu miało być beztroskim spojrzeniem doświadczonego żeglarza.

– Cześć, cześć – odparła Sara, klękając przy słupku, do którego przywiązywała linę. – Do tej pory nie nauczyłeś się pływać?

– Oboje moi rodzice przeraźliwie bali się wody – wyjaśnił. – Nigdy nie pokonali tego strachu. W związku z tym i ja wychowywałem się z daleka od wody.

– Nie wszystko jeszcze stracone – powiedziała Sara. Przez całe niemal życie mieszkając w pobliżu jeziora, ona sama czuła się w wodzie doskonale. Nie potrafiła wyobrazić sobie, dlaczego pływanie może komuś sprawiać jakąkolwiek trudność. – Powinieneś się nauczyć. Tym bardziej teraz, kiedy stałeś się szczęśliwym posiadaczem motorówki.

– Niepotrzebna mi ta umiejętność. – Jeb z czułością dotknął burty, jakby głaskał ulubionego psa. – Dzięki temu maleństwu czuję się, jakbym potrafił chodzić po jeziorze.

Sara wyprostowała się, podziwiając nowy nabytek Jeba.

– Jest piękna.

– Prawdziwy magnes. Przyciąga nie tylko wzrok – zażartował Jeb, ściągając kamizelkę. Sara wiedziała, że żartuje, jednak i motorówka, cała pomalowana na metaliczny czarny kolor, lśniła i kusila, zarazem groźna i nęcąca. W przeciwieństwie do Jeba McGuire'a, w opasłej pomarańczowej kamizelce ratunkowej. – Powiem ci coś, Saro. Gdybyś kiedykolwiek popatrzyła na mnie tak, jak patrzysz na moją łódź, musiałbym się z tobą ożenić.

Sara roześmiała się.

– To niezwykle piękna motorówka.

Jeb wziął z pokładu wiklinowy koszyk.

– Zaprosiłbym cię na przejażdżkę, ale na wodzie jest trochę chłodno.

– Możemy się rozgościć tutaj – odparła Sara, wskazując na krzesła i stół ustawione nad brzegiem. – Czy mam donieść srebrną zastawę i tym podobne akcesoria?

Jeb uśmiechnął się.

– Nie znasz mnie jeszcze, Saro Linton – powiedział. Otworzył koszyk i wyciągnął z niego srebrne sztucce oraz serwetki. Był także na tyle przewidyjący, że zabrał ze sobą talerze i szklanki. Sara z trudem powstrzymała się przed oblizaniem warg, kiedy jej oczom ukazał się pieczony kurczak, gotowane ziemniaki, zielony groszek, kukurydza i ciastka.

– Czyżbyś chciał mnie uwieść? – zapytała.

Jeb znieruchomiał, z dłońmi obejmującymi słoik z sosem do pieczeni.

– To naprawdę działa?

Warknął pies i Sara podziękowała Bogu za tę drobną uprzejmość. Popatrzyła na dom i powiedziała:

– One przecież nigdy nie warczą. Muszę to sprawdzić.

– Mam pójść z tobą?

Już miała powiedzieć, że go nie potrzebuje, ale zmieniła zdanie. Nie chodziło przecież o psy. Billy i Bob zawarceli dokładnie dwa razy od dnia, gdy zabrała ich z toru psich wyścigów w Ebro. Po raz pierwszy, kiedy przypadkowo nadepnęła na ogon Boba, a po raz drugi, kiedy przez komin wleciał do salonu mały ptaszek.

Idąc w kierunku domu, poczuła na plecach dłoń Jeba. Słońce dopiero powoli skrywało się za linią dachu, dlatego musiała położyć otwartą dłoń ponad oczami, żeby dostrzec Brada Stephensa. Stał na skraju podjazdu.

– Cześć, Brad – powiedział Jeb.

Policjant grzecznie skinął mu głową, jednak jego wzrok spoczywał na Sarze.

– Brad, co się stało? – zapytała.

– Proszę pani – wymamrotał Brad, po czym zdjął z głowy kapelusz. – Ktoś strzelał do szefa policji.

Sara tak naprawdę nigdy nie wykorzystywała pełnych możliwości swojego roadstera Z3. Nawet kiedy jeździła z Atlanty, strzałka szybkościomierza nie wskazywała na trasie większej szybkości niż siedemdziesiąt pięć mil na godzinę. Teraz, spiesząc się do Centrum Medycznego Grant, pędziła ponad dziewięćdziesiątką. Dziesięćminutowa jazda zdawała się trwać go-



dziny. Kiedy znalazła się na ostatniej prostej prowadzącej do szpitala, jej spocone dłonie kleiły się do kierownicy.

Zostawiła samochód na parkingu dla niepełnosprawnych, na uboczu, aby nie blokować dojazdu dla ambulansów. Niemal bez tchu wbiegła do izby przyjęć.

– Co się stało? – odruchowo zapytała Lenę Adams, stojącą przy kontuarze recepcji.

Lena otworzyła usta, żeby coś jej odpowiedzieć, jednak Sara minęła ją szybko i wbiegła na korytarz. Zaczęła sprawdzać pokój po pokoju i wreszcie znalazła Jeffreya w trzecim gabinecie zabiegowym.

Ellen Bray nie wyglądała na zaskoczoną jej widokiem. Kiedy Sara weszła do środka, pielęgniarka akurat zaczynała mierzyć Jeffreyowi ciśnienie krwi.

Sara położyła dłoń na jego czole. Powoli otworzył oczy, jednak odniosła wrażenie, że nie dostrzega jej obecności.

– Co się stało? – zapytała.

Ellen wręczyła Sarze kartę pacjenta i powiedziała:

– Dostał w nogę ze śrutówki. Nic poważnego. W przeciwnym razie przewieźliby go do Augusty.

Sara popatrzyła na kartę, nie potrafiła jednak na niej się skupić. Litery i kolumny latały jej przed oczami.

– Sara... – odezwała się Ellen współczującym głosem.

Przez większość życia Ellen pracowała na oddziale intensywnej terapii w Augustie. Teraz była już na emeryturze, jednak dorabiała do niej na nocnych dyżurach w Centrum Medycznym Grant. Kilka lat wcześniej pracowała razem z Sarą. Ta współpraca zrodziła na gruncie zawodowym silną więź i wzajemny szacunek pomiędzy kobietami.

– Nic mu nie jest, naprawdę – kontynuowała Ellen. – Trochę oszołomiły go środki znieczulające, ale to minie. Większość bólu pochodzi z jego opuchniętej nogi. Hare się nią zajmuje...

– Hare? – powtórzyła Sara. Po raz pierwszy w ciągu ostatnich dwudziestu minut odczuła pewną ulgę. Jej kuzyn, Hareton, był internistą, czasami współpracującym ze szpitalem. – On tutaj jest?

Ellen pokiwała głową, pompując powietrze do opaski ciśnieniomierza.

Uniosła do góry palec, prosząc Sarę o ciszę.

Jeffrey poruszył się, po czym powoli otworzył oczy. Kiedy rozpoznał Sarę, na jego usta wypełził lekki uśmiech. Ellen zdjęła mu opaskę z ręki i powiedziała:

– Sto czterdzieści pięć na dziewięćdziesiąt dwa.

Sara zmarszczyła czoło i znów popatrzyła na jego kartę. Powoli docierało do niej znaczenie słów pielęgniarki.

– Pójdę po doktora Earnshawa – odezwała się Ellen.

– Dzięki – mruknęła Sara, odwracając kartę Jeffreya. – Kiedy zaczęli ci podawać coreg? – zapytała. – Od jak dawna masz tak wysokie ciśnienie krwi?

– Od chwili, kiedy weszłaś do pokoju. – Jeffrey uśmiechnął się nieśmiało.

Sara nadal przeglądała kartę.

– Pięćdziesiąt miligramów dziennie. Zamiast captoprilu? Kiedy wzięłeś go ostatni raz? – Odpowiedź znalazła na karcie pacjenta. – „Suchy, gwałtowny kaszel wymusił zmianę...” – przeczytała głośno.

Do sali wszedł Hare, odzywając się od progu:

– To normalna rzecz, kiedy się zażywa środki przeciwgorączkowe.

Sara zignorowała kuzyna. Nie zareagowała nawet wtedy, kiedy objął ją ramieniem.

– Kto ci to zaaplikował? – zapytała Jeffreya.

– Lindley.

– Powiedziałeś mu o swoim ojcu? – Gwałtownie złożyła kartę. – Aż mi się nie chce wierzyć, że nie dał ci inhalatora. Jak u ciebie z cholesterolem?

– Sara! – Hare niemal wydarł jej z ręki kartę pacjenta. – Zamknij się wreszcie.

Jeffrey roześmiał się.

– Dziękuję ci – powiedział.

Sara splotła ramiona na piersiach. Z trudem nad sobą panowała. Tak się zamartwiała przez całą drogę do szpitala, a tymczasem, kiedy tylko przyjechała, okazało się, że z Jeffreyem wszystko jest niemal w zupełnym porządku. Oczywiście przyniosło jej to ulgę, jednak odnosiła irracjonalne wrażenie, że ktoś ją oszukał.

– Popatrz tylko – odezwał się Hare, wsuwając zdjęcie rentgenowskie do wyświetlacza umieszczonego na ścianie. Przez chwilę głośno oddychał, wpatrując się w nie, po czym powiedział: – O Boże, w życiu nie widziałem niczego gorszego.

Sara zmierzyła go ostrym spojrzeniem, po czym ustawiła zdjęcie we właściwym położeniu.

– Och, dzięki Bogu – szepnął Hare dramatycznie. Kiedy zorientował się, że jego wygłupy wcale Sary nie bawią, zmarszczył czoło. Przez całe życie na przemian uwielbiała i nienawidziła kuzyna, a wszystko dlatego, że nigdy nie brał niczego na poważnie. – Śrut ominął tętnicę, nie drasnął kości. Nawet najdrobniejszy fragment nie pozostał w mięśniach. – Hare uśmiechnął się uspokajająco. – Nic złego się nie stało, naprawdę.

Sara zignorowała jego ocenę. Przybliżyła się do fotografii, aby przekonać się, czy Hare ma rację. Poza tym, że zawsze rywalizowała z kuzynem na polu zawodowym, chciała sama się przekonać, że niczego nie przeoczył.

– Wiesz co, położymy cię na lewym boku – powiedział Hare do Jeffreya. Poczekał na Sarę, aż mu pomoże. Kiedy oboje przekładali Jeffreya, Sara trzymała jego zranioną prawą nogę. – Dzięki temu zmniejszy ci się trochę ciśnienie krwi. Zażywasz lekarstwa?

– Trochę z tym jestem do tyłu.

– Co takiego? – Sara odniosła wrażenie, że wzrasta ciśnienie jej własnej krwi. – Czy jesteś idiotą?

– Skończyły mi się.

– Skończyły? Przecież mieszkasz o kilka kroków od apteki! – Popatrzyła na Jeffreya groźnie. – Co ty sobie myślisz?

– Sara – jęknął Jeffrey. – Przyjechałaś tutaj tylko po to, żeby na mnie narzeczć?

Nie odpowiedziała.

– Może życzysz sobie wysłuchać także opinii Sary, czy możesz dziś wieczorem iść do domu czy nie? – zasugerował Hare.

– Ach! – Jeffrey figlarnie przymrużył oczy. – Skoro to ma być dodatkowa opinia... Pani doktor Linton, od jakiegoś czasu odczuwam ucisk w pachwinie. Zechciałaby pani spojrzeć?

Sara nieznacznie uśmiechnęła się.

– Może zajrzeć panu w odbyty?

– Jeśli tak trzeba, to do dzieła.

– Jezu Chryste – jęknął Hare. – Wiecie co, gołąbki? Zostawiam was, gruchajcie sobie we dwoje.

– Dzięki, Hare! – zawołał Jeffrey za wychodzącym.

Lekarz posłał mu jeszcze pełne dezaprobaty spojrzenie i zniknął za progiem.

– No i co? – zapytała Sara po chwili ciszy.

– Co takiego? – Jeffrey zrobił zdziwione oczy.

– Co się stało? Czyżby jej mąż wrócił za wcześnie do domu?

Jeffrey roześmiał się, jednak jego wzrok świadczył, że dowcip wcale mu się nie spodobał.

– Zamknij drzwi – poprosił.

Sara wykonała polecenie.

– Co się stało? – powtórzyła pytanie.

Jeffrey przykrył oczy dłonią.

– Nie wiem – powiedział. – To wszystko wydarzyło się tak szybko.

Sara podeszła do niego bliżej i wzięła do ręki jego dłoń, mimo że rozsądek podpowiadał jej, żeby tego nie robić.

– Ktoś zdemolował dzisiaj dom Willa Harrisa.

– Willa z baru? – zdziwiła się Sara. – Na Boga, dlaczego?

Jeffrey wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem, pewnym ludziom ubzdurało się, że Will ma związek z tym, co się przydarzyło Sibyl Adams.

– Przecież kiedy to się stało, Willa tam nawet nie było – powiedziała Sara zdezorientowana. – Dlaczego komuś w ogóle coś takiego przyszło do głowy?

– Nie wiem, Saro. – Jeffrey ciężko westchnął. – Wiedziałem, że stanie się coś złego. Zbyt wielu ludzi snuje różne spekulacje. Zbyt wielu ludzi uważa się za jedynych sprawiedliwych.

– Kto na przykład?

– Nie wiem. Zostałem z Willem u niego w domu, żeby czuć się bezpiecznie. Oglądaliśmy właśnie film, kiedy usłyszałem odgłosy z zewnątrz. – Potrząsnął głową, jakby nadal nie mógł uwierzyć w to, co się wydarzyło.

– Wstałem z kanapy, żeby zobaczyć, co się dzieje, i jedno z bocznych okien nagle eksplodowało. A potem... Pamiętam, jak leżałem na podłodze i czułem, że płonie moja prawa noga. Dzięki Bogu, że Will został na krześle, bo w przeciwnym razie on także by dostał.

– Kto to zrobił?

– Nie wiem – odparł Jeffrey, jednak sposób, w jaki zaciskał szczęki, podpowiadał Sarze, że jej były mąż ma bardzo konkretne przypuszczenia.

Miała zadać mu kolejne pytanie, gdy niespodziewanie dotknął dłonią jej uda.

– Wyglądasz pięknie – powiedział.

Kiedy wsunął dłoń pod jej bluzkę i zaczął głaskać brzuch, Sara odniosła wrażenie, że przenika ją prąd elektryczny. Po chwili przesunął dłonią po jej plecach. Była ciepła, delikatna.

– Mam randkę – odezwała się. Nagle ogarnęło ją poczucie winy. Przecież pozostawiła Jeba samego we własnym domu. Oczywiście, był wyrozumiały jak zawsze, jednak nie oznaczało to, że ma prawo trzymać go tam samotnego przez wieczność.

Jeffrey obserwował ją przez lekko przymknięte oczy. Albo nie uwierzył w tę randkę, albo nie chciał zaakceptować, że to coś poważnego.

– Uwielbiam, kiedy masz rozpuszczone włosy – powiedział. – Pamiętasz?

– Tak – odparła. Położyła swoją dłoń na jego dłoni, zatrzymując ją, przerywając magiczną chwilę. – Dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz podwyższone ciśnienie krwi?

Jeffrey wycofał rękę.

– Nie chciałem do listy twoich win dodawać jeszcze jednej. – Uśmiech na jego twarzy był trochę wymuszony i wyglądał absurdalnie przy szklanych się oczach. Podobnie jak Sara, rzadko zażywał środki silniejsze od aspiryny. Demerol zdawał się działać bardzo szybko. – Podaj mi dłoń – poprosił. Nie zniechęcił się, kiedy potrząsnęła przecząco głową. Wyciągnął swoją rękę w jej kierunku. – Przytrzymaj ją.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ mogłaś spotkać mnie dzisiaj już tylko w prosektorium, a nie w tym szpitalu.

Sara przygryzła wargi, z dużym trudem powstrzymując napływające do jej oczu łzy.

– Nic ci już nie jest – powiedziała, przykładając dłoń do jego policzka. – Prześpij się, to ci dobrze zrobi.

Jeffrey zamknął oczy, a Sara zrozumiała, że aż do tej pory walczył ze snem, czekając na jej przybycie.

– Nie chcę spać – powiedział i zasnął.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, obserwując, jak miarowo, z każdym oddechem, unosi się i opada jego klatka piersiowa. Odgarnęła z jego czoła kosmyk włosów. Przez kilka chwil dotykała palcami jego czoła, a potem przyłożyła dłoń do policzka. Był już trochę zbyt zarosnięty, czarne, krótkie włosy lekko ją kłuły. Pogłaskała go i uśmiechnęła się, gdy powróciły do niej dawne wspomnienia. Śpiący Jeffrey przypominał jej mężczyznę, w którym się zakochała. Mężczyznę, z którym codziennie rozmawiała, mężczyznę, który otwierał przed nią drzwi, zabijał pająki i wymieniał baterie w czujnikach przeciwpożarowych. Pocałowała jego dłoń i dopiero wtedy wyszła z sali.

Powoli ruszyła korytarzem w kierunku gabinetu pielęgniarek, czując coraz mocniej ogarniające ją znużenie. Zegar na ścianie nie pozostawiał jej wątpliwości, że spędziła w szpitalu tylko godzinę. Pojęła, że przyszedłszy tutaj, przestawiła się na czas szpitalny, w którym osiem godzin miało jak osiem sekund.

– Zasnął? – zapytała Ellen.

Sara oparła łokcie o kontuar.

– Tak – odpowiedziała. – Nic mu nie będzie.

– Z pewnością. – Ellen uśmiechnęła się.

– A, tutaj jesteś. – Nie wiadomo skąd pojawił się Hare. Stanął obok Sary i potarł jej ramiona.

– Powiedz mi, jak to jest znaleźć się w prawdziwym szpitalu wśród wspaniałych lekarzy?

Sara wymieniła spojrzenie z Ellen.

– Proszę cię, Ellen, wybacź mojemu kuzynowi. Facet jest wysoki i przystojny, ale to w gruncie rzeczy prostaczek.

– Bezczelność. – Hare skrzywił się i wcisnął kciuki w ramiona Sary. –

A może mnie na chwilę zastąpisz, kiedy ja skoczę coś zjeść?

– Z jakimi przypadkami miałabym do czynienia? – zapytała Sara, stwierdzając w duchu, że najlepiej będzie, jeśli natychmiast pojedzie do domu.

Ellen uśmiechnęła się.

– W pokoju numer dwa mamy pacjenta, który wymaga specjalnej terapii z wykorzystaniem światła fluorescencyjnego.

Sara roześmiała się głośno. W szpitalnym języku znaczyło to, że w sali numer dwa leży hipochondryk, którego pozostawiono w łóżku, aby gapił się w lampę na suficie tak długo, aż poczuje się lepiej.

– Co jeszcze?

– Jest jakiś dzieciak z college'u. Śpi i nie możemy go obudzić.

– Nie wiem, czy wolno mi brać się do skomplikowanych przypadków.

Hare ujął Sarę pod brodę.

– Co za dziewczyna...

– Chyba powinnam przestawić samochód.

Sara przypomniała sobie, że zaparkowała na miejscu dla niepełnosprawnych. Chociaż wszyscy policjanci w mieście znali jej samochód i nie spodziewała się, żeby któryś wsunął jej mandat za wycieraczkę, postanowiła jednak, że trochę odetchnie świeżym powietrzem. To ułatwi jej uporządkowanie myśli przed powrotem do sali, w której leży Jeffrey.

– Co z nim? – zagadnęła ją Lena, kiedy przechodziła przez poczekalnię.

Sara zatrzymała się i rozejrzała po pomieszczeniu. Ze zdziwieniem stwierdziła, że oprócz niej i Leny nie ma tu nikogo.

– Dostaliśmy wiadomość przez radio – kontynuowała Lena. – Co za dziwne rzeczy się dzieją... – urwała.

– Jakie rzeczy? Czyżbym o czymś nie wiedziała?

Lena wbiła wzrok w posadzkę.

– Wiesz, kto to zrobił? – zapytała Sara.

Lena potrząsnęła przecząco głową.

– Nie jestem pewna.

– Gdzie jest Frank? Zajmuje się śledztwem?

Tym razem Lena wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Zostawił mnie tutaj.

– Łatwo mówić, że dziwne rzeczy się dzieją, kiedy nie ma się zamiaru dotrzeć do ich sedna – powiedziała Sara zgryźliwie. – Fakt, że Jeffrey mógł dzisiaj zginąć, zapewne jeszcze do ciebie nie dotarł.

– Dotarł.

– Naprawdę? Kto go ubezpieczał podczas akcji, Leno?

Lena otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale po chwili odwróciła się od Sary w milczeniu.

Sara wyszła ze szpitala, czując, jak wzbiera w niej złość. Doskonale wiedziała, jakie rzeczy się dzieją. Frank wiedział, kto strzelał do Jeffreya, jednak trzymał język za zębami w poczuciu lojalności wobec jakiegoś typu, prawdopodobnie Matta Hogana. Sara nie potrafiła zgadnąć natomiast, co obecnie dzieje się z Leną, o czym myśli. Po wszystkim, co Jeffrey dla niej zrobił, fakt, że odwróciła się teraz do niego plecami, trudno było jej wybaczyć.

Głęboko odetchnęła, próbując się uspokoić. Powoli zmierzała w kierunku samochodu. Jeffrey mógł dzisiaj zginąć. Pękające szkło mogło przecieżyć przeciąć mu tętnice, mógł wykrwawić się na śmierć. Ten, kto strzelał, mógł wymierzyć prosto w jego pierś, a nie w okno. Przez chwilę zastanawiała się, co robiliby teraz Frank i Lena, gdyby Jeffrey umarł. Może ciągnęliby losy o jego stanowisko?

– Mój Boże! – Znalazszy się kilka kroków od samochodu, Sara zatrzymała się jak wryta.

Na masce auta leżała naga kobieta. Ręce miała szeroko rozrzucone. Ułożona była na plecach, nogi skrzyżowane miała na kostkach. W pierwszej chwili Sara odniosła wrażenie, że kobieta wypadła z któregoś z okien, jednak po tej stronie dwupiętrowego budynku szpitala nie było żadnego okna, a poza tym na karoserii samochodu nie było wgniecenia.

Zapanowawszy nad sobą, Sara szybko podeszła do pojazdu i sprawdziła puls kobiety. Był szybki, wyraźny. Wymamrotała krótką modlitwę, zostawiła kobietę na masce i pobiegła z powrotem do szpitala.

– Lena!

Lena zerwała się na równe nogi, z zaciśniętymi pięściami, jakby spodziewała się, że Sara chce rozpocząć bijatykę.

– Przynieś nosze! – zawołała Sara. Widząc, że ta się nie rusza, krzyknęła



raz jeszcze: – Szybciej!

Pobiegła z powrotem do kobiety, ile sił w nogach, jakby obawiała się, że jej ucieknie. Mimo to odnosiła wrażenie, że wszystko porusza się w zwolnionym tempie, nawet wiatr w jej włosach.

– Proszę pani! – krzyknęła tak głośno, jakby chciała, żeby usłyszało ją całe miasto. Kobieta nie zareagowała. – Proszę pani! – spróbowała znowu. I znów nie doczekała się reakcji.

Sara pobieżnie obejrzała ciało. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegła żadnych poważnych ran ani urazów. Ciało było różowe, niemal rumiane i bardzo ciepłe, mimo że wieczór był już późny i na dworze spory chłód. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby spała. Dopiero ująwszy jej dłonie, Sara dostrzegła zakrzepłą krew. Jedno z ramion z pewnością było wyrwane ze stawu.

Popatrzyła na twarz kobiety i z przerażeniem stwierdziła, że jej usta zaklejone są srebrną taśmą samoprzylepną. Nie potrafiła przypomnieć sobie, czy taśma była na ustach już wcześniej, kiedy po znalezieniu jej pobiegła do szpitala. Raczej nie, bo przecież by ją zauważyła. Trudno nie dostrzec czegoś takiego jak taśma na ustach, szczególnie gdy jest ona szeroka na dwa i długa na cztery cale, koloru ciemnego srebra i błyszczy się, odbijając światła lamp. Przez krótką chwilę Sara znów stała jak sparaliżowana, jednak głos Leny Adams przywołał ją do rzeczywistości.

– To Julia Matthews.

Słowa Leny docierały do Sary jakby z oddali.

– Sara! – zawołał Hare, podbiegając do samochodu. Ujrawszy nagą kobietę, przystanął i zaniemówił.

– Wszystko w porządku, spokojnie – mruknęła Sara, próbując uspokoić przede wszystkim samą siebie. Mimo to posłała Hare'owi spojrzenie pełne przerażenia. Zareagował podobnie. Hare przyzwyczajony był do przypadkowych przedawkowań środków nasennych i ataków serca. Z czymś podobnym jeszcze nigdy nie miał do czynienia.

Jakby przypominając wszystkim, w jakiej sytuacji się znajdują, ciało kobiety zaczęło podrygiwać w konwulsjach.

– Zaraz będzie wymiotowała – powiedziała Sara. Złapała za skraj taśmy oklejającej usta kobiety i jednym gwałtownym ruchem ją zerwała. Następ-

nie przeturlała kobietę na bok i opuściła jej głowę. Nieszczęsna natychmiast zwymiotowała, gwałtownie, głośno. W powietrze uniósł się kwaśny odór, jakby sfermentowanego cydru lub piwa. Chcąc normalnie oddychać, Sara musiała odwrócić głowę.

– Już dobrze, maleńka – wyszeptwała. Pogłaskała japo brązowych włosach, zagarnęła je za jej uszy; przypomniała sobie, że tak samo postępowała z Sibyl, zaledwie przed dwoma dniami. Wymioty nagle ustały i Sara ułożyła kobietę ponownie na plecach, delikatnie kładąc jej głowę na masce samochodu.

Niespodziewanie rozległ się drżący głos Hare'a:

– Ona nie oddycha.

Sara zaczęła palcem czyścić usta kobiety. Ku swemu zaskoczeniu natrafiła w nich na opór. Po kilku sekundach wyciągnęła na zewnątrz zwinięte prawo jazdy, które wręczyła równie zdumionej Lenie Adams.

– Oddech powrócił – oznajmił Hare z ulgą w głosie.

Sara wytarła palec w sukienkę, żałując, że przed wsunięciem go do ust ofiary, nie ubrała ochronnych rękawic.

Do samochodu podbiegła Ellen. W wyciągniętych rękach trzymała nosze. Bez słowa stanęła u stóp nieprzytomnej kobiety, oczekując na dalsze polecenia Sary.

Sara policzyła do trzech, po czym obie przeniosły kobietę na nosze. Podczas tej czynności znów dotarł do niej nieprzyjemny, mdlący zapach wymiotów. Przez chwilę czuła się tak, jakby i dla niej potrzebne były nosze. Zrobiło jej się sucho w ustach, w oczach jakby pociemniało.

– Gotowe – rzekł Hare, przymocowując ciało do noszy.

Sara ruszyła obok noszy, które, po wysunięciu z nich kół, pchał Hare. Przez cały czas trzymała nieszczęsną kobietę za rękę. Droga do szpitalnych drzwi zdawała się trwać całą wieczność. Nosze niemiłosiernie podskakiwały na asfalcie, który do tej pory wydawał się przecież równy. Przy każdym podskoku kobieta wydawała cichy jęk.

Minęło dwanaście lat, odkąd Sara praktykowała ratownictwo medyczne. Teraz musiała się skoncentrować i przypomnieć sobie wszystkie procedury. Przez głowę przebiegło jej to, czego nauczyła się pierwszego dnia dyżuru na intensywnej terapii. Jakby chcąc ją pospieszyć, nieprzytomna ko-

bieta zaczęła rzeźcić, a potem gwałtownie łapać powietrze szeroko otwartymi ustami. Pierwszym zadaniem Sary musiało być więc udrożnienie jej układu oddechowego.

– Chryste – syknęła Sara, otworzywszy usta kobiety. W świetle jaskrawych lamp gabinetu zabiegowego ujrzała, że górne przednie zęby dziewczyny zostały wybite, bez wątpienia w ciągu kilku ostatnich dni. Znów zaczęła ogarniać ją dziwna niemoc. Z trudem się z niej otrząsnęła. Musiała natychmiast przyjąć profesjonalną postawę lekarza wobec pacjenta. W przeciwnym razie i jej, i nieszczęsnej kobiecie groziły poważne konsekwencje.

W ciągu kilku sekund Sara zaintubowała ją, ostrożnie, aby nie uszkodzić jeszcze bardziej skóry wokół jej ust. Kiedy zaczął działać wentylator, miała ochotę odejść od pacjentki i skulić się gdzieś w kącie gabinetu. Szum wentylatora niemal doprowadził ją do wymiotów.

– Niczego złego się nie dosłuchałem – powiedział Hare, wręczając Sarze stetoskop.

– Sara! – zawołała Ellen. – Nie mogę trafić na żyłę.

– Jest odwodniona – stwierdziła Sara, próbując znaleźć żyłę na drugim ramieniu kobiety. – Będziemy musieli dostać się do centralnego układu.

Sara odwróciła się i wyciągnęła rękę po igłę, jednak nadaremnie.

– Muszę przynieść z drugiego gabinetu – powiedziała Ellen i natychmiast wybiegła.

Sara powróciła do kobiety leżącej na noszach. Poza śladami na rękach i stopach, na jej ciele nie było żadnych widocznych ran ani uszkodzeń. Jej skóra była bardzo ciepła, co mogło być spowodowane różnymi czynnikami. Sara nie chciała wysuwać pochopnie żadnych wniosków, ale aż narzucało się porównanie leżącej przed nią kobiety do Sibyl Adams. Obie były drobnej budowy. Obie miały ciemnobrązowe włosy.

Sprawdziła źrenice pacjentki.

– Rozszerzone – powiedziała głośno, ponieważ kiedy ostatni raz brała udział w podobnej akcji ratunkowej, zasadą było, żeby natychmiast meldować o wszystkich spostrzeżeniach. Powoli wypuściła powietrze i dopiero w tej chwili zorientowała się, że w gabinecie znajdują się także Hare i Lena. – Jak ona się nazywa? – zapytała.

– Julia Matthews – odparła Lena. – Szukaliśmy jej w college’u. Zaginęła przed kilkoma dniami.

Hare popatrzył na monitor.

– Tętno słabnie – ostrzegł.

Sara sprawdziła wentylator.

– FiO<sub>2</sub> wynosi trzydzieści procent. Podkręć trochę.

– Co to za zapach? – zdziwiła się Lena.

Sara obwąchała ciało kobiety.

– Clorox? – zdziwiła się.

Lena jeszcze raz głośno wciągnęła powietrze nosem.

– Wybielacz – potwierdziła.

Hare przytaknął im, skinąwszy głową.

Sara dokładnie zbadała skórę kobiety. Na całym jej ciele widoczne były linie lekkich, powierzchownych zadrapań. Po raz pierwszy spostrzegła, że jej włosy łonowe zostały ogolone. Ponieważ jeszcze nie odrastały, oceniła, że miało to miejsce dzień lub dwa dni temu.

– Dokładnie ją ogolono – powiedziała.

Powąchała usta kobiety, jednak nie wyczuła silnego odoru, który zwykle wydziela wybielacz. Wcześniej, intubując kobietę, dostrzegła trochę zadrapań w jej gardle, lecz nic poza tym. Bez wątplenia ktoś podał jej narkotyk, podobny w działaniu do belladonny, jeśli nie samą belladonnę. Jej skóra była tak gorąca, że Sara czuła to nawet przez ochronne rękawiczki.

Do gabinetu weszła Ellen. Sara obserwowała ją, jak otwiera zestaw do udzielania pierwszej pomocy. Jej dłonie nie były już tak sprawne i pewne jak kiedyś. Przestraszyło to Sarę bardziej niż wszystko inne.

Wstrzymała oddech, kiedy Ellen wbiła trzycalową igłę w żyłę na szyi kobiety. Igła, nazywana wprowadzaczem, działała jako lejek dla trzech oddzielnych gniazd. Kiedy okaże się, jaki narkotyk otrzymała pacjentka, Sara wykorzysta jedno z gniazd w celu zneutralizowania go.

Ellen cofnęła się od pacjentki, czekając na polecenia Sary.

Sara potrząsnęła testem, opłukując gniazda roztworem heparyny, żeby nie powstawały na nich skrzepy.

– Gazometria, toksyny, LFT, CBC, chemia dwadzieścia siedem. Kiedy będziesz gotowa, sprawdź krzepnięcie. – Sara na chwilę umilkła. – Zbadaj

mocz. Zanim podejmę jakiegokolwiek działanie, muszę dokładnie wiedzieć, co się z nią dzieje. Coś powoduje, że wciąż jest nieprzytomna. Myślę, że wiem, co to jest, jednak zanim rozpoczniemy leczenie, muszę być tego pewna.

– W porządku – odparła Ellen.

Sara sprawdziła obieg krwi w urządzeniu, po czym jeszcze raz opłukała gniazda.

– Roztwór izotoniczny, otwórz szeroko.

Ellen wykonała polecenie, odpowiednio ustawiając igłę.

– Macie tu przenośny aparat rentgenowski? Muszę być pewna, że zrobiłam to bezbłędnie – powiedziała Sara, wskazując linie żył w szyi. – Poza tym potrzebne mi jest zdjęcie klatki piersiowej, brzucha i ramienia, na wszelki wypadek.

– Kiedy uporam się z krwią, przyniosę aparat z holu – odparła Ellen.

– Sprawdź także GHB – poleciła Sara, zabezpieczając igłę. – Będziemy musieli przekonać się, czy jej nie zgwałcono.

– Zgwałcono? – zdziwiła się Lena i postąpiła krok naprzód.

– Tak – odparła Sara ostrym tonem. – Ktoś się nad nią bardzo znęcał, dlaczego więc nie miałyby jej także zgwałcić?

Lena poruszyła ustami, jednak nic już nie powiedziała. Aż do tej chwili nie wiązała z maltretowanej Julii Matthews ze śmiercią swojej siostry. Teraz wbiła w nią wzrok i stanęła bez ruchu przed noszami. Sarze przypomniała się noc, kiedy Lena przysłała do kostnicy, żeby popatrzeć na Sibyl Adams. Twarz młodej policjantki miała wtedy taki sam gniewny wyraz.

– Wydaje się, że jej stan jest stabilny – powiedziała Ellen, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

Sara obserwowała, jak pielęgniarka, używając niewielkiej strzykawki, pobiera próbkę krwi z arterii promieniowej. Bezwiednie pomasowała własny przegub, wiedząc, jak bolesny jest to zabieg. Pochyliła się nad noszami i położyła dłoń na ramieniu Julii Matthews, próbując przynajmniej w ten sposób ją ukoić, przekonać, że już jest bezpieczna.

Do rzeczywistości przywołał ją Hare.

– Sara – powiedział cicho.

– Hmm? – wyprostowała się. Zaskoczyło ją to, że wszyscy się w nią

wpatrują. – Mogłabyś pomóc Ellen przy aparacie rentgenowskim? – poprosiła Lenę, starając się, aby jej głos brzmiał jak najpewniej.

– Tak – odparła Lena, posyłając jej dziwne spojrzenie.

Ellen napełniła krwią ostatnią strzykawkę.

– Aparat jest w holu – powiedziała do Leny.

Sara usłyszała, jak obie wychodzą z gabinetu. Przez cały czas nie odrywała wzroku od Julii Matthews. Jej pole widzenia zawężyło się i po raz drugi tego dnia poczuła się słabo. Oczyma wyobraźni ujrzała samą siebie na noszach, pochylających się nad nią lekarzy, badających jej puls, sprawdzających funkcje życiowe.

– Sara? – Hare wpatrywał się w dłonie kobiety. W tej chwili Sarze przypominała się chwila, kiedy po raz pierwszy, na parkingu, spostrzegła rany na dłoniach Julii.

Obie dłonie przebite były dokładnie pośrodku. Popatrzyła na stopy kobiety i zobaczyła, że one także przebite są w identyczny sposób. Pochyliła się, żeby dokładniej obejrzyć rany. Krew krzepła na nich w szybkim tempie. Płamki rdzy czyniły ciemną, krzepnącą krew niemal czarną.

– Jej dłonie są przebite – powiedziała. Zajrzała pod paznokcie kobiety, rozpoznając pod nimi cienkie drzazgi. – Drewno – dorzuciła, zastanawiając się, dlaczego ktoś, chcąc usunąć fizyczne ślady, wyszorował Julię wybielaczem, ale pozostawił kawałeczki drewna pod jej paznokciami. To nie miało sensu. Poza tym, po co ten ktoś zostawił ją na masce samochodu, w tak widocznym miejscu?

Jeszcze przez chwilę zastanawiała się nad zdarzeniem. Gdy doszła do oczywistej konkluzji, jej żołądek zareagował, gwałtownie się kurcząc. Przymknęła oczy, przypominając sobie chwilę, w której ujrzała kobietę po raz pierwszy: nogi skrzyżowane w kostkach, ręce odsunięte od tułowia pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Ukrzyżowano ją.

– To rany klute, prawda? – zapytał Hare.

Sara pokiwała głową, nie odrywając wzroku od kobiety. Widać było, że dobrze się odżywiła i dbała o siebie. Na ramionach nie miała śladów nakłuć, a więc nie zażywała narkotyków. Nagle, zdawszy sobie sprawę, że traktuje ją, jakby była już w kostnicy, a nie w szpitalu, Sara przerwała te

rozmyślenia. Jednak w tym samym momencie, jakby wyczuwając jej wahania, monitor zaczął pokazywać, że słabnie akcja serca pacjentki. Ostrzegawczy pisk postawił Sarę na równe nogi.

– Tylko nie to – jęknęła i pochyliła się nad kobietą, rozpoczynając masaż klatki piersiowej. – Hare, powietrze.

Przez kilka chwil Hare szukał w szufladach balonu tlenowego. Gdy go znalazł, natychmiast podbiegł do kobiety i zaczął wpompowywać powietrze do jej płuc.

– Nieregularny oddech – ostrzegł.

– Wolniej – zażądała Sara i skrzywiła się, usłyszawszy, jak pod naciskiem jej rąk pęka jedno z żeber dziewczyny. Spojrzała w oczy Hare’a, oczekując z jego strony współdziałania. – Raz, dwa, pompuj! Szybko i mocno. Bądź spokojny!

– Dobra, dobra – odparł Hare, koncentrując się na balonie z powietrzem.

Mimo natychmiastowej reakcji Sary masaż serca był przecież półśrodkiem – fizyczny ucisk zmuszał serce do pompowania krwi do mózgu. Bardzo rzadko można było w ten sposób zmusić serce do pracy równie efektywnej jak wówczas, gdy wykonywało ją samodzielnie. Teraz jednak, gdyby Sara przerwała, serce stanęłoby także. Była to procedura obliczona na uzyskanie czasu, dopóki nie uda się znaleźć innego sposobu ratowania.

Lena, bez wątpienia zaalarmowana piskiem monitora, przybiegła z powrotem do gabinetu.

– Co się dzieje? – zawołała.

– Tracimy ją – odparła Sara. Z ulgą dostrzegła Ellen za plecami Leny. – Potrzebuję ampułkę adrenaliny – powiedziała do niej.

Patrzyła ze zniecierpliwieniem, jak Ellen otwiera pudełko z ampułkami i naciąga płyn do strzykawki.

– Chryste... – jęknęła Lena, gdy Sara wpompowała adrenalinę prosto w serce umierającej kobiety.

Głos Hare’a przechodził niemal w pisk:

– Spada tętno!

Jedną ręką Ellen odsunęła za siebie pudełko z ampułkami, drugą ładując defibrylator.

– Dwieście! – zarządziła Sara.

Ciało kobiety podskoczyło w górę w chwili, w której Sara poraziła je prądem. Popatrzyła na monitor i zmarszczyła czoło, nie widząc na ekranie żadnej zmiany. Jeszcze dwukrotnie stosowała elektrowstrząsy, jednak bez skutku.

– Lidokaina – postanowiła.

Ellen natychmiast zaczęła otwierać kolejne pudełko.

Sara podała lekarstwo i znów skupiła wzrok na monitorze.

– Płaska linia – poinformował Hare.

– Jeszcze raz – zakomunikowała, sięgając po defibrylator. – Trzysta – zażądała.

Znów zastosowała elektrowstrząs. I znów nie doczekała się upragnionej reakcji. Poczula, jak jej czoło pokrywa się zimnym potem.

– Adrenalina!

Odgłos otwierania pudełka zabrzmiał w uszach Sary tak, jakby ktoś wbijał jej do ucha igłę. Wzięła do ręki strzykawkę i po raz drugi wstrzyknęła adrenalinę prosto do serca Julii Matthews. Teraz można było jedynie czekać.

– Płaska linia – odezwał się Hare.

– Dajmy jej trzysta sześćdziesiąt.

Po raz piąty Sara zastosowała elektrowstrząs. Znów bez powodzenia.

– Cholera jasna, cholera jasna – mruzczała Sara, powracając do masażu ręcznego. – Jak długo to trwa?

Hare popatrzył na ścienny zegar.

– Dwanaście minut.

Sara miała wrażenie, że zajmuje się pacjentką dopiero przez dwie sekundy.

Ton głosu Hare'a musiał podpowiedzieć Lenie, w jakim kierunku nieodwołanie zmierza akcja.

– Nie pozwólcie jej umrzeć – wyszeptwała. – Proszę, błagam was, nie pozwólcie jej umrzeć.

– Serce nie pracuje już od dłuższego czasu, Saro – powiedział Hare. Informował ją w ten sposób, że jest już za późno: nadszedł czas, aby zrezygnować z prób ratowania kobiety.



Sara popatrzyła na niego zwięzonymi oczami. Po chwili odwróciła się do Ellen i oznajmiła:

– Zamierzam otworzyć jej klatkę piersiową.

Hare z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Saro, nie mamy tutaj warunków.

Zignorowała go. Wymacała żebra Julii. Zadrżała, kiedy dotknęła tego, które przed chwilą złamała. Kiedy dotarła do końca przepony, wzięła do ręki skalpel i w górnej części brzucha wykonała poprzeczne, sześciocalowe nacięcie. Wsunęła do powstałego otworu dłoń, sięgając pod żebrami w głąb klatki piersiowej pacjentki.

Zamknęła oczy. Masując serce Julii Matthews, próbowała odsunąć od siebie wyobrażenie szpitalnej sali. Kiedy ręką pobudzała serce pacjentki, zmuszając krew do krążenia, monitor ożywił się, ukazując na ekranie obraz fałszywej nadziei. Na palcach czuła mrowienie, w uszach słyszała przenikliwy pisk urządzeń elektronicznych. W tej chwili jednak nic się nie liczyło, ważne było jedynie oczekiwanie, aż serce zareaguje na jej uciski. Odnosiła wrażenie, że bawi się małym balonem, wypełnionym ciepłą wodą. Tyle że ten konkretny balon oznaczał życie.

Sara przerwała masaż. Policzyła do pięciu, potem do ośmiu, do dwunastu i w tym momencie została nagrodzona miarowymi piskami monitora ilustrującego akcję serca.

– To ty czy ona? – zapytał Hare.

– Ona – odparła Sara i wysunęła dłoń z ciała pacjentki. – Jeszcze lidokainę, proszę.

– Jezu Chryste – jęknęła Lena, przyłożywszy dłonie do własnych piersi.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś.

Sara w milczeniu zerwała z dłoni rękawice chirurgiczne. W gabinecie panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć pisków monitora i miarowego szumu wentylatora.

– No więc – powiedziała Sara – teraz weźmiemy wymazy z pochwy i sprawdzimy pod kątem syfilisu i rzeżączki. – Wypowiadając te słowa, lekko się zaczerwieniła. – Jestem pewna, że napastnik używał kondomu, jednak na wszelki wypadek za kilka dni skontrolujemy, czy dziewczyna nie jest w ciąży.

Sara była świadoma, że jej głos drży, miała jednak nadzieję, że ani Ellen, ani Lena tego nie zauważają. Z Hare'em była inna sprawa. Niemal słyszała jego myśli, nawet na niego nie patrząc.

Wyczuł jej zdenerwowanie, dlatego spróbował trochę zmienić atmosferę.

– Dobry Boże, Saro! To nacięcie na jej brzuchu... Jest bardzo niechlujne.

Sara oblizła usta. Nie mogła doczekać się, kiedy uspokoi się jej własne serce.

– Nigdy nie ośmieliłabym się być lepsza od ciebie – odparła.

– Jesteś najlepsza – powiedział Hare, tym razem poważnie, i otarł pot z czoła gazą chirurgiczną. – Jezu Chryste... – Roześmiał się niepewnie.

Ellen zaczęła okładać ręcznikami chirurgicznymi ranę na brzuchu Julii, chcąc zatrzymać krwawienie. Kiedy skończyła, odezwała się:

– Zatelefonuję po Larry'ego Headleya. Pracuje w Augustacie, ale mieszka piętnaście minut jazdy stąd.

– Będę ci wdzięczna – powiedziała Sara. Z szafki, zawieszanej na ścianie, wyciągnęła kolejną parę rękawiczek.

– Dobrze się czujesz? – zapytał ją Hare zdawkowym tonem, jednak w jego oczach wyraźnie malowała się troska o kuzynkę.

– Doskonale – odpowiedziała Sara. – Mogłabyś odszukać Franka? – zapytała Lenę.

Lena miała w sobie na tyle przyzwoitości, że zrobiła zafrasowaną minę.

– Zobaczę, co da się zrobić – odparła. Ze zwieszoną głową wyszła z gabinetu.

Sara odczekała, aż Lena zniknie za drzwiami, po czym odezwała się do Hare'a:

– Czy mógłbyś popatrzeć na jej rękę?

Hare w milczeniu zaczął oglądać dłonie dziewczyny, sprawdzając przede wszystkim stan kości. Po kilku minutach powiedział:

– To interesujące.

– Co takiego?

– Ten, kto ją zranił, w ogóle nie uszkodził kości – odparł, obracając przegub Julii Matthews. Kiedy przesunął dłonią do jej ramienia, dorzucił: – Naderwane.

– Dlatego, że chciała się uwolnić? – zapytała Sara chłodnym głosem.

Hare zmarszczył czoło.

– Czy zdajesz sobie sprawę, ile trzeba siły, żeby przestawić sobie łopatkę? – Potrząsnął głową, co miało znaczyć, że nie wierzy, by dziewczyna sama doprowadziła się do takiego stanu. – Straciłabyś przytomność, zanim...

– A czy ty zdajesz sobie sprawę, jak straszny jest gwałt? – Sara wbiła wzrok w Hare'a.

Wyraz jego twarzy uległ gwałtownej zmianie.

– Przepraszam, najdroższa. Dobrze się czujesz?

Poczuła, że do jej oczu napływają łzy. Musiała bardzo się starać, żeby utrzymać stanowczy, mocny głos.

– Sprawdź jej biodra, bardzo cię proszę. Chciałabym też, żebyś sporządził później kompletny raport medyczny.

Wykonał polecenie Sary, a kiedy skończył, skinął ku niej głową.

– Sądzę, że uda się lekko pociierać na wewnętrznych stronach. Ale będę musiał powtórzyć badanie, kiedy pacjentka będzie przytomna. Takie konkluzje są bardzo subiektywne.

– Co jeszcze możesz powiedzieć?

– Kości jej rąk i stóp nie zostały naruszone. Stopy przedziurawiono pomiędzy drugą i trzecią kością klinową oraz łódkowatą. Ktokolwiek ją skrzywdził, działał z dużą precyzją. – Urwał. Przez chwilę wpatrywał się w podłogę ze zwieszoną głową, zbierając myśli. – Nie wiem, dlaczego ludzie potrafią być takimi barbarzyńcami.

– Popatrz na to. – Sara wskazała na skórę na kostkach pacjentki. Obie kostki otaczały dookoła ciemne szramy. – Bez wątplenia zastosowano dodatkowy, sprawdzony środek, żeby unieruchomić jej nogi. – Podniosła rękę Julii i niespodziewanie ujrzała świeże nacięcie na jej przegubie. Drugi przegub nosił ślad identycznego nacięcia. Bez wątplenia w ciągu minionego miesiąca Julia Matthews próbowała popełnić samobójstwo. Po nacięciach pozostały białe poziome linie, biegnące w poprzek drobnych przegubów. Ale i tutaj znajdowały się ciemne szramy, identyczne jak na kostkach.

Sara nie powiedziała Hare'owi o odkryciu samobójczych zamiarów dziewczyny.

– Wygląda na to, że przymocowano ją do czegoś pasami, najprawdopodobniej skórzanymi – stwierdziła natomiast.

– Nie rozumiem.

– Te dziury mają tylko symboliczne znaczenie.

– Niby jakie?

– Wydaje mi się, że chodzi o ukrzyżowanie. – Sara ułożyła rękę kobiety z powrotem wzdłuż jej ciała.

Potała dłońmi swe ramiona. Nagle zdała sobie sprawę, że w pomieszczeniu, w którym się znajduje, jest bardzo zimno. Podeszła do szafy, poszukując czegoś, czym mogłaby okryć Julię Matthews.

– Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że zarówno jej ręce, jak i nogi, zostały przybite do czegoś w ten sposób, aby były rozrzucone jak najszerzej.

– Mówimy o ukrzyżowaniu? – Hare machnął ręką. – Przecież Jezusa nie ukrzyżowano w ten sposób. Stopy powinny być złączone.

– Nikt nie gwałcił Jezusa, Hare – powiedziała Sara stanowczo. – Nie mam wątpliwości, że jej stopy były rozrzucone szeroko.

Jabłko Adama na szyi Hare'a wyraźnie poruszyło się, kiedy głośno przełykał ślinę. Widać było, że zastanawia się nad słowami Sary.

– Takimi właśnie rzeczami zajmujesz się w kostnicy?

Sara wzruszyła ramionami, wciąż szukając okrycia dla pacjentki.

– Chryste, chyba masz większe jaja ode mnie – kontynuował Hare.

Sara znalazła wreszcie koc i okryła nim Julię, starając się zapewnić jej maksimum ciepła.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – zauważyła.

– Co z jej ustami? – zapytał Hare.

– Brakuje przednich zębów. Moim zdaniem, ktoś ją ich pozbawił, żeby łatwiej poruszać członkiem w jej ustach.

– Co takiego? – W głosie Hare'a brzmiało przerażenie.

– To rzecz bardziej powszechna, niżby ci się zdawało – powiedziała Sara spokojnie. – Za pomocą chloroxu usunięto z jej ciała wszelkie ślady. Prześladowca ogolił ją, żebyśmy nie znaleźli ani jednego jego włosa łonowego. Nawet podczas normalnego stosunku włosy łonowe wrywają się i mieszają. Poza tym mógł ją także ogolić dla większej frajdy, kiedy się nią

bawił. Wielu napastników lubi traktować swoje ofiary jak dzieci. Golenie włosów łonowych bardzo współgra z tą fantazją.

Hare potrząsnął głową, przygnębiony okropnością przestępstwa, z którym się zetknął.

– Co to musiało być za zwierzę... – jęknął.

Sara pogłaskała Julię po włosach.

– Działał bardzo metodycznie.

– Uważasz, że go znała?

– Nie – odparła Sara. Tego akurat była zupełnie pewna. Podeszła do stołu, na którym Lena położyła plastikowe torebki na dowody rzeczowe. – Dlaczego podarował nam jej prawo jazdy? Przecież dla niego nie ma znaczenia, czy wiemy, kim ona jest.

W głosie Hare'a zabrzmiało niedowierzenie.

– Jak możesz być tego pewna?

– Zostawił ją... – Sara próbowała uspokoić oddech. – Zostawił ją przed szpitalem, gdzie w każdej chwili ktoś mógł go nakryć.

Przyłożyła na chwilę dłoń do oczu. Nagle zapragnęła gdzieś się ukryć przed tym wszystkim, oderwać się na chwilę od wydarzeń dzisiejszego dnia. Musiała przynajmniej wybiec z tego pomieszczenia. Tego jednego była całkowicie pewna.

Hare jakby odgadywał jej myśli. Na jego zazwyczaj wesołej i szczerzej twarzy pojawił się wyraz zatroskania.

– Zgwałcono ją w szpitalu – powiedział.

– Przed szpitalem.

– Ktoś zakleił jej usta taśmą, żeby nie krzyczała.

– Wiem.

– Zrobił to ktoś, kto najwyraźniej ma jakieś odchyły na punkcie religii.

– Racja.

– Saro...

W tym momencie w gabinecie zabiegowym pojawiła się Lena. Sara dała znak Hare'owi, żeby umilkł.

– Frank jest już w drodze – powiedziała Lena.

## CZWARTEK

### 14

Jeffrey kilkakrotnie zamrugał, starając się znowu nie zasnąć. Przez kilka sekund nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje, jednak rozejrzawszy się po szpitalnej sali, od razu przypomniał sobie wydarzenia ostatniego wieczoru. Popatrzył na okno, dając oczom kilkanaście sekund na to, żeby przywykły do światła. Wyobrazził sobie Sarę.

Znów ułożył głowę na poduszce, zamknął oczy i wydał ciężkie westchnienie.

– Pamiętasz, jak szczotkowałem twoje włosy?

– Słucham, szefie?

Jeffrey otworzył oczy.

– Lena?

Podeszła do łóżka nieco zmieszana.

– Słucham.

– Wydawało mi się, że jesteś... – Odrzucił myśl od siebie. – Nie, nic się nie stało.

Zmusił się do przyjęcia pozycji siedzącej, mimo bólu promieniującego z prawej nogi. Czuł się zeszywniały, otumaniony przez leki, wiedział jednak, że jeśli teraz się nie wyprostuje, przeleży bezmyślnie cały dzień.

– Podaj mi spodnie – poprosił.

– Trzeba było je wyrzucić – przypomniała mu Lena. – Pamiętasz, co się

stało?

Jeffrey wymruczał coś w odpowiedzi, ale opuścił stopy na podłogę. Kiedy stanął, odniósł wrażenie, że ktoś wbija mu w nogę gorący nóż, zdołał jednak znieść ten ból.

– Mogłabyś więc znaleźć dla mnie jakieś inne spodnie?

Lena wyszła z sali, a Jeffrey oparł się o ścianę. Robił wszystko, żeby z powrotem nie usiąść. Próbował dokładnie przypomnieć sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru. Część jego umysłu nie chciała do nich wracać. Miał już i tak dość problemów na głowie. Przede wszystkim musiał się dowiedzieć, kto zamordował Sibyl Adams.

– Jak ci się podobają? – zapytała Lena, rzucając w jego kierunku parę niebieskich spodni roboczych.

– Wspaniale – odparł. Począł, aż Lena się odwróci i szybko naciągnął spodnie, tłumiąc w sobie jęk bólu, kiedy unosił zranioną nogę. – Przed nami ciężki dzień – zauważył. – O dziesiątej będzie u mnie Nick Shelton z facetem od narkotyków. Zajmiemy się belladonna. Wciąż trzymamy tego szczyła, jak mu tam, Gordona. – Zapiął trochę przyciasne spodnie. – Mam zamiar znów z nim porozmawiać i wyciągnąć z niego wszystko, co pamięta od czasu ostatniego spotkania z Julią Matthews. – Oparł dłonie na stole. – Nie sądzę, żeby wiedział, gdzie ona jest, jednak może coś widział.

Lena odwróciła się w jego kierunku.

– Znaleźliśmy już Julię Matthews.

– Co takiego? – zdziwił się. – Kiedy?

– Wczoraj wieczorem pojawiła się w szpitalu – odparła Lena. Coś dziwnego było w jej głosie, coś, co sprawiło, że Jeffrey niemal zadrżał, wietrząc najgorsze.

Usiadł na łóżku, odpychając od siebie ponure myśli.

Lena zamknęła drzwi i zreferowała mu wydarzenia ostatniego wieczoru. Kiedy kończyła, Jeffrey nerwowo chodził po szpitalnej sali.

– Po prostu pojawiła się na samochodzie Sary?

Lena przytaknęła.

– Gdzie jest teraz? – zapytał Jeffrey. – To znaczy, mam na myśli samochód.

– Frank kazał go odholować – odparła Lena takim głosem, jakby czuła

się czemuś winna.

– Gdzie jest Frank? – Jeffrey usiadł i oparł głowę o poręcz łóżka.

Lena nic nie mówiła przez chwilę, wreszcie odezwała się:

– Nie wiem.

Posłał jej surowe spojrzenie; doskonale zdawał sobie sprawę, że Lena wie, gdzie jest Frank, jednak nie powie mu tego.

– Postawił Brada na schodach, żeby jej pilnował.

– Gordon jest ciągle w areszcie, zgadza się?

– Tak, to pierwsza rzecz, jaką sprawdziłam. Spędził tam całą noc. On nie mógł ułożyć tej dziewczyny na samochodzie Sary.

Jeffrey uderzył pięścią w poduszkę. Zrozumiał, że poprzedniego wieczoru nie powinien przyjąć demerolu. W końcu nie był na wakacjach, lecz akurat prowadził poważną sprawę.

– Podaj mi marynarkę. – Wyciągnął rękę i przyjął marynarkę od Leny. Kuśtykając, wymaszerował z sali.

Lena wyszła za nim. Stanęli przed drzwiami windy, która długo nie nadjeżdżała, lecz oboje milczeli.

– Przespała całą noc – odezwała się wreszcie Lena.

– No i dobrze.

Jeffrey ze zniecierpliwieniem kilkakrotnie nacisnął guzik przywołujący windę. Dzwonek, oznajmiający jej przybycie, zadźwięczał kilkanaście sekund później i wreszcie oboje weszli do środka. Znowu długo milczeli.

– Jeśli chodzi o ostatni wieczór – zaczęła Lena. – Ten strzał...

Wysiadając z windy, Jeffrey machnął lekceważąco ręką.

– Tym się zajmiemy później.

– Chodzi mi...

Wyciągnął ręce do góry.

– Czy masz pojęcie, jak mało to w tej chwili dla mnie znaczy? – zapytał. Przytrzymując się poręczy przymocowanej do ściany, ruszył w kierunku Brada.

– Dzień dobry, szefie – rzekł Brad, wstając z krzesła.

– Nikogo u niej nie ma? – zapytał Jeffrey, gestem nakazując Bradowi, żeby z powrotem usiadł.

– Nie. Ostatnia wychodziła od niej doktor Linton, około drugiej nad ra-



nem.

– Dobrze – mruknął Jeffrey.

Otwierając drzwi do izolatki, drugą ręką podparł się na ramieniu Brada.

Julia Matthews już nie spała. Niewidzącym spojrzeniem wpatrywała się w okno. Kiedy policjanci weszli do pomieszczenia, nawet się nie poruszyła.

– Panno Matthews – powiedział Jeffrey, stając przed łóżkiem.

Nadal patrzyła w okno. Milczała.

– Od czasu, kiedy Sara wyciągnęła rurkę z jej ust, nie powiedziała ani słowa – odezwała się Lena.

Jeffrey popatrzył na okno, zastanawiając się, co tak przyciąga uwagę dziewczyny. Świt rozproszył mrok już dobre pół godziny temu, jednak za szybko nie było widać niczego poza kilkoma postrzępionymi chmurami.

– Panno Matthews – powtórzył Jeffrey.

Po jej twarzy pociekły łzy, jednak nadal milczała. Przy pomocy pomagającej mu stąpać Leny, Jeffrey opuścił izolatkę. Kiedy tylko znaleźli się na korytarzu, Lena poinformowała go:

– Nie powiedziała dotąd ani słowa.

– Ani jednego?

Potrząsnęła głową.

– Z college’u uzyskaliśmy numer, który podała na wypadek nadzwyczajnej sytuacji. Rozmawialiśmy z jej ciotką. Szuka teraz rodziców. Przylecą do Atlanty pierwszym możliwym samolotem.

– Kiedy to nastąpi? – zapytał Jeffrey, spoglądając na zegarek.

– Dzisiaj, około trzeciej.

– Frank i ja odbierzemy ich z lotniska – postanowił, po czym popatrzył na Brada. – Spędziłeś tu całą noc?

– Tak, proszę pana.

– Teraz na kilka godzin zastąpi cię Lena. A ty odpocznij. – Jeffrey spojrział na Lenę, jakby zachęcając ją do protestu. Kiedy ten nie nastąpił, powiedział do niej: – Zawieziesz mnie jeszcze do domu, a potem na komisariat. Stamtąd wrócisz pieszo do szpitala.

Lena prowadziła samochód, a Jeffrey wpatrywał się prosto przed siebie, starając się uporządkować w myślach wszystko, co wydarzyło się ostatniego wieczoru i nocy. Czuł się podle i wątpił, czy pomoże mu nawet kilka tabletek aspiryny. Wciąż nie do końca otrząsnął się z letargu, w jaki wprowadziły go tabletki, które ostatnio przyjął. Wprost niewiarygodne wydawało mu się to, że tragiczne wydarzenia miały miejsce o kilka drzwi od sali, w której przez cały wieczór i noc spał jak dziecko. Dziękował Bogu, że na miejscu znalazła się Sara. W przeciwnym razie, doskonale rozumiał, miałyby już w tej chwili dwie śmiertelne ofiary.

Stan Julii Matthews dowodził, że morderca poczynił sobie z coraz większym okrucieństwem. Od błyskawicznej napaści i morderstwa w toalecie przeszedł do powolnego, kilkudniowego znęcania się nad ofiarą. Wielokrotnie w przeszłości Jeffrey stykał się już z tego typu zachowaniem. Serijni gwałciciele uczyli się na swoich błędach. Spędzali długi czas na rozważaniach, w jaki sposób najlepiej osiągnąć cel. Ten konkretny gwałciciel podnosił swoje kwalifikacje, jeżeli to dobre słowo, nawet teraz, kiedy Jeffrey i Lena rozmawiali o tym, jak go złapać.

Poprosił, żeby Lena jeszcze raz powtórzyła historię Julii Matthews. Słuchając, próbował wyłowić z jej opowieści nieściłości, wyciągnąć jakieś dodatkowe wnioski i wskazówki. Nie miał jednak na to szans. Lena doskonale zrelacjonowała wszystko za pierwszym razem i druga relacja nic już nie dała.

– Co się stało potem? – zapytał Jeffrey.

– Po odejściu Sary? Pokiwał głową.

– Z Augusty przyjechał doktor Headley. Pozszywał ją.

Jeffrey nagle zdał sobie sprawę, że w relacji z wydarzeń poprzedniego wieczoru Lena bezustannie używała słów „ona”, „ją”, w ogóle nie wypowiadając imienia dziewczyny. Wśród stróżów prawa powszechne było zajmowanie się raczej przestępcą niż jego ofiarą, i Jeffrey uważał to za najlepszą metodę najszybszego dotarcia do sprawcy przestępstwa. Dlatego cieszył się, że Lena przyjęła właśnie taką postawę, zważywszy na to, co stało się z jej siostrą.

A jednak Lena była dzisiaj jakby odmieniona. Nie potrafił określić, czy przyczyną było napięcie czy przepelniająca ją złość. Jej ciało zdawało się

wibrować od emocji i Jeffrey postanowił jak najszybciej zabrać ją do szpitala; być może tam na chwilę usiądzie i ochłonie. Wiedział, że nie opuści swojego posterunku przy Julii Matthews. Szpital był teraz jedynym miejscem, gdzie mógł Lenę pozostawić i zaufać, że nie ruszy się z miejsca. Jeśli przeżyła w ostatnich godzinach załamanie nerwowe, tym bardziej było to dla niej najlepsze miejsce. Na razie jednak potrzebował jej. Musiała być jego oczami i uszami, opowiedzieć mu jak najwięcej o ostatniej nocy.

– Jak wyglądała Julia? – zapytał.

Lena nacisnęła klakson. Przestraszona wiewiórka błyskawicznie czmychnęła ze środka drogi.

– Myślę, że normalnie – odparła Lena i na chwilę umilkła. – To znaczy, na początku pomyślałam, że może przedawkowała. Na pierwszy rzut oka nie zakwalifikowałabym jej jako ofiary gwałtu albo innego przestępstwa.

– A co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

Lena przez chwilę poruszała szczękami.

– Chyba doktor Linton. Wskazała mi dziury w jej rękach i stopach. Nie wiem, wcześniej musiałam być ślepa. Zapach wybielacza i to wszystko...

– Co wszystko?

– Wszystko, co nie pozwalało natychmiast zauważyć ran fizycznych. – Lena znów umilkła, po czym kontynuowała defensywnym tonem: – Miała usta zalepione taśmą, prawo jazdy tkwiło prawie w jej gardle. Być może sprawiała wrażenie, że jest ofiarą gwałtu, ale ja tego nie widziałam. Nie wiem dlaczego. Przecież doszłabym w końcu do tego, nie jestem głupia. Ona po prostu wyglądała tak normalnie. Widzisz, na pierwszy rzut oka nie dało się nic zauważyć.

Jeffrey był zaskoczony.

– Jak, twoim zdaniem, powinny wyglądać zgwałcone kobiety?

Lena wzruszyła ramionami.

– Chyba tak, jak moja siostra – mruknęła. – Jak ktoś, kto naprawdę nie może już sobie dać rady.

Jeffrey spodziewał się obrazowego opisu, komentarza na temat stanu Julii Matthews.

– Nie rozumiem cię – powiedział.

Przez chwilę Lena zastanawiała się, w jakie słowa ująć swoje myśli.

– Sądzę, że potrafię zrozumieć przypadek Sibyl, ponieważ była niewiedoma. – Zamilkła. – To znaczy, wszyscy wiemy, że są kobiety, które zachowują się tak, jakby się o to prosiły. Oczywiście Sibyl była inna, jednak ja znam gwałcicieli. Rozmawiałam z nimi. Zamykałam ich w więzieniu. Wiem, w jaki sposób rozumują. Nie wybierają na ofiarę nikogo, kto, ich zdaniem, będzie potrafił się bronić.

– Tak uważasz?

Lena wzruszyła ramionami.

– Sądzę, że moglibyśmy wnikać w te feministyczne bzdury o tym, że kobiety powinny robić wszystko to, na co mają ochotę, a mężczyźni powinni do tego przywyknąć, tylko po co? – Lena znów urwała. – To jest mniej więcej tak – kontynuowała – jak gdybym postawiła samochód w centrum Atlanty, z opuszczoną szybą i kluczykami w stacyjce. Czyją winą będzie, jeśli ktoś go ukradnie?

Jeffrey nie do końca nadażał za jej rozumowaniem.

– Dookoła nas krążą seksualni drapieżcy – mówiła dalej. – Wszyscy wiedzą, że po świecie stąpają chorzy ludzie, zazwyczaj mężczyźni, którzy polują na kobiety. I nie zabierają się do takich, z którymi nie mogliby dać sobie rady. Wybierają te, które nie mogą lub nie potrafią stanąć do skutecznej walki w swojej obronie. Wybierają ciche, spokojne, słabe, takie jak Julia Matthews. Albo niepełnosprawne – dodała. – Jak moja siostra.

Jeffrey wpatrywał się w nią, niepewny, czy dobrze ją zrozumiał. Czasami Lena zaskakiwała go, jednak to, co powiedziała teraz, wprawiło go w najwyższe osłupienie. Tego rodzaju przemowy spodziewałby się raczej od kogoś takiego jak Matt Hogan, ale nigdy od kobiety. Nawet od Leny.

Oparł na chwilę głowę o boczną szybę, przez kilka sekund milcząc. Wreszcie poprosił:

– Mów dalej, Leno. O Julii Matthews. W jakim stanie znalazła się w szpitalu?

Lena jakby zwlekała z odpowiedzią.

– Miała wybite przednie zęby – odparła wreszcie. – Nogi skrzyżowane w kostkach. Ogolono jej włosy łonowe. Poza tym, widzisz, ktoś wyczyścił ją w środku.

– Wybielaczem?

Lena pokiwała głową.

– Także w ustach.

Jeffrey wpatrywał się w nią uważnie.

– Co jeszcze?

– Nie miała żadnych ran. – Lena wskazała na swoje uda.

– Żadnych śladów walki na rękach, poza dziurami w dłoniach i szram po przytrzymujących ją sznurach.

Jeffrey rozmyślał przez chwilę nad tą informacją. Prawdopodobnie przez cały czas Julia Matthews była zamroczona narkotykami, chociaż wszystko to i tak nie miało sensu. Gwałt zawsze wiąże się z cierpieniem i zdecydowana większość gwałcicieli czerpała większe zadowolenie z zadawania bólu ofiarom i panowania nad nimi niż z uprawiania z nimi seksu.

– Mów dalej – poprosił Lenę. – Jak Julia wyglądała, kiedy ją znaleźliście?

– Zupełnie zwyczajnie – odparła Lena. – Już ci mówiłam.

– Była naga?

– Tak, naga. Zupełnie naga i leżała na masce samochodu z szeroko rozrzuconymi rękami. Nogi miała skrzyżowane w kostkach.

– Uważasz, że została z ten sposób ułożona dla jakiegoś szczególnego powodu?

– Nie wiem. Ale... Każdy zna doktor Linton. Każdy wie, jaki prowadzi samochód. To jedyny taki w mieście.

Jeffrey poczuł, że żołądek podskakuje mu do gardła. Takiej odpowiedzi ani nie oczekiwał, ani nie pragnął. Zadając Lenie pytanie, miał raczej na myśli ułożenie ciała, chciał, żeby wypowiedziała ten sam wniosek, do którego doszedł on sam: że ciało dziewczyny leżało na masce w taki sposób, żeby przypominało pozycję ukrzyżowania. Zakładał, że samochód Sary wybrany został dlatego, iż parkował najbliżej szpitala i ułożone właśnie na nim ciało mogło być najszybciej zauważone. Świadomość, że działanie przestępcy mogło być skierowane przeciwko Sarze, wstrząsnęła nim.

Na chwilę odegnał myśli o Sarze, zadając Lenie kolejne pytanie:

– Co wiemy o naszym gwałcicielu?

Lena przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Cóż, jest biały, ponieważ gwałciciele wybierają ofiary we własnych

grupach etnicznych. Ma dostęp do środków chemicznych. Jest prawdopodobnie starszym człowiekiem, posiada własny dom, ponieważ najwyraźniej przybił ofiarę gdzieś do podłogi lub ściany, a tego nie można zrobić w bloku. Zatem przestępca na dobre zadomowiony jest w swojej społeczności. Zapewne nie jest żonaty, ponieważ gdyby żona powróciła do domu i znalazła w piwnicy ukrzyżowaną kobietę, musiałby się gęsto tłumaczyć.

– Dlaczego powiedziałaś: „w piwnicy”?

Lena znowu wzruszyła ramionami.

– Nie wyobrażam sobie, żeby to zrobił na dworze, w ogrodzie.

– Nawet jeżeli mieszka sam?

– Chyba, że byłby pewien, że nikt go nie odwiedzi.

– Może jest samotnikiem?

– Być może. Ale, w takim razie, jakim cudem ją spotkał?

– Dobre pytanie – odparł Jeffrey. – Czy Sara wysłała próbki krwi do badań?

– Tak – odpowiedziała Lena. – Sama zawiozła próbki do Augusty. Przynajmniej tak mi powiedziała. Twierdziła, że wie, czego szukać.

Jeffrey wskazał ręką boczną drogę.

– Tam.

Lena gwałtownie skręciła.

– Zamierzasz dziś wypuścić Gordona? – zapytała.

– Nie sądzę. Oskarżenie o posiadanie narkotyków możemy wykorzystać dla nakłonienia go do współpracy w kwestii, z kim Julia się spotykała. Z tego, co twierdzi Jenny Price, trzymał ją na krótkiej smyczy. Gordon jest osobą, która najszybciej zauważyłaby kogoś nowego w otoczeniu Julii.

– Rzeczywiście – przyznała Lena.

– Teraz w prawo – poinstruował Jeffrey i wyprostował się w fotelu. – Wejdiesz?

Lena pozostała za kierownicą.

– Dziękuję, poczekam w aucie.

Jeffrey nie poruszył się.

– Chyba jest coś, o czym jeszcze mi nie powiedziałaś, prawda?

Lena głęboko odetchnęła, po czym wyrzuciła z siebie:

– Czuję się, jakbym cię zawiodła.

– Wczoraj wieczorem? – zdziwił się. – Chodzi ci o ten postrzał?

– Są sprawy, o których nie wiesz.

Jeffrey położył rękę na klamce.

– Czy zajmuje się nimi Frank?

Pokiwała twierdząco głową.

– To znaczy, że miałaś szanse powstrzymać to, co się wydarzyło?

Wzruszyła ramionami. Podciągnęła je niemal do wysokości uszu.

– Nie wiem, czy w ogóle jeszcze potrafię powstrzymać cokolwiek.

– Dzięki Bogu, nikt tego od ciebie nie wymaga.

Pragnął powiedzieć jej coś więcej, zdjąć trochę ciężaru z jej piersi, jednak doświadczenie podpowiadało mu, że z przytłaczającymi ją problemami Lena musi dać sobie radę sama. Minione trzydzieści trzy lata spędziła, budując fortecę wokół swojej osoby. Nikt i nic nie mogło rozbić tej fortecy w ciągu trzech dni.

Po chwili namysłu Jeffrey odezwał się:

– Leno, w tej chwili wszyscy musimy skoncentrować się na ustaleniu, kto zabił twoją siostrę i kto zgwałcił Julię Matthews. A jeśli chodzi o to... – Wskazał na swoją nogę. – Zajmę się tym, kiedy już będzie po wszystkim. Sądzę, że oboje wiemy, gdzie rozpocząć poszukiwania. Przecież oni nie opuszczą miasta.

Otworzył drzwiczki i z wysiłkiem, unosząc ją rękami, wyciągnął zranioną nogę z samochodu.

– Jezu Chryste – jęknął, czując, jak silny, promieniujący ból podchodzi mu pod kolano. Podczas zbyt długiego bezruchu w samochodzie jego ranna noga zeszywniała. Zanim wyprostował się, stawiając obie nogi na ziemi, nad jego górną wargą zalśniło kilką grubych kropel potu.

Ból rozrywał mu nogę także wtedy, gdy kuśtykał w kierunku domu. Klucze do domu trzymał na tym samym kółku, na którym znajdowały się kluczyki od samochodu, musiał więc teraz przejść na podwórze i wejść do środka przez kuchnię. Przez ostatnie dwa lata sam przemodelowywał budynek. Jego najnowszy projekt związany był z kuchnią. W pewien trzydniowy weekend rozkuł jej tylną ścianę, planując ustawić ją z powrotem, kiedy znów będzie miał trochę czasu. Tymczasowo zawiesił pod sufitem płaty przezroczystego plastiku, które kupił w sklepie w Birmingham.

Prowizorycznie osłaniały ziejącą w murze dziurę, szeroką na dwa, a wysoką na cztery jardy. Chroniły przed wiatrem i deszczem, nie zmieniało to jednak faktu, że na tyłach domu miał wielką dziurę. Teraz, ranny, musiał na dłużej odłożyć plany jej załatania.

Znalazłszy się w salonie, podniósł słuchawkę telefonu i wykrecił numer Sary, mając nadzieję, że złapie ją w domu, zanim wyjdzie do pracy. Niestety, włączyła się automatyczna sekretarka. Zadzwoił więc do Lintonów.

Eddie Linton odebrał po trzecim sygnale.

– Linton i córki, słucham.

Jeffrey z trudem starał się zachować spokojny, przyjemny głos.

– Hej, Eddie, tu Jeffrey.

Telefon zaskrzeczał, jakby ktoś po drugiej stronie zrzucił aparat na podłogę. Wreszcie Jeffrey usłyszał brzęk obtłukiwanych talerzy i odgłosy przytłumionej rozmowy. Po kilku sekundach ze słuchawki dobiegł głos Sary.

– Jeff?

– Tak – odparł.

Usłyszał, jak Sara otwiera drzwi na taras. Lintonowie byli jedynymi ludźmi, jakich znał, którzy nie mieli w domu telefonu bezprzewodowego. Jedyne gniazdko znajdowało się w kuchni. Gdyby nie przewód o długości dziesięciu stóp, dziewczęta, uczęszczając już do szkoły średniej, musiałyby prowadzić wszystkie swoje rozmowy z kuchni. O prywatności nie byłoby mowy.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi, a potem ponownie Sarę:

– Przepraszam.

– Jak się masz?

Uniknęła odpowiedzi, mówiąc ostro:

– To nie mnie postrzelono wczoraj w nogę.

Jeffrey przez chwilę milczał, zastanawiając się nad przyczyną obcesowości w jej tonie.

– Słyszałem, co się stało z Julią Matthews.

– Właśnie – powiedziała Julia. – Byłam z próbkami krwi w Auguście.

Belladonna ma dwie łatwo wykrywalne cechy charakterystyczne.

Nie zamierzał wysłuchiwać lekcji chemii.

– Natrafiłaś na obie?



– Tak.

– A więc w obu przypadkach szukamy tego samego faceta.

Głos Sary świadczył o zdenerwowaniu.

– Na to wygląda.

Zanim Jeffrey odezwał się ponownie, minęło kilka sekund.

– Nick jest w kontakcie z facetem, który jest specjalistą od belladonny.

Około dziesiątej będzie z nim na komisariacie. Wpadniesz?

– Dałabym radę pomiędzy kolejnymi pacjentami, ale nie na długo – przyznała Sara. Jej głos niespodziewanie złagodniał, kiedy dodała: – Teraz już muszę kończyć, dobrze?

– Chcę z tobą porozmawiać o wydarzeniach wczorajszego wieczoru.

– Później, dobrze? – Nie dała mu czasu na odpowiedź. Usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

Jeffrey ciężko westchnął i pokuśtykał do łazienki. Po drodze wyjrzał przez okno, sprawdzając, czy Lena jest na miejscu. Wciąż siedziała w samochodzie, mocno zaciskając obie dłonie na kierownicy.

Wziąwszy gorący prysznic i ogoliwszy się, Jeffrey poczuł się lepiej. Ranna noga wciąż była sztywna, ale im więcej nią poruszał, tym mniej bolała. Miał więc przynajmniej kolejny poważny powód do aktywności.

Drogę na komisariat pokonali w ciszy i w napięciu; jedynym odgłosem rozlegającym się wewnątrz samochodu było zgrzytanie zębów Leny. Jeffrey z ulgą przyjął koniec wspólnej jazdy. W milczeniu patrzył, jak Lena oddala się, pieszo zmierzając do szpitala.

Na jego widok Marla, która powitała go w drzwiach, załamała ręce.

– Jak się cieszę, że jesteś cały! – wykrzyknęła. Ujęła go pod ramię i poprowadziła do jego gabinetu, szczebiocząc przez całą drogę.

Przerwał jej dopiero wtedy, kiedy otworzyła przed nim drzwi.

– Dam sobie radę – powiedział. – Gdzie jest Frank?

Marla nagle zmarkotniała. Grant było małym hrabstwem, a społeczność policyjna była jeszcze mniejsza. Plotki rozchodziły się tutaj szybciej niż wyładowania atmosferyczne po stalowym pręcie.

– Chyba w tylnej części budynku – odparła.

– Idź i przyprowadź go do mnie, dobrze? – poprosił Jeffrey, wchodząc do gabinetu.

Z jękiem usiadł na fotelu za biurkiem. Wiedział, że nadwerężając chorą nogę kusi los, nie miał jednak wyboru. Jego ludzie musieli wiedzieć, że powrócił na komisariat, gotów do pracy.

Frank zastukał w uchylone drzwi i Jeffrey skinął, żeby wszedł do środka.

– Jak się masz? – zapytał Frank.

Patrząc mu w oczy, Jeffrey powiedział z naciskiem:

– Mam nadzieję, że nikt więcej nie będzie już do mnie strzelał. Czy się mylę?

Frank miał chociaż tyle przyzwoitości, żeby wbić wzrok w czubki swoich butów.

– Nie, proszę pana.

– Co z Willem Harrisem?

Frank potarł policzek.

– Słyszałem, że jedzie do Savannah.

– Tak od razu?

– Tak. Pete dał mu premię. Will kupił bilet na autobus. – Frank wzruszył ramionami. – Powiedział, że chce spędzić kilka tygodni z córką.

– Co z jego domem?

– Jakiś facet z okolicy zajął się oknem.

– Dobrze – mruknął Jeffrey. – Sara chce jak najszybciej dostać z powrotem samochód. Znaleźliście na nim coś?

Frank wyciągnął z kieszeni plastikową torebkę i ostrożnie położył ją na biurku.

– Co to jest? – zapytał Jeffrey, ale było to głupie pytanie. W torebce znajdowało się magnum ruger kaliber .357.

– To było pod fotelem kierowcy.

– W samochodzie Sary? – zawołał Jeffrey. Prosty fakt przez chwilę do niego nie docierał. Rewolwer był olbrzymi, kaliber taki, że z bliska można było zrobić człowiekowi dziurę w klatce piersiowej. – W jej samochodzie? To jej własność?

Frank wzruszył ramionami.

– Nie ma na to pozwolenia.

Jeffrey wpatrywał się w rewolwer, jakby broń potrafiła do niego prze-

mówić. Sara, oczywiście, nie występowała przeciwko prawu obywateli do posiadania broni, wiedział jednak doskonale, że niespecjalnie lubiła broń palną, a już z pewnością nie taką, za pomocą której można by odstrzelić zamek w drzwiach od stodoły. Wysunął rewolwer z torebki i zaczął go oglądać.

– Numer seryjny starto – odpowiedział mu Frank.

– Naprawdę? – Sam to natychmiast zauważył. – Był naładowany?

– Tak. – Frank był najwyraźniej pełen podziwu dla wielkiego rewolweru. – Ruger sześć, nierdzewna stal. Dostępny w sprzedaży.

Jeffrey odłożył rewolwer do szuflady, po czym popatrzył na Franka.

– Co z naszą listą przestępców seksualnych?

Frank zdawał się rozczarowany, że dyskusja na temat rewolweru Sary została zakończona.

– Właściwie nic nie mamy – odparł. – Większość z nich ma jakieś alibi. Ci, którzy go nie posiadają, i tak nie zasługują na naszą uwagę.

– O dziesiątej mamy spotkanie z Nickiem Sheltonem. Przyprowdzi specjalistę od belladonny. Może po tym spotkaniu będziemy mogli dać ludziom dokładniejsze instrukcje?

Frank zajął miejsce na krześle.

– Ta wilcza jagoda rośnie nawet na moim podwórku.

– Na moim też – przytaknął Jeffrey. – Po spotkaniu będę pędził do szpitala. Zobaczę, może Julia Matthews będzie już w nastroju do mówienia. – Na chwilę umilkł, rozmyślając o nieszczęsnej dziewczynie. – Jej rodzice będą tu około trzeciej. Chcę ich odebrać z lotniska. A ty będziesz mnie dzisiaj woził.

Nawet jeśli Frankowi ta perspektywa się nie spodobała, nie skomentował tego.

Sara wyszła z kliniki kwadrans przed dziesiątą. Przed spotkaniem z Jeffreyem chciała jeszcze wejść do apteki. Powietrze było chłodne, a gęste chmury zapowiadały kolejny deszcz. Idąc ulicą, wsunęła dłonie w kieszenie i wpatrywała się w chodnik kilka kroków przed sobą, licząc, że jej sylwetka i zdecydowany krok zniechęcą przechodniów do zatrzymywania jej. Nie musiała się jednak martwić. Od dnia śmierci Sibyl centrum miasta było wyludnione i spokojne. Można było odnieść wrażenie, że wraz z nią umarło całe miasto. Sara doskonale rozumiała, jak czują się ludzie.

Przez całą noc Sara leżała bezsennie w łóżku, powtarzając w myślach każdą czynność, jaką wykonała przy Julii Matthews. Co jakiś czas powracał do niej obraz dziewczyny rozłożonej na masce samochodu, z przebitymi stopami i dłońmi, o szklanych oczach, wpatrujących się niewidzącym wzrokiem w nocne niebo. Pragnęła, żeby życie nigdy więcej nie poddało jej podobnej próbie.

Kiedy weszła do środka, rozległ się dźwięk dzwoneczków, umieszczonych nad drzwiami apteki. Ich odgłos wyrwał Sarę z zamyślenia.

– Hej, pani doktor Linton! – zawołała Marty Ringo zza kontuaru. Głowę miała opuszczoną nad jakimś kolorowym magazynem.

Marty była pulchną kobietą, nad jej prawą brwią znajdował się brzydki, duży pieprzyk. Wyrastały z niego czarne włosy, trochę przypominające szczecinę z miotły. Pracując w aptece, Marty znała ostatnie plotki dotyczące wszystkich i wszystkiego, co się działo w mieście. Dzisiaj bez wątpienia opowie każdemu, kto się u niej pojawi, że Sara Linton przyszła do apteki specjalnie, żeby spotkać się z Jebem. Uśmiechnęła się lekko.

– Czy szuka pani Jeba?

– Tak – odparła Sara.

– Słyszałam, co się działo ostatniej nocy – powiedziała Marty, najwyraźniej chcąc usłyszeć nowe informacje. – To ta dziewczyna z college’u, co?

Sara pokiwała twierdząco głową. Taką wiadomość Marty mogła uzy-

skać nawet z gazety. Marty ściszyła głos.

– Słyszałam, że ktoś nieźle ją urządził.

– Mhm – odparła Sara, rozglądając się po pomieszczeniu. – Czy on tu jest? – zapytała.

– Obie były do siebie podobne, prawda?

– Kto taki? – Słowa Marty nagle zainteresowały Sarę.

– Obie dziewczyny. Myśli pani, że istnieje jakieś powiązanie?

Sara urwała rozmowę.

– Naprawdę muszę porozmawiać z Jebem.

– Jest na zapleczu – powiedziała Marty z urażonym wyrazem twarzy.

Sara podziękowała jej wymuszonym uśmiechem i ruszyła na zaplecze apteki. Zawsze lubiła to miejsce. Kupiła tutaj swoją pierwszą tubkę tuszu do rzęs. W weekendy ojciec przywoził ją tu z siostrą po cukierki. Od czasu, gdy aptekę kupił Jeb, niewiele się tutaj zmieniło. Saturator do wody sodowej, ustawiony bardziej na pokaz niż po to, żeby naprawdę sprzedawać napoje, jaskrawo lśnił, codziennie starannie pucowany. Pod szybą kontuaru wciąż leżały środki antykoncepcyjne. Małe szufladki w szafach, ustawionych wzdłuż ścian, były starannie ponumerowane i poznaczane.

Sara zajrzała do małego pomieszczenia biurowego, jednak Jeba tam nie było. Zauważyła jednak, że otwarte są tylne drzwi i, obejrawszy się na Marty, ruszyła w ich kierunku.

– Jeb? – zawołała.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, stanęła w otwartych drzwiach. Jeb stał na zewnątrz, trochę z boku, odwrócony do Sary plecami. Kiedy klepnęła go w ramię, aż podskoczył.

– Boże! – krzyknął, błyskawicznie się odwracając. Kiedy ujrzał Sarę, przerażenie na jego twarzy ustąpiło miejsca radości. Roześmiał się. – Ale mnie przestraszyłaś!

– Przepraszam – powiedziała Sara ze skruchą, chociaż cieszyła się z jego chwilowego zaskoczenia. – Co robiłeś?

Wskazał na rząd krzaków, otaczających parking za budynkami.

– Widzisz to? Tam, w krzakach?

Sara potrząsnęła przecząco głową, nie widząc niczego nadzwyczajnego. Nagle, kiedy dostrzegła małe ptasie gniazdo, wyrwało się jej z piersi głośne

„och”.

– Zięby – powiedział Jeb. – W zeszłym roku zainstalowałem im karmnik, jednak zabrały go jakieś dzieciaki ze szkoły.

Sara odwróciła się i popatrzyła na niego uważnie.

– Jeśli chodzi o ostatni wieczór... – zaczęła.

Machnął ręką.

– Proszę, Saro, uwierz mi, rozumiem. Byłaś z Jeffreyem przez długi czas.

– Dziękuję ci – powiedziała z głębi serca.

Jeb zajrzał w głąb apteki i ściszył głos.

– Mnie także jest przykro z powodu ostatniego wieczoru. Wiesz, chodzi o tę dziewczynę. – Powoli pokręcił głową. – Aż się nie chce wierzyć, że coś takiego mogło się wydarzyć w naszym mieście.

– Wiem – mruknęła Sara. Nie chciała tego roztrząsać.

– Chyba mogę ci wybaczyć, że gwałtownie przerwałaś randkę, żeby uratować czyjeś życie. – Położył dłoń na swojej prawej piersi. – Czy naprawdę dotknęłaś ręką jej serca?

Sara przesunęła jego dłoń na lewą stronę klatki piersiowej.

– Tak.

– Dobry Boże – westchnął Jeb. – Jakie to jest uczucie?

– To było straszne – przyznała Sara. – Bardzo się bałam.

Kiedy Jeb odezwał się po raz kolejny, w jego głosie dało się słyszeć wielkie uznanie.

– Jesteś nadzwyczajną kobietą. Wiesz o tym, Saro?

Pochwała trochę ją zmieszała.

– Jeśli chcesz, ustalimy nowy termin – zaproponowała, koniecznie chcąc uciąć rozmowę na temat Julii Matthews. – Mam na myśli naszą randkę, oczywiście.

Jeb uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony.

– Wspaniale.

Zawiał chłodny wiatr i Sara potarła rękę.

– Znowu robi się zimno.

– Chodź. – Wprowadził ją do apteki i zatrzasnął drzwi. – Masz jakieś szczególne plany na najbliższy weekend?

– Sama nie wiem – odparła. – Posłuchaj, przyszedłam, żeby sprawdzić, czy Jeffrey wykupił swoje lekarstwa.

– Cóż. – Jeb klasnął. – Jak rozumiem, to oznacza, że w weekend jesteś zajęta.

– Nie, to niczego nie oznacza. – Sara umilkła, po czym dodała. – To takie skomplikowane.

– Jasne. – Zmusił się do uśmiechu. – Zaraz sprawdzę jego kartotekę.

Z żalem patrzyła na zasmucony wyraz jego twarzy. Podczas gdy Jeb przeglądał kartotekę, znalazła dla siebie jakiś magazyn farmaceutyczny, byle tylko czymś się zająć.

Wreszcie Jeb otworzył dużą szufladę i wyciągnął z niej buteleczkę z pomarańczowymi pigułkami. Długo wpatrywał się w nalepkę, wreszcie powiedział:

– Zamówił je, ale jeszcze nie odebrał.

– Dzięki – powiedziała Sara i odebrała buteleczkę. Przez chwilę trzymała ją w ręce, wpatrując się w Jeba. Odezwała się, chociaż nie była pewna, czy nie będzie żałować tych słów: – Zadzwoń do mnie – poprosiła. – W sprawie weekendu.

– Na pewno zadzwonię.

Wolną ręką wyprostowała kołnierzyk na jego fartuchu laboratoryjnym.

– Naprawdę, Jeb. Zadzwoń.

Przez kilka sekund milczał, po czym niespodziewanie pochylił się i pocałował ją delikatnie w usta.

– Jutro zadzwonię.

– Wspaniale – powiedziała Sara.

Nagle zdała sobie sprawę, jak mocno zaciska dłoń na buteleczce. Już wcześniej całowała się z Jebem; naprawdę, nic wielkiego. Teraz po głowie kołatała się jej myśl, co się stanie, jeśli Marty zobaczy ich pocałunek. Strachem napawała ją świadomość, że wieść o pocałunku natychmiast dotrze do Jeffrey'a.

– Mogę ci dać na to plastikową torebkę – zaproponował Jeb, wskazując na buteleczkę z tabletkami.

– Nie, dziękuję – mruknęła Sara i wsunęła ją do kieszeni płaszcza.

Wypowiedziała jeszcze kilka słów podziękowania i wybiegła z apteki

przez frontowe drzwi, zanim Marty zdążyła podnieść głowę znad kolorowego magazynu.

Kiedy Sara zjawiała się na komisariacie, Jeffrey i Nick Shelton stali w holu. Nick trzymał ręce w kieszeniach dżinsów. Jego tors opinała regulaminowa ciemnoniebieska koszulka Biura Śledczego Stanu Georgia. Nieregulaminową brodę i wąsy miał starannie zaczesane, a z jego szyi zwisał równie nieregulaminowy złoty łańcuch. Miał mniej niż pięć stóp i sześć cali wzrostu; stojąc obok niego, Sara swobodnie mogła ułożyć podbródek na czubku jego głowy.

– Cześć, dziewczyno! – zawołał, obejmując ją w talii.

Z równym powodzeniem jak o Nicka, Jeffrey mógłby być zazdrosny o renifera, mimo to nie podobała mu się poufałość, z jaką traktował Sarę. A ona przypuszczała, że poufałość Nicka właśnie tym jest spowodowana – chciał drażnić Jeffrey'a.

– Może rozpoczniemy spotkanie? – burknął Jeffrey. – Sara musi zaraz wracać do pracy.

Zrównała się z Jeffreyem na schodach. Wsunęła mu do marynarki butelczkę z tabletkami.

– Co to jest? – zapytał i włożył rękę do kieszeni. – Och!

– Och! – powtórzyła Sara, otwierając przed nim drzwi.

W pokoju konferencyjnym, do którego weszli, siedział już Frank Wallace i chuderlawy mężczyzna w spodniach khaki i takiej samej koszulce, jaką miał na sobie Nick. Frank wstał i potrząsnął dłonią Nicka. Skinął grzecznie Sarze, jednak nie odpowiedziała na to. Coś podpowiadało jej, że Frank maczał palce w wydarzeniach ostatniego wieczoru, i wcale jej się to nie podobało.

– To jest Mark Webster – powiedział Nick, wskazując na chuderlawego mężczyznę, który był jeszcze niemalże chłopcem, nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia jeden lat. Miał wygląd młodocianego urwisa, na czoło opadał mu niesforny kosmyk włosów.

– Miło mi – rzuciła Sara, witając się z nim. Dotykając jego ręki, odniosła wrażenie, że ściska mokrą rybę. Doszła jednak do wniosku, iż skoro Nick



przywiózł Marka Webstera aż z Macon, nie może on być tak do niczego nieprzydatny, jak świadczyłby jego wygląd.

– Opowiedz im wszystko, co do tej pory ja usłyszałem od ciebie – poprosił Webstera Frank.

Chłopak odchrząknął i poprawił koszulkę. Zaczął mówić, patrząc na Sarę:

– Mówiłem, że to interesujące, iż przestępca wybrał właśnie tę zakręconą belladonnę. Właściwie to niezwykle. Do tej pory tylko trzykrotnie spotkałem się z tym narkotykiem, i to w zupełnie nietypowych sprawach. Zwykle używały jej dzieciaki, które chciały się wyszumieć.

Sara pokiwała głową, wiedząc, że „nietypowe sprawy” oznaczają po prostu coś innego niż codzienną rutynę w walce z białą śmiercią. Jako koroner oraz pediatra była szczególnie uczulona na przypadki, kiedy w kostnicy badała zwłoki dzieci, które zmarły z niewiadomego powodu.

Mark oparł się o stół, następnie słowa kierując już do wszystkich zgromadzonych.

– Belladonna należy do śmiercionośnej rodziny wilczych jagód. W średniowieczu kobiety żuły niewielkie ilości jej nasion, żeby osiągnąć rozszerzenie źrenic. Kobieta o dużych źrenicach uważana była wówczas za bardziej atrakcyjną. Stąd nazwa „belladonna”. Oznacza to po prostu „piękna kobieta”.

– Obie ofiary miały niezwykle rozszerzone źrenice – wtrąciła Sara.

– Taki efekt może wywołać nawet mała dawka – kontynuował Mark. Otworzył białą kopertę i wyciągnął z niej kilka fotografii. Podał je Jeffreyowi i ruchem głowy nakazał, żeby po obejrzeniu przekazał następnym. – Belladonna ma kształt dzwonu, zwykle purpurowy kolor i lekko oszałamiający zapach. Ktoś, kto ma w domu małe zwierzęta i dzieci, nie pozwoli jej rosnąć w ogródku. Gdziekolwiek jest uprawiana, zawsze otoczona jest ogrodzeniem, wysokim przynajmniej na trzy stopy, tylko po to, żeby nikt dookoła się nie otruł.

– Czy wymaga jakiejś specjalnej ziemi, specjalnego nawożenia? – zapytał Jeffrey, podając fotografię Frankowi.

– Belladonna jest w zasadzie chwastem. Może rosnąć właściwie wszędzie. Dlatego jest tak popularna. A jednak jest bardzo niebezpiecznym nar-

kotykiem. – Mark na chwilę umilkł. – Ktoś, kto ją przyjmie, bardzo długo pozostaje u szczytu ekstazy, nawet do trzech godzin, zależnie od tego, ile jej zażyje. Opowiadano mi o bardzo realistycznych halucynacjach. Ci, którzy ich zaznali, przez długi czas sądzą, że wydarzenia, które działy się tylko w ich mózgach, miały miejsce naprawdę... jeśli cokolwiek zapamiętają.

– Czy belladonna wywołuje amnezję? – zapytała Sara.

– Tak, proszę pani, selektywną amnezję, co oznacza, że ofiary narkotyku zachowują w pamięci tylko fragmenty albo wręcz szczątki wydarzeń. Kobieta zgwałcona w stanie upojenia belladonną, będzie pamiętała, że odbyła stosunek z mężczyzną, jednak może nie zapamiętać jego twarzy, nawet gdyby przez długi czas patrzyła mu w oczy. Albo powie, że miał purpurową skórę i zielone oczy. – Urwał na chwilę, by zaczerpnąć oddechu. – To środek halucynogenny, ale nie w sposób tak typowy jak anielski pył czy LSD. Granica pomiędzy halucynacją a realnym światem jest bardzo zatarta. Po zażyciu, powiedzmy, anielskiego pyłu albo ekstazy, człowiek wie, że ma halucynacje. Belladonna sprawia, że wszystko wydaje się realne. Gdybym podał komuś jej wywar w herbacie, a potem poddał tego kogoś badaniu z wykorzystaniem wykrywacza kłamstw, tenże wykrywacz nie pozwoliłby odróżnić odpowiedzi zgodnych z prawdą od relacji z halucynacji.

– Mówił pan o herbacie? – zapytał Jeffrey, posyłając Sarze uważne spojrzenie.

– Tak, proszę pana. Dzieciaki najchętniej gotują belladonnę w herbacie.

– Mark złączył ręce za plecami. – I chcę od razu powiedzieć, że ten sposób przyjmowania belladonny, właśnie picie z herbatą, jest niestety najniebezpieczniejszy. Bardzo łatwo można przedawkować.

– Jakie są inne sposoby zażywania? – zapytała Sara.

– Jeśli ktoś ma cierpliwość – odpowiedział Mark – może moczyć przez kilka dni liście w alkoholu. Jest to jednak kiepska metoda, ponieważ nie daje gwarancji właściwej gęstości nawet ludziom, którzy uprawiają belladonnę w celach medycznych.

– Jakich celach medycznych? – zapytał Jeffrey.

– Czasami chodzimy do okulisty, który zakrapla nam do oczu środek, w którego skład wchodzi belladonna. Bardzo rozcieńczona, ale jednak belladonna. Trudno byłoby zebrać kilka buteleczek kropli do oczu i kogoś

nimi zabić, takie są słabe. W tak niskim stężeniu belladonny największą krzywdą, jaką można by komuś uczynić, byłoby spowodowanie silnego bólu głowy i zaparcia. Naprawdę ostrożnym trzeba być dopiero wtedy, kiedy ma się do czynienia z belladonną w czystej postaci.

Frank lekko uderzył łokciem w ramię Sary i podał jej fotografię. Popatrzyła uważnie na roślinę. Wyglądała bardzo zwyczajnie. Sara była jednak lekarką, a nie ogrodnikiem. W swoim przydomowym ogródku z trudem dawała sobie radę z najpopularniejszymi roślinami ozdobnymi.

Nagle jej umysł zaczął szaleć. Przed jej oczami pojawiła się scena, gdy po raz pierwszy zobaczyła Julię Matthews na masce własnego samochodu. Próbowała sobie przypomnieć, czy już wtedy na jej ustach znajdowała się taśma samoprzylepna. I przypomniawszy sobie, ujrzała ją oczyma wyobraźni. Była. Tak, jakby to się działo w tej chwili, zobaczyła taśmę na ustach dziewczyny. Julia leżała przed nią, jak ukrzyżowana, na masce auta.

– Sara? – odezwał się Jeffrey.

– Hmm? – Uniosła do góry głowę. Wszyscy się w nią wpatrywali, jakby spodziewali się odpowiedzi na wcześniej zadane pytanie. – Przepraszam. O co chodzi?

– Pytałem, czy zauważyła pani u ofiar coś dziwnego – powtórzył Mark.  
– Może nie mogły mówić? Może miały tępy wzrok?

Sara oddała mu fotografię.

– Sibyl Adams była niewidoma – zauważyła. – Zatem, oczywiście, jej wzrok był tępy, niczego przecież nie widziała. A Julia Matthews... – Urwała, próbując ponownie przywołać wizję dziewczyny. – Jej oczy były bardzo szkliste. Podejrzewam, że spowodował to przede wszystkim narkotyk.

Jeffrey posłał jej rozweselone spojrzenie.

– Mark wspomniał już, że belladonna zakłóca widzenie.

– Wywołuje coś w rodzaju ślepowidzenia – powiedział Mark tonem, który świadczył, że nie lubi się powtarzać. – Według relacji ludzi, którzy ją zażywali, człowiek ciągle widzi, jednak jego mózg nie potrafi pojmować znaczenia widzianych obrazów. To tak, jakbym pokazał pani jabłko albo pomarańczę, pani widziałaby je, być może jakby lekko przez mgłę, jednak pani mózg nie potrafiłby rozpoznać, co to takiego.

– Wiem, co to takiego ślepowidzenie – rzuciła Sara, zbyt późno zdając

sobie sprawę ze zbyt ostrego tonu własnego głosu. Spróbowała zatrzeć złe wrażenie, dodając: – Uważa pan, że Julia Matthews doświadczyła czegoś takiego? Może dlatego właśnie nie krzyczała?

Mark popatrzył na pozostałych mężczyzn. Bez wątpienia było to kolejne zagadnienie, które omawiał, kiedy myśli Sary krążyły daleko stąd.

– Relacjonowano, że po zażyciu narkotyku okresowo traci się głos. Fizycznie ze strunami głosowymi nic się nie dzieje, nie powstają żadne trwałe uszkodzenia. Problem wynika chyba z tego, że następuje utrata kontroli nad tą częścią mózgu, w której znajduje się centrum wiedzy o języku, którym się mówi. Powstaje sytuacja podobna do problemów z rozpoznawaniem widzianych obrazów.

– To ma sens – przyznała Sara.

– Kolejne objawy po zażyciu belladony to usta jak z waty, rozszerzone źrenice, wysoka temperatura ciała, szybsze bicie serca i trudności z oddychaniem.

– Obie ofiary miały takie symptomy – powiedziała Sara. – Jak duża dawka jest potrzebna, żeby doprowadzić człowieka do takiego stanu?

– Belladonna to bardzo silny środek. Ilość równa zawartości jednej torebki herbaty może wysłać człowieka na orbitę, szczególnie takiego, który nie jest narkomanem od święta i nie zażyje jej ot tak, na próbę. Najgorsze są nie jagody, ale wszystkie pozostałe części rośliny, od liści po korzenie. Słaba znajomość narkotyku niemal na pewno spowoduje nieszczęście.

– Pierwsza ofiara była wegetarianką – zauważyła Sara.

– Była również chemiczką, prawda? – zapytał Mark. – Mógłbym podać nazwy miliona różnych narkotyków, niemających nic wspólnego z belladonną, a wywołujących podobne skutki. Nie sądzę, żeby ktoś z doświadczeniem chemika podejmował ryzyko zażywania właśnie jej. To tak, jakby się grało w rosyjską ruletkę, szczególnie jeśli w grę wchodziłyby korzenie. To najbardziej śmiertelna część rośliny. Niewielkie przedawkowanie powoduje natychmiastowy zgon. No i dodam, że na belladonnę nie ma antidotum.

– Nie stwierdziłam, żeby Julia Matthews zażywała narkotyki. – Sara odezwała się do Jeffrey'a. – Przypuszczam, że przesłuchasz ją na taką okoliczność?

Skinął głową, po czym zapytał Marka:

– Coś jeszcze?

Mark podrapał się po głowie.

– Jeszcze długo po zażyciu narkotyku notuje się zaparcia, usta jak z waty, czasami halucynacje. To interesujące, że właśnie belladonnę wykorzystano w przestępstwie na tle seksualnym. A nawet niezwykle.

– Dlaczego? – zapytał Jeffrey.

– W średniowieczu narkotyk ten kobiety aplikowały sobie do pochwy. Podobno to przyspieszało orgazm. Znam ludzi, według których opowieści o czarownicach latających na miotłach biorą początek właśnie z wizji kobiet, wsuwających w siebie drewniane kołki. – Uśmiechnął się. – No, ale w tym momencie musielibyśmy przejść do długiej akademickiej dyskusji o oddawaniu czci przeróżnym bóstwom oraz o powstaniu chrześcijaństwa w kulturach europejskich.

W tej chwili Mark zdał sobie sprawę, że przestaje wzbudzać jakiegokolwiek zainteresowanie.

– Ludzie, którzy żyją w narkotykowych komunach i dysponują wiedzą o belladonie, raczej trzymają się od niej z daleka – powiedział i popatrzył na Sarę. – Zechce mi pani wybaczyć mój sprośny język. – Zacerwienił się.

Wzruszyła ramionami. Nie takie rzeczy słyszała już w klinice czy w domu.

Wciąż czerwony na twarzy, Mark kontynuował:

– Mózg dostaje wścieklizny, wszystko się w nim zaczyna pieprzyć. – Posłał Sarze przeproszający uśmiech. – W pamięci pozostaje później przede wszystkim wrażenie lotu. Ludzie naprawdę wierzą, że fruwali. Nie potrafią, nawet ochłonawszy, uwierzyć, że nic takiego nie miało miejsca.

Jeffrey złożył ręce na piersiach.

– To by mogło wyjaśniać, dlaczego Julia Matthews wciąż wpatruje się w okno.

– Czy już coś powiedziała? – zapytała Sara.

Jeffrey potrząsnął przecząco głową.

– Nic. Prosto stąd jedziemy do szpitala. Jeśli chcesz ją zobaczyć...

Sara popatrzyła na zegarek, udając, że zastanawia się nad ofertą. Za żadne skarby świata nie zamierzała znów oglądać Julii Matthews. To by

było zbyt wstrząsające. Nawet myślenie o niej przyprawiało Sarę o drżenie.

Jeffrey wskazał ręką na swój gabinet.

– Saro, zechcesz ze mną porozmawiać?

Przez chwilę miała ochotę mu uciec, jednak przemogła się.

– Czy chodzi o mój samochód?

– Nie.

Jeffrey odczekał, aż weszła z nim do pomieszczenia, po czym starannie zamknął drzwi. Sara przysiadła na skraju biurka, przybierając niedbałą pozę.

– Muszę dziś uruchomić moją motorówkę – powiedziała. – Wiesz, jak zimno jest na jeziorze?

Zignorował ją, od razu przechodząc do rzeczy.

– Znalazłem twój rewolwer.

– Aha... – Zaczęła gorączkowo się zastanawiać, jak na to zareagować. Zgadując, o co chodzi Jeffreyowi, rozważyła naprędce wiele możliwości, tego się jednak nie spodziewała. Ruger znajdował się w jej samochodzie ot tak dawna, że już o nim zapomniała. – Czy jestem aresztowana?

– Skąd go masz?

– To był prezent.

Jeffrey posłał jej groźne spojrzenie.

– Coś takiego. Ktoś podarował ci na urodziny armatę ze startym numerem seryjnym?

– Mam to od lat, Jeffrey.

– Kiedy kupiłaś ten samochód? Dziesięć lat temu?

– Przeniosłam rewolwer do nowego samochodu ze starego.

Milcząc, uważnie się w nią wpatrywał. Sara wiedziała, że jest na nią wściekły, jednak nie miała pojęcia, jak się bronić.

– Nigdy z niego nie strzelałam... – spróbowała. – Nie potrafię.

– Od razu poczułem się lepiej – powiedział Jeffrey z ironią. – Wozisz w samochodzie broń, z której można odstrzelić człowiekowi głowę, i nie potrafisz się nią posługiwać? – Zamilkł, próbując to zrozumieć. – Jakbyś postąpiła, gdyby ktoś na ciebie napadł?

Sara знаła odpowiedź, ale milczała.

– Po pierwsze, dlaczego w ogóle posiadasz coś takiego?

Sara popatrzyła w oczy swego byłego męża, zastanawiając się, w jaki sposób opuścić jego gabinet, nie rozpoczynając z nim kolejnej wojny. Była zmęczona i rozdrażniona. No i czas nie był właściwy, żeby pojedynkować się z Jeffreyem. Zresztą nie miała teraz na to ani sił, ani ochoty.

– Po prostu, mam – odpowiedziała.

– Nikt nie miewa takiego rewolweru bez celu.

– Muszę wracać do kliniki.

Sara wstała, jednak Jeffrey zablokował jej drogę do drzwi.

– Saro, do diabła, co się dzieje?

– O co ci chodzi?

Zmrużył oczy, jednak nic nie powiedział. Odsunął się na bok i otworzył przed nią drzwi. Przez chwilę myślała, że to podstęp.

– To wszystko? – zapytała.

– Nie sądzę, żebym zdołał wydobyć z ciebie coś więcej.

Z poczuciem winy położyła dłoń na piersiach.

– Jeffrey...

Wyjrzał do pokoju policjantów.

– Muszę jechać do szpitala – powiedział ciężko. Bez wątpienia na dzisiaj miał jej już dosyć.

Lena podparła głowę na dłoni, próbując zamknąć oczy choćby na minutę. Już od godziny siedziała na krześle przed szpitalnym pokojem Julii Matthews. Dopiero teraz zmęczenie wydarzeniami ostatnich kilku dni zaczynało się jej dawać we znaki. Była wykończona, a na dodatek właśnie zaczynał się jej okres. Spodnie luźno leżały na jej biodrach, gdyż od wielu godzin nic nie jadła. Kiedy nad ranem przypięła do paska olstro z bronią, luźno zawisł na jej prawym biodrze. W miarę upływu godzin zaczynał ją denerwować, bez przerwy uderzając ją w udo.

Wiedziała, że musi coś zjeść, że zamiast żyć dzień za dniem jak w transie, jakby korzystała jedynie z pożyczonego jej czasu, musi powrócić do swojego właściwego, normalnego życia. W tej chwili jednak nie potrafiła sobie takiego powrotu wyobrazić. Nie chciała wstawać co rano i codziennie od nowa mierzyć się z życiem, jak to czyniła przez ostatnich piętnaście lat. Nie chciała codziennie spotykać się w „Krispy Krems” z Frankiem i innymi detektywami, i pić z nimi kawy. Nie chciała codziennie jadać lunchu zapakowanego na wynos, i codziennie jeść kolacji w byle jakim barze. Każde spojrzenie na żywność przyprawiało ją o wymioty. Po jej głowie tłukła się myśl, że Sibyl już nigdy nic nie zje. Ona, Lena, chodziła po świecie, podczas gdy Sibyl już nie żyła. Lena oddychała, a Sibyl już nie. Nic nie miało sensu. Nic nigdy nie będzie już takie samo.

Głęboko wciągnęła powietrze w płuca i powoli je wypuściła, rozglądając się po szpitalnym holu. Julia Matthews była tu dzisiaj jedyną pacjentką, co ułatwiało Lenie zadanie. Poza pielęgniarką, którą naprędce ściągnięto ze szpitala w Auguście, na piętrze znajdowały się jedynie Lena i Julia.

Zatrzymała się, próbując dojrzeć w tym wszystkim, co się wokół niej dzieje, jakikolwiek sens. Czuła się otępiała i nie miała pojęcia, jak się tego otępienia pozbyć. Ciało miała obolałe od niespokojnego snu i nie potrafiła odegnąć ze swego umysłu widoku ciała Sibyl w kostnicy. To dziwne, ale w pewnym sensie była zadowolona z tego, że pojawiła się kolejna ofiara.



Jakaś część Leny pragnęła wtargnąć do szpitalnej sali Julii i potrząsnąć nią, błagać, żeby zaczęła mówić, żeby opowiedziała, kto ją skrzywdził, kto zabił Sibyl, jednak jej rozsądniejsza część doskonale zdawała sobie sprawę, że – przynajmniej na razie – niczego w ten sposób nie zdziała.

Za każdym razem, kiedy wchodziła do sali, żeby sprawdzić, co dzieje się z dziewczyną, widziała Julię leżącą cicho i spokojnie. Nie odpowiadała nawet na najprostsze pytania Leny. Czy chcesz jeszcze jedną poduszkę? Czy chcesz, żeby do kogoś zatelefonować?

Spragniona dziewczyna jedynie ruchem głowy wskazała w milczeniu na szklankę z wodą. Jej oczy wciąż przywodziły na myśl oczy wystraszonego psa; narkotyk wciąż znajdował się w jej organizmie. Miała rozszerzone źrenice, przez co sprawiała wrażenie niewidomej, tak jak Sibyl. Jednak Julia Matthews z tego wyjdzie, jej stan się poprawi i znów będzie normalną dziewczyną. Powróci do szkoły, będzie miała przyjaciół, może pewnego dnia spotka przyszłego męża i urodzi mu dzieci. Wspomnienie tragedii, jaką przeżyła, zawsze będzie się już kołatało w jej mózgu, ale przynajmniej zachowała to co najważniejsze – życie. Przed nią była przyszłość. Jakaś część osobowości Leny zazdrościła jej tego. Zdawała sobie sprawę, że zamieniłaby życie Julii Matthews za życie Sibyl bez chwili wahania.

Otworzyły się drzwi windy i Lena odruchowo położyła dłoń na rękojeści rewolweru. Do holu weszli Jeffrey i Nick Shelton, a za nimi Frank i chudy młodzieniec, wyglądający, jakby niedawno ukończył szkołę średnią. Odsunęła rękę od rewolweru i wyszła im naprzeciwko, rozmyślając gorzko, że szlag ją trafi, jeśli ci wszyscy mężczyźni zmierzają do małej sali szpitalnej, by stanąć nad kobietą, którą niedawno brutalnie zgwałcono. Cholera jasna!

– Co z nią? – zapytał Jeffrey.

Lena jakby nie usłyszała pytania.

– Chyba nie idziecie wszyscy do niej?

Wyraz twarzy Jeffreyego podpowiedział jej, że właśnie taki ma plan.

– Wciąż nic nie mówi – powiedziała Lena, chcąc, żeby z twarzą wybrnął z niezręcznej sytuacji, nie wchodząc do Julii. – Nie odezwała się ani słowem.

– Może wejdźmy do niej oboje? – postanowił Jeffrey. – Przepraszam cię,

Mark.

Młody człowiek nie wydawał się rozczarowany.

– Nie ma sprawy. Cieszę się, że dzięki niej na jeden dzień wyrwałem się z biura.

Lena pomyślała, że facet jest cholernie wulgarny, skoro potrafi beztroško wypowiadać takie słowa, oddzielony zaledwie cienką ścianą od kobiety, która przeżyła piekło, jednak Jeffrey profilaktycznie złapał ją za ramię, zanim zdołała zareagować. Ruszyli korytarzem, rozmawiając.

– Czy jej stan jest stabilny?

– Tak.

Jeffrey stanął przy drzwiach, z ręką na klamce, lecz ich nie otwierał.

– A co z tobą? Dobrze się czujesz?

– Jasne.

– Mam przeczucie, że rodzice będą chcieli ją przenieść do szpitala w Auguście. Pojechałabyś z nią?

W pierwszej chwili Lena chciała zaprotestować, jednak skinęła w końcu głową, wyrażając zgodę. Pomyślała, że krótki wyjazd z miasta dobrze na nią podziała. Za dzień lub dwa Hank wróci do Reece, a ona poczuje się lepiej, kiedy znów będzie miała dom wyłącznie dla siebie.

– Zaczynij z nią rozmawiać – powiedział Jeffrey. – Jeśli będzie ci dobrze szło, wycofam się.

– Zgoda – przytaknęła Lena. Taka była standardowa procedura.

Kobieta, którą niedawno zgwałcono, zwykle nie chciała o tym rozmawiać z policjantem. Obowiązek rozmów z ofiarami gwałtów już kilkakrotnie spadał na Lenę, jako na jedyną kobietę w zespole. Kiedyś pojechała nawet do Macon, żeby przesłuchać młodą dziewczynę, którą brutalnie pobił i zgwałcił najbliższy sąsiad. Jednak mimo że spędziła już w szpitalu z Julią cały dzień, myśl, że będzie musiała prowadzić z dziewczyną oficjalną rozmowę, przesłuchiwać ją, sprawiała, iż Lenie zbierało się na mdłości.

– Jesteś gotowa? – zapytał Jeffrey z ręką na klamce.

– Tak.

Jeffrey otworzył drzwi i pozwolił, żeby Lena weszła do środka pierwsza. Julia Matthews spała, jednak ruch w drzwiach sprawił, że natychmiast się obudziła. Trudno było przypuszczać, aby dziewczyna mogła w najbliż-

szym czasie głęboko i spokojnie spać. Być może już nigdy nie zazna takiego snu.

– Napijesz się wody? – zapytała Lena, podchodząc do łóżka i biorąc do ręki szklankę z wodą. Włożyła do szklanki słomkę, żeby dziewczyna mogła pić.

Jeffrey zatrzymał się przy drzwiach, kilka kroków od łóżka, nie chcąc wystraszyć dziewczyny.

– Julio, nazywam się Tolliver, jestem szefem policji w tym mieście – powiedział. – Czy pamiętasz mnie z dzisiejszego poranka?

W odpowiedzi powoli skinęła głową.

– Ktoś podał ci narkotyk o nazwie belladonna. Czy wiesz, co to jest?

Pokręciła głową.

– Ktoś, kto go przyjmie, czasami traci głos. Ale to mija. Czy dasz już radę mówić?

Dziewczyna otworzyła usta, lecz wydobył się z nich tylko skrzekliwy jęk. Poruszyła wargami, bez wątpienia próbując wydobyć z siebie jakieś słowa.

– Rozumiem – stwierdził Jeffrey. – To jest Lena Adams. – Wskazał na nią. – Już ją znasz, prawda?

Julia odszukała wzrokiem Lenę i skinęła głową.

– Lena zada ci kilka pytań, zgoda?

Lena spróbowała ukryć zaskoczenie. Przecież w tym stanie Julia nie zrozumiałaby, jaka jest pora dnia, jaki więc sens miało przesłuchiwanie jej? Jednak, skoro szef tak postanowił, musiała się podporządkować.

– Julio... – Lena przysunęła krzesło i usiadła obok łóżka. – Musimy wiedzieć, czy potrafisz opowiedzieć nam o tym, co ci się przydarzyło.

Julia zamknęła oczy. Jej usta drżały, jednak milczała.

– Czy znałaś go, kochanie?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Czy to ktoś z college'u? Widywałaś go w okolicy?

Oczy Julii wciąż były zamknięte. Po kilku sekundach potoczyły się z nich łzy.

– Nie – odparła wreszcie.

Lena położyła dłoń na ramieniu dziewczyny. Było drobne, kruche,

przypominało ciało Sibyl leżące w kostnicy. Lena bardzo starała się nie myśleć o siostrze, kiedy zadawała kolejne pytanie:

– Porozmawiajmy o jego włosach. Możesz mi powiedzieć, jakiego koloru były jego włosy?

Julia znów potrząsnęła głową.

– Może widziałaś jakieś tatuaże albo cokolwiek innego, co pomogłoby nam go zidentyfikować?

– Nie.

– Wiem, że to jest bardzo trudne, kochanie, musimy się jednak dowiedzieć, co się stało. Musimy odizolować tego człowieka od innych, żeby już nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy.

Julia wciąż trzymała oczy zamknięte. Szpitalna sala była niewiarygodnie cicha, tak cicha, że Lena odczuwała ogromną ochotę, by spowodować jakiś hałas. Nie wiadomo dlaczego, cisza ją denerwowała.

Zupełnie niespodziewanie Julia odezwała się. Jej głos był ochryply.

– Oszukał mnie.

Lena zacisnęła usta, spodziewając się, że dziewczyna na tym nie skończy.

– Oszukał mnie – powtórzyła Julia. Jeszcze bardziej zacisnęła powieki, chociaż zdawało się to już niemożliwe. – Byłam w bibliotece.

Lena pomyślała o Rynie Gordonie. Serce głośno biło w jej piersi. Czyżby się co do niego pomyliła? Naprawdę był zdolny do zrobienia czegoś tak potwornego? Może Julia uwolniła się, kiedy przebywał w więzieniu?

– Musiałam przygotować się do testu – kontynuowała Julia – i zostałam dłużej, żeby się uczyć. – Na to wspomnienie jej oddech stał się cięższy.

– Uspokój się, weź kilka głębszych oddechów – poradziła Lena i przez chwilę oddychała równolegle z Julią. – Doskonale, kochanie. Uspokój się.

Dziewczyna rozplakała się na dobre.

– Ryan tam był – powiedziała.

Dopiero teraz Lena pozwoliła sobie na postanie spojrzenia Jeffreyowi. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się Julię. Nietrudno było odgadnąć jego myśli.

– W bibliotece? – zapytała Lena, nie chcąc, by jej słowa zabrzmiały ponagląco.

Julia skinęła głową, po czym sięgnęła po szklanę z wodą.

– Poczekaj – wyszeptała Lena i pomogła jej wyprostować się, aby łatwiej mogła wypić zawartość szklanki.

Dziewczyna upiła kilka łyków, po czym z powrotem opadła na poduszkę. Znowu zaczęła wyglądać przez okno; najwyraźniej potrzebowała czasu, by się uspokoić. Lena wiedziała, że musi być bardzo delikatna. Postanowiła, że pozostanie przy jej łóżku tak długo, aż usłyszy coś konkretnego. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Julia Matthews pozostaje tak pasywna wobec jej pytań. Gdyby Lena znalazła się na jej miejscu, wyrzuciłaby z siebie każdy szczegół tego, co się zdarzyło. Mówiłaby do każdego, kto by zechciał jej słuchać, byleby tylko złapano porywacza. Ręce świerzbilyby ją, by wyrwać serce z jego klatki piersiowej. To, że Julia Matthews po prostu leży na łóżku i odpowiada półsłówkami, nie mieściło się jej w głowie.

Zaczęła liczyć do dwudziestu, zmuszając się do nieprzerywania dziewczynie kontemplacji. Tę metodę zastosowała już podczas przesłuchania Ryana Gordona. Był to jedyny sposób, aby, przynajmniej wobec obserwujących ją ludzi, sprawiać wrażenie spokojnej.

Tym razem doliczyła aż do pięćdziesięciu, po czym zapytała:

– Był tam Ryan?

Julia pokiwała głową.

– W bibliotece?

Znowu skinęła głową.

Lena pochyliła się i położyła dłoń na ramieniu dziewczyny. Poczuliaby pod palcami jej ciało, gdyby nie było szczelnie owinięte bandażami. Chciała, aby jej głos brzmiał obojętnie, kiedy zadawała kolejne pytanie:

– Zobaczyłaś Ryana w bibliotece. Co się potem wydarzyło?

Julia drgnęła pod naciskiem jej dłoni.

– Chwilę porozmawialiśmy, a potem musiałam już wracać do akademika.

– Byłaś na niego zła?

Julia odszukała wzrokiem oczy Leny. Coś przepłynęło pomiędzy nimi, pewna niewypowiedziana wiadomość. Lena zrozumiała, że Ryan w pewnym stopniu kontrolował Julię, i wiedziała, że musi tę kontrolę przełamać. Zrozumiała też, że nieważne, jak wielkim byłby draniem, ten chłopak nie

był tym osobnikiem, który tak strasznie skrzywdził jego dziewczynę.

– Pokłóciliście się?

– Prawie do siebie wróciliśmy.

– Prawie, ale nie całkowicie? – uzupełniła Lena. Pojmowała już, co wydarzyło się w bibliotece tego wieczoru. Wyobrażała sobie Ryana Gordona, jak próbuje wymusić na Julii jakieś zobowiązanie. Wyobrażała też sobie, że właśnie wtedy oczy Julii w pełni otworzyły się na to, jaką osobą jest jej były chłopak. Niestety, ktoś znacznie okrutniejszy, niż kiedykolwiek mógł być Ryan Gordon, nieuchronnie czekał już na nią.

– Wyszedł więc z biblioteki – kontynuowała Lena. – Co stało się później?

– Pojawił się mężczyzna. Po drodze do akademika.

– Którędy szłaś?

– Najkrótszą drogą, dookoła budynku wydziału rolniczego.

– Nad jeziorem?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

– Z drugiej strony.

Lena milczała, czekając na dalszy ciąg opowieści.

– Wpadłam na niego. Miał książki i upuścił je na ziemię, a ja upuściłam swoje. – Głos Julii nagle ucichł i jedynie oddech rozbrzmiewał głośno w małym pomieszczeniu. Niemal dyszała, z trudem łapała powietrze.

– Zobaczyłaś wtedy jego twarz?

– Nie pamiętam. Dał mi zastrzyk.

Lena poczuła, że marszczy się jej czoło.

– Zastrzyk? Strzykawką?

– Poczułam to, ale nie zobaczyłam.

– W którym miejscu poczułaś zastrzyk?

Julia położyła dłoń na lewym biodrze.

– Czy kiedy to poczułaś, on znajdował się za twoimi plecami? – zapytała Lena, mając nadzieję, że dzięki odpowiedzi dowie się, że napastnik, podobnie jak zabójca Sibyl, był leworęczny.

– Tak.

– Potem więc dokądś cię zabrał, prawda? Wpadłaś na niego, poczułaś zastrzyk, a potem on cię zabrał.

– Tak.

– Do samochodu?

– Nie pamiętam. Następne, co pamiętam, to piwnica. Byłam w piwnicy.

– Julia przykryła twarz dłońmi. Znow płakała. Jej ciało zaczęło drżeć.

– No, już dobrze – powiedziała Lena, otaczając ją ramieniem. – Mam już przestać? Będzie tak, jak zechcesz.

W pomieszczeniu panowała cisza, zakłócana jedynie głośnym oddechem Julii. Kiedy odezwała się znów, rozległ się jedynie chrapliwy, ledwo zrozumiały szept.

– On mnie zgwałcił.

Lena poczuła, jak w jej gardle rośnie potężna kula. Wiedziała już o tym, oczywiście, jednak sposób, w jaki Julia wypowiedziała ostatnie słowa, sprawił, że wraz z nią poczuła się nagle słaba i bezbronna. Zapragnęła, żeby Jeffreya nie było w tym pokoju. W niewiadomy sposób wyczuł to; kiedy na niego popatrzyła, skinął głową w kierunku drzwi. Poruszając jedynie wargami, potwierdziła, że ma wyjść i po chwili Jeffreya już nie było.

– Wiesz, co się stało później? – zapytała dziewczynę.

Julia poruszyła głową, starając się odszukać wzrokiem Jeffreya.

– Wyszedł – powiedziała Lena uspokajającym tonem, chociaż sama wcale nie była spokojna. – Pozostałyśmy tu tylko my, Julio. Ty i ja i przed nami cały dzień, jeśli tylko potrzebujesz. Może być też cały tydzień albo cały rok. – Urwała, nie chcąc, żeby dziewczyna przyjęła jej słowa jako zachętę do przerwania przesłuchania. – Pamiętaj jednak, że im szybciej poznamy szczegóły tego, co się tobie przytrafiło, tym szybciej tego bandziora powstrzymamy. A chyba nie chcesz, żeby zrobił to samo następnej kobiecie, prawda?

Tak, jak Lena się spodziewała, pytanie znów wstrząsnęło dziewczyną. Zdawała sobie jednak sprawę, że musi na nią naciskać, ponieważ w przeciwnym razie Julia całkowicie zamilknie i wszystkie szczegóły zatrzyma już tylko dla siebie.

Dziewczyna zaczęła łkać. Jej głośny szloch, niczym wielki wyrzut, brzmiał w uszach Leny.

– Nie chcę, żeby to samo przytrafiło się komukolwiek innemu – łkała Julia.

– Ja także tego nie chcę. Musisz mi powiedzieć, co on ci zrobił. – Lena urwała na moment. – Czy chociażby przez chwilę widziałaś jego twarz?

– Nie. To znaczy, widziałam, ale nie potrafię jej sobie przypomnieć. Nie widziałam jego rysów. Tam przez cały czas było tak ciemno... W ogóle nie było światła.

– Jesteś pewna, że to było w piwnicy?

– Tam cuchnęło. Czulałam pleśń i przez cały czas szumiała woda.

– Woda? – powtórzyła Lena. – Tak jak ze zlewu, a może z jeziora?

– Ze zlewu – odparła Julia. – Raczej ze zlewu. To brzmiało... – Zamknęła oczy i przez kilka minut można było odnieść wrażenie, że powróciła do tego miejsca. – To brzmiało, jakby krople wody uderzały o metal. – Julia zaczęła naśladować ten dźwięk. – Bang, bang, bang, i tak bez końca. Chwilami nie mogłam tego znieść. – Przykryła uszy dłońmi, jakby chcąc odgrodzić się od hałasu.

– Skoncentrujmy się na razie na college'u – zaproponowała Lena. – Poczulaś ukłucie na biodrze, ale co potem? Czy wiesz, jakim samochodem ten facet cię wywiózł?

Julia zdecydowanie pokręciła głową, z lewej strony na prawą.

– Nie pamiętam. Podniósł moje książki, a następną rzecz, jaką pamiętam, to... Byłam, byłam... – zamilkła.

– W piwnicy? – podpowiedziała Lena. – Czy pamiętasz jeszcze cokolwiek z tego miejsca?

– Tam było ciemno.

– Niczego nie mogłaś zauważyć?

– Nie mogłam otworzyć oczu. Nie chciały się otworzyć. – Głos Julii był tak cichy, że Lena musiała bardzo się starać, żeby usłyszeć jej słowa. – Leciałam.

– Leciałaś?

– Unosiłam się w taki sposób, jakbym leżała na wodzie. Słyszałam fale oceanu.

Lena wzięła głęboki oddech, po czym powoli zadała następne pytanie:

– Czy on wziął cię, kiedy leżałaś na plecach?

Na dźwięk tych słów twarz Julii jakby poszarzała. Jej ciało zadrżało i zaczęła łkać.



– Kochanie – naciskała Lena. – Czy on był biały? A może czarny? Możesz mi powiedzieć?

Julia znów pokręciła przecząco głową.

– Nie mogłam otworzyć oczu. Mówił do mnie. Jego głos... – Wargi Julii trzęsły się, a jej poczerwieniała. Po jej policzkach znów ciekły łzy, tworząc gęsty strumień. – Powiedział, że mnie kocha. – Zaczęła gwałtownie oddychać, gdyż na wspomnienie tamtych chwil znów ogarnęło ją przerażenie. – Całował mnie. Jego język... – urwała. W tej chwili już tylko płakała.

Lena głęboko odetchnęła; sama chciała się uspokoić. Pomyślała, że naciska Julię zbyt mocno. Powoli doliczyła do stu i dopiero wtedy zadała kolejne pytanie:

– Te dziury w twoich dłoniach. Wiemy, że wbił coś w twoje ręce i nogi.

Julia popatrzyła na bandażę takim wzrokiem, jakby w tej chwili zauważyła je po raz pierwszy.

– Tak – powiedziała. – Kiedy obudziłam się, moje ręce były przybite. Widziałam, że wystają z nich gwoździe, ale to nie bolało.

– Leżałaś na podłodze?

– Chyba tak. Czułam się... – Umilkła, szukając właściwego słowa. – Czułam się, jakbym była gdzieś zawieszona. Leciałam. Jak on to sprawił, że leciałam? Naprawdę latałam?

Lena odchrząknęła.

– Nie – odparła. Po chwili dodała: – Julio, czy ostatnio w twoim życiu pojawił się ktoś nowy, może w kampusie albo w mieście, w kogo obecności źle się czułaś? A może odnosiłaś wrażenie, że ktoś cię obserwuje?

– Wciąż mnie ktoś obserwuje – powiedziała Julia, wypatrując przez okno.

– Ja cię obserwuję – oznajmiła Lena i odwróciła głowę dziewczyny w taki sposób, żeby ta znów patrzyła na nią. – Obserwuję cię, troszcę się o ciebie. Nikt już nigdy więcej cię nie skrzywdzi. Rozumiesz? Nikt.

– Nie czuję się bezpieczna. – Julia wykrzywiła twarz i znów zaczęła płakać. – On mnie widzi. Wiem, że mnie widzi.

– Jesteśmy tutaj tylko ty i ja – zapewniła ją Lena. Kiedy wypowiadała te słowa, przypomniała sobie, jak zapewniała Sibyl, że zawsze będzie się nią opiekowała. – Będę z tobą nawet wtedy, kiedy pojedziesz do Augusty. Nie

zamierzam ani na moment stracić cię z oczu. Rozumiesz?

Mimo uspokajających słów Leny dziewczyna zdawała się coraz bardziej przerażona. Kiedy odezwała się po raz kolejny, jej głos był ochrypliwy:

– Dlaczego mam jechać do Augusty?

– Do końca tego nie wiem – odparła Lena, sięgając po naczynie z wodą.

– Teraz się tym nie martw.

– Kto chce mnie wysłać do Augusty? – zapytała Julia. Jej usta drżały.

– Wypij jeszcze trochę wody – powiedziała Lena, przytykając szklanke do jej ust. – Wkrótce przyjadą tu twoi rodzice. Niczym się nie martw, po prostu trzymaj się i powoli dochodź do zdrowia.

Dziewczyna zachłysnęła się i woda rozprysła się po pościeli i jej koszuli. Jej przerażone oczy były szeroko otwarte.

– Dlaczego chcecie mnie stąd przenieść? – zapytała. – Co jeszcze się stanie?

– Nie przeniosą cię, jeśli nie będziesz chciała. Porozmawiam z twoimi rodzicami.

– Moimi rodzicami?

– Wkrótce powinni tutaj być. Uspokój się, wszystko jest w porządku.

– Czy oni wiedzą? – zapytała Julia podniesionym głosem. – Powiedziałaś im, co mi się stało?

– Nie wiem – odparła Lena. – Nie wiem, czy znają jakieś szczegóły.

– Nie możesz nic powiedzieć mojemu tatusiowi. – Dziewczyna znów łkała. – Nikt nie może nic powiedzieć tatusiowi. Nie może wiedzieć, co się stało.

– Przecież nic złego nie zrobiłaś. Julio, tatuś nie będzie cię o nic winił.

Julia zamilkła. Po chwili znów popatrzyła za okno. Po jej policzkach ciekły łzy.

– Wszystko jest w porządku – starała się ją uspokoić Lena.

Z pudełka stojącego na nocnym stoliku wyciągnęła papierową chusteczkę. Zaczęła osuszać mokre plamy z pościeli. Pomyślała, że obawa o to, jak zareaguje ojciec, dowiedziawszy się, co się jej stało, powinna być ostatnim zmartwieniem nieszczęsnej dziewczyny. A jednak wiedziała, że tej myśli się nie pozbędzie. W przeszłości pracowała już z ofiarami gwałtów. Zgwałcone dziewczyny bardzo rzadko winiły za to, co się stało, kogokol-

wiek poza sobą.

Usłyszała dziwny, a jednak jakby znajomy odgłos. Za późno zdała sobie sprawę, że taki dźwięk wydaje rewolwer wysuwany z olstra.

– Odsuń się – wyszeptała Julia. Niepewnie trzymała rewolwer w obandażowanych rękach. Mierzyła w Lenę, jednak na chwilę, chcąc lepiej go chwycić, skierowała lufę w kołdrę. Lena popatrzyła na drzwi, chcąc zawołać Jeffreya, jednak Julia ostrzegła ją: – Nawet o tym nie myśl.

– Oddaj mi broń – poprosiła Lena.

– Ty nic nie rozumiesz – powiedziała dziewczyna. W jej oczach lśniły łzy. – Nie rozumiesz, co on mi zrobił, jak... – Urwała, łkając. Źle, niepewnie trzymała rewolwer, jednak wciąż mierzyła w Lenę, a palec trzymała na spuście. Lena poczuła, jak oblewa ją zimny pot. Nie była pewna, czy broń jest zabezpieczona czy nie. Wiedziała tylko, że wszystkie naboje znajdują się w bębunku. Jeśli rewolwer nie był zabezpieczony, lekkie dotknięcie spustu spowoduje strzał.

Lena pragnęła, aby jej głos brzmiał spokojnie.

– Kochanie, czego nie rozumiem?

Teraz Julia przytknęła lufę do swojej głowy. Niemal upuściła broń, wreszcie oparła ją o policzek.

– Nie rób tego – odezwała się Lena błagalnie. – Proszę, oddaj mi broń. W komorze jest nabój.

– Znam się na rewolwerach.

– Julio, proszę cię... – Lena wiedziała, że musi przez cały czas rozmawiać z dziewczyną. – Posłuchaj mnie...

Julia lekko się uśmiechnęła.

– Tato często zabierał mnie na polowanie. Czasami pozwalał mi czyścić razem z nim strzelby.

– Julio...

– Kiedy tam byłam... – Znów zaczynała łkać. – Kiedy byłam z nim...

– Z tym człowiekiem? Z tym, który cię porwał?

– Ty nie wiesz, co on mi zrobił – powiedziała ściśniętym głosem. – Jakie rzeczy ze mną robił. Nie mogę ci powiedzieć.

– Tak mi przykro – szepnęła Lena i naprawdę było jej przykro. Chciała wychylić się w jej stronę, jednak wzrok Julii Matthews skutecznie po-

wstrzymywał ją w miejscu, jakby wrośniętą w podłogę. Próba zaatakowania dziewczyny mogła się nie udać. – Nie pozwolę mu, żeby znów cię skrzywdził, Julio. Obiecuję ci.

– Nic nie rozumiesz – chlpała Julia. Lufę rewolweru opierała o policzek. Z trudem zaciskała dłoń na rękojeści, Lena wiedziała jednak, że w tej sytuacji nie ma to żadnego znaczenia.

– Kochanie, proszę, nie rób tego – powiedziała Lena, kierując spojrzenie na drzwi. Jeffrey znajdował się po drugiej stronie. Zastanawiała się, w jaki sposób może go zaalarmować, nie wzbudzając podejrzeń dziewczyny.

– Nawet nie próbuj – odezwała się Julia, jakby czytając w jej myślach.

– Nie musisz tego robić, Julio.

Lena pragnęła, aby jej głos brzmiał stanowczo i spokojnie. Niestety, o podobnych sytuacjach czytała dotąd jedynie w instrukcjach i regulaminach służby. Nigdy dotąd nie musiała nikogo odwozić od samobójstwa.

– Jak on mnie dotykał – mówiła Julia. – Jak mnie całował... – Jej głos złamał się. – Po prostu nie wiesz.

– Czego nie wiem? – zapytała Lena, powoli wyciągając dłoń po rewolwer. – Czego nie wiem?

– On... – Dziewczyna umilkła, a z jej gardła wydostał się charkot. – On kochał się ze mną – dodała po chwili.

– On...

– On kochał się ze mną – powtórzyła tragicznym szeptem. – Czy wiesz, co to znaczy? Wciąż powtarzał, że nie chce mnie zranić. Chciał kochać się ze mną. I kochał.

Lena otworzyła usta, jednak nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby teraz powiedzieć.

– Co ty mówisz? – zapytała, świadoma, że jej głos brzmi zbyt ostro. – Co masz na myśli?

– Kochał się ze mną – powtórzyła Julia. – Jak mnie dotykał...

Lena potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić z niej myśl, która nieodparcie się nasuwała. Nie potrafiła usunąć ze swego głosu tonu niedowierzania, kiedy zadała kolejne pytanie:

– Chcesz powiedzieć, że ci się to podobało?

Metaliczny dźwięk, który się rozległ, podpowiedział jej, że Julia odbez-

pieczyła rewolwer. Skoczyła w jej kierunku i dotknęła broni w tej samej chwili, w której dziewczyna pociągnęła za spust. Głowa Julii Matthews eksplodowała na jej oczach.

Woda z prysznicza kłuła Lenę, jakby ktoś wbijał w jej ciało małe igiełki. Była świadoma bólu, jednak nie zwracała na niego uwagi. W ogóle nie zwracała uwagi na żadne bodźce zewnętrzne. Kolana ugięły się pod nią. Powoli osunęła się wzdłuż ściany i usiadła na dnie kabiny prysznicowej. Przyciągnęła kolana do piersi i zamknęła oczy. Krople wody uderzały o jej piersi i twarz. Pochyliła głowę do przodu, odnosząc wrażenie, że jest szmacianą lalką. Woda uderzała w jej głowę i szyję, kaskadami toczyła się po jej plecach, jednak Lenie było wszystko jedno. Jej ciało już do niej nie należało. Była pusta. Na niczym już jej nie zależało, na pewno nie na pracy ani na Jeffreyu, ani na Hanku Nortonie, a już z pewnością nie zależało jej na własnym życiu.

Julia Matthews nie żyła, podobnie jak Sibyl. Zawiodła je obie.

Z prysznicza leciała coraz zimniejsza woda. Lena wreszcie podniosła się, osuszyła ciało ręcznikiem, odnosząc wrażenie, że wszystkie ruchy wykonuje w zwolnionym tempie. Wciąż czuła się brudna, mimo że w ciągu ostatnich pięciu godzin był to już jej drugi prysznic. Poza tym czuła w ustach dziwny smak. Nie wiedziała, czy podpowiada jej to wyobraźnia czy też coś dostało się do jej ust, kiedy Julia pociągnęła za spust rewolweru. Myśl o tej chwili sprawiła, że zadrżała.

– Lee? – zawołał Hank zza drzwi.

– Zaraz zejdę na dół! – odkrzyknęła Lena, nakładając pastę na szczoteczkę do zębów.

Myła zęby, chcąc usunąć z nich przykry smak, i spoglądała w lustro. Dzisiaj pozbyła się wszelkiego podobieństwa do Sibyl. Nie było w niej już nic z siostry.

Zeszła do kuchni, jedynie w szlafroku i kłapkach. Przed kuchennymi drzwiami musiała podeprzeć się ręką o ścianę. Czuła, że jej głowa wiruje, a treść żołądka podchodzi do gardła. Zmuszała ciało do ruchu; w przeciwnym wypadku pewnie by zasnęła na zawsze, już nigdy by się nie obudziła.

Jej ciało buntowało się przeciwko temu, jednak Lena doskonale zdawała sobie sprawę, że kiedy tylko głową dotknie poduszki, od razu zaśnie, a w koszmarnych snach oglądać będzie ostatnie chwile Julii Matthews, sekundy przed jej samobójczą śmiercią. Pociągając za spust, dziewczyna wpatrywała się w Lenę. Spotkały się spojrzeniami i Lena nie musiała pamiętać, że Julia trzyma w ręce rewolwer, by pojąć, iż ona chce już tylko umrzeć.

Hank siedział przy kuchennym stole i popijał coke. Wstał, kiedy Lena weszła do środka. Poczowała wstyd, nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. W samochodzie, kiedy Frank wiozł ją do domu, trzymała się dzielnie. Nie odezwała się do partnera ani słowem, nie skomentowała też tego, że mimo iż starannie myła się i czyściła w szpitalu, na ubraniu wciąż miała szare i ciemnoczerwone plamy po mózgu i krwi Julii; trzymały się jej jak gorący wosk. W kieszeniach jej koszuli wciąż tkwiły resztki kości, odnosiła wrażenie, że krople krwi wciąż toczą się po jej twarzy i szyi. Rozkleiła się jednak dopiero wtedy, gdy zamknęły się za nią drzwi mieszkania. To, że akurat był tutaj Hank, że trzymał ją mocno w ramionach, kiedy głośno łkała, sprawiło, że teraz czuła ogromny wstyd. Chciała wyprzeć się tej słabej osoby, chciała znów być mocną, stanowczą Leną.

Popatrzyła przez okno i zauważyła głośno:

– Już jest ciemno.

– Trochę spałaś – powiedział Hank, podchodząc do piecyka. – Napijesz się herbaty?

– Tak – odparła Lena. Wcale nie spała tego dnia. Gdyby tylko zamknęła oczy, znalazłaby się bliżej tego, co się wydarzyło w szpitalu. Gdyby miała już nigdy więcej nie zasnąć, byłaby zadowolona.

– Telefonował twój szef.

– Naprawdę?

Lena usiadła na taborecie przy stole. Nogi podkuliła pod siebie. Zastanawiała się, co o tym wszystkim myśli Jeffrey. Kiedy rewolwer wystrzelił, znajdował się w holu i czekał, aż ona go zawoła. Pamiętała całkowite zaskoczenie i przerażenie na jego twarzy, kiedy wpadł do szpitalnego pokoiku. Lena stała bez ruchu, pochylona nad Julią, do jej twarzy przyklejone były fragmenty kości i mózgu. Dopiero Jeffrey nią poruszył, delikatnie

sprawdził, czy i ona nie została ranna.

Kiedy to robił, była całkowicie zobojętniała. Nie potrafiła jednak oderwać wzroku od tego, co pozostało z twarzy Julii Matthews. Dziewczyna przyłożyła lufę pod swój policzek, dlatego wystrzał oderwał niemal połowę jej głowy. Ściana za nią i niemal całe łóżko zostały zbryzgane krwią, mózgiem, fragmentami kości. Kula trafiła w ścianę o jakieś trzy stopy poniżej sufitu. Jeffrey zmusił Lenę, żeby została jeszcze kilkanaście minut w tym pomieszczeniu. Starał się wyciągnąć z niej wszelkie informacje, jakie uzyskała od Julii Matthews, wypytywał ją o najdrobniejsze szczegóły ich rozmowy. Lena stała wyprostowana, jej wargi drżały. Mówiła, odpowiadała na pytania szefa, jednak na dobrą sprawę nie rozumiała własnych słów.

Skryła głowę w dłoniach. Nasłuchiwała, jak Hank nalewa wodę do czajnika, usłyszała kliknięcie elektrycznego startera i odgłos zapalającego się od iskry gazu.

Hank usiadł przed nią, ręce oparł na stole.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Sama nie wiem – odpowiedziała. Słyszała własny głos tak, jakby docierał z bardzo daleka. Rewolwer wystrzelił bardzo blisko jej ucha. Dopiero kilkanaście minut temu ustał uporczywy szum w jej głowie, jednak wszelkie odgłosy docierały do niej jak przez gruby filtr.

– Wiesz, co myślę? Pamiętasz, jak spadłaś z ławki przed domem?

Lena popatrzyła na niego, nie bardzo rozumiejąc, do czego zmierza.

– Tak.

– Cóż. – Hank wzruszył ramionami i, nie wiadomo dlaczego, uśmiechnął się. – To Sibyl cię popchnęła.

Lena nie była pewna, czy dobrze go usłyszała.

– Co?

– Ona cię popchnęła – zapewnił ją Hank. – Widziałem.

– Zepchnęła mnie z ławki? – Lena z niedowierzaniem potrząsnęła głową. – Przecież próbowała powstrzymać mnie przed upadkiem.

– Ona była niewidoma, Lee, skąd mogła wiedzieć, że lecisz w dół?

Lena przez chwilę rozmyślała. To mogło mieć sens.

– Lekarze założyli mi szesnaście szwów na nodze.

– Wiem.

– Ona mnie popchnęła? – zapytała raz jeszcze Lena. Jej głos nagle stał się ostrzejszy. – Dlaczego?

– Nie wiem. Może dla żartu? – Hank zachichotał. – Darłaś się tak głośno, że myślałem, iż zbiegną się wszyscy sąsiedzi.

– Nie wiem, czy zareagowaliby na salut armatni – zauważyła Lena. Sąsiedzi Hanka Nortona szybko przywykli do najróżniejszych odgłosów, docierających z jego domu w dzień i w nocy.

– A pamiętasz ten dzień na plaży?

Lena popatrzyła na niego, zastanawiając się, o co chodzi mu tym razem.

– Jaki dzień?

– Kiedy nie mogłaś znaleźć swojej laleczki.

– Tej czerwonej? Tylko mi nie mów, że wyrzuciła ją przez balkon.

Hank znów zachichotał.

– Nie. Zgubiła ją w basenie.

– Jak można zgubić lalkę w basenie?

Machnął ręką.

– Myślę, że zabrały ją jakieś dzieciaki. Chodzi o to, że lalka należała do ciebie. Mówiłaś Sibyl, żeby jej nie ruszała. Nie posłuchała cię i ją zgubiła.

Wbrew sobie Lena poczuła, że jakiś ciężar spada z jej barków.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytała.

Znów lekko wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Rozmyślałem o niej dziś rano. Pamiętasz koszulkę, którą nosiła? Tę w zielone paski?

Lena pokiwała głową.

– Miała ją do końca.

– Nie wierzę! – zawołała Lena, zaskoczona. Kiedy chodziły do szkoły średniej, niemal walczyły o tę koszulkę. W końcu Hank rozstrzygnął spór, rzucając monetą. – Dlaczego wciąż ją trzymała?

– Należała do niej.

Lena wpatrywała się w wujka, nie wiedząc, co powiedzieć. Hank wstał i wyciągnął z szafki kubek.

– Chcesz być sama czy mam ci towarzyszyć?

Przez chwilę rozważała, co odpowiedzieć. Potrzebowała samotności, musiała się pozbierać, jakoś dojść do siebie. Nie wyobrażała sobie tego, kie-



dy ktoś będzie się kręcił wokół niej, szczególnie Hank.

– Wracasz do Reece? – zapytała.

– Pomyślałem, że spędzę tę noc u Nan, a przy okazji pomogę jej trochę posortować rzeczy Sibyl.

Lena poczuła przyływ strachu.

– Chyba nie zamierza wyrzucać jej rzeczy? – zawołała.

– Nie, oczywiście, że nie. Chcę po prostu wszystko pooglądać, zebrać jej rzeczy w jednym miejscu. Nan nie powinna tego robić sama.

Lena wbiła spojrzenie w swoje dłonie. Coś ciemnego znajdowało się pod jej paznokciami. Nie była pewna, czy jest to krew czy brud. Wsunęła wskazujący palec do ust, chcąc wyczyścić go o zęby.

Hank obserwował ją przez chwilę.

– Mogłabyś później tam wpaść, jeśli zechcesz – powiedział wreszcie.

Lena potrząsnęła głową, obgryzając paznokieć. Wołała go zerwać, niż pozwolić, żeby pozostała pod nim krew.

– Jutro rano muszę wcześniej wstać do pracy – skłamała.

– Ale, jeśli zmienisz zdanie...

– Być może – mruknęła.

Wciąż walczyła z paznokciem. Poczula na języku krew i zdziwiła się, że to jej własna. Palec zabarwił się na czerwono.

Hank wstał. Jeszcze przez chwilę patrzył na Lenę, po czym ściągnął marynarkę z oparcia krzesła. Wiedział, że nic więcej nie wskóra.

– Jeśli będziesz mnie potrzebowała, możesz do mnie zadzwonić. Pamiętasz o tym, prawda? – zapytał.

– Aha – odparła, zaciskając usta.

Znów zbierało się jej na płacz, a przecież wiedziała, że jeśli teraz rozklei się przed Hankiem, jakaś jej część umrze. Zdawał się to rozumieć, ponieważ stanął za nią, położył dłoń na jej ramieniu i pocałował ją w czubek głowy.

Lena wbiła spojrzenie w podłogę. Czekala tak długo, aż trzaśnięcie drzwi oznajmiło jej, że Hank wreszcie wyszedł. Po chwili usłyszała także, jak wujek wycofuje samochód z podjazdu.

Woda w czajniku dogotowywała się, gwizdek jednak jeszcze nie pracował. Lena niespecjalnie lubiła herbatę, ale wstała i zaczęła szukać torebek

ekspresowej herbaty. W chwili, gdy natrafiła na pudełko Tummy Mint, rozległo się pukanie do drzwi.

Spodziewała się jeszcze raz zobaczyć Hanka, toteż bardzo się zdziwiła, otworzywszy drzwi przed przybyszem.

– Och, cześć – powiedziała. W tej samej chwili rozległ się z kuchni dźwięk gwizdka. – Poczekaj chwilę.

Wyłączała właśnie palnik, kiedy poczuła za sobą czyjąś obecność, a zaraz potem niespodziewane, ostre ukłucie w lewym udzie.

Sara stała przed ciałem Julii Matthews z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wpatrywała się w dziewczynę, próbując oceniać zwłoki jedynie okiem lekarza, chcąc oddzielić ich widok od wspomnienia dziewczyny, której zaledwie wczoraj uratowała życie. Nacięcie, które wykonała, żeby dotrzeć do jej serca, było doskonale widoczne. Na czarnych, grubych szwach znajdowała się zakrzepła krew. Pod kością policzkową dziewczyny była mała dziurka. Opalona skóra wokół niego wskazywała, że kiedy wypalił rewolwer, lufa dotykała ciała. Wielka dziura z tyłu głowy odsłaniała ranę wylotową. Z otwartej czaszki zwisały fragmenty kości, niczym makabryczne ozdoby na krwawym drzewku bożonarodzeniowym. W powietrzu unosił się zapach prochu strzelniczego.

Zwłoki Julii Matthews spoczywały na porcelanowym stole autopsyjnym tak samo jak przed kilkoma dniami zwłoki Sibyl Adams. U szczytu stołu znajdował się kran z dokręconym gumowym wężem. Obok ustawiona była waga do ważenia usuwanych organów wewnętrznych, podobna do tych, jakich używa się w sklepach. Na małym stoliku, równo ułożone, leżały narzędzia do autopsji: skalpel, specjalnie naostrzony nóż chirurgiczny o szesnastocalowym ostrzu, para równie ostrych nożyczek, piła do cięcia kości oraz sekator o długim uchwycie, taki jakie zwykle widuje się w garażach obok elektrycznych kosiarek do trawy. Cathy Linton miała podobny sekator i kiedy tylko Sara obserwowała matkę, jak obcina azalie, przychodziło jej do głowy, że z równym powodzeniem mogłaby w kostnicy rozciąć klatki piersiowe nieboszczyków.

Sara niemal bezmyślnie zaczęła przygotowywać ciało Julii Matthews do autopsji. Jej myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Wracła w nich do ostatniego wieczoru, kiedy znalazła Julię na swoim samochodzie, kiedy dziewczyna żyła i miała szansę przetrwać.

Wykonywanie autopsji nigdy dotąd nie stanowiło dla Sary problemu, obcowanie z cudzą śmiercią nie deprymowało jej. Otwieranie zwłok po-

równywała do otwierania książki: z tkanek i poszczególnych organów można było dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy. Martwe ciało poddawało się szczegółowym badaniom i ocenom. Jednym z powodów, dla których przyjęła posadę medyka sądowego w hrabstwie Grant, było znudzenie rutyną pracy w klinice. Praca koronera była wyzwaniem, a zarazem okazją do nabycia nowych umiejętności i pomagania ludziom w kolejnej dziedzinie. Tym razem jednak myśl o konieczności otwarcia zwłok Julii Matthews, znęcania się nad nią nawet po śmierci, sprawiała Sarze ból.

Ponownie popatrzyła na to, co pozostało z głowy dziewczyny. Skutki strzałów w czaszkę były zawsze nieprzewidywalne. W wielu przypadkach kończyło się na tym, że ofiary zapadały w niekończącą się śpiączkę i dożywały swoich dni dzięki zdobyciom współczesnej medycyny, jak roślinki, w absolutnej ciszy, bez ruchu. Pociągając za spust rewolweru, kiedy lufa znajdowała się pod policzkiem, Julia Matthews dobrze wykonała to, czego pragnęła. Kula przebiegła przez jej mózg w górę po skosie, łamiąc kość klinową, niszcząc boczne bruzdy mózgu i wypadając na zewnątrz przez kość potyliczną. Tyłu głowy praktycznie nie było, dzięki czemu doskonale widoczny był mózg dziewczyny. W przeciwieństwie do wcześniejszej nieudolnej próby samobójczej, o której przypominały rany na przegubach, tym razem Julia Matthews naprawdę chciała zakończyć życie. Bez wątplenia w ostatniej sekundzie życia wiedziała, co robi.

Sara poczuła mdłości. Bardzo pragnęła przywrócić dziewczynę do życia, wstrząsnąć nią i powiedzieć, żeby wstała z tego stołu, zapytać jeszcze, dlaczego po tym wszystkim, przez co przeszła w ciągu minionych kilku dni, postanowiła odebrać sobie życie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Jeffrey, posyłając jej zatroskane spojrzenie.

– Tak – odparła z trudem Sara, zastanawiając się, czy naprawdę wszystko z nią w porządku.

Czuła się jak otwarta rana, uparcie niechcąc się zasklepić. Zdawała sobie sprawę, że Jeffrey łatwo jej nie odpuści i za chwilę wystąpi z jakąś propozycją, którą ona będzie musiała odrzucić. Mimo to nie dawała jej spokoju myśl, jak dobrze by się czuła w jego ramionach, jak wspaniale byłoby czuć jego usta na swoich ustach, oddawać mu pocałunki, bawić się jego języ-

kiem. Jej ciało pragnęło go teraz bardziej niż w ciągu wielu ostatnich lat. Właściwie nie chodziło jej o seks, ale o bezpieczeństwo, które dawała jej stała obecność Jeffreya. Pragnęła czuć się bezpiecznie. Jednak w ciągu minionych lat nauczyła się, że Jeffrey potrafi być czuły i opiekuńczy jedynie w łóżku.

– Saro... – odezwał się Jeffrey z drugiej strony stołu.

Otworzyła usta, żeby przywołać go do siebie, jednak zaraz ugryzła się w język. W ciągu ostatnich pięciu lat tak wiele się wydarzyło. Tak wiele się zmieniło. Mężczyzna, którego pragnęła, w rzeczywistości już nie istniał. Właściwie nie wiedziała, czy istniał kiedykolwiek.

– Tak? – Odchrząknęła.

– Może chcesz zabrać się do tego trochę później?

– Nie – odparła z zaciśniętymi ustami, podświadomie ganiąc się za to, że choć przez chwilę myślała, iż potrzebuje Jeffreya. Prawda była taka, że nie potrzebowała go i nie pragnęła. Już tyle lat funkcjonowała bez niego. Do niczego nie jest jej potrzebny.

Nacisnęła stopą na przycisk włączający dyktafon. Rozpoczęła pracę, głośno mówiąc:

– Mam do czynienia z nieoznaczonym ciałem szczupłej, ale dobrze zbudowanej, młodej białej dziewczyny o wadze... – Sara popatrzyła ponad ramieniem Jeffreya na tablicę, na której uprzednio zrobiła notatki – ...stu dwunastu funtów oraz wzroście sześćdziesięciu czterech cali. – Wyłączyła dyktafon i wzięła głęboki oddech, żeby pozbierać myśli. Z trudem oddychała.

– Sara?

Znowu włączyła dyktafon, potrząsając głową. Współczucie dla dziewczyny, jakie ogarnęło ją przed kilkoma minutami, teraz denerwowało ją. Odnosiła wrażenie, że Jeffrey ją przejrzał. Znowu dyktowała:

– Wiek nieboszczyka oceniam na około dwadzieścia dwa lata. Ciało znajdowało się w chłodni nie dłużej niż przez trzy godziny i jest zimne. – Urwała i odchrząknęła. – Daje się zauważyć wyraźne objawy *rigor mortis*...

I tak dalej to trwało, kliniczny opis zwłok kobiety, która zaledwie przed kilkoma godzinami była poranioną, lecz żywą istotą, która przed tygodniami była zadowolona z siebie, jeżeli nie szczęśliwa. Sara opisała zewnętrzny

wygląd zwłok Julii Matthews, wyobrażając sobie, przez co dziewczyna musiała przejść. Czy była przytomna, kiedy napastnik wyłamywał jej zęby, żeby swobodnie odbyć stosunek oralny? Czy była przytomna, kiedy gwałcono ją w odbytu? Czy narkotyki złagodziły ból, kiedy przybijano ją do podłogi? Autopsja mogła wykazać fizyczne ubytki. Nikt nie mógł już odgadnąć, co działo się w umyśle dziewczyny, kiedy ją bezczeszczono. Sara nawet tego nie próbowała. W pewnej chwili oczyma wyobraźni ujrzała własne zmaltretowane ciało na szpitalnym łóżku. Ujrzała siebie samą, uważnie oglądaną przez lekarza.

Zmusiła się, aby podnieść wzrok znad zwłok. Czuła się roztrzęsiona, jakby nie na miejscu. Jeffrey wpatrywał się w nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– Co jest? – zapytała go.

Potrząsnął głową, jednak nie odrywał od niej wzroku.

– Chciałabym... – zaczęła, ale zaraz urwała, żeby odchrząknąć. – Chciałabym, żebyś nie patrzył na mnie w taki sposób, dobrze? – Poczekała chwilę, ale Jeffrey ani myślał zastosować się do jej prośby.

– W jaki sposób na ciebie patrzę? – zapytał.

– Jak drapieżnik – odparła, ale to nie była całkowicie dobra odpowiedź.

Jeffrey spoglądał na nią tak, jak w tej chwili chciała właśnie, żeby na nią patrzył. W jego spojrzeniu widoczna była odpowiedzialność za nią, jakby nie pragnął niczego innego, jak tylko wziąć sprawę w swoje ręce, jakby chciał, żeby wszystko szło lepiej. Nienawidziła się za to, że pragnie tego spojrzenia.

– Przepraszam – powiedział. – Wcale nie chcę, żeby to tak wyglądało.

Zerwała z dłoni rękawiczki.

– Rozumiem – warknęła.

– Martwię się o ciebie, Saro. Chcę, żebyś porozmawiała ze mną o tym, co naprawdę się z tobą dzieje.

Sara podeszła do szafki z narzędziami, nie chcąc kontynuować rozmowy nad zwłokami Julii Matthews.

– Nie musisz się już o mnie martwić. Nie pamiętasz dlaczego?

Wyraz jego oczu nie zmieniłby się nawet wtedy, gdyby uderzyła go w twarz.

– Nigdy nie przestałem troszczyć się o ciebie.

Głośno przełknęła ślinę. Nie zamierzała tak łatwo dać się podejść.

– Dzięki.

– Czasami, kiedy budzę się rano, zapominam, że nie ma cię obok mnie.

Zapominam, że cię straciłem.

– Zapominałeś o mnie, kiedy byłeś moim mężem.

Jeffrey zrobił kilka kroków w jej kierunku, ale Sara cofnęła się i stanęła w miejscu dopiero wtedy, kiedy niemal musiała oprzeć się plecami o szafkę. Położył dłonie na jej ramionach i powiedział:

– Wciąż cię kocham.

– To nie wystarczy.

Zrobił jeszcze jeden krok.

– A co powinienem uczynić?

– Jeffrey, proszę.

Cofnął się odrobinę, za to kolejne słowa wyrzucił z siebie ostrym, oficjalnym tonem:

– Co o tym sądzisz? – Ruchem głowy wskazał na zwłoki. – Myślisz, że cokolwiek znajdziesz?

Sara złożyła ręce na piersiach w obronnym geście.

– Sądzę, że zabrała swoje sekrety do grobu.

Powróciła do zwłok i pewnymi ruchami wykonała na klatce piersiowej denatki standardowe nacięcie w kształcie litery Y. Odgłos przecinanej skóry przywołał ją do rzeczywistości. Spróbowała nawiązać rozmowę z Jeffreyem.

– Jak się mają jej rodzice?

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak trudno było powiedzieć im, że ich córkę zgwałcono. A potem o tym... – Wskazał na zwłoki. – Nawet sobie nie wyobrażasz.

Myśli Sary ponownie wybiegły poza prosektorium. Wyobraziła sobie swojego ojca, stojącego nad szpitalnym łóżkiem, i matkę, obejmującą go z tyłu. Na kilka sekund zamknęła oczy, chcąc odepchnąć od siebie ten obraz. Nie zdoła kontynuować sekcji, jeśli nadal będzie wyobrażała sobie siebie samą na miejscu Julii Matthews.

– Saro? – zapytał Jeffrey.

Spojrzała na niego, zdziwiona, że przerwała autopsję. Stała przed zwłokami, z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia. Jeffrey cierpliwie czekał. Nie zadawał jej pytania, które samo się narzucało.

Sara uniosła rękę ze skalpelem i przystąpiła do pracy, dyktując:

– Ciało otwarłam typowym nacięciem Y. Wszystkie organy w klatce piersiowej i w jamie brzusznej znajdują się w normalnych pozycjach anatomicznych.

Kiedy na chwilę urwała, od razu odezwał się Jeffrey. Podziękowała Bogu, że tym razem zmienił temat.

– Nie wiem, co robić z Leną.

– Z jakiego powodu? – zapytała, ucieszona zmianą tonu jego głosu.

– Niezbyt dobrze się trzyma. Kazałem jej wziąć kilka dni wolnych.

– Myślisz, że cię posłucha?

– Uważam, że powinna posłuchać.

Sara wzięła do ręki nożyczki i szybkimi ruchami przecięła worek osierdziowy.

– W czym więc problem?

– Jest na skraju załamania nerwowego. Czuję to i nie wiem, co robić. – Wskazał na Julię Matthews. – Nie chcę, żeby skończyła w taki sposób jak ta dziewczyna.

Sara spojrzała na niego badawczo ponad oprawkami okularów. Nie była pewna, czy Jeffrey nie używa taniej psychologii, ukrywając swoje zaniepokojenie o nią pod płaszczykiem zaniepokojenia o Lenę, czy też naprawę szuka u niej rady, jak postępować z Leną.

Udzieliła mu odpowiedzi, która jej zdaniem powinna pasować do obu scenariuszy.

– Lena Adams? – Pokręciła głową i pewnym głosem oznajmiła: – Ona ma naturę wojownika. Ludzie tacy jak Lena Adams nie zabijają siebie. Zabijają innych, ale nie popełniają samobójstw.

– Wiem – odparł Jeffrey. Przez chwilę milczał, patrząc, jak Sara wydobywa ze zwłok żołądek.

– To nie będzie przyjemne – ostrzegła go, układając żołądek w stalowej misce. Jeffrey obserwował już dziesiątki autopsji, jednak chwila, kiedy w powietrze unosił się cierpki odór treści otwartego żołądka, zawsze była



dla niego najtrudniejsza.

– Hej! – zawołała Sara, zaskoczona tym, co ujrzała w żołądku. – Popatrz tylko.

– Co to jest?

Odstąpiła na bok, żeby Jeffrey mógł się dobrze przyjrzeć zawartości żołądka. Soki trawienne były czarne i gęste, Sara użyła więc perkolatora, żeby widok stał się czytelniejszy.

– Co to jest? – powtórzył Jeffrey.

– Nie wiem. Może jakieś nasiona? – odparła Sara. Używając wybieraka, powoli zaczęła je wydobywać. – Myślę, że powinniśmy zatelefonować do Marka Webstera.

– Proszę. – Jeffrey podał jej plastikowy woreczek.

Wrzuciła pierwsze nasienie do woreczka i zapytała:

– Sądzisz, że on chce, żebyśmy go złapali?

– Oni wszyscy chcą, żeby ich w końcu złapano, prawda? Pomyśl tylko, gdzie ten facet zostawił swoje ofiary. Niemal w publicznych miejscach, wyeksponowane do granic. Ryzyko jest elementem jego gry.

– Tak – zgodziła się Sara.

Nie chciała już więcej rozważać nieprzyjemnych szczegółów tej sprawy. Zamilkła. Postanowiła, że jak najszybciej dokończy pracę i wyjedzie stąd jak najdalej... jak najdalej od Jeffreya.

On jednak tego nie odgadł.

– Nasiona kojarzą się z seksem, prawda? – zapytał.

Sara skinęła głową twierdząco.

– Sądzisz więc, że podał je Julii, zanim ją zgwałcił?

– Nie mam żadnych podstaw, żeby zgadywać – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Jeffrey przez chwilę milczał, marszcząc czoło, jakby nie potrafił ułożyć następnego zdania, które chciał wypowiedzieć.

– O co chodzi? – ponagliła go.

– Przypomniała mi się Lena – odparł. – To znaczy, Julia powiedziała Lenie, że to się jej spodobało.

– Co takiego?

– Może nie dokładnie, że się jej podobało, ale że facet się z nią kochał.

– Wyrwał jej przednie zęby i rozdarł jej odbył. Jak można to nazywać „kochaniem się”?

Jeffrey wzruszył ramionami, gdyż nie potrafił udzielić sensownej odpowiedzi. Zaraz jednak zauważył:

– Może tak ją nafaszerował narkotykami, że tego nie czuła? Może nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje, dopóki to się nie skończyło?

Sara przez chwilę rozważała jego słowa.

– To możliwe – powiedziała, chociaż taka ewentualność wcale jej nie odpowiadała.

– W każdym razie można to wywnioskować z jej słów.

W pomieszczeniu było zupełnie cicho, jeśli nie liczyć szumu kompresora w lodówce. Sara znów skupiła się na autopsji. Użyła kleszczy, żeby odciąć jelito grube i jelito cienkie. Kiedy wyjmowała je z ciała, przelewały się w jej rękach jak makaron. W ciągu ostatnich dni życia Julia Matthews nie zjadła żadnego porządnego posiłku. Jej układ pokarmowy był właściwie pusty.

– Sprawdźmy to – powiedziała Sara sama do siebie, układając jelita na wadze. Rozległ się metaliczny trzask, taki, jaki wydałaby moneta wrzucana do miedzianego kubka.

– Co to takiego? – zapytał Jeffrey.

Nie odpowiedziała. Podniosła jelita, po czym rzuciła je ponownie na wagę. Odgłos powtórzył się.

– Coś jest w środku – mruknęła Sara, podchodząc do skrzynki z przełącznikami zamontowanej na ścianie. Łokciem włączyła światło, oświetlając rentgenowskie zdjęcie Julii Matthews.

– Widzisz coś?

– Cokolwiek to jest, znajduje się w jelicie grubym.

Sara skupiła spojrzenie na czymś, co znajdowało się w dolnej części odbytnicy, a wyglądało jak odłamek. Do tej pory nie zwróciła na to uwagi albo wnioskuje, że to jakieś mechaniczne uszkodzenie błony filmowej. Przenośny aparat rentgenowski, znajdujący się na wyposażeniu prosektorium, był stary i zawodny.

Jeszcze przez kilka sekund oglądała fotografię, po czym powróciła do

wagi. Odseparowała dolną część jelita cienkiego z jelitem ślepym w zastawce krętniczo-kątniczej, po czym przeniosła jelito grube na stół. Umyła pod kranem ręce od krwi, po czym wcisnęła palce w podstawę esicy, szukając przedmiotu, który wywoływał niespodziewany hałas. Mniej więcej pięć cali od odbytnicy natrafiła na twardą bryłę.

– Podaj mi skalpel – poprosiła Jeffreya, wyciągając wolną rękę.

Przez cały czas obserwował jej czynności i natychmiast spełnił prośbę.

Sara wykonała niewielkie nacięcie, ale i to wystarczyło, żeby po prosektorium rozszedł się straszny odór. Jeffrey cofnął się, ona jednak nie mogła sobie pozwolić na ten luksus. Za pomocą szczypców wyciągnęła na zewnątrz przedmiot, długi mniej więcej na pół cala. Umywszy go pod bieżącą wodą, stwierdziła, że jest to mały kluczyk.

– Kluczyk do kajdanek? – zdziwił się Jeffrey, pochylając się, aby lepiej go zobaczyć.

– Tak – odparła Sara. Trochę kręciło się jej w głowie. – Wsunięto go do odbytnicy przez odbyt.

– Dlaczego?

– Po to, żebyśmy go znaleźli, jak sądzę. Podaj mi szybko woreczek do dowodów rzeczowych.

Jeffrey wykonał polecenie. Otworzył woreczek tak, że Sara mogła wrzucić do niego kluczyk.

– Myślisz, że coś na nim znajdziemy?

– Bakterie – odparła. – Jeśli chodzi ci o odciski palców, to szczerze wątpię. – Zaciśnęła usta, przez kilka sekund nad czymś się intensywnie zastanawiając. – Wyłącz na chwilę wszystkie światła.

– Co ci chodzi po głowie?

Sara sama podeszła do skrzynki z przełącznikami, po czym łokciem wyłączyła oświetlenie sali.

– Myślę, że facet wepchnął ten kluczyk na wczesnym etapie zabawy. Kluczyk ma ostre brzegi. Może rozerwały kondom?

Ściągnęła rękawiczki chirurgiczne i wzięła do ręki specjalną latarkę; czarne światło mogło wykryć nawet najdrobniejsze ślady płynów nasennych.

Kilkakrotnie zamrugwała, przyzwyczajając oczy do nienaturalnego

oświetlenia. Powoli, w czarnym świetle oglądała nacięcie, które wykonała na odbytnicy.

– Potrzymaj. – Podała Jeffreyowi latarkę.

Nałożyła świeżą parę rękawic i, używając skalpela, powiększyła nacięcie. W otworze pojawiło się coś o purpurowym zabarwieniu.

Jeffrey westchnął prawie niesłyszalnie. Można było odnieść wrażenie, że wstrzymuje oddech.

– Czy to wystarczy do badań porównawczych DNA? – zapytał.

Sara wpatrywała się w purpurową materię.

– Myślę, że tak.

Sara na palcach przeszła przez mieszkanie siostry. Wsunęła głowę w drzwi sypialni, chcąc się upewnić, czy Tessa wciąż jest sama.

– Tessie – wyszeptła, potrząsając nią, kiedy znalazła się przy łóżku.

– Co takiego? – mruknęła Tessa i odwróciła się. – Która godzina?

Sara popatrzyła na budzik, stojący na nocnym stoliku.

– Około drugiej nad ranem.

– Co takiego? – powtórzyła Tessa i przetarła oczy. – Co się stało?

– Zrób mi trochę miejsca.

Tessa przez chwilę mrugała, ale posunęła się. Po chwili usiadła i zapytała już całkiem trzeźwo:

– Co się stało?

Sara nie odpowiedziała. Położyła się w łóżku obok siostry i podciągnęła kołdrę aż pod brodę.

– Wydarzyło się coś złego? – znów zapytała Tessa.

– Nic złego.

– Czy ta dziewczyna naprawdę nie żyje?

Sara zamknęła oczy.

– Tak – odparła.

Tessa włączyła lampkę.

– Musimy porozmawiać, Saro.

Sara odwróciła się plecami do siostry.

– Nie chce mi się rozmawiać.

– Nic mnie to nie obchodzi – stwierdziła Tessa i ściągnęła kołdrę z Sary.  
– Siadaj.

– Nie wydawaj mi rozkazów – warknęła Sara, rozzłoszczona. Przyszła tu, ponieważ tutaj czuła się bezpiecznie. Chciała zasnąć, a nie odpowiadać na nedorzeczne pytania młodszej siostry.

– Saro – zaczęła Tessa. – Musisz w końcu powiedzieć Jeffreyowi, co się stało.

Sara usiadła, zła, że głupia rozmowa rozpoczyna się po raz kolejny.

– Nie – odpowiedziała i zacisnęła usta.

– Saro – powtórzyła Tessa zdecydowanym głosem. – Hare opowiedział mi o tej dziewczynie. Powiedział o taśmie na jej ustach i o tym, w jakiej pozycji leżała na twoim samochodzie.

– Nie powinien o czymś takim z tobą rozmawiać.

– Musiał komuś powiedzieć, był przerażony – odparła Tessa. Wyszła z łóżka, najwyraźniej zdenerwowana.

– Dlaczego jesteś na mnie taka wściekła? – zapytała Sara, także wstając.

Stały twarzą w twarz, po obu stronach łóżka. Sara oparła ręce na biodrach.

– To nie moja wina, rozumiesz? – kontynuowała. – Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby pomóc tej dziewczynie. Skoro nie potrafiła pogodzić się z tym, przez co przeszła, sam dokonała wyboru.

– Wielki wybór, co? A więc lepiej jest strzelić sobie kulkę w łeb, niż żyć z tym przez cały czas?

– Do cholery, co to ma znaczyć?

– Do cholery, wiesz, co to ma znaczyć! – odkrzyknęła Tessa. – Musisz powiedzieć Jeffreyowi, Saro.

– Nic mu nie powiem.

Przez chwilę Tessa wpatrywała się w siostrę groźnym wzrokiem. Wreszcie złożyła ręce na piersiach, po czym oznajmiła:

– Jeśli nie ty, to ja mu powiem.

– Co?! – wykrzyknęła Sara. Mniej zdziwiłaby się, gdyby Tessa ją uderzyła. Zaskoczona, przez kilka sekund stała przed nią z otwartymi ustami.

– Nie zrobisz tego!

– Właśnie, że zrobię – odpowiedziała Tessa. W głębi duszy podjęła już

decyzję. – A jeśli nie ja, to mama.

– Obie z mamą uknułyście ten śmieszny plan? – Sara roześmiała się bez humoru. – Jak mniemam, ojciec też jest w niego wprowadzony. – Wyrzuciła ramiona w górę. – Cała moja rodzina spiskuje przeciwko mnie!

– Nie spiskujemy przeciwko tobie – zaprzeczyła Tessa. – Próbujemy ci pomóc.

– To, co zdarzyło się mnie – zaczęła Sara, starannie ważąc każde słowo – nie ma nic wspólnego z tym, co przytrafiło się Sibił Adams i Julii Matthews. – Pochyliła się nad łóżkiem, posyłając siostrze gniewne spojrzenie. W tej dziedzinie mogły ze sobą konkurować.

– Skąd możesz to wiedzieć? Nie ty o tym zdecydujesz.

Sara poczuła jeszcze bardziej rozsadzającą ją złość.

– Ty chcesz mi, Tessie, opowiadać, jak różne są to przypadki? A może chcesz, żebym ci opowiedziała szczegóły, o których na razie nie masz pojęcia? – Nie dała siostrze czasu na odpowiedź. – Po pierwsze, nikt nie wrył na mojej piersi krzyża, nikt nie zostawił mnie, żebym się wykrwawiła w toalecie. – Urwała, zdając sobie sprawę, że jej słowa wstrząsną Tessą. Jeśli chciała zadawać Sarze ból, ona doskonale potrafiła oddawać ciosy. – Po drugie, nikt nie wylał mi przednich zębów, żeby swobodnie odbyć stosunek oralny!

Tessa przyłożyła dłoń do ust.

– Och, Boże – jęknęła.

– I nikt nie przybił mi rąk i nóg do podłogi, żeby mnie swobodnie pieprzyć.

– Nie! – W oczach Tessy pojawiły się łzy.

Sara nie potrafiła już się powstrzymać, mimo że dobrze widziała, jak siostra reaguje na jej słowa.

– Nikt nie wyczyścił mojej jamy ustnej chloroxem. Nikt nie ogolił mi włosów łonowych, żeby zatrzeć swoje ślady. – Na chwilę umilkła dla złapania oddechu. – Nikt nie przebił mi brzucha, żeby... – Umilkła jednak, wiedząc, że posuwa się za daleko.

Tessa cicho łkała. Jej oczy wciąż były utkwione w Sarze, a przerażenie na jej twarzy wywołało w niej nagłe poczucie winy.

– Przepraszam cię, Tessie. Przepraszam – wyszeptła Sara.

Bardzo powoli Tessa odsunęła dłoń od ust.

– Jeffrey jest policjantem – powiedziała.

– Wiem. – Sara położyła dłoń na piersi.

– Jesteś taka piękna – kontynuowała Tessa. – Jesteś bystra, dowcipna, wysoka.

Sara roześmiała się głośno, chociaż zbierało się jej na łzy.

– Ale dwanaście lat temu, o tej samej porze roku, zostałam zgwałcona – dokończyła Tessa.

– Wiem.

– On ci co roku przesyła widokówki, Saro. On wie, gdzie mieszkasz.

– Wiem.

– Saro – zaczęła Tessa błagalnym głosem. – Musisz o tym powiedzieć Jeffreyowi.

– Nie mogę.

– Nie masz wyboru. – Tessa była stanowcza.

## PIĄTEK

### 18

Jeffrey wciągnął bokserki i pokuśtykał do kuchni. Kolano wciąż miał sztywne po postrzale, a żołądek nadal nie pracował poprawnie, i to od czasu, kiedy po raz pierwszy wszedł do sali szpitalnej, w której leżała Julia Matthews. Martwił się o Lenę. Martwił się o Sarę. Martwił się o swoje miasto.

Przed kilkoma godzinami Brad Stephens zabrał próbki DNA do Macon. Na jakąkolwiek odpowiedź trzeba będzie czekać tydzień, a potem kolejny tydzień na wyniki porównań z wytypowanymi przestępcami na tle seksualnym, znajdującymi się w kartotekach FBI. Był to czas oczekiwania, niestety, nieunikniony w policyjnej pracy. Tymczasem złoczyńca mógł w każdej chwili wykonać następny ruch. Doświadczenie zawodowe podpowiadało Jeffreyowi, że już teraz poluje na kolejną ofiarę. Może nawet właśnie w tej chwili ją gwałci, robiąc z nią rzeczy dowodzące skrajnego zezwierzęcenia.

Otworzył lodówkę i wyciągnął mleko. Zanim sięgnął po szklanekę, nacisnął włącznik światła, jednak żarówka w żyrandolu nie zapaliła się. Zaklął cicho, szukając w szafie czystej szklanki. Wyłączył światło w kuchni już przed kilkoma tygodniami, kiedy otrzymał pocztą nowe przewody, które wcześniej zamówił. Akurat rozwijał druty, gdy zatelefonowano do niego z komisariatu, i w efekcie nowy żyrandol pozostał nierozpakowany w pudełku, oczekując na Jeffrey'ego, aż będzie miał czas go zainstalować. Gdyby



sprawy dalej tak miały się toczyć, obawiał się, że jeszcze przez kilka lat będzie musiał spożywać posiłki przy świetle z lodówki.

Wypił mleko i pokuśtykał do zlewozmywaka, żeby wypłukać szklanę. Chciałby zatelefonować do Sary, sprawdzić, co u niej, wiedział jednak, że nie miałyby to sensu. Z sobie tylko znanych powodów odpychała go. Z drugiej strony, od dnia rozvodu nie miał właściwie żadnego rozsądnego argumentu, by z nią przebywać. Może spędziła noc z Jebem? Słyszał od Marli, która rozmawiała z Marty Ringo, że Sara znów się z nim spotyka. Jak przez mgłę przypominał sobie, że ostatnio w szpitalu mówiła coś o randce, nie potrafił jednak przypomnieć sobie szczegółów. A ponieważ powróciło to do niego dopiero po tym, jak Marla powtórzyła mu plotkę, nie mógł na tym wspomnieniu szczególnie polegać.

Jęknął, siadając na barowym taborecie przy blacie kuchennym, umieszczonym na środku kuchni. Wybudował go w taki właśnie sposób przed kilkoma miesiącami. Właściwie to stawiał go dwa razy, ponieważ za pierwszym razem nie był z niego zadowolony. Ponad wszystko był perfekcjonistą, a szczególnie nienawidził niesymetrycznych konstrukcji. Ponieważ mieszkał w starym domu, oznaczało to, że wciąż musiał przestawiać i ustawiać od nowa; w budynku nie było ani jednego muru o regularnym kształcie.

Delikatny wiatr zawirował grubymi paskami plastiku, zamykającymi tylną ścianę kuchni. Jeffrey wciąż wahał się, czy umieścić tam tylko przeszklone drzwi, czy na całej ścianie zamontować okna, czy też może rozbudować kuchnię o dziesięć stóp w kierunku podwórza. Powstałoby tam miłe miejsce do jedzenia śniadania, gdzie mógłby siadać nad ranem i przypatrywać się ptakom na podwórku. Mógłby także ustawić przed domem piec do grillowania. W każdym razie dom miał być z tej strony otwarty. Już teraz podobał mu się sposób, w jaki światło wpadało do domu przez półprzejrzyste paski, wyznaczające teraz ścianę kuchni. Lubił wypatrywać przez nie na podwórze, szczególnie pod wieczór. Teraz właśnie ujrzał za nimi jakąś sylwetkę.

Wstał i zabrał z magazynka kij baseballowy.

Prześlizgnął się pomiędzy paskami i ostrożnie ruszył przez trawnik. Trawa była wilgotna od lekkiej mgły unoszącej się w powietrzu i Jeffrey za-

drżał z zimna. Poprosił Boga, żeby tym razem nikt do niego nie strzelał. Ubrany był tylko w bokserki, pomyślał więc, że ktokolwiek czai się na podwórzu, prędzej umrze ze śmiechu niż ze strachu, widząc Jeffreya w zielonych majtkach, z kijem uniesionym nad głowę.

Usłyszał znajomy odgłos, lekki warkot wydawany przez zadowolonego psa. W świetle księżycy ujrzał przy ścianie domu trzy ruchome sylwetki. Dwie z nich mogły należeć do psów. Kolejna była na tyle wysoka, że musiała to być Sara. Usiłowała zobaczyć coś przez okno jego sypialni.

Opuścił kij i pokuśtykał w jej kierunku najciszej, jak umiał. Nie martwił się Billym ani Bobem; doskonale wiedział, że dwa charty są najbardziej leniwymi psami pod słońcem. Niemal nie poruszyły się, kiedy stanął za dziewczyną.

– Sara?

– Chryste! – Podskoczyła z wrażenia i przewróciła się o jednego z psów, gdyby Jeffrey jej nie podtrzymał.

Roześmiał się i poklepał Boba po głowie.

– Ty dupku! – zawołała Sara i uderzyła go pięściami w piersi. – Przestraszyłeś mnie na śmierć.

– Co takiego? – zapytał Jeffrey niewinnym głosem. – Przecież to nie ja weszę koło twojego domu.

– Jakbyś tego nie robił przedtem.

– Ale to ja cię przyłapałem, a nie ty mnie. – Oparł się na kij. Poziom adrenaliny powoli w nim opadał i zaraz zaczął przypominać o sobie ból w nodze. – Czy zechciałabyś mi wytłumaczyć, dlaczego w środku nocy zaglądasz do mojej sypialni przez okno?

– Nie chciałam cię obudzić, gdybyś już spał.

– Byłam w kuchni.

– Zupełnie po ciemku? – Sara złożyła ręce na piersiach i posłała mu karzące spojrzenie. – Sam?

– Wejź do środka – zaprosił ją Jeffrey. Nie czekając na odpowiedź, ruszył do kuchni. Ucieszył się, gdy usłyszał za sobą ciche kroki Sary. Ubrana była w stare, wyblakłe niebieskie dżinsy i równie starą białą koszulę, zapinaną od dołu do góry na guziki. – Aż tutaj spacerowałaś z psami? – zapytał.

– Pożyczyłam od Tessy samochód – odparła Sara, delikatnie drapiąc Boba po głowie.

– Dobrze zrobiłaś, że zabrałaś ze sobą te psy bojowe.

– Cieszę się, że nie chciałeś mnie zabić.

– Skąd wiesz, że nie chciałem? – Kijem baseballowym Jeffrey odsunął plastik, wpuszczając Sarę do domu.

Sara popatrzyła na paski plastiku, a potem na niego.

– Bardzo ładnie przerabiasz ten dom – powiedziała.

– Brakuje w nim kobiecej ręki.

– Jestem pewna, że ochotniczek, żeby tu zamieszkać, nie brakuje.

Wszedłszy do kuchni, Jeffrey stłumił w sobie jęk.

– Światło mamy tutaj – poinformował Jeffrey, zapalając świeczkę i stawiając ją na piecyku.

– Ha, ha, ha! – roześmiała się Sara, naciskając najbliższy włącznik na ścianie. Kiedy Jeffrey zapalał świeczkę, przeszła przez kuchnię i nadusiła kolejny włącznik. – O co tu chodzi, Jeff?

– Po prostu stary dom. – Jeffrey wzruszył ramionami, nie chcąc przyznawać się do swojego lenistwa. – Brad zabrał próbki do Macon.

– Teraz poczekamy ze dwa tygodnie, co?

– Tak – przyznał Jeffrey. – Myślisz, że to gliniarz?

– Brad?

– Nie, napastnik. Myślisz, że jest gliniarzem? Może właśnie dlatego zostawił... tam... kluczyk do kajdanek? – Urwał na chwilę. – Widzisz, to jest całkiem konkretny ślad.

– Może facet używa kajdanek, żeby je unieruchamiać? – myślała głośno Sara. – Może jest sadomasochistą? Może, kiedy był chłopcem, mamusia przywiązywała go do łóżka?

Jeffreya zdziwił lekki ton Sary, wołał jednak tego nie komentować.

Zupełnie niespodziewanie Sara oznajmiła:

– Przydałby mi się śrubokręt.

Jeffrey zmarszczył czoło, podszedł jednak do skrzyneczki z podręcznymi narzędziami i przez chwilę przebierał w nich.

– Może być phillipsa?

– Chodzi mi o drinka, głuptasie – odpowiedziała Sara. Otworzyła lo-

dówkę i wyciągnęła butelkę z wódką.

– Chyba nie mam soku pomarańczowego – zauważył Jeffrey.

– To zupełnie wystarczy – stwierdziła Sara i z kolejnej półki w lodówce zabrała kartonik z sokiem jagodowym. Następnie wyciągnęła z szafy wysokie szklanki i przyrządziła mocne drinki.

Jeffrey patrzył na to wszystko, zaskoczony i zaniepokojony. Sara piła rzadko i już kieliszek wina sprawiał, że kręciło się jej w głowie. W czasie, kiedy byli małżeństwem, Jeffrey nie widział jej pijącej niczego mocniejszego niż margarita.

Wypiwszy połowę zawartości swojej szklanki, Sara otrząsnęła się.

– Ile wódki powinienam tu nalać? – zapytała.

– Prawdopodobnie jedną trzecią tego, co nalałaś – odparł Jeffrey i odebrał jej szklankę. Upił niewielki łyk ze swojej. Cierpki smak płynu sprawił, że wykrzywił twarz ze wstrętem. – Jezu Chryste – mruknął i odkaslnął. – Chcesz się zabić?

– Ja i Julia Matthews. Czy masz coś słodkiego?

Jeffrey otworzył usta, chcąc zapytać, co to ma znaczyć, Sara jednak już zaczęła otwierać kolejne szuflady.

– W lodówce jest jakieś ciasto – odpowiedział jej. – Dolna półka, zupełnie z tyłu.

– Bez tłuszczu?

– Bez.

– To dobrze – stwierdziła Sara i zgięła się w pół, żeby wyciągnąć ciasto.

Jeffrey złożył ręce na piersiach i obserwował ją. Chciał zapytać, co właściwie robi w środku nocy w jego kuchni. Chciał dowiedzieć się, co robiła w ciągu ostatnich godzin i dlaczego zachowuje się tak dziwnie.

– Jeff? – zapytała Sara, wciąż nachylona przed lodówką.

– Hmm?

– Czy wpatrujesz się w mój tyłek?

Jeffrey uśmiechnął się. Akurat nie wpatrywał się w jej tyłek, jednak odpowiedział:

– Tak.

Sara wyprostowała się i wyciągnęła rękę z talerzykiem, niczym bezcenną zdobycz.

– Ostatni kawałek – stwierdziła.

– Rzeczywiście.

– Cóż – mruknęła, zlizując z wierzchu lukier. Podeszła do stołu. – Cholerna sprawa.

– Tak sądzisz?

– Zgwałcona dziewczyna z college’u popełnia samobójstwo. To nie zdarza się codziennie, co?

– Chyba nie.

– To ty powiedziałeś jej rodzicom?

– Frank odebrał ich z lotniska. – Jeffrey urwał. – Jej ojciec... – Znów umilkł. Wiedział, że łatwo nie zapomni rozzłoszczonej twarzy Jona Matthews.

– Ojciec się wkurzył, co? Tatusiowie nie lubią, kiedy ktoś gwałci ich córki.

– Chyba nie – odparł Jeffrey, zastanawiając się, dlaczego Sara chce o tym rozmawiać.

– Właśnie.

– Dlatego Jon Matthews bardzo się zdenerwował.

Jakiś ognik błysnął w oczach Sary, jednak opuściła wzrok, zanim Jeffrey zdołał się im lepiej przyjrzeć. Znów wypięła duży łyk drinka; odrobinę rozlała przy tym na koszulę. Zachichotała.

– Co się z tobą dzieje, Saro? – zapytał Jeffrey niechętnie.

Wskazała palcem na jego brzuch.

– Kiedy zacząłeś nosić coś takiego? – zapytała.

Jeffrey spojrział po sobie. Ponieważ miał na sobie jedynie zielone bokserki, uznał, że Sarze chodzi właśnie o nie. Znów popatrzył na nią i wzruszył ramionami.

– Kilka minut temu.

– Mniej niż przed dwoma laty – stwierdziła, znów liżąc lukier.

– Tak – zgodził się. Podeszedł do niej, z rękami ułożonymi wzdłuż tułowia, ukazując jej bokserki w pełnej krasie. – Podobają ci się?

Zaklaskała głośno.

– Co właściwie tutaj, robisz, Saro?

Wpatrywała się w niego przez kilka sekund, po czym odstawiła tale-

rzyk z ciastkiem na stolik. Cofnęła się, lekko uderzyła obcasem prawego buta o szafę.

– Któregoś dnia rozmyślałam o naszym rejsie łódką, pamiętasz?

Pokręcił głową, ponieważ kiedy byli małżeństwem, spędzali na swojej łodzi praktycznie każdy letni weekend.

– Właśnie skończyłam pływać i siedziałam na łodzi, szczotkując włosy. Wtedy ty podszedłeś, wziąłeś ode mnie szczotkę i zacząłeś je szczotkować.

Teraz skinął głową. Właśnie o tym myślał wczoraj rano, kiedy obudził się w szpitalu.

– Tak, pamiętam.

– Szczotkowałeś moje włosy przynajmniej przez godzinę. Pamiętasz to?

Uśmiechnął się.

– Wyszczotkowałeś moje włosy i przygotowaliśmy się do kolacji. Pamiętasz?

Znów skinął głową.

– Gdzie popełniłam błąd? – zapytała Sara. Wyraz jej oczu niemal go zabił. – Czy poszło o seks?

Jeffrey potrząsnął przecząco głową. Seks z Sarą był najwspanialszym doświadczeniem w jego dorosłym życiu.

– Oczywiście, że nie – odparł.

– Chciałeś, żebym dla ciebie gotowała? Albo żebym zawsze była w domu, kiedy wracasz po pracy?

Spróbował się roześmiać.

– Kiedyś ugotowałam mi obiad, pamiętasz? Byłem chory przez trzy dni.

– Mówię poważnie, Jeff. Gdzie popełniłam błąd?

– To nie ty – odparł. Jeszcze zanim dokończył zdanie, zdał sobie sprawę, że jest banalny. – Chodziło o mnie.

Sara ciężko westchnęła. Sięgnęła po szklanę i opróżniła ją jednym haustem.

– Byłem głupi – kontynuował Jeffrey, wiedząc, że właściwie powinien się po prostu zamknąć. – Cały czas bałem się o ciebie, bo cię tak bardzo kochałem. Sądzę, że nie potrzebowałaś mnie tak bardzo, jak ja potrzebowałem ciebie.

Popatrzyła na niego badawczo.

– Wciąż chcesz, żebym cię potrzebowała?

Zdziwił się, kiedy położyła dłoń na jego piersi i zaczęła lekko drapać go po włosach. Przymknął oczy, a tymczasem palce Sary powędrowały do jego ust.

– W tej chwili bardzo cię potrzebuję – powiedziała.

Otworzył oczy. Przez krótką chwilę myślał, że jego była żona żartuje.

– Co powiedziałaś?

– Nie pragniesz tego, co możesz teraz mieć? – zapytała, wciąż dotykając jego warg.

Końcem języka oblizwał jej palec. Sara uśmiechnęła się. Oczy miała odrobinę przymknięte, jakby chciała czytać jego myśli.

– Odpowiesz mi?

– Tak – odparł, chociaż nie pamiętał już treści pytania. – Tak, tak, tak, wciąż cię pragnę.

Sara zaczęła całować jego szyję, pieściła językiem jego skórę. Objął ją w talii i przyparł do kuchennego blatu. Objęła go nogami.

– Saro – westchnął. Spróbował pocałować ją w usta, ale odepchnęła go. Zaczęła sunąć językiem w dół jego tułowia. – Saro – powtórzył. – Chcę się z tobą kochać.

Popatrzyła na niego. Na ustach miała lekki uśmiech.

– A ja nie chcę się kochać.

Jeffrey otworzył usta, ale nie wiedział, jak zareagować. W końcu wykrztusił:

– Co to znaczy?

– To znaczy... – zaczęła, po czym schwyciła jego dłoń i przytrzymała ją przed swoimi ustami. Obserwował, jak czubkiem języka dotyka jego wskaźującego palca. Powoli wsunęła go do swoich ust i zaczęła ssać. Po chwili, która zdawała się trwać stanowczo zbyt krótko, wyjęła palec ze swoich ust i zapytała, z figlarnym uśmiechem na ustach: – No i co?

Chciał ją pocałować, ale znów mu nie pozwoliła. Jęknął, kiedy ponownie zaczęła całować jego klatkę piersiową, a potem gryźć gumkę jego bokserek. Z trudem uklęknął naprzeciwko niej i jeszcze raz spróbował pocałować ją w usta. I znów bez skutku.

– Chcę cię całować – powiedział. Zdziwił go błagalny ton własnego głó-

su.

Potrząsnęła przecząco głową, rozpinając koszulę.

– Mógłbyś ustami zrobić wiele innych rzeczy.

– Saro...

Znów potrząsnęła głową.

– Nic nie mów, Jeffrey.

Zdziwiły go jej słowa, bo jednym z najlepszych fragmentów ich zabaw seksualnych były właśnie rozmowy. Położył dłonie na jej policzkach.

– Poczekaj – powiedział.

– Co?

– Co się z tobą dzieje?

– Nic.

– Nie wierzę ci. – Czekał na jej odpowiedź, ale tylko się w niego wpatrywała. – Dlaczego nie pozwalasz mi na pocałunki? – zapytał.

– Po prostu nie mam ochoty na pocałunki. – Jej uśmiech nie był już tak filuterny. – W usta.

– Co ci jest? – powtórzył.

Ostrzegawczo przymrużyła oczy.

– Odpowiedz mi.

Patrzyła mu w oczy, jednocześnie błędząc dłonią po jego bokserkach. Przycisnęła do niego dłoń, jakby chciała się upewnić, czy ją rozumie.

– Nie chcę z tobą rozmawiać.

Powstrzymał jej dłoń.

– Popatrz na mnie.

Potrząsnęła głową, po chwili zamknęła oczy.

– Co się z tobą dzieje? – wyszeptał.

Sara nie odpowiedziała. Pocałowała go w usta, na siłę wsuwając w nie język. Pocałunek był byle jaki, niezdarny, daleki od tych, do jakich go kiedyś przyzwyczaiała, jednak ujawniał pożądanie, wobec którego ugięłyby się pod nim nogi, gdyby nie klęczał.

Przerwała nagle i przycisnęła głowę do jego piersi. Chciał, aby na niego popatrzyła, jednak broniła się przed tym.

– Saro? – zapytał.

Poczuł, jak obejmuje go ramionami, jednak zupełnie inaczej niż daw-



niej. Była w tym taka desperacja, jakby poprzez ten uścisk broniła się przed utonięciem.

– Obejmij mnie – poprosiła. – Po prostu mnie obejmij.

Obudził się w jednej chwili. Przesunął ręką po pościeli, chociaż nie miał wątpliwości, że Sary już obok nie będzie. Jak przez mgłę przypominał sobie, że jakiś czas temu po prostu wyszła, jednak był wtedy zbyt zmęczony, żeby się ruszyć, nie mówiąc już o próbach zatrzymania jej. Odwrócił się i przycisnął twarz do poduszki, na której spała. Poczował zapach lawendy z jej szamponu i delikatną, ledwie uchwytną woń jej perfum. Przytrzymał poduszkę przy twarzy, układając się na wznak. Patrzył w sufit, próbując przypomnieć sobie wydarzenia ostatniej nocy. Wciąż tego nie pojmował. Zaniósł Sarę do łóżka. Cicho płakała mu w ramię. Tak bardzo bał się tego, co było przyczyną jej łez, że już o nic więcej nie pytał.

Usiadł i podrapał się po klatce piersiowej. Uznał, że nie może przeleżeć w łóżku całego dnia. Należało skompletować listę przestępców na tle seksualnym. Musiał przesłuchać Ryana Gordona i wszystkich, którzy przebywali w bibliotece tego wieczoru, kiedy została porwana Julia Matthews. Musiał także zobaczyć się z Sarą i upewnić, że z nią wszystko w porządku.

Przeciągnął się i ruszył do łazienki. Na progu zatrzymał się. Na umywalce leżała jakaś sterta papierów. Kartki spięte były u góry grubym, srebrnym spinaczem; na pierwszy rzut oka było ich ze dwieście. Miały powyginane rogi, były poźółkłe, jakby ktoś przeglądał je już setki razy. Jeffrey od razu zrozumiał, że ma do czynienia ze stenogramem sądowym.

Rozejrzał się po łazience, jakby ktoś, kto dostarczył te papiery, mógł się tu jeszcze znajdować. Jediną osobą, która przebywała ostatnio w jego domu, była Sara. Nie potrafił wyobrazić sobie, że to właśnie ona zostawiła tu coś takiego. Przeczytał stronę tytułową. Proces, w którym stan Georgia występował przeciwko Jackowi Allenowi Wrightowi odbył się dwanaście lat temu.

Zaczął kartkować stenogram, ale zatrzymał się już na pierwszej stronie, kiedy ujrzał, na samej górze kartki, nazwisko Sary. Kolejne nazwisko, Ruth Jones, zapewne prokurator okręgowej, która prowadziła sprawę, wymienione było jako nazwisko osoby zadającej pytania.

Usiadł na sedesie i zaczął czytać treść przesłuchania Sary Linton prze-

prowadzonego w sądzie przez Ruth Jones.

Pytanie: Pani doktor Linton, czy zechciałaby pani opowiedzieć nam, własnymi słowami, o wydarzeniach, które miały miejsce dwudziestego trzeciego kwietnia przed rokiem?

Odpowiedź: Pracowałam w Grady Hospital, gdzie odbywałam praktykę jako pediatra. Miałam ciężki dzień i postanowiłam przejść się na parking, do samochodu.

P: Czy już wówczas zauważyła pani coś niezwykłego?

O: Kiedy dotarłam do samochodu, zauważyłam słowo PIZDA, wydrapano na przednich drzwiach po stronie pasażera. Pomyślałam, że to robota jakiegoś wandalę, dlatego taśmą izolacyjną, którą miałam w bagażniku, szybko to zalepiłam.

P: Co później pani zrobiła?

O: Wróciłam do szpitala, z powrotem do pracy.

P: Czy wypije pani szklankę wody?

O: Nie, dziękuję. Poszłam do toalety i kiedy myłam ręce, do środka wszedł Jack Wright.

P: Oskarżony?

O: Tak jest. Wszedł do środka. Miał w ręku miotłę i ubrany był w szary fartuch. Wiedziałam, że jest stróżem. Przeprosił mnie, że nie zapukał, i powiedział, że wróci później, żeby posprzątać, po czym wszedł.

P: Co stało się potem?

O: Weszłam do kabiny, żeby skorzystać z toalety. Wtedy oskarżony, Jack Wright, skoczył na mnie z góry. Przypiął moje ręce kajdankami do bariery dla niepełnosprawnych. Następnie zakleił mi usta srebrną taśmą klejącą.

P: Czy jest pani pewna, że to był oskarżony?

O: Tak. Miał na sobie czerwoną maskę narciarską, rozpoznałam go jednak po oczach. Ma niebieskie oczy, zdecydowanie go wyróżniające. Pamiętam jak wcześniej, patrząc na jego długie jasne włosy i niebieskie oczy, porównywałam go z biblijną sylwetką Jezusa. Jestem pewna, że to Jack Wright mnie zaatakował.

P: Czy jeszcze jakieś szczegóły utwierdzają panią w przekonaniu, że to właśnie oskarżony panią zgwałcił?

O: Widziałam na jego ramieniu tatuaż, przedstawiający Jezusa przybitego do krzyża. U góry znajdowało się słowo JEZUS, a pod spodem ZBAWICIEL. Rozpoznałam ten tatuaż jako należący do Jacka Wrighta, szpitalnego stróża. Widziałam go j wcześniej kilkakrotnie w holu, nigdy jednak ze sobą nie rozmawialiśmy.

P: Co stało się później, pani doktor?

O: Jack Wright wyciągnął mnie z toalety. Związał mi nogi w kostkach moimi własnymi majtkami. Moimi majtkami. Dookoła kostek.

P: Niech się pani uspokoi, pani doktor. Proszę się nie spieszyć.

O: Zostałam pociągnięta do przodu, ręce miałam jednak wciąż przykute kajdankami, w ten sposób. Ciągnął mnie, obejmując jedną ręką w talii. Miał długi nóż, o mniej więcej sześciocalowym ostrzu, i trzymał go tuż przy mojej twarzy. Skaleczył mnie w wargę, chyba żeby mnie ostrzec, że to nie żarty.

P: Co następnie zrobił oskarżony?

O: Wsunął we mnie swój penis i mnie zgwałcił.

P: Pani doktor Linton, proszę nam powiedzieć, czy gwałcąc panią, oskarżony cokolwiek mówił?

O: Bezustannie zwracał się do mnie „ty pizdo”.

P: Zechce pani nam powiedzieć, co się stało później?

O: Usilnie próbował doprowadzić się do wytrysku, ale bez powodzenia. W końcu wyciągnął ze mnie penis i użył ręki, żeby ejakulować na... [nagranie niewyraźne].

P: Zechce pani powtórzyć?

O: Wytrysnął na moją twarz i klatkę piersiową.

P: Co wydarzyło się potem?

O: Znów zaczął mnie przeklinać, następnie dźgnął mnie nożem. W lewy bok, o, w tym miejscu.

P: I co się stało?

O: Poczulałam coś w ustach. Zaczęłam się dusić. Odkasznęłam. To był ocet.

P: Nalał pani do ust octu?

O: Tak, miał małą buteleczkę, taką, w jakich prezentuje się próbki perfum. Wylał ocet do moich ust i powiedział: „Dokonało się”.

P: Czy to zdanie ma dla pani jakieś szczególne znaczenie, pani doktor?

O: To dosłowny cytat z Ewangelii według świętego Jana. Jan pisze, że były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział Jezus, zanim umarł na krzyżu. Wcześniej poprosił o coś do picia i podano mu ocet. Wypił ocet, a później, cytując Biblię, „oddał ducha”. Umarł.

P: Czy to cytat z Ukrzyżowania?

O: Tak.

P: Jezus mówi tam: „Dokonało się”?

O: Tak.

P: I ma ręce przybite do krzyża?

O: Tak.

P: Zostaje mu wbity w bok miecz?

O: Tak.

P: Czy oskarżony mówił coś jeszcze?

O: Nie. Jack Wright powiedział to, co zacytowałam, i wyszedł z toalety.

P: Pani doktor Linton, czy może pani powiedzieć, jak długo była pani później sama w tej toalecie?

O: Nie.

P: Wciąż miała pani ręce skute kajdankami?

O: Tak. Wciąż miałam skute ręce, klęczałam i oczy miałam skierowane ku podłodze. Nie mogłam się wyprostować ani usiąść.

P: Co stało się później?

O: Do toalety weszła jedna z pielęgniarek. Zobaczyła krew na podłodze i zaczęła krzyczeć. Kilka sekund później na miejscu znalazł się doktor Lange, mój przełożony. Do tego czasu utraciłam sporo krwi i wciąż byłam skuta. Oboje zaczęli mi pomagać, ale z powodu kajdanek niewiele mogli zrobić. Jack Wright tak zepsuł zamek, że nie można było ich otworzyć. Wsadził do środka wykałaczkę albo coś podobnego. Dopiero ślusarz, którego wezwano, zdołał otworzyć kajdanki. W tym czasie straciłam przytomność. Moje ciało było ułożone w taki sposób, że z rannego boku wciąż wypływała krew. Naprawdę, z powodu tej rany straciłam bardzo wiele krwi.

P: Pani doktor, proszę się nie spieszyć. Czy życzy pani sobie, żebyśmy zrobili krótką przerwę?

O: Nie. Chcę kontynuować.

P: Zechce nam pani powiedzieć, co nastąpiło w konsekwencji gwałtu?

O: Kontakt ten sprawił, że zaszłam w ciążę. Wystąpiła ciąża pozamaciczna, co oznacza, że nasienie zagnieździło się w jajowodzie. Gwałt spowodował u mnie krwotok wewnętrzny.

P: Jaki wpływ, jeśli w ogóle jakikolwiek, miał na panią ten gwałt?

O: Trzeba było wykonać nacięcie macicy, w wyniku czego usunięto moje organy rozrodcze. Nie mogę już mieć dzieci.

P: Pani doktor?

O: Poproszę o przerwę.

Jeffrey siedział w milczeniu w toalecie, wpatrując się w stronicę stenogramu. Przeczytał zapis raz jeszcze, a potem jeszcze raz. Później długo łkał nad tragedią Sary, o której nie miał dotąd pojęcia.

Lena powoli uniosła głowę, próbując dociec, gdzie się właściwie znajduje. Widziała jedynie ciemność. Rękę miała ułożoną zaledwie o kilka cali od twarzy, nie potrafiła jednak dostrzec ani dłoni, ani pojedynczych palców. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, było wspomnienie, jak siedzi w kuchni i rozmawia z Hankiem. Potem panowała już całkowita pustka. To było tak, jakby w jednej sekundzie mrugnęła powieką, a w następnej już znajdowała się w tym miejscu. Gdziekolwiek by ono było.

Jęknęła i poruszyła się, chcąc usiąść. Nagle zdała sobie sprawę, że jest naga. Nierówna, chropowata powierzchnia, na której leżała, drażniła jej skórę. Wyraźnie wyczuwała drzazgi na drewnianej podłodze. Z jakiegoś powodu jej serce zaczęło bić jak szalone; umysł nie potrafił podpowiedzieć jej dlaczego. Sięgnęła przed siebie ręką. Znowu poczuła chropowate drewno, jednak ustawione było w pionie. Ściana.

Podpierając się o ścianę, z trudem wstała. Niemal podświadomie usłyszała jakiś odgłos, jednak niczego jej nie przypominał. Wszystko dookoła wydawało się jej chaotyczne, bezładne i w złej pozycji. Fizycznie czuła, że absolutnie nie pasuje do tego miejsca. Oparła głowę o ścianę, przyciskając czoło do chropowatego drewna. Coraz wyraźniejszy odgłos docierał do niej staccato nie wiadomo skąd: uderzenie, cisza, uderzenie, cisza, uderzenie i znowu nic, jakby ktoś uderzał młotkiem w kawałek żelaza. Jakby to kowal kształtował podkowę.

Chlap, chlap, chlap.

Już to kiedyś słyszała, ale gdzie i kiedy?

Serce Leny zamarło, kiedy wreszcie skojarzyła. W ciemności wyobraziła sobie usta Julii Matthews, poruszające się, naśladujące ten dźwięk.

Chlap, chlap, chlap.

To był odgłos kapiącej wody.

Jeffrey stał przed lustrem weneckim, wpatrując się w pokój przesłuchań. Przy stole siedział Ryan Gordon. Chude ręce skrzyżowane miał na wklęsłej klatce piersiowej. Naprzeciwko niego zasiadał Buddy Conford. Ręce miał złożone i trzymał je na stole. Buddy był typem wojownika. W wieku siedemnastu lat stracił nogę w wypadku samochodowym; amputowano mu ją pod kolanem. Gdy miał lat dwadzieścia sześć, rak sprawił, że utracił lewe oko. Kiedy miał lat trzydzieści dziewięć, jakiś niezadowolony klient postanowił zapłacić mu dwiema kulami rewolwerowymi. Buddy stracił nerkę, miał rozwalone płuco, jednak po dwóch tygodniach powrócił do sali sądowej. Jeffrey miał nadzieję, że poczucie sprawiedliwości Buddy'ego pozwoli ruszyć dziś sprawę z miejsca. Nad ranem załadował do komputera fotografię Jacka Allena Wrighta. W razie pozytywnej identyfikacji uznał, iż będzie miał bardzo ważny powód, żeby pojechać do Atlanty.

Jeffrey nigdy nie uważał się za faceta ulegającego emocjom, jednak teraz czuł w piersiach dziwne klucie, które nie chciało ustąpić. Bardzo chciał porozmawiać z Sarą, jednak strasznie obawiał się, że od razu powie coś niewłaściwego. Jadąc do pracy, wielokrotnie powtarzał sobie, co jej powie, nawet mówił do siebie na głos, chcąc przekonać się, jak brzmią jego słowa. Żadne nie wydawały się na miejscu. Wreszcie zakończył próby, ale przesiedział jeszcze w gabinecie dziesięć minut ze słuchawką w ręce, zanim zdobył się na odwagę i wykręcił numer Sary w klinice.

Powiedziawszy Nelly Morgan, że sprawa nie jest bardzo pilna, lecz mimo wszystko chciałby z Sarą porozmawiać, usłyszał cierpkie: „Właśnie ma pacjenta” i odgłos słuchawki odkładanej na widełki. Przyniosło mu to niewiarygodną ulgę, lecz z drugiej strony poczuł niesmak wobec samego siebie, wobec własnego tchórzostwa.

Wiedział, że powinien być dla niej silnym oparciem, sam czuł się jednak zbyt słaby. Za każdym razem, kiedy rozmyślał, co przydarzyło się Sarze, do oczu napływały mu łzy. Czuł się nawet urażony, że nie ufała mu na

tyle, by powiedzieć, co się jej przydarzyło w Atlancie. Inna część Jeffreya odczuwała złość, że przez tak wiele lat Sara go okłamywała. Szramę na boku tłumaczyła jakimś zabiegiem chirurgicznym. Był chyba ślepy, przecież szrama była poszarpana i pionowa, w żadnym stopniu nie przypominała rany powstałej po precyzyjnym cięciu skalpelem.

Nigdy nie pytał jej, dlaczego nie może mieć dzieci; temat był zbyt drażliwy. Czuł, że nie powinien jej naciskać pytaniami na ten temat. Zakładał, że spowodowały to jakieś uwarunkowania zdrowotne. Poza tym, sam wcale nie miał ochoty na dzieci. Był dociekliwym gliniarzem, detektywem, ale Sarę akceptował taką, jaka była, cenił ją za jej bezpośredniość i prawdomówność. Albo przynajmniej zdawało mu się, że taka jest.

– Szefie? – odezwała się Marla, zapukawszy do drzwi. – Jakiś facet telefonował z Atlanty i powiedział, że wszystko jest przygotowane. Nie zostawił nazwiska. Czy wie pan, o co chodzi?

– Tak – odparł Jeffrey. Popatrzył na papiery, które trzymał w ręce, sprawdzając, czy wciąż ma wydruk. Jeszcze raz spojrzął na wizerunek mężczyzny, mimo że dokładnie wrył mu się już w pamięć. Ruszył do drzwi i minął Marłę w wielkim pośpiechu. – Zaraz po tym jadę do Atlanty. Nie wiem, kiedy wrócę. Frank będzie mnie zastępował.

Nie dał jej czasu na reakcję. Otworzył drzwi do pokoju przesłuchań i wszedł do środka.

Buddy próbował odgrywać oburzonego.

– Jesteśmy tu od dziesięciu minut.

– I pozostaniecie jeszcze tylko dziesięć, jeśli twój klient postanowi współpracować – powiedział Jeffrey, siadając naprzeciwko Buddy'ego.

Jedyne, co Jeffrey wiedział teraz z całą pewnością, było to, że chce zabić Jacka Allena Wrighta. Poza boiskiem piłkarskim nigdy nie był gwałtownym facetem, jednak teraz tak bardzo chciał zamordować drania, który zgwałcił Sarę, że aż bolały go zaciśnięte zęby.

– Gotowi? – zapytał Buddy, bębniąc palcami w stół. Jeffrey wyjrzał przez małe okienko w drzwiach na korytarz.

– Musimy poczekać na Franka – powiedział, zastanawiając się, gdzie ten facet, do diabła, jest. Miał nadzieję, że akurat sprawdza, co się dzieje z Leną.



Po chwili drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Frank. Sprawiał wrażenie, jakby ostatniej nocy w ogóle nie spał. Koszula wychodziła mu spod paska, a na krawacie miał plamy po kawie. Jeffrey wymownie popatrzył na zegarek.

– Przepraszam – odezwał się Frank, siadając obok niego.

– W porządku – powiedział Jeffrey. – Musimy zadać kilka pytań Gordonowi. Jeśli zechce z nami współpracować, zapomnimy o grożącym mu oskarżeniu o handel narkotykami.

– Gówno! – zawołał Gordon. – Mówiłem wam, że to nie były moje spodnie.

Jeffrey wymienił spojrzenie z Buddym.

– Nie mam na to czasu – oznajmił. – Mogę go zaraz wysłać do Atlanty i będę miał z nim spokój.

– O jakie pytania chodzi? – zapytał Buddy.

Jeffrey wreszcie powiedział, o co mu chodzi. Buddy spodziewał się raczej kolejnego prostego oskarżenia dotyczącego narkotyków. Tymczasem Jeffrey spokojnym tonem powiedział:

– Pytania w związku ze śmiercią Sibyl Adams i gwałtem na Julii Matthews.

Buddy jakby oniemiał. Jego twarz pobladła, uwydatniając czerną zmęczonych, podkrążonych oczu.

– Wiesz coś na ten temat? – zapytał Gordona.

– Był ostatnią osobą, która widziała Julię Matthews w bibliotece – odparł Frank zamiast niego. – Był jej chłopakiem.

– Mówiłem wam, że to nie były moje spodnie! – zapiszczał Gordon. – Do cholery, wypuście mnie stąd?

Buddy zmierzył go ostrym wzrokiem.

– Albo powiesz im, co się wydarzyło, albo przez lata będziesz pisał z więzienia listy do mamusi.

Gordon skrzyżował ręce na piersiach, wyraźnie rozzłoszczony.

– Podobno jesteś moim adwokatem.

– A ty podobno jesteś człowiekiem – skontrolował Buddy i chwycił teczkę. – Te dziewczyny zostały okrutnie pobite i zginęły, synu. Dlatego masz opowiedzieć tym panom wszystko, co ci wiadomo na ten temat. Jeśli masz

z tym problem, musisz poszukać sobie innego prawnika.

Buddy wstał, ale Gordon powstrzymał go.

– Była w bibliotece, w porządku?

Buddy usiadł, ale teczkę położył sobie na kolana.

– W kampusie? – zapytał Frank.

– Tak, w kampusie – warknął Gordon. – Po prostu wpadłem na nią, w porządku?

– W porządku – odparł Jeffrey.

– Zacząłem więc z nią rozmawiać, sami rozumiecie. Widziałem, że chciała, żebym do niej wrócił.

Jeffrey pokiwał głową, chociaż wyobrażał sobie raczej, że Julię Matthews raczej zdenerwowało spotkanie z Gordonem w bibliotece.

– Porozmawialiśmy, trochę się polizaliśmy, jeśli rozumiecie, o czym mówię. – Dał Buddy'emu kuksańca, ten się jednak od razu od niego odsunął. – Zaplanowaliśmy następne spotkanie...

– I co dalej? – zapytał Jeffrey.

– W końcu Julia sobie poszła. Po prostu sobie poszła, dokładnie tak, jak mówię. Zebrała książki i inne szpargały, powiedziała: „Do zobaczenia” i już jej nie było.

– Czy zauważyłeś, żeby ktoś ją śledził? – zapytał Frank.

– Ktoś o podejrzanym aparycji?

– Nie – odpowiedział. – Była sama. Zauważyłbym, gdyby ktoś ją śledził, sami rozumiecie. Była moją dziewczyną. Uważałem na nią.

– Czy przychodzi ci do głowy ktoś, kogo mogła znać, niekoniecznie ktoś obcy, kogo się obawiała? Ktoś, z kim się spotykała po tym, jak zerwaliście? – Jeffrey rzucił kolejne pytanie.

Gordon posłał mu takie spojrzenie, jakim w tym momencie obdarzyłyby głupiego psa.

– Julia z nikim się nie spotykała. Była we mnie zakochana.

– Czy nie przypominasz sobie jakichś podejrzanych samochodów na terenie kampusu? Albo furgonetek? – zapytał Jeffrey.

Gordon potrząsnął przecząco głową.

– Niczego nie widziałem, rozumiecie?

– Powróćmy do waszego spotkania – odezwał się Frank. – Umówiliście

się na później?

– Miałem się z nią spotkać o dziesiątej za budynkiem wydziału rolniczego – odparł Gordon.

– I nie zjawiała się?

– Nie. Czekałem dosyć długo, sami rozumiecie. Wreszcie miałem tego dosyć i zacząłem jej szukać. Poszedłem do jej pokoju, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nie było jej tam.

Jeffrey odchrząknął.

– A Jenny Price była?

– Ta dziwka? – Gordon machnął ręką. – Nie było jej. Pewnie pieprzyła się z grupą koleżków z koła naukowego.

Jeffrey poczuł, że wszystko się w nim gotuje. Czuł awersję do facetów uważających kobiety za dziwki. Ich poglądom często towarzyszyła bowiem skłonność do przemocy wobec nich.

– A więc Jenny tam nie było – podsumował. – Co zrobiłeś później?

– Wróciłem do akademika. – Gordon wzruszył ramionami. – Poszedłem spać.

Jeffrey wyprostował się na krześle i złożył ramiona na piersiach.

– O czymś nam chyba jednak nie mówisz, Ryan – zauważył. – Z mojego punktu widzenia nie spełniasz warunków następnej części naszego porozumienia. Według mnie, ten pomarańczowy kubraczek, który masz na sobie, będziesz nosił na grzbiecie jeszcze przez dziesięć lat.

Gordon obrzucił Jeffreya spojrzeniem, które według niego miało wyrażać groźbę; tak przynajmniej odczuwał to Jeffrey.

– Wszystko wam powiedziałem.

– Nie – zaprzeczył Jeffrey. – Nie powiedziałeś wszystkiego. Ukrywasz przed nami coś bardzo ważnego i przysięgam na Boga, że nie wyjdziemy z tego pokoju, zanim nie powiesz mi wszystkiego, co w tej sprawie wiesz.

Gordon przewrócił oczami.

– Nic nie wiem.

Buddy pochylił się ku niemu i szepnął mu do ucha coś, co sprawiło, że jego oczy zrobiły się okrągłe jak dwa orzechy. Cokolwiek adwokat powiedział klientowi, podziałało.

– Szedłem za nią od biblioteki – odezwał się Gordon.

– Tak? No i co? – zachęcił go Jeffrey.

– Spotkała się z tym facetem, w porządku? – Gordon zaczął machać rękami. Jeffrey z trudem zdusił w sobie ochotę, by pochylić się nad stołem i trzasnąć chłopaka pięścią w twarz. – Próbowałem za nimi nadążyć, ale byli bardzo szybcy.

– Co to znaczy: „szybcy”? – zapytał Jeffrey. – Szli obok siebie?

– Nie. On ją niósł.

Jeffrey poczuł, jak treść żołądka rośnie w jego brzuchu.

– I nie pomyślałeś, że to jest podejrzanе, że jakiś facet niesie Julię na rękach?

Gordon wzruszył ramionami tak gwałtownie, że niemal sięgnęły do jego uszu.

– Byłem wściekły, rozumiesz? Byłem na nią wściekły!

– Wiedziałeś, że Julia za żadne skarby nie spotka się już z tobą – stwierdził Jeffrey. – Dlatego poszedłeś za nią, dlatego ją śledziłeś.

Lekkie wzruszenie ramionami mogło oznaczać ze strony Gordona zarówno potwierdzenie, jak i zaprzeczenie.

– I zobaczyłeś, jak ten facet ją niesie – kontynuował Jeffrey.

– Tak.

– Jak on wyglądał? – zapytał Frank.

– Chyba był wysoki – odparł Gordon. – Nie widziałem jego twarzy, jeśli o to panu chodzi.

– Biały? Czarny? – naciskał Jeffrey.

– Tak, chyba biały – odpowiedział Gordon. – Biały i wysoki. Miał na sobie coś ciemnego, właściwie to cały ubrany był na czarno. Nie widziałem ich obojga wyraźnie, jedynie białą koszulkę Julii. Ta biel odbijała światło, właściwie widziałem więc tylko dziewczynę, ale nie faceta.

– Szedłeś za nimi? – zapytał Frank.

Gordon potrząsnął przecząco głową.

– Wiesz, że Julia nie żyje, prawda? – odezwał się Frank groźnym głosem.

Gordon wbił spojrzenie w stół.

– Tak, wiem.

Jeffrey otworzył teczkę i pokazał Gordonowi wydruk. Czarnym marke-

rem zamazał nazwisko Wrighta, jednak resztę danych pozostawił odkrytą.

– Czy to ten facet?

Gordon szybko zerknął na fotografię.

– Nie.

– Popatrz na to cholerne zdjęcie! – wrzasnął Jeffrey. Było to tak niespodziewane, że siedzący obok niego Frank aż podskoczył.

Gordon posłusznie wykonał polecenie. Twarz przytrzymał tak blisko fotografii, że niemal dotknął jej nosem.

– Nie wiem, człowieku – powiedział. – Było ciemno. Nie widziałem jego twarzy. – Teraz uważnie taksował wzrokiem każdy szczegół podobny Wrighta. – Był wysoki, jak ten. Podobnie zbudowany. To mógł być on, tak przypuszczam. – Wzruszył ramionami. – Chryste, wcale nie zwracałem na niego uwagi. Interesowała mnie tylko dziewczyna.

Podróż samochodem do Atlanty była długa i nudna. Monotonie jazdy przerywały od czasu do czasu jedynie okazjonalne skupiska drzew. Dwukrotnie próbował dodzwonić się do domu do Sary i zostawić wiadomość, jednak jej automatyczna sekretarka nie włączała się, nawet po dwudziestu dzwonek. Odczuwał na zmianę ulgę i wielki wstyd. Im bliżej był miasta, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że postępuje dobrze. W końcu postanowił, że zadzwoni do Sary dopiero wtedy, kiedy się czegoś dowie. Może będzie mógł jej przekazać nawet taką informację, że Jack Allen Wright miał nieszczęśliwy wypadek, z udziałem jego pistoletu i klatki piersiowej Wrighta?

Mimo że przez cały czas jechał osiemdziesiąt mil na godzinę, minęły cztery godziny, zanim Jeffrey zjechał z trasy numer dwadzieścia na drogę prowadzącą do miasta. Minał na rozjeździe Grady Hospital i poczuł, jak łzy znów napływają mu do oczu. Budynek szpitala wznosił się jak monstrum ponad łukiem trasy międzystanowej, łukiem, który dziennikarze, zajmujący się ruchem drogowym, nazywali Krzywą Grady'ego.

Grady Hospital był jednym z największych szpitali na świecie. Sara powiedziała mu kiedyś, że każdego roku w izbie przyjęć pojawia się tutaj dwieście tysięcy pacjentów. Ostatni remont, który kosztował czterysta mi-

lionów dolarów, sprawił, że budynek szpitala przypominał ogromną dekorację do filmu z Batmanem. Jak to w Atlancie, kosztowny remont stał się przedmiotem głośnych dochodzeń, powodem oskarżeń i dymisji, sięgających samego wierzchołka władz miejskich.

Jeffrey wjechał w ulicę prowadzącą do centrum, a potem skierował samochód prosto do centrum administracyjnego. Jeden z jego przyjaciół z policji w Atlancie został kiedyś postrzelony na służbie. Teraz pracował jako strażnik w budynku sądu; wolał to niż przedwczesną emeryturę. Jeffrey zadzwonił do niego jeszcze z Grant i umówił się na pierwszą po południu. Do wyznaczonej godziny brakowało piętnastu minut, kiedy Jeffrey znalazł miejsce do parkowania w najbardziej zatłoczonej części miasta.

Gdy Jeffrey się zbliżał, Keith Ross stał już na schodach przed budynkiem sądu. W ręce trzymał dużą papierową teczkę z aktami oraz zwykłą białą kopertę pocztową.

– Chyba od stu lat cię nie widziałem! – zawołał Keith, i energicznie potrząsnął dłonią Jeffrey'a.

– Też się cieszę, że cię widzę, Keith – odparł Jeffrey, próbując zawrzeć w głosie trochę radości, mimo że wcale jej nie czuł. Po drodze do Atlanty jego przygnębienie jedynie wzrosło. Nawet krótki spacer z parkingu do budynku sądu go nie rozluźnił.

– Mogę ci to dać jedynie na krótko – powiedział Keith, bez wątpienia czując, że Jeffrey chce od razu przejść do rzeczy. – Dostałem to od kumpla, który pracuje w archiwum.

Jeffrey wziął teczkę, jednak jej nie otworzył. Wiedział, co w niej znajdzie: fotografie Sary, zeznania świadków i szczegółowe opisy tego, co wydarzyło się w szpitalnej łazience.

– Wejźmy do środka – zaproponował Keith, wskazując Jeffreyowi drzwi do budynku.

Jeffrey błysnął w drzwiach odznaką, omijając bramkę bezpieczeństwa. Keith zaprowadził go do małego biura obok wejścia. Połowę pomieszczenia zajmowało biurko, otoczone rzędami monitorów. Jakiś dzieciak w policyjnym mundurze i grubych okularach ze zdziwieniem oderwał wzrok od monitora, kiedy weszli do środka.

Keith wyciągnął z kieszeni dwudziestodolarowy banknot.

– Kup sobie trochę słodyczy – powiedział.

Dzieciak wziął pieniądze i bez słowa wyszedł.

– Oto przykład, jak młodzież traktuje pracę – skomentował Keith kwaśno. – Jacy oni będą, kiedy znajdą się w prawdziwej służbie?

– Tak – mruknął Jeffrey, chcąc uniknąć rozwlekłej dyskusji na temat policyjnych rekrutów.

– Zostawię cię z tym – powiedział Keith. – Dziesięć minut ci wystarczy?

– Tak – odparł Jeffrey. Począł, aż Keith zamknie za sobą drzwi.

Teczka była opatrzona z zewnątrz symbolami i zapiskami, które mógłby odczytać jedynie pracownik ratusza. Jeffrey przetarł dłonią tekturę, jakby chciał uzyskać potrzebne informacje, nie przypatrując się urzędowym notatkom. Kiedy to nie podziałało, głęboko westchnął i otworzył akta.

Na początku zobaczył fotografie Sary po gwałcie. Powitały go kolorowe powiększenia jej rąk i nóg, klutej rany z boku tułowia i poranionej pochwy. Widząc to, bezwiednie jęknął. Poczł ucisk w klatce piersiowej i ból, który przebiegł wzdłuż jego lewej ręki. Przez chwilę myślał, że zaraz dopadnie go atak serca, jednak kilka głębokich oddechów uspokoiło go i wyostrzyło umysł. Zdał sobie sprawę, że oczy ma zamknięte; otworzył je, jednak nie spojrzał już na fotografie Sary. Szybko przełożył kartkę, do której były przyklejone.

Poluźnił krawat, próbując odepchnąć od siebie okropne wizje. Szybko przejrzał pozostałe fotografie i zatrzymał się na tej, która prezentowała samochód Sary. Było to srebrne bmw 320 z czarnymi zderzakami i niebieskimi paskami po bokach. Na drzwiczkach, prawdopodobnie ostro zakończonym kluczem, ktoś wyrył słowo PIZDA, tak jak zeznała to Sara przed sądem. Fotografie przedstawiały drzwiczki z napisem zaklejonym srebrną taśmą, a później bez taśmy. Przez moment Jeffrey wyobrażał sobie Sarę kłęczącą przed samochodem, zaklejającą napis, zapewne wyobrażającą sobie, że po przyjeździe do Grant zostawi samochód wujowi Alowi do naprawy.

Popatrzył na zegarek; pięć minut już minęło. Odszukał Keitha na jednym z ekranów. Z rękami w kieszeniach stał w drzwiach wejściowych i dowcipkował z innymi strażnikami.

Przewróciwszy kilkanaście następnych kartek, znalazł informację o aresztowaniu Jacka Allena Wrighta. Wcześniej aresztowany był już

dwukrotnie, jednak wówczas o nic go nie oskarżono. W pierwszym przypadku zatrzymano go w związku z napadem na młodą kobietę, mniej więcej w wieku Sary. Kobieta wycofała oskarżenia i wyjechała z miasta. W kolejnej sprawie ofiarą, młoda kobieta, wkrótce odebrała sobie życie. Jeffrey przetaił oczy i pomyślał o Julii Matthews.

Rozległo się pukanie do drzwi. Keith wsunął głowę do środka i powiedział:

– Już czas, Jeffrey.

– Tak – mruknął Jeffrey i zamknął teczkę. Chciał się jej jak najszybciej pozbyć, już nigdy nie trzymać jej w rękach. Nie patrząc na Keitha, podał mu ją.

– Pomogło ci to?

Jeffrey skinął głową i poprawił krawat.

– Trochę – odparł. – Zdołałeś dowiedzieć się, gdzie jest teraz ten facet?

– Na tej samej ulicy – odpowiedział Keith. – Pracuje w banku.

– Co takiego? Dziesięć minut drogi od uniwersytetu? I kolejnych pięć od Grady Hospital?

– Dokładnie tak.

– Co robi?

– Jest portierem, tak jak w szpitalu. – Keith najwyraźniej dokładnie przejrzał akta, zanim przekazał je Jeffreyowi. – Wszystkie te dziewczyny z college'u i on ledwie o dziesięć minut spaceru od nich.

– Czy policja z kampusu wie o nim?

– Tak – odparł Keith, posyłając Jeffreyowi znaczące spojrzenie. – Ale on już nie stanowi zagrożenia.

– Co masz na myśli?

– To część postanowienia o warunkowym zwolnieniu – powiedział Keith, wskazując na akta. – Nie dotarłeś do tego? Zażywa depo.

Jeffrey poczuł, jak niepokój oblewa go niczym ciepła woda. Zapisywanie depoprovery stanowiło najnowszy trend w leczeniu przestępców seksualnych. Normalnie zażywały ją kobiety w ramach terapii hormonalnej. Odpowiednio duża dawka skutecznie hamowała apetyty seksualne mężczyzn. Przyjmujących ją przestępców można było traktować jako chemicznych kastratów. Jeffrey doskonale wiedział, że środek działał tylko wtedy,



gdy był regularnie zażywany. Był bardziej środkiem uspokajającym niż lekarstwem.

Jeffrey wskazał na teczkę. Nie potrafił wymówić w tym pokoju imienia Sary.

– Czy po tym zdarzeniu zgwałcił jeszcze kogoś?

– Przedtem zgwałcił dwie dziewczyny – odparł Keith. – Ta dziewczyna nazywała się Linton, prawda? Zadał jej cios nożem. Dostał sześć lat za usiłowanie morderstwa. Wyszedł szybko za dobre sprawowanie, zapisano mu depo, odrzucił depo i zgwałcił trzy kobiety. W jednym przypadku przyskrzyniono go, inne dziewczyny nie chciały zeznawać. Dostał trzy lata, teraz jest na zwolnieniu warunkowym i pod surową kontrolą przyjmuje depo.

– Zgwałcił sześć kobiet i odsiedział tylko dziesięć lat?

– Przyskrzynili go na dwóch, a oprócz tej – ruchem głowy wskazał na akta Sary – dowody były bardzo słabe. Miał na sobie maskę. Wiesz zresztą, jak to jest z dziewczynami na podium dla świadków. Robią się nerwowe i zanim się spostrzeżesz, adwokat gwałciciela sprawia, że wątpią, czy w ogóle zostały zgwałcone, nie wspominając już o poprawnym rozpoznaniu napastnika.

Jeffrey powstrzymał się od komentarza, jednak Keith zdawał się czytać w jego myślach.

– Hej! – zawołał. – Gdybym to ja pracował nad tymi sprawami, drań poszedłby jak nic na krzesło elektryczne. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak – odparł Jeffrey, w duchu dodając, że te przechwałki do niczego ich nie doprowadzą. – Czy facet jest gotowy zaatakować po raz trzeci? – zapytał. Georgia, jak wiele innych stanów, przed kilku laty przyjęła prawo „trzeciego przestępstwa”. Oznaczało to, że trzecie przestępstwo kryminalne tej samej osoby, niezależnie od tego, jak błahe, skutkowało natychmiastowym jej uwięzieniem, zazwyczaj już do końca życia.

– Wygląda, że tak – powiedział Keith.

– Kto jest jego kuratorem?

– Już z nią rozmawiałem. Wright ma nałożoną bransoletę. Kurator twierdzi, że jeśli chodzi o ostatnie dwa lata, jest czysty. Mówi też, że raczej da sobie odciąć głowę, niż wróci do więzienia.

Jeffrey pokiwał głową. Jacka Wrighta zmuszono, jako jeden z warunków przedterminowego zwolnienia, do noszenia bransolety monitorującej jego ruchy. Gdyby opuścił obszar, na którym wolno mu było się poruszać, lub gdyby nie zgłosił się na czas do punktu kontrolnego, w stacji monitorującej natychmiast rozległby się alarm. W Atlancie większość kuratorów miało stanowiska w komisariatach rozrzuconych po mieście, dlatego schwytanie kogoś, kto naruszał warunki zwolnienia, było niemal zawsze kwestią czasu. Był to dobry system i mimo tego, że Atlanta była wielkim miastem, niewielu warunkowo zwolnionych zdołało wymknąć się.

– Byłem także w banku – powiedział Keith. Jakby przepraszająco wzniesł ramionami, zdając sobie sprawę, że przekroczył pewną granicę. W końcu to była sprawa Jeffreya. A jednak Keith po prostu dusił się w swojej pracy, polegającej na bezustannym kontrolowaniu toreb i torebek w poszukiwaniu broni, którą ktoś mógłby przemycać do gmachu sądu.

– Wszystko w porządku, Keith – uspokoił go Jeffrey. – Czego się dowiedziałeś?

– Facet dobrze i sumiennie pracuje. Przybija kartę codziennie o siódmej rano, w południe wychodzi na lunch, wraca po półgodzinie i wychodzi z pracy dokładnie o piątej.

– Może ktoś odbija kartę za niego?

Keith wzruszył ramionami.

– Jego szefowa nie twierdzi, że widziała, jak Wright odbija kartę, jednak gdyby nie pojawiał się w pracy, z pewnością inni portierzy od razu by ją zawiadomili.

Jeffrey wskazał na białą kopertę, którą trzymał Keith.

– Co to jest?

– Karta rejestracyjna – odparł Keith, wręczając mu kopertę. – Facet jeździ niebieskim chevy nova.

Jeffrey kciukiem rozerwał kopertę. W środku znajdowała się kserokopia karty rejestracyjnej samochodu Jacka Allena Wrighta. Pod jego nazwiskiem znajdował się adres zamieszkania.

– Aktualny? – zapytał Jeffrey.

– Tak – odparł Keith. – Tyle że, sam rozumiesz, nie dostałeś tego ode mnie.

Jeffrey doskonale go rozumiał. Szefowa policji w Atlancie trzymała swój wydział bardzo krótko. Jeffrey znał jej reputację i podziwiał jej pracę, lecz wiedział także, że jeśli tylko dojdzie ona do wniosku, iż jakiś policjanek z hrabstwa Grant chyłkiem prowadzi swoje sprawy na jej terenie, jego sytuacja będzie nie do pozazdroszczenia.

– Zdobądź, czego potrzebujesz, od Wrighta – rzekł Keith – a potem zadzwoń na miejską centralę policji. – Wręczył Jeffreyowi wizytówkę z numerem. Jeffrey odwrócił ją i zobaczył odręcznie zapisany kolejny numer i nazwisko. – To jest jego kurator. Kumata babka, jednak będziesz musiał ułożyć jakąś mocną historyjkę, żeby wyjaśnić jej, dlaczego zainteresowałeś się Wrightem.

– Znasz ją?

– Słyszałem o niej. Ma kobieta jaja, więc uważaj na nią. Zadzwonisz, żeby porwać jej swojego chłopaka, a tymczasem, jeśli ona dojdzie do wniosku, że patrzysz na nią nie tak, jak trzeba, możesz go już nigdy w życiu nie zobaczyć.

– Postaram się być gentlemanem – obiecał Jeffrey.

– Ashton znajduje się zaraz przy międzystanowej – odezwał się Keith. – Powiem ci, jak tam dojechać.

Głos Nicka Sheltona niemal dudnił w słuchawce.

– Cześć, panienko.

– Cześć, Nick – odpowiedziała Sara, zamykając szufladę biurka.

Była dziś w klinice już o ósmej i przyjmowała pacjentów do czwartej po południu. Odnosiła wrażenie, jakby przez cały dzień biegała po wydmie. Wciąż lekko bolała ją głowa i odczuwała mdłości z powodu nadmiaru alkoholu wypitego poprzedniej nocy. Poza tym rozstrajała ją niepewność co do tego, jaką reakcję wywołała u Jeffreya, ujawniając przed nim tak skrzętnie skrywaną dotąd tajemnicę. W miarę jak mijały godziny, czuła się coraz bardziej wykończona. W porze lunchu Molly zauważyła, że Sara wygląda dzisiaj bardziej na pacjenta niż na lekarza.

– Pokazałem Markowi te nasiona – mówił Nick. – Mówi, że to bez wątpienia belladonna, ale to są jednak jagody, a nie nasiona.

– Dobrze to wiedzieć – westchnęła Sara. – Czy Mark jest pewien?

– W stu procentach – zapewnił ją Nick. – Powiedział, że to trochę zabawne, że ktoś je te jagody. Pamiętaj, są najmniej trujące. Może twój facet podaje dziewczynom jagody, żeby je trochę oszołomić, a ostateczną dawkę stosuje wtedy, kiedy ma już ich dość?

– To ma sens – uznała Sara, nie chcąc nawet o tym dłużej myśleć.

Nie chciała być już dzisiaj lekarzem ani chwili dłużej. Nie chciała być koronerem. Pragnęła teraz jedynie leżeć w łóżku z filiżanką gorącej herbaty i gapić się bezmyślnie w telewizor. W gruncie rzeczy pragnęła się tak zachować natychmiast po uaktualnieniu ostatnich dzisiejszych kart: pobiec do domu i wskoczyć do łóżka. Na szczęście, jutro miała wolny dzień, Nelly nikogo nie zapisała na sobotę. Wykorzysta weekend na odreagowanie po wydarzeniach całego tygodnia. W poniedziałek znów całkowicie będzie sobą.

– Wiadomo coś na temat nasienia? – zapytała.

– Mamy pewne problemy. Zważ, gdzie je znalazłaś. Myślę jednak, że

mimo wszystko do czegoś dojdziemy.

– To dobra wiadomość.

– Sama powiesz Jeffreyowi o jagodach czy mam do niego zadzwonić?

Na dźwięk tego imienia żołądek podszedł Sarze do gardła.

– Sara? – odezwał się Nick, zaskoczony nagłą ciszą.

– Jestem, jestem. Porozmawiam z nim, jak tylko skończę pracę.

Pożegnawszy się, Sara odłożyła słuchawkę, potem długo siedziała za biurkiem, masując sobie kark. Przejrzała wreszcie kolejną kartę pacjenta i niemal odruchowo odnotowała zmiany w zapisanych lekarstwach oraz termin następnej wizyty, z wynikami badań laboratoryjnych. Kiedy skończyła pisanie, było już wpół do szóstej.

Kilka teczek włożyła do aktówki, doskonale wiedząc, że podczas weekendu ogarnie ją poczucie winy z powodu beczynności i będzie musiała zabrać się do jakiejś pracy.

Przechodząc przez jezdnię, zapięła żakiet. Nie chcąc wpaść na Jeba, specjalnie szła chodnikiem po tej stronie ulicy, po której nie było apteki. Mijając sklep z artykułami żelaznymi i z odzieżą, wzrok miała wbity w ziemię. Nie chciała z nikim rozmawiać. Zatrzymała się jednak, niemal nie myśląc nad tym, co robi, przed komisariatem. Jej umysł pracował niezależnie od woli. Z każdą chwilą była coraz bardziej wściekła na Jeffreya za to, że do niej nie telefonuje. Wczoraj pozostawiła mu na łazienkowym zlewie swoją największą tajemnicę, a on nie miał dość przyzwoitości, by chociaż do niej zatelefonować.

Weszła do środka i posłała wymuszony uśmiech Marli.

– Jest Jeffrey? – zapytała.

Marla zmarszczyła czoło.

– Nie sędzę – powiedziała. – Wyjechał chyba w południe albo jeszcze wcześniej. Zapytaj Franka.

– Jest u siebie? – Sara teczką wskazała na drzwi.

– Myślę, że tak – odparła Marla i z powrotem wbiła wzrok w leżące przed nią papiery.

Mijając ją, Sara zerknęła, czym jest zajęta. Marla rozwiązywała krzyżówkę.

Pokój, do którego weszła, był pusty. Stało tu dziesięć biurek, za którymi

zazwyczaj siedzieli najwyżsi rangą detektywi. Teraz byli zapewne w terenie, rozpracowując listę Jeffrey'a. Na wszelki wypadek weszła do jego gabinetu. Oczywiście był pusty.

Przystanęła w małym pokoiku, oparłszy aktówkę na biurku. W przeszłości bywała tutaj tak często, że aż trudno było te wizyty policzyć. Zawsze czuła się tutaj bezpiecznie. Nawet po rozwodzie nie opuściło jej przekonanie, że w komisariacie Jeffrey był człowiekiem godnym zaufania. Jako policjant postępował tak, jak powinien. Jako policjant czynił wszystko, by jak najlepiej chronić ludzi, którym służył.

Kiedy Sara przeprowadziła się z powrotem do Grant, przed dwunastoma laty, żadne zapewnienia ojca i całej rodziny nie przekonywały jej, że jest bezpieczna. Wiedziała, że wieść, iż kupiła rewolwer, rozejdzie się po okolicy zaraz po tym, jak wyjdzie ze sklepu z bronią. Co więcej, zdawała sobie sprawę, że chcąc go zarejestrować, będzie musiała pójść na komisariat. Ben Walker, szef policji przed Jeffreyem, w każdy piątkowy wieczór grywał w pokera z Eddiem Lintonem. Nie było sposobu, żeby kupić broń i ukryć ten fakt przed ludźmi, z którymi codziennie się spotykała.

Mniej więcej w tym samym czasie do szpitala w Augustie przywieziono chłopaka, młodocianego gangstera, z ręką niemal oderwaną od tułowia w wyniku postrzału. Sara leczyła go i uratowała rękę. Dzieciak miał zaledwie czternaście lat; kiedy w szpitalu zjawiała się jego matka, natychmiast zaczęła go okładać torebką po głowie. Sara wyszła z pokoju, jednak nie minęło kilka chwil, a matka odszukała ją. Wręczyła jej rewolwer należący do chłopaka i poprosiła, żeby zajęła się bronią. Gdyby Sara była praktykującą chrześcijanką, uznałaby całe zdarzenie za cud.

Rewolwer, jak doskonale wiedziała, znajdował się teraz w szufladzie biurka Jeffrey'a. Zanim otworzyła szufladę, popatrzyła za siebie. Następnie szybko wrzuciła rewolwer do aktówki. Po kilku minutach była już na ulicy.

Idąc w kierunku college'u, rozglądała się na boki. Jej motorówka cumowała na przystani. Szybko wrzuciła aktówkę na pokład, jednocześnie odwiązując linę cumowniczą. Rodzice podarowali jej tę motorówkę jako prezent powitalny, kiedy powróciła w rodzinne strony. Była stara, lecz mocna i stateczna. Miała potężny silnik. Sara wielokrotnie jeździła za nią na nartach wodnych, z ojcem za kierownicą.

Upewniwszy się, że nikt jej nie obserwuje, Sara wyciągnęła rewolwer z aktówki i umieściła go w zamykanej na klucz, wodoszczelnej skrytce przed fotelem pasażera. Następnie nogą odepchnęła motorówkę od przystani. Silnik zaskoczył natychmiast, kiedy przekręciła kluczyk w stacyjce. Ponieważ nie używała motorówki przez całą zimę, powinna była go sprawdzić przed wypłynięciem, jednak nie miała na to czasu. Poza tym nie miała wyboru, musiała użyć motorówki, gdyż jej samochód miał być gotów do odbioru dopiero w poniedziałek. Gdyby poprosiła ojca o podwiezienie do domu, sprowokowałyby rozmowę, której chciała uniknąć. Z tego samego powodu jako kierowca nie wchodził w grę również Jeffrey.

Wypuściwszy kilka kłębow gęstego, niebieskiego dymu, silnik zaczął regularnie pracować i z lekkim uśmiechem na ustach Sara wypłynęła z przystani. Kradnąc rewolwer, czuła się jak przestępca, ale prawdą było też to, że teraz czuła się bezpieczniejsza.

W krótkim czasie dotarła na środek jeziora. Zimny wiatr smagał jej twarz, założyła więc okulary, by chronić oczy. Mimo że świeciło jaskrawe słońce, woda była zimna z powodu deszczy, które niedawno padały nad całym hrabstwem. Na wieczór znów zapowiadano burzę, ale prawdopodobnie dopiero po zachodzie słońca.

Mocniej otuliła się żakietem, walcząc z chłodem. Mimo to, kiedy ujrzała swój dom, śluz ciekł jej z nosa, a policzki miała tak zimne, jakby przez kilkanaście minut trzymała głowę w wiadrze z lodem. Ostro skręciła w lewo, omijając grupę podwodnych skał. Kiedyś był w tym miejscu znak ostrzegawczy, ale zardzewiał i w końcu osunął się na dno. Po ostatnich deszczach poziom wody był wysoki, jednak Sara wolała nie ryzykować nawet mało prawdopodobnego spotkania ze skałami.

Przycumowała na swojej przystani. Kiedy, korzystając z elektrycznej wciągarki, wydobywała motorówkę na brzeg, zza załomu budynku wyszła jej matka.

– Cholera – mruknęła Sara. Nacisnęła czerwony przycisk, zatrzymując wciągarkę.

– Telefonowałam do kliniki – powiedziała Cathy. – Nelly powiedziała mi, że jutro masz wolne.

– Zgadza się – odparła Sara.

– Twoja siostra powiedziała mi o waszej wczorajszej kłótni.

Sara zabezpieczyła motorówkę łańcuchami.

– Jeśli przyszedł tutaj, żeby mi grozić, szkoda twojej fatygi.

– To znaczy?

Podeszła do matki.

– To znaczy, że on już wie – oświadczyła i oparła ręce na biodrach. Poczekała na reakcję matki.

– Jak zareagował?

– Nie mogę o tym mówić – odparła Sara i ruszyła w kierunku domu. Matka szła po trawniku kilka kroków za nią i, ku jej uldze, milczała.

Otworzyła kluczem tylne drzwi i gestem zaprosiła matkę do kuchni. Zbyt późno przypomniała sobie, że w domu panuje totalny bałagan.

– Znalazłabyś trochę czasu, żeby tu posprzątać – skomentowała Cathy.

– Byłam ostatnio bardzo zajęta.

– Co to za wymówka? Po prostu musisz sobie powiedzieć: „Raz w tygodniu będę robiła duże pranie. Zawsze będę odkładała przedmioty na ich właściwe miejsce”. Bardzo szybko staniesz się zorganizowaną osobą.

Sara zignorowała pouczenia, które знаła już na pamięć. Przeszła do salonu i sprawdziła automatyczną sekretarkę. Nie było żadnych wiadomości; tego dnia jeszcze nikt do niej nie telefonował.

– Nie było prądu – zauważyła Cathy, popatrzawszy na elektryczny zegar. – Te burze zrywają kable, jak chcą. Twój ojciec dostał wczoraj niemal ataku serca, kiedy wieczorem włączył telewizor na „Jeopardy!”, a tu nagle wysiadło światło.

Sara poczuła pewną ulgę. Może Jeffrey jednak dzwonił, ale nie nagrał się, bo z braku prądu sekretarka się nie włączyła? Podeszła do zlewu i nalała wodę do czajnika.

– Chcesz herbaty? – zapytała.

Cathy potrząsnęła przecząco głową.

– Ja też nie – mruknęła Sara i odstawiła czajnik. Ruszyła do sypialni, po drodze ściągając spódnicę i koszulę.

Cathy szła za nią, spoglądając na córkę doświadczonego matczynym okiem.

– Znowu kłócisz się z Jeffreyem? – zapytała.



Sara nałożyła na siebie bawełnianą koszulkę.

– Klóczę się z Jeffreyem bezustannie, mamó. Nic innego z nim nie robię.

– Chyba że przed jego oczami kręcisz pupą na kościelnej ławce.

Sara przygryzła wargę. Poczowała, że się rumieni.

– Co się stało tym razem? – zapytała Cathy.

– Boże, mamó, naprawdę nie chcę o tym rozmawiać.

– Opowiedz mi więc o twoich sprawach z Jebem McGuire'em.

– Nie ma żadnych „spraw” pomiędzy mną a Jebem, jasne? – Sara wciągnęła spodnie od dresu.

Cathy przysiadła na łóżku, wyrównawszy najpierw dłonią pościel.

– To dobrze – stwierdziła. – On nie jest w twoim typie.

Sara roześmiała się.

– To kto jest w moim typie?

– Ktoś, kto potrafiłby stanąć w twojej obronie.

– A może ja lubię Jeba? – odezwała się Sara, świadoma rozdrażnienia w swoim głosie. – Może lubię to, że jest przewidywalny, miły i spokojny. Czy wiesz, jak długo czekał, aż się z nim umówię? Powinam chyba zacząć się z nim spotykać.

– Pomiedzy tobą a Jeffreyem nie jest aż tak źle, jak ci się wydaje.

– Naprawdę?

– Zranił cię i to powoduje twoją złość. W końcu tak rzadko otwierasz się wobec innych ludzi... – mówiła Cathy. Sara zauważyła, że głos matki jest spokojny, lecz mocny, jakby nawoływała groźne zwierzę do wyjścia z nory. – Pamiętam cię jeszcze, jak byłaś mała. Tak ostrożnie dobierałaś przyjaciół.

Sara odszukała skarpetki.

– Miałam mnóstwo przyjaciół – powiedziała.

– Tak, byłaś bardzo lubiana, jednak bardzo niewielu osobom pozwoliłaś, żeby cię lepiej poznały. – Cathy pogłaskała córkę po głowie. – A po tym, co się wydarzyło w Atlancie...

Sara zakryła dłonią oczy. Rozbłysły w nich łzy.

– Mamó – wyszeptowała – nie chcę o tym teraz rozmawiać, dobrze? Proszę cię, nie teraz.

– Dobrze – przytaknęła Cathy i otoczyła córkę ramieniem. Przyciągnęła

jej głowę do swoich piersi. – Już dobrze, cichutko. – Delikatnie gładziła jej włosy. – Wszystko jest w porządku.

– Chciałam... – Sara potrząsnęła głową. Nie zdołała mówić dalej. Prawie już zapomniała, jak to dobrze być z matką. W ciągu ostatnich kilku dni tak bardzo skoncentrowała się na odpychaniu od siebie Jeffreya, że zdołała nabrać dystansu wobec całej rodziny.

Cathy pocałowała ją w głowę i odezwała się:

– Kiedyś wydarzyło się coś, co mocno oddaliło twojego ojca i mnie od siebie.

Sara była tak zaskoczona, że przestała płakać.

– Tata cię zdradził?

– Oczywiście, że nie. – Cathy zmarszczyła czoło. Minęło kilka sekund, zanim dodała: – To było w drugą stronę.

– Zdradziłaś tatę?

– Nigdy tego nie skonsumowaliśmy, myślę jednak, że w głębi mojego serca nastąpiła zdrada.

– Co to znaczy? – Sara potrząsnęła głową, przypominając sobie, jak wszelkie problemy zbywał Jeffrey: „To nic takiego”.

Wierzchem dłoni wytarła łzy i przyszło jej do głowy, że wcale nie chce usłyszeć tego, co mogłaby jej teraz powiedzieć matka. Małżeństwo jej rodziców było piedestałem, który służył za wzór dla wszystkich jej ideałów dotyczących miłości i wierności.

Cathy jednak najwyraźniej chciała jej opowiedzieć całą historię.

– Powiedziałam twojemu ojcu, że chcę go opuścić dla innego mężczyzny.

Sara otworzyła szeroko usta, całkowicie zaskoczona! Pomyślała, że wygląda głupio, ale w tej chwili nie miało to raczej znaczenia.

– Kto to był? – wydusiła z siebie po chwili.

– Po prostu mężczyzna. Stateczny, spokojny, pracował w jednej z fabryk. Bardzo poważny. Zupełnie niepodobny do twojego ojca.

– I co się stało?

– Powiedziałam twojemu ojcu, że chcę go zostawić.

– I co?

– Oboje później płakaliśmy. Przez sześć miesięcy byliśmy w separacji.

W końcu postanowiliśmy, że jednak pozostaniemy razem.

– Kto to był, tamten mężczyzna?

– To teraz nie ma znaczenia.

– Czy ciągle tu mieszka?

Cathy potrząsnęła głową.

– To nie ma znaczenia. Nie ma go już w moim życiu, jestem z twoim ojcem.

Sara przez chwilę milczała, koncentrując się nad uspokojeniem oddechu. Wreszcie zdołała wykrztusić następane pytanie:

– Kiedy to się stało?

– Zanim urodziłyście się ty i Tessie.

Sara z trudem przełknęła ślinę.

– Co się stało?

– Nie rozumiem.

Sara włożyła skarpetkę. Wydobywanie z matki reszty historii przypominało trochę wyrywanie zębów u dentysty.

– Co się stało, że zmieniłaś zdanie? Dlaczego jednak zostałaś z tatą?

– Och, zaważyły miliony spraw – odparła Cathy. Na jej ustach pojawił się słaby uśmiech. – Myślę, że oszalawszy na punkcie tamtego mężczyzny, zapomniałam na jakiś czas, jak ważny był dla mnie twój ojciec. – Westchnęła ciężko. – Pamiętam, jak pewnego dnia obudziłam się w moim starym pokoju u mamy i potrafiłam myśleć tylko o jednym: Eddie powinien być ze mną. Bardzo go wtedy zapragnęłam. – Ujrzawszy reakcję Sary na te słowa, dorzuciła: – To nie to, o czym myślisz, można pragnąć mężczyzny na różne sposoby.

Zmieszana, Sara pochyliła się, żeby ubrać drugą skarpetkę.

– Zatelefonowałaś do niego? – zapytała.

– Poszłam do domu, usiadłam na werandzie i praktycznie błagałam go, żeby mnie przyjął z powrotem. Nie, naprawdę go błagałam. Powiedziałam mu, że jeśli mamy być nieszczęśliwi bez siebie, możemy równie dobrze być nieszczęśliwi, żyjąc razem. Mówiłam, że do końca życia nigdy już go nie zawiodę.

– Że go nie zawiedziesz?

Cathy położyła dłoń na ramieniu Sary.

– Tak, chociaż bardzo bolała mnie świadomość, że pewnie nie będzie mu zależało na mnie już tak jak kiedyś.

Sara skinęła głową. W ciszy, jaka zapadła, co chwilę przypominała sobie, że przecież musi oddychać.

– Co tato zrobił, kiedy mu to powiedziałaś?

– Powiedział do mnie, żebym wstała i weszła na śniadanie. – Cathy kilkakrotnie uderzyła się dłonią w piersi. – Nie wiem, ile go kosztowało wybaczenie mi, jest przecież takim dumnym człowiekiem, lecz do dziś jestem mu wdzięczna, że się na to zdobył. Przez to wszystko teraz jeszcze bardziej go kocham. Zraniłam go najokrutniej, jak można, a mimo to on także mnie kocha. Myślę, że te wydarzenia wzmocniły nasze małżeństwo. – Uśmiechnęła się szeroko. – Oczywiście, potem miałam już tajną broń.

– Jaką broń?

– Ciebie.

– Mnie?

Cathy pogłaskała Sarę po policzku.

– Byłam ponownie z twoim ojcem, jednak nie mogliśmy do siebie znów przywyknąć. Ale zaszłam w ciążę, to byłaś ty, i życie znów zaczęło się nam układać. Kiedy się urodziłaś, wszystko było już w porządku. Potem pojawiła się Tessie, potem chodziliście do szkoły, a potem wydorośliście, rozpoczęliście naukę w college’u i tak dalej. – Uśmiechnęła się. – To była kwestia czasu. Miłości i czasu.

– Cóż, ja nie zajdę w ciążę – powiedziała Sara, świadoma żalu w swoim głosie.

Cathy zdawała się mieć na to gotową odpowiedź.

– Czasami dopiero kiedy coś stracisz, docenisz wartość tego czegoś. Nie mów o niczym Tessie.

Sara pokiwała głową. Wstała i wsunęła koszulkę w spodnie.

– Powiedziałam mu o wszystkim, mamó – odezwała się. – Zostawiłam mu stenogram.

– Stenogram z sądu?

– Tak – odparła Sara, oparłszy się o komodę. – Wiem, że to przeczytał. Zostawiłam mu go w łazience.

– I co?

– I nawet do mnie nie zadzwonił. Przez cały dzień nawet nie próbował się ze mną skontaktować.

– Hmm – mruknęła Cathy, po czym nagle jakby podjęła decyzję. – Pieprz go więc. To śmieć.

Stosunkowo łatwo Jeffrey znalazł budynek numer 633 przy Ashton Street. Dom był w opłakanym stanie, zbudowany z ponurej, szarej cegły. Trudno było w nim znaleźć dwa okna o takich samych wymiarach. Na frontowej werandzie ustawiony był ceramiczny kominek, z boku leżała sterta gazet, zapewne używanych do podpałki.

Uważnie obejrzał budynek, starając się nie wzbudzać swoją osobą niczyjzego zainteresowania. W marynarce i krawacie, przyjechawszy białym lincolnem town car, raczej nie pasował do otoczenia. Ashton Street, a przynajmniej ta jej część, na której mieszkał Jack Wright, była zapuszczona i zniszczona. Większość budynków w sąsiedztwie była zabezpieczona deskami, a żółte plakaty ostrzegały, że obiekty grożą zawaleniem. Na brudnych podwórkach bawiły się dzieci, jednak ich rodziców nigdzie nie było widać. Panował uciążliwy smród, spowodowany niekoniecznie przez nieczystości w śmietnikach, ale przez coś podobnego. Jeffreyowi przypomniało się miejskie wysypisko na przedmieściach Madison. W wietrzne dni wstrętny zapach roznosił się naprawdę daleko.

Zbliżając się do wejścia, kilkakrotnie głęboko odetchnął, starając się trochę przywyknąć do smrodu. Na drzwiach prowadzących do budynku znajdował się judasz. Drzwi prowadzące do mieszkania zabezpieczone były trzema zasuwami i zamkiem, do którego trudno było sobie wyobrazić właściwy klucz. Jack Wright dużą część życia spędził w więzieniu. Bez wątplenia był człowiekiem, który wolał trzymać innych na dystans. Jeffrey rozejrzał się jeszcze po korytarzu, po czym ruszył pod jedno z okien. Także ono miało zabezpieczenia, jednak framuga była stara, wypaczona i łatwa do wyłamania. Wystarczyło kilka mocniejszych uderzeń, by całe okno wpadło do wnętrza mieszkania. Jeffrey rozejrzał się, po czym wskoczył do środka.

Salonik był ciemny i obskurny, wszędzie wałały się stare gazety. Na poplamionej podłodze stała równie poplamiona pomarańczowa kanapa. Trudno było zgadnąć, skąd pochodziły plamy, być może były to ludzkie

wydzieliny. Jedno było natomiast pewne: w pokoju unosił się zapach ludzkiego potu i lizolu.

Na ścianach saloniku, w nierównym rzędzie pod sufitem, wisiały wszelakiego rodzaju krucyfiksy. Różniły się rozmiarami; były wśród nich takie, które zmieściłyby się w automatach sprzedających cukierki, i takie, których długość dochodziła do dziesięciu cali. Jeden obok drugiego, zawieszane były na gwoździach w szeregu. Temat Jezusa kontynuowały plakaty na ścianach, przedstawiające go głównie w towarzystwie uczniów, i sprawiające wrażenie, jakby wycięto je z niedzielnych gazetek. Na jednym z plakatów Jezus trzymał baranka. Na kolejnym wyciągał przed siebie ręce, pokazując rany na dłoniach.

Na ten widok serce Jeffreya zabiło mocniej. Ruszywszy do przedniej części mieszkania, wyciągnął z olstra rewolwer.

Talerze w kuchni zalegały stertą zlewozmywak, poobijane, brudne i śmierdzące. Buty lepiły się do podłogi, a całe pomieszczenie sprawiało wrażenie wilgotnego, ale nie od wody. Sypialnia utrzymana była podobnie. Piżmowy odór niczym mokra ścierka natychmiast przywarł do twarzy Jeffreya. Na ścianie, nad poplamionym materacem, wisiał wielki plakat Jezusa Chrystusa z aureolą nad głową. Tak jak na plakacie w saloniku, również na tym Jezus wyciągał przed siebie ręce, pokazując rany na dłoniach. Motyw ukrzyżowania królowała także w sypialni, jednak tutaj krucyfiksy były większe. Stanąwszy na łóżku, Jeffrey stwierdził, że ktoś, prawdopodobnie Wright, używał czerwonej farby, żeby powiększyć rany Chrystusa. W większości przypadków ochlapany był tułów, czerwona była nawet głowa pod cierniową koroną. Oczy ukrzyżowanego Jezusa na każdym krzyżu przekreślone były czarnym krzyżem na kształt „x”, tak jakby Wright nie chciał, żeby Zbawiciel mógł go obserwować. Jeffrey musiał znaleźć odpowiedź, co właściwie Wright chciał przed Nim ukryć.

Zszedł z łóżka. Przejrzał kilka kolorowych magazynów, jednak zanim cokolwiek dotknął, nałożył lateksowe rękawice, które przezornie trzymał w kieszeni. Natrafił głównie na stare egzemplarze „People” i „Life”. Z kolei szafa w sypialni od podłogi po sufit wypełniona była pornografią. „Busty Babes” zalegały obok „Righteous Redheads”. Jeffrey pomyślał o Sarze i znów żołądek powędrował mu pod gardło.

Kopniakiem zrzucił materac z łóżka. Na sprężynach leżał sig sauer kaliber .9. Pistolet wyglądał na nowy i dobrze utrzymany. W sąsiedztwie takim jak to, tylko idiota kładłby się spać bez broni pod ręką. Jeffrey uśmiechnął się i upchnął materac na miejsce. Wiedza o miejscu ukrycia pistoletu mogła mu się przydać później.

Otwierając z kolei jakąś szufladę, Jeffrey nie wiedział, co znajdzie. Może jeszcze więcej pornografii? Albo kolejny pistolet i jakąś inną broń? Tymczasem dwie górne szuflady komody pełne były damskiej bielizny. I to nie zwyczajnej bielizny, jedwabnej, seksownej, takiej, w jakiej lubił oglądać Sarę. W szufladach znajdowały się same skóry i paski, także majtki z zamkami błyskawicznymi. Wszystkie miały wielkie rozmiary, były na tyle duże, że mógłby je nosić mężczyzna.

Jeffrey z trudem opanował się, żeby nie zwymiotować. Odgarniał przedmioty długopisem, żeby pobieżnie przejrzeć zawartość szuflad, nie chcąc natrafić dłonią na igłę albo inny ostry przedmiot, z którym kontakt przyprawiłby go o chorobę weneryczną. Już miał zamknąć pierwszą z szuflad, gdy coś sprawiło, że zmienił zdanie. Odniósł wrażenie, że przed oczami mignęło mu coś ważnego, na co nie zwrócił uwagi. Po chwili, odsunąwszy parę ciemnozielonych koronkowych majteczek, ujrzał to, czego szukał. Na dnie szuflady leżał egzemplarz „Grant County Observer”, specjalne wydanie niedzielne.

Rozsunąwszy bieliznę, Jeffrey wyciągnął gazetę. Na pierwszej stronie znajdowały się aktualności z tygodnia. Oto z czarno-białej fotografii szeroko uśmiechał się do Jeffreya burmistrz, trzymający w ramionach warchlaka. Data w nagłówku nie pozostawiała wątpliwości, że gazeta pochodzi sprzed ponad dziesięciu lat. Jeffrey zaczął otwierać następne szuflady, szukając kolejnych egzemplarzy „Observera”. Znalazł kilka, jednak nie zawierały niczego istotnego. Interesujące było jednak to, że Jack Wright okazał się prenumeratorem „Grant County Observer”.

Powrócił do saloniku i ze wzmożonym zainteresowaniem zaczął przeglądać stery gazet leżące na podłodze. Pamiętał, że Brenda Collins, jedna z następnych po Sarze ofiar Wrighta, pochodziła z Tennessee. Wkrótce natrafił na egzemplarz „Monthly Vols”, gazetki rozsyłanej absolwentom Uniwersytetu Tennessee. Upchnięty był pomiędzy kilkoma gazetami z Alexan-



der City w Alabamie. W kolejnej stercie znalazł gazety spoza Georgii. Wszystkie pochodziły z małych miasteczek. Poza tym znajdowały się w niej pocztówki, wszystkie z Atlanty, każda prezentująca inny punkt w mieście. Żadna z nich nie była zapisana. Jeffrey nie potrafił odgadnąć, do czego facetowi takiemu jak Jack Wright potrzebne były pocztówki. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto by rozsyłał je po znajomych i przyjaciółach.

Jeffrey odwrócił się i jeszcze raz uważnie rozejrzał się po pokoju, chcąc być pewnym, że niczego ważnego nie przeoczył. Przed zniszczonym kominkiem ustawiony był odbiornik telewizyjny. Wyglądał na stosunkowo nowy, z rodzaju tych, jakie można kupić za pięćdziesiąt dolarów na ulicy, jeśli nie zadaje się zbyt wielu pytań na temat jego pochodzenia. Na jego obudowie leżał zasilacz.

Powoli skierował się do okna, chcąc już wyjść z mieszkania, jednak niespodziewanie zauważył coś wystającego spod kanapy. Pchnął ją z całej siły, z okropnym zgrzytem przesuwając kanapę po drewnianej podłodze. Pod nią leżała mała czarna klawiatura komputerowa.

Od razu zrozumiał, że zasilacz współpracuje właśnie z nią. Włączył telewizor i zaczął wciskać odpowiednie klawisze, by połączyć się z internetem. Przysiadłszy na skraju brudnej kanapy, czekał, aż system dokona połączenia. Na komisariacie to Brad Stephens był specjalistą od komputerów, jednak obserwując młodego posterunkowego, Jeffrey nauczył się dość, aby teraz dać sobie radę.

Bez większych problemów dotarł do skrzynki e-mailowej Wrighta. Oprócz reklamy dealera części zamiennych do chevy oraz zachęcających fotografii gorących nastolatek, zapewne zbierających pieniądze na kolejny rok w college'u, a więc wiadomości, które otrzymuje każdy posiadacz poczty elektronicznej na świecie, w skrzynce znajdował się długi list od kobiety, która najwyraźniej była matką Wrighta. Kolejny list zawierał fotografię młodej kobiety, pozującej do zdjęcia z szeroko rozłożonymi nogami. Na adres nadawcy listu składał się rząd przypadkowych cyfr. Najprawdopodobniej był to kumpel Wrighta z więzienia. W każdym razie Jeffrey na wszelki wypadek zanotował adres na kartce papieru i wsunął go do kieszeni.

Używając klawiszy kierunkowych, zaczął przeszukiwać strony w inter-

necie, najczęściej odwiedzane przez Wrighta. Oprócz różnych stron z pornografią i z przemocą, znalazł link prowadzący do internetowego wydania „Observer”. Po chwili zobaczył na telewizyjnym ekranie pierwszą stronę bieżącego wydania, informującego o samobójczej śmierci Julii Matthews ostatniej nocy. Nic nie mogło zaszokować go bardziej. Szybko przebiegł wzrokiem tekst. W kolejnych zachowanych przez Wrighta tekstach znalazł wiadomość o śmierci Sibyl Adams i o poszukiwaniach Julii Matthews. Kiedy wystukał imię Sary i zaznaczył komendę „szukaj”, ukazały się tytuły ponad sześćdziesięciu artykułów prasowych.

Jeffrey wyłączył sprzęt i ustawił kanapę w pierwotnej pozycji. Po chwili podszedł do okna i wstawił drewnianą futrynę na miejsce. Nie bardzo chciała się trzymać, dlatego podparł ją jednym z krzeseł. Z samochodu nie było widać, że ktoś wcześniej wyłamał okno w budynku, jednak jasne było, że Jack Wright odgadnie, co się stało, kiedy tylko znajdzie się w środku. Wydawał się być bardzo ostrożnym człowiekiem, tym bardziej więc zniszczona futryna okienna natychmiast wzmoże jego czujność.

Kiedy Jeffrey wsiadł do samochodu, akurat zapłonęły światła latarni ulicznych. Nawet na tej wstrętnej ulicy słońce zachodzące nad Atlantą stwarzało obraz warty obejrzenia. Jeffrey pomyślał, że gdyby nie piękne wschody i zachody słońca, mieszkańcy tej części Atlanty nie czuliby się ludźmi.

Czekał trzy i pół godziny, aż wreszcie niebieski chevy nova zatrzymał się przed budynkiem. Samochód był stary i brudny, na jego karoserii widoczne były płyty rdzy. Bez wątplenia Wright poddawał go już poważnym naprawom. Na przednim zderzaku widoczna była nalepka ze słowami: BÓG JEST MOIM PILOTEM, a na drzwiczkach po stronie kierowcy – CHCĘ ZDZICZEĆ W ZOO W ATLANCIE.

Jack Wright miał do czynienia z policją i wymiarem sprawiedliwości na tyle często, by bez cienia wątpliwości rozpoznać policjanta. Wysiadając z chevy nova, posłał Jeffreyowi nieufne spojrzenie. Był otyłym, niskim mężczyzną, o rzednących włosach. Nie miał na sobie koszuli i Jeffrey mógł dokładnie przyjrzeć się jego piersiom, obwisłym, niespotykanym u mężczyzn. Odgadł, że takie piersi to uboczny efekt działania depo. Jednym z zasadniczych powodów, dla których gwałciciele i pedofile unikali tego specyfiku

jak ognia, był jego wstrętny efekt uboczny. Niektórzy zażywający go mężczyźni przybierali na wadze, a ich tułów upodabniał się do kobiecej sylwetki.

Wright skinął na Jeffreya, kiedy ten ruszył w jego kierunku. Mimo że okolica była wstrętna i zapuszczona, wszystkie światła uliczne funkcjonowały w doskonałym porządku. Dom Wrighta oświetlony był jak w dzień.

Kiedy Wright odezwał się, jego głos rozbrzmiał wysokim tonem; kolejny uboczny efekt działania depo.

– Szukasz mnie? – zapytał.

– Zgadza się – odparł Jeffrey, stając twarzą w twarz z mężczyzną, który zgwałcił i zranił Sarę Linton.

– Co jest, do cholery? – zdziwił się Wright. Szeroko wyduł usta. – Znowu ktoś porwał jakąś dziewczynę? Wiecznie się mnie czepiacie, kiedy zagnie jakąś młódka.

– Wejdźmy do środka – zaproponował Jeffrey.

– Ale nie we dwóch – zareagował Wright i oparł się o samochód. – Czy ładna jest ta, która zniknęła? – Urwał na moment, jakby oczekiwał odpowiedzi. Powoli oblizał wargi. – Biorę tylko ślicznotki.

– To starsza sprawa – odpowiedział Jeffrey, pilnując się, aby nie dać się sprowokować.

– Amy? Czy to chodzi o moją słodką malutką Amy?

Jeffrey wbił w niego wzrok. Przypomniał sobie imię z akt. Amy Baxter odebrała sobie życie po tym, jak ją zgwałcił Jack Wright. Była pielęgniarką, która przeprowadziła się do Atlanty z Alexander City.

– Nie, nie chodzi o Amy – stwierdził Wright i przyłożył dłoń do policzka, jakby zastanawiając się. – Czy może masz na myśli słodziutką... – Umilkł i popatrzył na samochód Jeffreya. – Przyjechałeś z hrabstwa Grant, co? Dlaczego od razu mi nie powiedziałeś? – Uśmiechnął się, ukazując jeden z czerniejących przednich zębów. – Jak się miewa moja mała Sara?

Jeffrey zrobił krok w jego kierunku, ale Wright wcale się nie przestraszył.

– Uderz mnie – powiedział. – Tylko mocno.

Jeffrey cofnął się. Nie chciał nawet dotykać tego człowieka. Niespodziewanie Wright ujął w dłonie swoje piersi.

– Podobają ci się, tatuśku? – Obrzydzenie, które pojawiło się na twarzy Jeffreya, wywołało jego radość. – Biorę depo, ale o tym to chyba już wiesz, co, słodziutki? – Zniżył głos. – Przemienia mnie w dziewczynę. Żyję teraz w dwóch światach i biorę z nich to, co najlepsze.

– Przestań – warknął Jeffrey, rozglądając się dookoła. Powoli w oknach zaczęły pojawiać się twarze sąsiadów Wrighta. Wietrzyli niezły spektakl.

– Mam jaja wielkości kulek do gry – powiedział Wright, kładąc dłoń na kroczu. – Chciałbyś je zobaczyć?

Jeffrey obniżył głos do szeptu.

– Nie, chyba że od charakteryzującego cię słowa „kastat” chcesz odjąć słówko „chemiczny”.

Wright zachichotał.

– Jesteś silnym mężczyzną, wiesz o tym? Zapewne opiekujesz się moją Sarą?

Jeffrey jedynie przełknął ślinę.

– Wszystkie chciały wiedzieć, dlaczego się do nich zabierałem. „Dlaczego ja? Dlaczego ja?” – zapiszczał Wright wysokim głosem. – Jeśli chodzi o nią, chciałem się dowiedzieć, czy ma rudą cipkę.

Jeffrey nie potrafił się nawet ruszyć.

– Chyba ją znasz, co? Widzę to po twoich oczach. – Wright złożył ramiona na piersiach. Wzrok wbił w oczy Jeffreya. – Pamiętam, że ma wielkie cycki. Uwielbiałem je ssać. – Znow obliżał wargi. – Szkoda, że nie widziałeś strachu w jej oczach. Nie była do tego przyzwyczajona. Chyba nie miała przede mną prawdziwego mężczyzny. Rozumiesz, co mam na myśli?

Jeffrey otoczył ramieniem jego szyję i rzucił go plecami na samochód. Akcja była tak szybka, że sam początkowo nie zdał sobie sprawy z tego, co robi. Oprzytomniał, kiedy poczuł, jak ostre paznokcie Wrighta orzą skórę na jego przedramieniu.

Zmusił się, aby oderwać się od niego. Ten parsknął i zakaszłał, próbując złapać oddech. Jeffrey popatrzył po okolicznych oknach. Żaden z sąsiadów nawet się nie ruszył. Widowisko zdawało się bez reszty ich pochłaniać.

– Myślisz, że możesz mnie przestraszyć? – zapytał Wright ochryplym głosem. – Dawałem sobie radę z większymi od ciebie, z dwoma naraz, w więzieniu.

– Gdzie byłeś w ostatni poniedziałek?

– W pracy, bracie. Możesz zapytać mojego kuratora.

– Może to zrobię.

– Wciąż mnie sprawdza. – Wright udawał, że się zastanawia. – W poniedziałek była u mnie około drugiej albo wpół do trzeciej. O taką godzinę ci chodzi?

Jeffrey milczał. Godzinę śmierci Sibyl Adams wydrukował „Observer”.

– Zamiatalem, sprzątałem i wynosiłem śmieci – kontynuował Wright.

Jeffrey wskazał na jego tatuaż.

– Widzę, że jesteś religijnym facetem.

Wright popatrzył na swoje ramię.

– To religia połączyła mnie z Sarą.

– Lubisz zbierać informacje o swoich dziewczynach? – zapytał Jeffrey. – Oglądasz je w gazetach, prawda? A może w internecie?

Po raz pierwszy Wright się zdenerwował.

– Byłeś w moim domu?

– Podoba mi się to wszystko na ścianach. Te małe Jezuski. Ich oczy podążają za tobą, kiedy chodzisz po pokoju, prawda?

Wyraz twarzy Wrighta nagle się zmienił. Kiedy krzyknął, Jeffrey ujrzał tę twarz taką, jaką widywały tylko nieszczęsne kobiety, jego ofiary.

– To moja osobista własność! Nie miałeś tam nic do roboty!

– A jednak tam byłem – powiedział Jeffrey. Teraz, kiedy zdołał wstrząsnąć Wrightem, sam był spokojny. – Wszystko sobie dokładnie obejrzałem.

– Ty draniu! – wrzasnął Wright i wyprowadził pięścią cios.

Jeffrey odsunął się na bok i szybkim, wyćwiczonym ruchem, złapał i wykręcił jego rękę. Pchnął go i Wright padł najpierw na kolana, po czym zarył nosem w piasek. Jeffrey stanął nad nim, po czym klęknął na jego plecach.

– Gadaj, co wiesz – zażądał.

– Puść mnie – poprosił Wright. – Puść mnie, błagam.

Jeffrey wyciągnął kajdanki i go skuł. Odgłos zatraskującego się zamka sprawił, że Wright całkowicie zmienił postawę.

– Jedyne o tym czytałem – powiedział. – Proszę, zostaw mnie w spokoju.

Jeffrey pochylił się nad nim i szepnął mu do ucha:

– Wracasz do więzienia.

– Tylko nie to, błagam!

Jeffrey sięgnął po kajdanki na kostki. Wiedząc, jak działa policja w Atlancie, uznał, że sam załatwi sprawę z Wrightem szybciej, niż gdyby zatelefonował pod numer 911.

– Nie możesz tego zrobić! – wrzasnął Wright. – Nie możesz! Wszyscy cię widzieli.

Jeffrey popatrzył dookoła, przypominając sobie o sąsiadach. Bez słowa przyglądał się, jak po kolei odwracają się plecami i przechodzą w głąb swoich mieszkań.

– Boże, nie! Nie odsyłaj mnie z powrotem do więzienia! – błagał Wright. – Proszę, zrobię wszystko, tylko nie to!

– Policji nie spodoba się pistolet pod twoim materacem, prawda, Jack?

– Och, Boże. – Jack Wright łkał i drżał.

Jeffrey oparł się o chevy nova i wyciągnął wizytówkę, którą otrzymał od Keitha. Przeczytał nazwisko Mary Ann Moon. Popatrzył na zegarek. O godzinie siódmej pięćdziesiąt w piątkowy wieczór mógł być pewien, że kobieta nie przyjmie jego wizyty z zadowoleniem.

Kiedy promienie słońca zaczęły padać na jej twarz, Lena zamknęła oczy. Woda była ciepła i zapraszająca. Lekka bryza chłodziła jej ciało, fale delikatnie przetaczały się pod nią. Nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz była nad oceanem, tym razem jednak zasłużyła na te wakacje.

– Popatrz – odezwała się Sibyl, wskazując przed siebie.

Lena skierowała wzrok w punkt, który wskazywał palec siostry, i na tle nieba ujrzała mewę. Ptak nie zainteresował jej jednak; zaczęła przypatrywać się chmurom. Wyglądały jak wełniane kulki na niebieskiej kurtynie.

– Chcesz, żebym ci ją oddała? – zapytała Sibyl, wręczając Lenie czerwoną laleczkę.

Lena roześmiała się.

– Hank powiedział mi, że ją zgubiłaś.

Teraz Sibyl się uśmiechnęła.

– Schowałam ją w takim miejscu, w którym nie mógł jej znaleźć.

Z nagłą jasnością Lena zdała sobie sprawę, że to nie Sibyl, a Hank stracił wzrok. Nie mogła pojąć, jakim sposobem wcześniej się pomyliła, jednak teraz to Hank leżał na plaży z ciemnymi okularami na oczach. Usiadł i podpierał się dłońmi, pozwalając, by promienie słońca padały prosto na jego klatkę piersiową. Był opalony bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. W gruncie rzeczy, kiedy do tej pory przyjeżdżali nad ocean, Hank zawsze wolał pozostawać w hotelowym pokoju, zamiast chodzić z dziewczętami na plażę. Lena nie wiedziała, co robił tam przez cały dzień. Czasami Sibyl dołączała do niego, aby trochę odpocząć od słońca, jednak Lena uwielbiała plażowanie. Pluskała się w wodzie lub oglądała mecze siatkarzy, zalotnie spoglądając na grających chłopaków.

W ten sposób poznała Grega Mitchella, ostatniego chłopaka, który miał dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Greg grywał w siatkówkę z grupą kolegów. Miał mniej więcej dwadzieścia osiem lat, natomiast jego koledzy byli znacznie młodszy i o wiele bardziej interesowały ich kibicujące dziewczyny

niż sama gra. Lena podeszła do boiska, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że dokładnie mierzą ją oczy wszystkich chłopaków, oceniają niczym towar w sklepie. Poprosiła, żeby ją przyjęli do gry. Greg rzucił niespodziewanie piłkę w jej kierunku, ale Lena bez trudu ją złapała.

Po chwili młodszy chłopcy rozproszyli się w poszukiwaniu alkoholu, kobiet, albo i tego, i tego. Lena i Greg grali we dwoje, zdawałoby się, że w nieskończoność. Jeśli początkowo spodziewał się, że Lena szybko rzuci grę, uznawszy jego przewagę, bardzo się pomylił. Dominowała nad nim tak zdecydowanie, że po zakończeniu trzeciej gry poddał się, oferując, że w nagrodę za zwycięstwo postawi jej kolację.

Zaprowadził ją do jakiejś taniej meksykańskiej restauracyjki. Ojciec Leny, gdyby żył, zapewne przewróciłby się na jej widok. Wypili przesłodzone margarity, potem tańczyli, a na dobranoc Greg otrzymał od Leny delikatny uśmiech zamiast pocałunku. Następnego dnia pojawił się przed jej hotelem z samego rana, tym razem z deską windsurfingową. Zawsze chciała nauczyć się surfować, nie musiał więc prosić jej dwa razy, żeby odbyła z nim kilka lekcji.

Teraz czuła deskę pod sobą, czuła fale posyłające jej ciało w górę, a potem opuszczające głęboko w dół. Ręce Grega spoczywały na jej barkach, a potem wędrowały coraz niżej i niżej, aż objął dłońmi jej pośladki. Odwróciła się powoli, pozwalając mu, by widział i czuł całe jej nagie ciało. Słońce mocno grzało, czyniąc jej skórę ciepłą i wrażliwą.

Natarł dłonie olejkami do opalania, po czym zaczął masować jej stopy. Jego ręce krążyły wokół kostek Leny, coraz szerzej rozkładając jej nogi. Wciąż unosili się na oceanie, jednak woda, nie wiadomo dlaczego, stała się twarda, przytrzymując Lenę w pozycji wygodnej dla Grega. Jego ręce poruszały się wzdłuż jej ud, pieszcząc je, dotykając, przesuwając się po jej intymności, aż objęły piersi. Użył języka, całując, a następnie gryząc jej brodawki, piersi, w końcu docierając do ust. Jego pocałunki były gwałtowne i zdecydowane jak nigdy przedtem. Lena reagowała na nie równie gwałtownie, w podświadomości dziwiąc się samej sobie.

Nacisk jego ciała przyprawiał ją o taką rozkosz, jakiej istnienia nawet nie podejrzewała. Jego dłonie były twarde, jego dotyk brutalny, robił z nią, co chciał. Po raz pierwszy w życiu Lena straciła nad sobą kontrolę. Po raz



pierwszy w życiu, pod nim, była całkowicie bezbronna. Czuła w sobie pustkę, którą mógł wypełnić tylko on. Była gotowa zrobić wszystko, czego tylko zechce, spełnić każde jego życzenie.

Jego usta pieściły jej ciało, język drażył pochwę, zęby gryzły ją aż do bólu. Chciała objąć go rękami, przyciągnąć go bliżej siebie, jednak nie potrafiła się poruszyć. Nagle położył się na niej cały, odepchnął jej ręce pod kątem prostym do tułowia i wtedy w nią wszedł. Zalała ją kolejna fala rozkoszy, zdająca się nie mieć końca, ale wreszcie przyszła niespodziewana, rozdzierająca ulga. Poddało mu się całe jej ciało, plecy wygięły się w łuk, chciała je z nim zespolić, połączyć w jedność.

I nagle było po wszystkim. Lena poczuła, że jej ciało rozluźnia się, umysł znów może logicznie układać myśli. Zaczęła rzucać głową na boki, ciesząc się odzyskaną swobodą. Oblizwała usta i otworzyła oczy. Przez wąskie szparki ujrzała jedynie ciemne pomieszczenie. Z daleka zaczął do niej docierać delikatny szum. Kolejne odgłosy zdawały się dochodzić ze wszystkich stron, jak nieregularne tykanie, tyle że to nie tykał zegar, ale kapiąca woda. Odkryła, że nie potrafi sobie przypomnieć, jak nazywa się woda padająca z chmur.

Spróbowała się poruszyć, ale ręce nie poddawały się jej woli. Popatrzyła w bok i, mimo ciemności, dojrzała czubki własnych palców. Coś otaczało jej przeguby ciasno i nieustępliwie. Umysł nakazał poruszyć się palcom i wtedy poczuła na wierzchu dłoni chropowate drewno. Podobnie było z nogami. Nie mogła ruszać ani rękami, ani nogami. Była przymocowana do podłogi. Jej ciało ożyło, kiedy zdała sobie z tego sprawę: znajdowała się w pułapce.

Znów była w ciemnym pomieszczeniu, tam, dokąd została zabrana przed wieloma godzinami. Może dniami? Tygodniami? To tutaj kapiała woda, to tutaj cicho szumiała straszliwą torturą w jej umyśle. Nie było tu ani okien, ani światła, a tylko Lena i więzy mocujące ją do podłogi.

Światło spadło na nią niespodziewanie, oślepiające światło rozpalające oczy. Lena znów spróbowała wyzwolić się z więzów, była jednak bezsilna. Ktoś tu z nią był, ktoś, kto powinien jej pomóc, ale nie pomagał. Zaczęła się szarpać, wyginać ciało, chcąc się uwolnić. Bez skutku. Otworzyła usta, jednak nie wydobyło się z nich żadne słowo. Siłą umysłu sformułowała roz-

paczliwe wołanie: „Pomocy, błagam!”, jednak w ogóle go nie usłyszała.

Oparła się o drewno policzkiem, mrugając, starając się dojrzeć cokolwiek poza światłem. W tym samym momencie poczuła punktowy nacisk na dłoń. Nastąpił moment krótkiego, tępego bólu. Ujrzała, jak w jej dłoń wciska się długi gwóźdź. W oślepiającym świetle zobaczyła, jak wznosi się nad nim żelazny młotek.

Zamknęła oczy. Nie czuła bólu.

I znów była na plaży, tym razem jednak nie w wodzie. Tym razem nad nią frunęła.

Mary Ann Moon nie była sympatyczną kobietą. Jeszcze zanim Jeffrey zdołał się przedstawić, jej usta ułożyły się w ostrzeżenie, brzmiące mniej więcej: „Tylko mi, kurwa, nie wciskaj ciemnoty”. Popatrzyła na zerwaną bransoletę monitorującą Wrighta, po czym rzuciła zgryźliwie do Jeffreya:

– Czy pan wie, ile takie coś kosztuje?

Największym problemem Jeffreya z Moon, bo tak kazała się nazywać, była bariera językowa. Moon pochodziła skądś ze wschodu, z takiego miejsca, gdzie spółgłoski żyją własnym życiem. Ponadto mówiła głośno i szybko, a do takiej mowy, jak świat światem, uszy ludzi z Południa nie przywykły. Jadąc windą z pokoju kontrolnego do pokoju przesłuchań, stała bardzo blisko Jeffreya, z ustami ułożonymi w grymas niechęci i rękami skrzyżowanymi nisko na piersiach. Miała mniej więcej czterdzieści lat, jednak była to czterdziestka naznaczona zbyt dużą liczbą wypalonych papierosów i wypitego alkoholu. W jej długie, jasne włosy wplecione były szare pasemka. Od jej ust rozchodziły się, niczym nieregularne promienie, głębokie zmarszczki.

Nosowy ton oraz fakt, że mówiła z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę, i to w dodatku w mało zrozumiałym języku, deprymowały Jeffreya. Nad każdą odpowiedzią długo się zastanawiał, a to z tej prostej przyczyny, że musiał sobie przetłumaczyć jej słowa. Bardzo szybko zorientował się, że Moon bierze tę jego powolność za oznakę głupoty, nie potrafił jednak nic na to poradzić.

Kiedy szli przez posterunek, rzuciła do Jeffreya jakieś słowa ponad ramieniem. Przetłumaczył je sobie dopiero po chwili:

– Niech pan mi opowie o swojej sprawie, szefie.

Pokrótce opowiedział jej, co wydarzyło się od czasu znalezienia Sibyl Adams, pomijając związek tych wydarzeń z Sarą. Najwidoczniej mówił zbyt wolno jak dla Moon, ponieważ praktycznie nie pozwalała mu dokończyć żadnego zdania, przerywając je natrętnymi pytaniami.

– Jak mniemam, wszedł pan do domu mojego chłopaka – powiedziała.  
– Widział pan te wszystkie gówna z Jezusem? – Przewróciła oczami. – Ależ ten facet musi go kochać, prawda, szeryfie Taylor?

Jeffrey posłał jej spojrzenie, które miało świadczyć o jego zdziwieniu i dezaprobatie. Moon wybuchnęła jednak głośnym śmiechem, który wprawił w drżenie bębenki w jego uszach.

– To nazwisko nie brzmi dla mnie obco – zauważyła.

– Co takiego?

– Linton. Także Tolliver. – Ułożyła drobne ręce na szczupłych biodrach.  
– Naprawdę, poważnie traktuję swoje obowiązki, szefie. Wielokrotnie telefonowałam do Sary, żeby informować ją, gdzie przebywa Jack Allen Wright. Taką mam pracę. Każdego roku informuję ofiary o miejscach pobytu ich oprawców. Jej sprawa ma już chyba z dziesięć lat, co?

– Dwanaście.

– W takim razie rozmawiałam z nią przynajmniej dwanaście razy.

Postanowił sam wyjaśnić sytuację, wiedząc, że został rozszyfrowany.

– Sara to moja była żona. Była jedną z pierwszych ofiar Wrighta.

– I przełożeni pozwalają panu pracować nad sprawą, wiedząc o tym?

– Sam jestem sobie przełożonym w tej sprawie, pani Moon.

Posłała mu groźne spojrzenie, skutecznie działające zapewne na jej podopiecznych, Jeffrey'ego jednak tylko zirytowało. Był przynajmniej o dwie stopy wyższy od Mary Ann Moon i absolutnie nie zamierzał dać się zastraszyć tej małej Jankesce.

– Wright jest uzależniony od depo. Rozumie pan, co przez to chcę powiedzieć?

– Że lubi to zażywać?

– Rzecz jest tak stara jak jego pierwsze kontakty z wymiarem sprawiedliwości, zaraz po historii z Sarą. Widział pan jego fotografie?

Jeffrey potrząsnął przecząco głową.

– Proszę za mną – powiedziała Moon.

Posłusznie wykonał polecenie, starając się nie deptać jej po piętach. Była szybka we wszystkim z wyjątkiem chodzenia. Kroki Jeffrey'ego były przynajmniej dwa razy dłuższe od jej własnych. Wreszcie weszła do małego biura, zastawionego od podłogi po sufit szafami na akta. Przekroczyła

stertę z jakimiś instrukcjami i wzięła z biurka papierową teczkę.

– Wiem, bałagan tu nieziemski – odezwała się tonem tak obojętnym, jakby nic sobie z tego nie robiła. – Proszę.

Jeffrey otworzył teczkę i zobaczył fotografię Jacka Allena Wrighta – młodszego, szczuplejszego i, oczywiście, nie tak fizycznie zniewieściałego jak obecnie. Miał pociągłą twarz i o wiele więcej włosów na głowie. Jego ciało ukształtowane było tak jak ciała mężczyzn codziennie spędzających przynajmniej trzy godziny w siłowni, a niebieskie oczy wpatrywały się przenikliwie w obiektyw aparatu fotograficznego. Jeffrey pamiętał błędne spojrzenie Wrighta sprzed kilku godzin. Pamiętał także, że Sara rozpoznała swojego napastnika między innymi po jasnoniebieskich oczach. Od czasu, gdy na nią napadł, zmienił się niemal nie do poznania. To jednak wpatrujący się w niego z fotografii mężczyzna był tym, którego Jeffrey się spodziewał, kiedy czekał na niego przed domem. To on zgwałcił Sarę, to on pozbawił ją możliwości urodzenia Jeffreyowi dziecka.

Moon jeszcze przez chwilę przeglądała teczkę.

– To zdjęcie zrobiono, kiedy wychodził z więzienia – powiedziała, podając Jeffreyowi następną fotografię.

Ujrawszy mężczyznę, którego znał jako Wrighta, Jeffrey pokiwał głową.

– Ciężko mu tam było, wie pan?

Jeffrey znów skinął głową.

– Wielu mężczyzn próbuje w więzieniu walczyć o jak najlepszą pozycję. Wright od początku się poddał.

– Bo zaraz mi serce pęknie z żalu – mruknął Jeffrey. – Ile osób go odwiedzało?

– Jedynie matka.

Jeffrey oddał fotografię z powrotem Moon.

– Co się działo, kiedy wyszedł z więzienia? Najwyraźniej odrzucił depo, bo znowu zgwałcił?

– Mówi, że tego nie zrobił i, moim zdaniem, nie mógł tego zrobić, biorąc takie dawki, jakie miał zapisane.

– Kto go nadzorował?

– Sam się nadzorował. – Ruchem ręki Moon nakazała mu milczenie, za-

nim zdołał jej przerwać. – Niech pan posłucha, wiem, że to nie jest doskonały system, czasami jednak musimy tym facetom zaufać. Czasami źle na tym wychodzimy. Źle wyszliśmy w przypadku Wrighta. – Rzuciła teczkę z powrotem na biurko. – Teraz chodzi już do kliniki i raz w tygodniu tam przyjmuje zastrzyk depo. Wszystko jasne i proste. Bransoleta, którą był pan uprzejmy zniszczyć, pozwałała dokładnie go kontrolować. Nie zrobił nam żadnej niemiłej niespodzianki.

– Nie wyjeżdżał z miasta?

– Nie. W ostatni poniedziałek sprawdziłam go w pracy. Był w budynku banku, tak jak powinien.

– To bardzo miło z pani strony, że ma tak blisko do dziewcząt z college'u – zauważył Jeffrey z przekąsem.

– Niech pan nie przeciąga struny – ostrzegła go Moon.

W przepaszającym geście uniósł do góry otwartą dłoń.

– Proszę napisać, jakie ma pan do niego pytania – powiedziała Moon. – Porozmawiam z Wrightem.

– Musiałbym sam wysłuchać jego odpowiedzi.

– Technicznie rzecz biorąc, nawet nie muszę pana tutaj wpuszczać. Niech pan się cieszy, że nie dostał pan kopniaka w dupę na samym początku.

Dosłownie ugryzł się w język, żeby jej nie odpyskować. Ale miała rację. Mógł, co prawda, zatelefonować jutro rano do znajomych z policji w Atlancie i za ich pośrednictwem zażądać, żeby go lepiej traktowała, jednak w tej chwili rządziła Mary Ann Moon.

– Czy mogłaby mi pani dać minutę? – Zapytał, wskazując na biurko. – Muszę połączyć się z moimi ludźmi.

– Nie można prowadzić ode mnie rozmów zamiejscowych.

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy.

– Chodzi mi tylko o to, że chciałbym zostać na chwilę sam.

Pokiwała głową i odwróciła się na pięcie.

– Dziękuję – powiedział Jeffrey, jednak nic mu już nie odpowiedziała.

Patrzył za Moon, dopóki nie dotarła do holu, po czym zamknął za sobą drzwi. Przeszedłszy nad jakimiś skrzynkami, usiadł za jej biurkiem. Krzesło było niskie i poczuł, że za chwilę dotknie kolanami uszu. Zanim wystu-

kał numer telefonu Sary, popatrzył na zegarek. Zwykle wcześniej chodziła spać, jednak koniecznie musiał z nią teraz porozmawiać. Kiedy po czwartym sygnale podniosła słuchawkę, poczuł podekscytowanie.

– Halo – usłyszał.

Po krótkiej chwili zdał sobie sprawę, że na moment wstrzymał oddech.

– Sara? – odezwał się.

Milczała i przez chwilę myślał, że odłożyła słuchawkę. Usłyszał jednak, jak się poruszyła, dotarł do niego szelest pościeli. Sara była w łóżku. Usłyszał szum padającego deszczu i odległy grzmot pioruna. Nagle przypomniała mu się ich wspólna noc sprzed bardzo dawna. Sara nigdy nie lubiła burz. Wtedy obudziła go, chcąc, by skierował jej myśli na coś zupełnie innego niż szalejąca za oknem burza z piorunami.

– Czego chcesz? – zapytała.

W pośpiechu szukał właściwych słów, nagle zdawszy sobie sprawę, że Sara musiała stanowczo zbyt długo czekać na ten telefon. Ton jej głosu odpowiedział mu, że coś się w tym czasie pomiędzy nimi zmieniło. Nie był pewien co i dlaczego.

– Próbowałem dodzwonić się wcześniej – powiedział, czując się jak kłamca, mimo że przecież wcale nie kłamał. – Do kliniki.

– Tak?

– Rozmawiałem z Nelly.

– Powiedziałaś jej, że to ważne?

Jeffrey poczuł, jak żołądek podskakuje mu do gardła. Nic nie odpowiedział.

Sara wydała odgłos, jakby parsknęła śmiechem.

– Nie chciałem rozmawiać z tobą, zanim czegoś się nie dowiem.

– Czegoś na jaki temat?

– Jestem w Atlancie.

– Niech zgadnę, na Ashton Street numer 633 – powiedziała Sara po chwili milczenia.

– Tam byłem wcześniej – odparł. – Teraz jestem w komendzie policji. Mamy go w pokoju przesłuchań.

– Jacka?

Swoboda, z jaką wypowiedziała to imię, sprawiła, że Jeffrey niemal za-

zgrzytał zębami.

– Moon zadzwoniła do mnie, kiedy zepsuła się jego bransoleta – powiedziała Sara głuchym tonem. – Wtedy przyszło mi do głowy, że możesz mieć z tym coś wspólnego.

– Chciałem z nim porozmawiać.

– To miło z twojej strony. – Sara westchnęła.

Na linii znów nastąpiła cisza, a Jeffreyowi zabrakło słów. To Sara odezwała się pierwsza:

– To dlatego do mnie zatelefonowałeś? – zapytała. – Dlatego, żeby powiedzieć mi, że go aresztowałeś?

– Żeby przekonać się, czy u ciebie wszystko w porządku.

Roześmiała się lekko.

– W porządku. Czuję się znakomicie. Dzięki za telefon.

– Sara? – Jeffrey niemal krzyknął, przestraszony, że odłoży słuchawkę.

– Już wcześniej do ciebie dzwoniłem.

– Chyba nie dość się starałeś – odparła.

Mimo dzielącej ich odległości Jeffrey wyczuł jej złość.

– Naprawdę, chciałem mieć ci coś do powiedzenia, zanim zaczniemy rozmawiać. Coś konkretnego...

Sara przerwała mu. Ton jej głosu był suchy i niski.

– Nie wiedziałeś, co powiedzieć, zamiast więc przejść dwie przecznice do kliniki albo porozmawiać ze mną przez telefon, prysnąłeś do Atlanty, żeby spotkać się z Jackiem twarzą w twarz. – Na chwilę urwała. – Powiedz mi, Jeff, jak to jest, spotkać go osobiście?

Nie potrafił nic odpowiedzieć.

– Co zrobiłeś, pobiłeś go? – W jej głosie zabrzmiało oskarżenie. – Dwanaście lat temu nawet bym się ucieszyła. Dzisiaj chciałabym jedynie, żebyś był tutaj przy mnie i mnie wspierał, podnosił na duchu.

– Próbuję cię wspierać, Saro – odparł zdezorientowany. – Jak myślisz, co ja tutaj robię? Próbuję się dowiedzieć, czy ten facet wciąż gwałci kobiety.

– Moon twierdzi, że w ciągu ostatnich dwóch lat w ogóle nie opuścił miasta.

– A może jednak jest zamieszany w to, co się dzieje w Grant? Czy pomyślałaś o tym?



– Prawdę mówiąc, nie – odpowiedziała bez zająknięcia.

– Wszystko, o czym myśle, to te kilka kartek ze stenogramem, które zostawiłam ci dzisiaj nad ranem. Obnażyłam przed tobą duszę, a ty jak zareagowałeś? Wyjechałeś z miasta.

– Chciałem...

– Chciałeś ode mnie uciec. Nie potrafiłeś sobie z tym poradzić, więc uciekłeś. To nie jest takie przewrotne jak wpuszczenie mnie do domu, żebyś ujrziała, iż śpisz z inną kobietą, jednak ma taką samą wymowę, nie sądzisz?

Pokręcił głową, wprost nie dowierzając swoim uszom.

– Jak możesz mówić coś takiego? Przecież chcę ci pomóc!

Jej głos nagle się zmienił. Już nie sprawiała wrażenia rozżłoszczonej i głęboko zranionej. Dotąd była taka wobec niego tylko jeden raz, kiedy zła-pała go na kłamstwie. Czuł się wówczas tak samo jak teraz, jak wstrętny, samolubny dupek.

– W jaki sposób pomagasz mi w Atlancie? Czy pomaga mi to, że od wielu godzin jesteś daleko ode mnie? Czy masz pojęcie, jak się czułam przez cały dzień? Aż podskakiwałam, kiedy dzwonił telefon. Za każdym razem miałam nadzieję, że to ty. Czułam się jak idiotka. Czy wiesz, jak trudno mi było pokazać ci te papiery? Uzmysłować ci wreszcie, co mi się przydarzyło?

– Ja nie...

– Jeffrey, mam prawie czterdzieści lat. Postanowiłam być dobrą córką dla moich rodziców i wsparciem dla młodszej siostry, Tessy. Skończyłam z wyróżnieniem szkołę średnią i jestem absolwentką jednego z najlepszych uniwersytetów w Ameryce. Postanowiłam zostać pediatrą i pomagać dzieciom. Postanowiłam wrócić do Grant, żeby być blisko rodziny. Sześć lat temu postanowiłam zostać twoją żoną, ponieważ cię bardzo kochałam. Bardzo cię kochałam, Jeffreyu. – Urwała. Teraz już płakała. – Natomiast nigdy nie chciałam tego, żeby ktoś mnie zgwałcił.

Chciał się odezwać, ale nie dopuściła go do głosu.

– To, co mi się stało, trwało piętnaście minut. Piętnaście minut i po wszystkim. Jakie to ma dla ciebie znaczenie, skoro chodzi tylko o kilkanaście minut?

– To nieprawda.

– Nieprawda? – zawołała. – Dlaczego więc nie zadzwoniłeś do mnie dziś rano?

– Próbowałem...

– Nie zadzwoniłeś, ponieważ teraz jestem dla ciebie jedynie ofiarą. Patrzysz na mnie tak samo, jak odbierasz Julię Matthews i Sibyl Adams.

– Wcale nie, Saro – odparł, zaszokowany takimi oskarżeniami. – Nie jesteś dla mnie...

– Klęczałam wtedy w tej szpitalnej łazience przez dwie godziny, zanim mnie uwolnili. Prawie wykrwawiłam się na śmierć. Kiedy ze mną skończył, nic ze mnie już nie zostało. Zupełnie nic. Musiałam rozpocząć życie od nowa. Musiałam pogodzić się z tym, że dlatego, iż zgwałcił mnie jakiś drań, nigdy nie będę miała dzieci. Ze wstrętem myślałam o seksie. Myślałam, że już nigdy nie dam się dotknąć żadnemu mężczyźnie. – Umilkła wreszcie.

Jeffrey bardzo pragnął coś jej powiedzieć, ale żadne słowa nie przychodziły mu do głowy.

Po chwili Sara znów się odezwała. Jej głos był bardzo cichy.

– Twierdzisz, że nigdy się przed tobą nie otworzyłam? Cóż, teraz wiesz dlaczego. Dzisiaj poznałeś mój najgłębszy, najciemniejszy sekret, i co zrobiłeś? Uciekłeś do Atlanty, żeby spotkać się z człowiekiem, który mnie skrzywdził, zamiast porozmawiać ze mną. Zamiast mnie wesprzeć, uspokoić.

– Myślałem, że będziesz chciała, abym coś zrobił.

– Chciałam, żebyś coś zrobił. Chciałam – powiedziała Sara smutnym głosem. – Naprawdę chciałam.

Jeffrey usłyszał ciche kliknięcie, kiedy odłożyła słuchawkę. Jeszcze raz do niej zadzwonił, ale numer był zajęty. Próbował jeszcze pięć razy, ale Sara najwyraźniej zdjęła słuchawkę z widełek.

Jeffrey stał w pokoju obserwacyjnym przed lustrem weneckim, po raz kolejny odtwarzając w głowie rozmowę z Sarą. Ogarniał go bezkresny smutek. Wiedział, że w kwestii telefonu Sara miała całkowitą rację. Powi-

nien nalegać, żeby Nelly go połączyła. Powinien pójść do kliniki i powiedzieć Sarze, że wciąż ją kocha, że wciąż jest najważniejszą kobietą w jego życiu. Powinien paść na kolana i błagać ją, żeby do niego wróciła. Nie powinien znów jej zostawiać.

Jeffrey pomyślał, w jaki sposób Lena użyła kilka dni temu słowa „ofiara”, określając obiekty ataków na tle seksualnym. Wymawiała je z takim naciskiem, że brzmiało ono mniej więcej tak samo jak „idiotka” czy „kretynka”. Nie lubił, gdy Lena układała taką klasyfikację, więc nie podobało mu się też, kiedy podobnie zachowywała się Sara. Prawdopodobnie znał ją lepiej niż jakikolwiek inny mężczyzna w jej życiu, zatem doskonale wiedział, że Sara nie była ofiarą nikogo innego, jak samej siebie. Nie widział jej jako ofiary w kontekście, w jakim postrzegają ofiary przestępstw policjanci. Jeśli już, to uważał ją za kogoś, kto przetrwał poważne zagrożenie. Czuł się zraniony do głębi serca, że Sara tego nie czuła.

Moon przerwała jego rozmyślenia, pytając:

– Gotów?

– Tak – odparł, odpychając od siebie myśli o Sarze. Niezależnie od tego, co powiedziała, Wright mimo wszystko był tym człowiekiem, który mógł go doprowadzić do rozwiązania zagadki ostatnich wydarzeń w hrabstwie Grant. Jeffrey znów był ciałem i umysłem w Atlancie. Nie mógł wracać do domu, zanim nie usłyszy od tego faceta wszystkiego, co ten wie. Zaciśnął szczęki, koncentrując się na zadaniu i zaczął wypatrywać przez lustro.

Moon z impetem wkroczyła do pokoju przesłuchań i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi. Zaszurała krzesłem, wysuwając je spod stołu, i usiadła. Mimo ogromnych w stosunku do Grant pieniędzy, jakie otrzymywała policja z Atlanty, pokoje przesłuchań w tym mieście robiły o wiele gorsze wrażenie niż te w Grant. Pomieszczenie, w którym siedział Jack Allen Wright, było ponure i brudne. Cementowe ściany nie były pomalowane, pozostawiono je po prostu szare. Wrażenie beznadziejności, jakie wywoływał ten pokój, miało zapewne działać na przesłuchiwanym tutaj w taki sposób, żeby szybko przyznawali się do wszystkiego, byleby tylko stąd wyjść. Pomyślawszy o tym, Jeffrey zaczął przypatrywać się, jak Mary Ann Moon pracuje nad Wrightem. Nie była nawet w połowie tak dobra jak Lena Adams, trzeba jednak było przyznać, że wzbudzała respekt u gwałciciela.

Od początku przemawiała do niego jak starsza siostra.

– Chyba ten stary cap z Południa za bardzo ci nie dołożył, co? – zapytała.

Jeffrey zdawał sobie sprawę, że Moon próbuje nawiązać z Wrightem nic porozumienia, jednak wcale nie spodobał mu się sposób, w jaki go scharakteryzowała. Głównie dlatego, że przyszło mu do głowy, iż Mary Ann Moon rzeczywiście ma go za starego capa z Południa.

– Zniszczył mi bransoletę – odpowiedział Wright. – To naprawdę on, nie ja.

– Jack. – Moon westchnęła nad stołem. – Wiem o tym, w porządku? Musimy dowiedzieć się, jakim cudem znalazł się w twoim domu ten pistolet pod materacem. To jawne naruszenie prawa z twojej strony i grozi ci za to trzeci wyrok. Wiesz, co to znaczy?

Wright popatrzył w lustro. Prawdopodobnie doskonale wiedział, że z drugiej strony znajduje się Jeffrey.

– Nie wiem, jak się tam znalazł.

– Rozumiem, że to ten policjant odcisnął na nim twoje palce? – zapytała Moon i skrzyżowała ręce na piersiach.

Wright zaczął się zastanawiać. Jeffrey wiedział, że broń należała do Wrighta, ale wiedział też, że nie było sposobu, aby Moon zdołała do tej pory ustalić już, czyje odciski palców na nim się znajdowały.

– Bałem się – odparł w końcu. – Moi sąsiedzi wiedzą przecież, kim jestem, zgadza się?

– Kim jesteś?

– Wiedzą o moich dziewczynach.

Moon wstała z krzesła. Odwróciła się plecami do Wrighta i popatrzyła w szybę. Wzmacniała ją druciana siatka, podobna do tej, jaką Wright miał na oknach w domu. Jeffrey ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że facet uczynił swoje mieszkanie podobnym do więzienia.

– Powiedz mi o swoich dziewczynach – zażądała Moon. – Chodzi mi o Sarę.

Usłyszawszy imię, Jeffrey bezwiednie zacisnął dłonie w pięści. Wright wyprostował się i oblizał wargi.

– Miała ciasną cipkę – powiedział z uśmiechem. – Bardzo mi pasowa-

ła.

Na Moon nie wywarło to wrażenia. Dość już w życiu przeprowadziła podobnych przesłuchań.

– Naprawdę?

– Była taka słodka.

Moon odwróciła się i oparła plecy o szybę.

– Rozumiem, że wiesz, co się dzieje tam, gdzie ona teraz mieszka.

Wiesz, co się tam dzieje z dziewczynami?

– Wiem tylko tyle, ile przeczytałem w gazetach – odparł Wright i wzruszył ramionami. – Chyba nie pośle mnie pani z powrotem za kraty za ten pistolet, co, szefowo? Musiałem mieć coś, żeby się bronić. Bałem się o życie.

– Porozmawiajmy najpierw o hrabstwie Grant – zaproponowała Moon.

– Później zajmiemy się pistoletem.

Wright popatrzył na nią uważnie, oceniając jej zamiary.

– Niczego pani nie knuje przeciwko mnie?

– Oczywiście, że nie, Jack. Czy kiedykolwiek byłam wobec ciebie nie-szczera?

Wright zdawał się przez chwilę rozmyślać nad jej słowami. Zdaniem Jeffreya, nie miał wielkiego wyboru: współpraca albo więzienie. A jednak chciał zapewne trochę skuteczniej kontrolować własne życie.

– To, co ktoś zrobił z jej samochodem – powiedział Wright.

– Co takiego? – zapytała Moon.

– To słowo na jej samochodzie. Ja go nie napisałem.

– Nie?

– Powiedziałem o tym mojemu prawnikowi, ale on stwierdził, że to nie ma żadnego znaczenia.

– Teraz ma znaczenie, Jack – oznajmiła Moon z naciskiem.

– Przecież nie napisałbym czegoś takiego na cudzym samochodzie.

– Pizda? – zapytała Moon. – Przecież tak nazwałeś ją w łazience!

– To co innego – stwierdził Wright. – To było w ferworze wydarzeń.

Moon nie skomentowała.

– Kto to napisał?

– Tego nie wiem. Byłem przez cały dzień w szpitalu, pracowałem. Nawet nie wiedziałem, jaki miała samochód. Chociaż mógłbym odgadnąć,

przyznaję. Babka zachowywała się tak, jakby była lepsza od wszystkich.

– Nie będziemy się nad tym rozwodzić, Jack.

– Wiem – mruknął i popatrzył w ziemię. – Przepraszam.

– Kto, jak sądzisz, wykonał ten napis na jej samochodzie? – zapytała Moon. – Ktoś ze szpitala?

– Ktoś, kto ją znał, kto wiedział, czym jeździ.

– Może któryś z lekarzy?

– Nie wiem. – Wright wzruszył ramionami, – Być może.

– Niczego przede mną nie ukrywasz?

Wright zdawał się zaskoczony pytaniem.

– Oczywiście, że nie!

– Uważasz więc, że napis na samochodzie mógł zrobić ktoś ze szpitala.

Dlaczego?

– Może chciał coś od niej, a ona go zlekceważyła?

– Z wieloma facetami tak postąpiła?

– Nie. – Wright gwałtownie potrząsnął głową. – Sara była dobrym człowiekiem. Nie unikała ludzi, zawsze dla każdego znalazła czas – mówił, jakby nie pamiętał już swoich wcześniejszych komentarzy o tym, jaka była zarozumiała. – Zawsze pozdrawiała mijających ją ludzi, których znała – kontynuował. – Nie tak byle jak, w pośpiechu, ale wesoło, serdecznie, rozumie pani, co mam na myśli?

– Sara to miła dziewczyna – potwierdziła Moon, pilnując, aby Wright nie odbiegł od tematu. – Kto więc mógł tak zniszczyć jej samochód?

– Może ktoś był na nią za coś wściekły?

Jeffrey przyłożył dłoń do szyby, czując, jak podnoszą się włosy na jego karku. Moon również wykazała wzmożoną nerwowość.

– Za co? – zapytała szybko.

– Nie wiem – odparł Wright. – Mówię jedynie, że nigdy nie napisałem nic na jej samochodzie.

– I jesteś tego pewien?

Wright ciężko przełknął ślinę.

– Powiedziała pani, że zapomni za to o pistolecie, prawda?

Moon posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Nie ty jesteś tutaj od zadawania pytań, Jack. Na samym początku po-

wiedziała ci, jaki jest układ. Co więc dla mnie masz?

Wright popatrzył na lustro.

– Tylko to, że to nie ja zniszczyłem jej samochód.

– Kto więc to zrobił?

Wright wzruszył ramionami.

– Powiedziałem, że nie wiem.

– Uważasz, że ten sam facet, który porysował jej samochód, rozrabia teraz w hrabstwie Grant?

Znów wzruszył ramionami.

– Nie jestem detektywem. Po prostu mówię pani to, co wiem.

Moon złożyła ręce na piersiach.

– Przetrimamy cię przez weekend pod kluczem. Porozmawiamy w poniedziałek. Wtedy ostatecznie się przekonamy, czy masz pojęcie, kto to zrobił.

W oczach Wrighta pojawiły się łzy.

– Mówię prawdę.

– Przekonamy się, czy w poniedziałek rano twoja prawda będzie brzmiała tak samo.

– Niech mnie pani nie odsyła do więzienia, proszę!

– To tylko zatrzymanie, Jack – uspokoila go Moon. – Przypilnuję, żebyś dostał pojedynczą celę.

– Chcę iść do domu.

– Niestety, nic z tego. Na razie trochę cię zmiękczymy. Będiesz miał czas, żeby przemyśleć, co jest dla ciebie najważniejsze i czy opłaca się być szczerym.

– Jestem szczerzy. Przysięgam.

Moon uznała rozmowę za skończoną. Wyszła z pokoju, pozostawiając Wrighta samego, z głową w dłoniach, płaczącego.

## SOBOTA

25

Sara obudziła się w okamgnieniu. Przez krótką, pełną paniki chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Rozejrzała się po sypialni, zatrzymując spojrzenie na znajomych, uspokajających ją sprzętach. Oto stara szafa, która należała kiedyś do babci, lustro, na które natrafiła na bazarze, kredens, tak szeroki, że zdołała wstawić go do sypialni dopiero z pomocą ojca, a to i tak dopiero po wyjęciu z zawiasów drzwi wejściowych.

Usiadła na łóżku, wypatrując przez okno na jezioro. Po wieczornej burzy woda była wciąż niespokojna, na jej powierzchni unosiły się wzburzone fale. Niebo było szare, chmury nie pozwalały słońcu przebić się na ziemię, utrzymując nisko przy ziemi gęstą mgłę. W domu było zimno, a na zewnątrz zapewne jeszcze chłodniej. Udając się do toalety, Sara wzięła ze sobą narzutę z łóżka. Dotknąwszy bosymi stopami zimnej podłogi, zmarszczyła nos.

Kiedy weszła do kuchni, włączyła ekspres do kawy. Stojąc przed nim, czekała, aż będzie gotowa pierwsza filiżanka. Wróciła z kawą do sypialni, szybko nałożyła na siebie parę spodenek do biegania i starą koszulkę. Słuchawka była odłożona od ostatniego telefonu Jeffreya i dopiero teraz umieściła ją na widelkach. Aparat zadzwonił niemal natychmiast.

Sara głęboko odetchnęła, po czym podniosła słuchawkę.

– Halo.



– Cześć, dziecino – powiedział Eddie Linton. – Gdzież ty się podziewałaś?

– Przez przypadek ściągnęłam słuchawkę z telefonu – skłamała.

Ojciec albo nie wychwycił kłamstwa, albo przeszedł nad nim do porządku dziennego.

– Właśnie przygotowujemy śniadanie. Przyjdiesz do nas?

– Nie, dzięki. Chcę pobiegać.

– A może odwiedzisz nas później?

– Być może – odparła Sara i skierowała się do biurka w holu.

Otworzyła górną szufladę i wydobyła z niej dwanaście pocztówek. Dwanaście lat od gwałtu, co roku jedna pocztówka. Na każdej z nich na stronie przeznaczonej na korespondencję napisane było jej nazwisko i adres oraz cytat z Biblii.

– Dziecino – odezwał się Eddie.

– Tak, słucham – powiedziała, chociaż była to nieprawda. Wrzuciła pocztówki z powrotem do szuflady i oparłszy się o nią udem, zamknęła ją.

Rozmawiali jeszcze niezobowiązująco o burzy. Eddie powiedział, że w nocy złamał się wielki konar drzewa, tylko o włos nie uderzając w dom, i Sara zaoferowała się, że później przyjdzie pomóc w sprzątaniu. Rozmawiając z ojcem, Sara myślami wracała do pierwszych godzin po gwałcie. Leżała w szpitalnym łóżku, nierówno szumiał wentylator, a ekran monitora pokazywał, że jej serce wciąż bije, że nie umarła. Pamiętała, że to bardzo niewiele wówczas dla niej znaczyło.

Zasnęła, a kiedy się obudziła, był u niej Eddie i trzymał jej rękę w obu swoich dłoniach. Nigdy wcześniej nie widziała ojca płaczącego, ale wtedy właśnie płakał, a z jego ust docierały do niej odgłosy cichego, pełnego żałości szlochu. Za nim stała Cathy. Obejmowała go ramionami w talii, głowę opierała na jego barku. Sarę dziwiło ich zachowanie i przez chwilę zastanawiała się, co spowodowało smutek obojga rodziców, ale zaraz przypomniała sobie, co się z nią stało.

Po tygodniu, który spędziła w szpitalu, Eddie zabrał ją do Grant. Przez całą drogę opierała głowę o jego ramię, siedząc w kabinie starej ciężarówki, wciśnięta pomiędzy ojca i matkę, tak jak to bywało, zanim urodziła się Tessa. Matka drżącym głosem śpiewała psalm, którego Sara nigdy wcześniej

nie słyszała. Coś o zbawieniu. Coś o odkupieniu. Coś o miłości.

– Dziecino?

– Tak, tato? – odpowiedziała Sara i wytarła samotną łzę. – Później do was wpadnę, dobrze? – Głośno cmoknęła słuchawkę telefonu. – Kocham was.

Odpowiedział coś miłego, jednak w jego głosie wyraźnie słyszała zatroskanie. Przerwała połączenie, nie chcąc, aby się dłużej zamartwiał. Najtrudniejszą sprawą w jej rekonwalescencji po tym, co zrobił z nią Jack Allen Wright, była świadomość, że ojciec zna każdy, nawet najdrobniejszy, szczegół gwałtu. Czuła się przed nim tak obnażona, że na długi czas zmianie uległy ich wzajemne relacje. Nie było już Sary, z którą kiedyś wesoło się bawił. W niepamięć poszły żarty Eddiego, że chce, aby starsza córka została przynajmniej ginekologiem, dzięki czemu mimo wszystko obie pozostaną w pewnym sensie hydraulikami. Nie postrzegał już Sary jako osoby pewnej siebie, dającej sobie radę nawet z największymi problemami. Teraz była dla niego osobą, która potrzebowała opieki i ochrony. W gruncie rzeczy patrzył na nią w taki sam sposób jak obecnie Jeffrey.

Zawiązała sznurowadła tenisówek, trochę zbyt mocno, ale nie zwróciła na ten drobiazg uwagi. Wczoraj wieczorem słyszała w głosie Jeffreya współczucie. Momentalnie odgadła, że wszystko pomiędzy nimi nieodwołalnie się zmieniło. Teraz będzie w niej widział tylko ofiarę przestępstwa. Tak długo walczyła, by nikt już nigdy więcej tak na nią nie patrzył, a tymczasem...

Zarzuciwszy na siebie lekką kurtkę, wyszła z domu. Wybiegła na ulicę, po czym skręciła w lewo, jak najdalej od domu rodziców. Nie lubiła biegać po jezdni; widziała w życiu zbyt wiele kontuzji kolan, spowodowanych twardą nawierzchnią. Zazwyczaj biegała więc ścieżką w kierunku YMCA w Grant, czasami pływała nawet w tamtejszym basenie. Latem, przeważnie nad ranem, pływała w jeziorze, aby orzeźwić się po nocy i nabrać sił przed zadaniami czekającymi ją w ciągu dnia. Dzisiaj chciała jak najbardziej się zmęczyć, pobiec jak najdalej, i wyjątkowo nic nie obchodziły jej potencjalne kontuzje ścięgien.

Dopiero po dwóch milach zbiegła z głównej drogi na ścieżkę prowadzącą wzdłuż brzegu jeziora. Teren był nierówny, na ścieżce mnóstwo

dziur, widok jednak miała prześliczny. Słońce wygrało w końcu batalię z ciemnymi chmurami, kiedy zdała sobie sprawę, że znajduje się przed domem Jeba McGuire'a. Zorientowawszy się, dokąd dobiegła, zatrzymała się, aby popatrzeć na cumującą tu lśniąca czarną motorówkę Jeba. Ośloniła oczy dłonią i popatrzyła na jego dom od strony tylnych drzwi.

Mieszkał na terenie należącym wcześniej do starego Tannera, który dopiero niedawno zgodził się sprzedać ziemię pod zabudowę. Ludzie nad jeziora bardzo niechętnie pozbywali się gruntów, jednak dzieci Tannera, które już przed wielu laty wyniosły się z Grant, z radością zainkasowały pieniądze za dom i ziemię, kiedy ich ojca ostatecznie pokonała rozedma płuc. Russel Tanner był miłym człowiekiem, jednak, jak większość starych ludzi, miewał swoje chimery. Jeb osobiście przynosił mu lekarstwa i pewnie także dlatego udało mu się tanio kupić dom po śmierci starego człowieka.

Po trawniku, opadającym do jeziora, Sara ruszyła w kierunku domu. Jeb zaczął go modernizować już tydzień po wprowadzeniu się, zastępując stare, pojedyncze drewniane okna podwójnymi plastikowymi i wymieniając cały dach, w tym azbestowe gonty. Budynek przez całe lata był ciemnoszary, ale Jeb postanowił pomalować go na jaskrawy różowy kolor. Zdaniem Sary, prezentował się teraz zbyt krzykliwie, jednak Jebowi najwyraźniej to odpowiadało.

– Sara? – zawołał, wychodząc z domu. Miał nałożony pas na narzędzia, jednak zwiisał z niego tylko pojedynczy młotek.

– Cześć! – zawołała, podchodząc do niego. Im bliżej znajdowała się domu, tym wyraźniej słyszała szmer kapiącej wody. – Co to za hałas? – zdziwiła się.

– Właśnie się do tego zabieram – wyjaśnił, podchodząc do niej. Wskazał na rynnę luźno zwisającą z dachu. Oparł dłoń na trzonku młotka. – Jestem tak zapracowany, że nie mam czasu nawet na chwilę oddechu.

Pokiwała głową, doskonale go rozumiejąc. Sama to kiedyś przeżywała, remontując dom.

– Może w czymś ci pomóc?

– Dam sobie radę – odparł, opierając sześciostopową drabinę o budynek przy zerwanej rynnie. – Słyszysz te grzmoty? Woda leci powoli, ale

systematycznie, i działa na rury z wydajnością pneumatycznego młota.

Kiedy zrobiła jeszcze kilka kroków w kierunku budynku, usłyszała szum wody jeszcze wyraźniej. Było to denerwujące, bezustanne szemranie, jakby woda bez przerwy, ciurkiem uderzała w metalowe dno zlewozmywaka.

– Co się stało? – zapytała.

– Wszystko to wina starego drewna, jak przypuszczam – odparł Jeb, poprawiając drabinę. – Ten dom to prawdziwa skarbonka bez dna, mówię to z przykrością. Naprawiłem dach, a teraz odpadają rynny. Naprawię rynny, woda zacznie podmywać fundamenty, i tak dalej, i tak dalej.

Sara zauważyła wodę pod murami.

– Masz zalaną piwnicę?

– Dzięki Bogu, nie mam piwnicy. Gdybym ją miał, z pewnością stałaby już w niej woda.

Jeb sięgnął do jednej z pochewek umieszczonych w pasku. Wyciągnął gwóźdź do rynien, drugą ręką złapał młotek. Sara popatrzyła na gwóźdź. Zaczynała go z czymś kojarzyć.

– Pokaż mi go tylko – poprosiła.

Jeb popatrzył na nią z rozbawieniem i odparł:

– Proszę bardzo.

Wzięła od niego gwóźdź i przez chwilę ważyła go w dłoni. Miał jakies dwanaście cali długości i z pewnością nadawał się do przymocowania rynny. A jednak, czy nie nadawałby się, na przykład, do przybicia Julii Matthews do podłogi?

– Sara? – odezwał się Jeb po chwili. Wyciągał rękę po gwóźdź. – Mam ich więcej w szopie – powiedział, wskazując na komórkę z blachy. – Jeśli chcesz, możesz sobie wziąć.

– Nie, dzięki – odpowiedziała, oddając mu gwóźdź. Postanowiła jak najszybciej wrócić do domu i opowiedzieć o gwoździu Frankowi Wallace'owi. Jeffrey był wciąż w Atlancie, jednak z pewnością znajdzie się na miejscu ktoś, kto potrafi dowiedzieć się, komu sprzedano ostatnio takie gwoździe. To mógł być obiecujący ślad.

– Kupiłeś te gwoździe w sklepie z artykułami żelaznymi? – zapytała.

– Tak – odparł i posłał jej zaciekawione spojrzenie. – Dlaczego?

Sara uśmiechnęła się. Nie chciała go niepokoić swoimi podejrzeniami. Pewnie uznał za dziwny fakt, że interesuje się gwoździami. Nie mogła mu powiedzieć, z jakiego powodu. W mieście było tak mało mężczyzn, z którymi mogła się spotykać, że nie chciała ograniczać tej puli o Jeba, sugerując mu, że jego gwoździe mogły posłużyć do przybicia kobiety do podłogi, żeby ją następnie zgwałcić.

Patrzyła, jak przybija luźną rynnę do ściany. Przez chwilę zastanawiała się, co mogło wyniknąć ze spotkania Jeffreya i Jacka Wrighta w jednym pomieszczeniu. Moon powiedziała, że Wright całkowicie zmienił się w więzieniu, że jego muskularne ciało zamieniło się w górę tłuszczu, jednak Sara wciąż wyobrażała go sobie takim, jakim był dwanaście lat temu. Jego skóra była naciągnięta, na rękach biegły grube żyły. Kiedy ją gwałcił, na jego twarzy malowała się nienawiść, jednak po ustach błąkał się złośliwy uśmiech.

Mimowolnie zadrżała. Przez ostatnich dwanaście lat żyła, dzień po dniu wyrzucając z wyobraźni uparcie powracające obrazy Wrighta. To, że teraz powracały ze zdwojoną mocą, mogło być winą Jeffreya albo głupiej pocztówki, jednak rozstrajała ją, znów czuła się bezbronna i sponiewierana.

– Posłuchaj tylko! – zawołał Jeb, wyrrywając Sarę z rozmyślań. Przyłożył dłoń do ucha i sam zaczął nasłuchiwać. Szum wody, ciekącej w rynnie, nadal był wyraźnie słyszalny. – Ja chyba oszaleję – jęknął.

– Chyba cię rozumiem – powiedziała Sara. Już po pięciu minutach słuchania tego odgłosu zaczynała boleć ją głowa.

Jeb zszedł z drabiny i włożył młotek za pasek.

– Czy coś jest nie w porządku? – zapytał.

– Skądże – odparła Sara. – Po prostu sobie rozmyślałam.

– O czym?

Głęboko odetchnęła, po czym odparła:

– O naszej odłożonej randce – powiedziała i popatrzyła na niego. – Może przyjdiesz do mnie na lunch około drugiej? Zamówię coś na wynos w sklepie w Madison.

Jeb uśmiechnął się, jednak niespodziewanie zadrżał mu głos.

– Tak – powiedział. – To brzmi doskonale.

Jeffrey próbował koncentrować się wyłącznie na prowadzeniu samochodu, jednak przez jego głowę przebiegało tak wiele myśli, że było to prawie niemożliwe. Przez całą poprzednią noc nie spał i teraz dodatkowo dawało mu się we znaki skrajne zmęczenie. Jednak nie potrafił zasnąć nawet podczas trzydziestominutowego postoju na drzemkę, który urządził sobie w połowie drogi. Zbyt wiele się ostatnio działo. Za dużo spraw jednocześnie rozrywało go w wielu kierunkach.

Mary Ann Moon obiecała mu, że wydobędzie dla niego listę pracowników Grady Hospital z okresu, kiedy pracowała tam także Sara. Jeffrey mógł się teraz tylko modlić, by kobieta szybko i skutecznie spełniła tę obietnicę; była pewna, że zdoła załatwić to do niedzielnego przedpołudnia. Jego nadzieja, że to coś da, opierała się tylko na tym, że któreś z nazwisk coś mu po prostu podpowie. Sara nigdy nie opowiadała mu o swoich ówczesnych współpracownikach, ale postanowił dokładnie ją wypytać. Trzykrotnie już do niej dzwonił, ale włączała się jedynie automatyczna sekretarka. Nie nagrywał się, nie miało to sensu. Ton jej głosu ostatniego wieczoru wystarczał mu, by zgadywać, że postanowiła już nigdy się do niego nie odezwać.

Wreszcie zaparkował lincolna na parkingu przy komisariacie. Czuł, że musi iść do domu wziąć prysznic i się przebrać, musiał jednak pokazać się także w pracy. Podróż do Atlanty zabrała mu więcej czasu, niż planował. Opuścił poranną odprawę.

Kiedy Jeffrey wysiadał z samochodu, Frank Wallace wyszedł mu naprzeciw. Zaczął do niego machać już z daleka.

– Nie ma naszego dzieciaka – powiedział.

– Leny?

Kiedy Frank skinął głową, Jeffrey ponownie uruchomił samochód.

– Co się stało?

– Zadzwonił do nas jej wujek, Hank. Szukał jej. Powiedział, że ostatnio widział ją w domu, w kuchni, krótko po tym, jak ta mała Matthews palnęła

sobie w głowę.

– To było dwa dni temu – stwierdził Jeffrey. – Cholera jasna.

– Nagrałem się na jej sekretarkę. Myślałem, że miała siedzieć w domu.

Dałeś jej wolne?

– Tak – odparł Jeffrey. Poczuję, jak ogarnia go poczucie winy. – Czy jest u niej Hank?

Frank znów pokiwał głową, zapinając pas bezpieczeństwa, gdyż Jeffrey zdążył już rozpędzić samochód do osiemdziesiątki. Kiedy jechali do Leny, w aucie dało się wyczuć napięcie. Znalazłszy się na miejscu, ujrzeli Hankę Nortona. Czekał na werandzie.

Hank podbiegł do samochodu.

– Nie spała u siebie – powiedział bez wstępów. – Pojechałem też do domu Nan Thomas. Tam także jej nie było. Przypuszczaliśmy więc z Nan, że pojechała gdzieś z panem.

– Ale nie pojechała – odparł Jeffrey krótko.

Wszedł do budynku i uważnie rozejrzał się po pokoju dziennym, szukając w nim jakichś wskazówek. Dom miał parter i piętro, jak większość w sąsiedztwie. Na parterze znajdowały się pokój dzienny, kuchnia i jadalnia, a na górze dwie sypialnie i łazienka.

Idąc na piętro, przeskakiwał po dwa stopnie schodów, mimo że jego kolana mocno przeciwko temu protestowały. Wszedł do pokoju, który zdawał się sypialnią Leny i zaczął poszukiwać czegokolwiek, co mogłoby mu pomóc w rozwiązaniu zagadki. Bolały go oczy, a wszystko, na co spoglądał, zdawało się przybierać lekko czerwony odcień. Przeglądając zawartość szuflad i ubrania Leny, nie bardzo wiedział, co chce znaleźć. I nic też nie znalazł.

W kuchni Hank Norton rozmawiał z Frankiem. W jego słowach bez trudu można było wychwycić gorączkowe staccato oskarżeń i pouczeń.

– Miała z panem pracować – mówił Hank. – Jest pan jej partnerem.

Jeffrey wychwycił w jego głosie podobny ton jak u Leny. Hank był rozżalony, wściekły i winił Franka za nieszczęście. Podobny podkład ukrytej nienawiści często wychwytywał u Leny.

Postanowił uwolnić Franka przynajmniej od części wściekłości Hanka Nortona.

– Dałem jej kilka dni wolnego, panie Norton – odezwał się. – Wszyscy zakładaliśmy, że Lena przez cały czas jest w domu.

– Jakaś dziewczyna strzela sobie w obecności mojej siostrzenicy w głowę, a wy zakładacie, że wszystko z nią jest w porządku i siedzi sobie spokojnie w domu! – syknął. – Jezu Chryste, czy na wyznaczeniu jej wolnego kończy się wasza odpowiedzialność za nią?

– Nie o to mi chodziło, panie Norton.

– Do ciężkiej cholery, człowieku, skończ z tym „panem Nortonem”! – wrzasnął Hank, wyrzucając ręce do góry.

Jeffrey czekał, spodziewając się, że Hank zechce powiedzieć coś jeszcze, ten jednak niespodziewanie odwrócił się i wyszedł z kuchni. Trzasnął za sobą drzwiami.

Po chwili odezwał się Frank, powoli, cicho, bez wątpienia zły na siebie.

– Powinienem sprawdzić, co się z nią dzieje.

– Ja powinienem. To ja za nią odpowiadam – zaprzeczył Jeffrey.

– Wszyscy za nią odpowiadamy.

Frank zaczął przeszukiwać kuchnię, otwierając i zamykając szuflady, przeglądając zawartość wszystkich szafek. Jednak nawet nie zwracał uwagi na to, co ukazuje się jego oczom. Trzaskał drzwiczkami szafek bardziej po to, aby dać ujście swojej złości, niż by znaleźć coś konkretnego. Jeffrey przez chwilę go obserwował, po czym podszedł do okna. Zobaczył, że czarna celica Leny stoi na podjeździe.

– Jej samochód jest tutaj – odezwał się.

– Widziałem go. – Frank zatrzasał kolejną szufladę.

– Sprawdzę go – postanowił Jeffrey.

Wyszedł tylnymi drzwiami, mijając Hanka Nortona, który siedział na schodach prowadzących na podwórze. Nerwowo palił papierosa.

– Czy jej samochód stoi tutaj przez cały czas, od kiedy przyjechał pan do jej domu? – zapytał go Jeffrey.

– A skąd mam, do cholery, wiedzieć?

Jeffrey zostawił go samemu sobie. Podszedł do auta i stwierdził, że drzwiczki są zamknięte na klucz. Opony były czyste, a silnik pod maską – zimny.

– Szefie! – zawołał Frank, stojąc w drzwiach kuchennych.



Kiedy Jeffrey ruszył w jego kierunku, Hank Norton wstał.

– Co się stało? – zapytał Hank. – Znalazł pan coś?

Jeffrey wszedł do kuchni i natychmiast dojrzał odkrycie Franka. Na wewnętrznej stronie drzwi szafki wiszącej nad piecem ktoś wyrył słowo PIZDA.

– Do cholery, potrzebuję tej listy – powiedział Jeffrey do Mary Ann Moon, pędząc do college'u. W jednej ręce trzymał telefon komórkowy, drugą prowadził samochód. – Właśnie zaginął jeden z moich detektywów, kobieta. Jedynym tropem jest ta lista. – Wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić. – Muszę mieć dostęp do listy pracowników tego szpitala.

Moon rozgrywała sprawę dyplomatycznie.

– Szefie, ja muszę przestrzegać procedur. Atlanta to nie hrabstwo Grant. Nadepnjemy komuś na odcisk i wątpię, czy będziemy zadowoleni, mając za jedyny dochód zasiłki socjalne.

– Czy pani wie, co ten facet wyrabia tutaj z naszymi kobietami? Chce pani wziąć współodpowiedzialność za gwałt na policjantce? Gwarantuję pani, że to właśnie ma miejsce, być może nawet w tej chwili. – Wstrzymał oddech, nie chcąc, by przed oczami pojawił mu się obraz gwałconej Leny. Ponieważ Moon przez cały czas milczała, kontynuował: – Ktoś wyrył coś na drzwiach w szafce, w jej kuchni. – Urwał, by znaczenie tego zdania z całą wyrazistością dotarło do Moon. – Chciałaby pani zgadnąć, jakie to słowo, pani Moon?

Moon jeszcze przez chwilę milczała, zastanawiając się.

– Mogłabym porozmawiać z dziewczyną z archiwum. Dwanaście lat to szmat czasu. Nie mogę więc panu zagwarantować, że informacje z tego okresu trzymane są w podręcznych aktach. Prawdopodobnie wszelkie dane są dostępne już tylko na mikrofilmach w budynku archiwum państwowego.

Zanim się rozłączył, Jeffrey podyktował jej numer swojego telefonu komórkowego.

– Który to akademik? – zapytał Frank, kiedy przejeżdżali przez bramę college'u.

Jeffrey zajrzał do notatnika, przerzucając kilka kartek.

– Jefferson Hall – odparł. – Pokój numer dwanaście.

Lincolnem zarzuciło, kiedy Jeffrey gwałtownie zahamował przed domem studenckim. Błyskawicznie wyskoczył z samochodu i biegiem ruszył po schodach. Uderzył pięścią w drzwi oznaczone numerem dwanaście, a nie doczekawszy się z pokoju reakcji, gwałtownie je otworzył.

– Chryste – jęknęła Jenny Price i naciągnęła na siebie kołdrę. Jakiś chłopak, którego Jeffrey widział po raz pierwszy na oczy, wyskoczył z łóżka i w okamgnieniu ubrał spodnie.

– Idź stąd – rozkazał mu i skierował się do tej części pokoju, którą zajmowała Julia Matthews. Od czasu, gdy był tutaj ostatni raz, nikt niczego nie ruszył. Jeffrey rozumiał rodziców Julii, którzy zapewne nie mieli jeszcze dość sił, by zająć się rzeczami zmarłej córki.

Jenny Price ubrała się w bardziej krzykliwą sukienkę niż ostatnio.

– Co pan tutaj robi? – zapytała Jeffreya.

Jeffrey zignorował jej pytanie, przeszukując ubrania i książki. Jenny powtórzyła pytanie. Tym razem skierowała je do Franka.

– Prowadzimy śledztwo – mruknął z progu.

Jeffrey przerzucił wszystko w ciągu kilku sekund, tworząc w pokoju niezłe pobożowisko. Właściwie nie natrafił na nic nowego niż ostatnio, a zatem na nic godnego uwagi. Wyprostował się i rozejrzał po pokoju, próbując mimo wszystko wyłowić w bałaganie, który spowodował, jakiś ważny szczegół, przedmiot. Miał już po raz kolejny przetrząsać szafę, gdy zauważył przy drzwiach stertę książek. Ich grzbiety pokrywała cienka warstwa błota. Z pewnością nie było ich, kiedy przeszukiwał pokój po raz pierwszy. Zapamiętałby je przecież.

– Co to jest? – zapytał.

Jenny podążyła za jego wzrokiem.

– Przyniosła je policja z campusu – powiedziała. – Należały do Julii.

Jeffrey zacisnął dłoń w pięść, jakby chciał w coś uderzyć.

– Po prostu je tu przynieśli? – zapytał, ale zaraz zadał samemu sobie pytanie, dlaczego jest zaskoczony. Ochroniarzami w kampusie byli głównie słabo przeszkoleni faceci w średnim wieku, którzy nie uchodzili za znaną bystrych.

– Znaleźli je przed biblioteką – wyjaśniła dziewczyna.

Jeffrey zmusił się, by rozprostować dłonie. Przyklęknął i zaczął oglądać książki. Pomyślał, że powinien najpierw włożyć rękawice, ale zaraz uznał, że nie ma czasu na przestrzeganie procedur.

Na wierzchu leżała *Biologia mikroorganizmów*. Błoto fragmentami pokrywało jej okładkę. Jeffrey wziął książkę do ręki i przerzucił kilka kartek. To, czego szukał, znalazł na stronie dwudziestej trzeciej. W poprzek strony, drukowanymi literami, czerwonym markerem ktoś napisał: PIZDA.

– Mój Boże – jęknął, przykładając dłoń do ust.

Zostawił Franka, żeby zaplombował pokój do dalszych czynności policyjnych i badań. Sam, zamiast pojechać samochodem do laboratorium, w którym pracowała Sibyl, pobiegł do niego przez pół kampusu, w przeciwnym kierunku, niż przeszedł przed kilkoma dniami z Leną. Znow przeskokczył schody po dwa stopnie. Nie zapukał ani też nie zatrzymał się przed drzwiami laboratorium Sibyl Adams.

– Och! – Richard Carter poderwał się znad notatnika. – Co mogę dla pana zrobić?

Jeffrey podparł się dłonią o najbliższe biurko, próbując uspokoić oddech.

– Czy w dniu, w którym zginęła Sibyl Adams – zaczął – wydarzyło się tutaj cokolwiek nadzwyczajnego, niezwykłego?

Twarz Cartera wyrażała teraz rozpacz. Jeffrey zapragnął trzasnąć w nią z otwartej dłoni, jednak się powstrzymał.

– Mówiłem już panu, nie miało tu miejsca nic nadzwyczajnego – odparł głosem ciężko obrażonego człowieka. – Sibyl nie żyje, szefie. Nie sądzi pan, że powiedziałbym panu, gdybym tylko miał coś ważnego do powiedzenia?

– Może ktoś gdzieś napisał jakieś słowo? – zasugerował Jeffrey, nie chcąc zdradzać zbyt wiele. To zadziwiające, jak wiele ludzie potrafili sobie przypomnieć, kiedy coś im wprost sugerowano. – Czy zobaczył pan coś, napisane, na przykład, na jednym z notatników Sibyl? Może ktoś majstrował przy czymś, co lubiła trzymać przy sobie?

Mina Cartera zmieniła się. Bez wątpienia coś sobie przypomniał.

– Teraz, kiedy pan mnie naprowadził... – zaczął. – Na krótko przed jej pierwszymi zajęciami w poniedziałek zauważyłem w sali napis na tablicy.

– Złożył ręce na szerokiej klatce piersiowej. – Dzieciaki uważają, że to zabawne, kiedy wypisują podobne słowa. Sibyl była niewidoma, więc nie mogła tego zauważyć.

– Co napisali?

– Cóż, ktoś, nie wiem kto, napisał na tablicy słowo PIZDA.

– W ostatni poniedziałek rano?

– Tak.

– Zanim Sibyl zmarła?

Carter popatrzył pod nogi, odpowiadając:

– Tak.

Przez chwilę Jeffrey wpatrywał się w czubek jego głowy, walcząc z pragnieniem, by obić go pięściami.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że Julia Matthews zapewne by żyła, gdyby mi pan o tym powiedział w poniedziałek? – zapytał go.

Richard Carter nie potrafił odpowiedzieć.

Jeffrey wyszedł z laboratorium, trzasnąwszy drzwiami. Schodził właśnie po schodach, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy. Odebrał po pierwszym dzwonku.

– Tolliver, słucham.

Mary Ann Moon od razu przeszła do rzeczy.

– Jestem właśnie w archiwum i patrzę na listę. Mam przed sobą nazwiska wszystkich pracowników oddziału intensywnej opieki medycznej z parteru, od lekarzy po dozorców.

– Proszę czytać – powiedział Jeffrey i przymknął oczy. Starał się na bieżąco korygować jej jankeski akcent, kiedy odczytywała głośno pierwsze i drugie imiona oraz nazwiska osób, które pracowały z Sarą. Przeczytała wszystkie przez pięć minut.

Po usłyszeniu ostatniego nazwiska Jeffrey jedynie milczał.

– Czy znalazł pan kogoś znajomego? – zapytała Moon.

– Nie – odparł Jeffrey. – Proszę przefaksować tę listę do mojego biura, dobrze? – Podał jej numer, czując się tak, jakby go ktoś uderzył pięścią w brzuch. Znowu pojawiła mu się przed oczami Lena, przybita gwoździem do podłogi, przerażona.

– Szefie? – odezwała się Moon.

– Ktoś z moich ludzi porówna jeszcze tę listę z listą wyborców i z książką telefoniczną – powiedział. Urwał, zastanawiając się przez chwilę, czy nie przerwać połączenia. Zwyciężyło dobre wychowanie. – Dziękuję pani za listę i za pomoc.

Moon nie zamierzała jeszcze kończyć swoim krótkim: „Do widzenia”.

– Przykro mi, że te nazwiska niczego panu nie mówią – powiedziała.

– Tak – mruknął Jeffrey i popatrzył na zegarek. – Niech pani posłucha, mogę być z powrotem w Atlancie za cztery godziny. Czy mam szansę na spędzenie jakiegoś czasu sam na sam z Wrightem?

Moon zawahała się.

– Dziś rano został napadnięty.

– Co?

– Wszystko wskazuje na to, że strażnicy w areszcie nie uznali go za faceta zasługującego na osobną celę.

– Obiecała mu pani, że nie będzie miał styczności z innymi.

– Wiem o tym – warknęła. – Nie mogę jednak kontrolować tego, co się dzieje w areszcie. Strażnicy i policjanci lubią czasem postępować według własnych zasad i nic nikomu do tego.

Mając na uwadze to, w jaki sposób sam obszedł się z Jackiem Wrightem poprzedniego wieczoru nie bardzo mógł dyskutować z Moon.

– Wkrótce go wypuszczą – powiedziała. – Nieźle mu się dostało.

Jeffrey zdusił w ustach przekleństwo.

– Czy nie dał pani niczego po moim odjeździe?

– Nie.

– Czy on jest pewien, że chodzi o kogoś, kto pracował w szpitalu?

– W gruncie rzeczy nie.

– Chodzi więc o kogoś, kto widział ją w szpitalu – powiedział Jeffrey. – Kto mógł ją tam widzieć, mimo że nie był pracownikiem szpitala? – Wolną ręką zasłonił oczy, intensywnie myśląc. – Może pani wyciągnąć teczkę pacjentów?

– Kartoteki? – W głosie Moon brzmiało powątpiewanie. – To chyba niemożliwe.

– Tylko nazwiska. Chodzi tylko o ten jeden dzień. Dwudziesty trzeci kwietnia.

– Znam datę.

– Może pani to zrobić?

Bez wątpienia przykryła dłonią mikrofon. Mimo to Jeffrey słyszał, jak z kimś rozmawia. Po kilku sekundach była z powrotem na linii.

– To jest możliwe. Proszę mi dać godzinę, maksymalnie półtorej.

Jeffrey zdusił w sobie jęk bezradności. Godzina w tej sytuacji była wiecznością. Mimo to powiedział:

– Czekam na wiadomość.

Lena usłyszała, jak gdzieś otwierają się drzwi. Leżała na podłodze, czekając na niego, ponieważ nic innego jej nie pozostało. Kiedy Jeffrey powiedział jej, że Sibyl nie żyje, celem jej życia stało się odnalezienie człowieka, który ją zabił, doprowadzenie go przed oblicze wymiaru sprawiedliwości. Nie pragnęła niczego innego, jak tylko znaleźć drania i posadzić go na krzesło elektryczne. Od pierwszego dnia ta myśl tkwiła w niej tak mocno, że nie znalazła nawet chwili na opłakanie siostry, na żal nad jej utratą. Ani jednego dnia, ani jednej godziny nie poświęciła żałobie i refleksji nad stratą, jakiej doznała.

Obecnie, uwięziona w tym domu, Lena nie miała wyboru; bezustannie myślała o Sibyl. Wspominała ją przez długie godziny. Opłakiwała siostrę nawet wtedy, kiedy znajdowała się pod wpływem narkotyku, a gąbka przymocowana do jej ust sączyła do jej gardła gorzkie krople, które, chcąc nie chcąc, musiała przełykać. Dni, które spędziły razem w szkole, zdawały się takie realne, że Lena fizycznie czuła dotyk ołówka, który trzymała w dłoni. Wspominając, jak siedziała z Sibyl w klasie, w ostatnim rzędzie, czuła niemal zapach atramentu w kałamarzu. Przypominała sobie samochodowe wyjazdy w czasie wakacji i wspólne spacerunki po bezkresnych polach. Przeżywała je ponownie, z Sibyl u boku, a każde wydarzenie odbierała, jakby odbywało się realnie, w tym momencie, w którym pojawiało się w jej umyśle.

Kiedy wszedł do pomieszczenia, przez otwarte drzwi wlało się światło. Oczy Leny były tak rozszerzone, że nie widziała już niczego, jedynie niewyraźne cienie. Mimo to mężczyzna używał światła, żeby ograniczyć pole jej widzenia. Sprawiało jej to taki ból, że musiała zamknąć oczy. Nie rozumiała, dlaczego on to robi. Wiedziała już, kim jest. Chociaż nie rozpoznała jego głosu, treść jego słów nie pozostawiała wątpliwości, że jest aptekarzem z miasta.

Jeb usiadł przy jej nogach, stawiając lampę na podłodze. Poza padają-

cym z niej wąskim strumieniem światła, w pokoju było zupełnie ciemno. Lena znów otworzyła oczy. Po długich godzinach spędzonych w ciemności fakt, że może cokolwiek widzieć, podziałał na nią uspokajająco.

– Czujesz się lepiej? – zapytał.

– Tak – odparła, jednak nie pamiętała, czy wcześniej czuła się gorzej.

Co cztery godziny podawał jej jakieś zastrzyki. Po tym, jak w wyniku każdego z nich rozluźniały się jej mięśnie, wnioskuje, że jest to jakiś środek przeciwbólowy. Był na tyle silny, że likwidował ból, jednak nie dość silny, żeby odebrać jej przytomność. Jeb pozbawił ją przytomności tylko jeden raz, w nocy, ale nie zastrzykiem, tylko jakimś środkiem, który zmieszał z wodą. Przytrzymał później przy jej ustach gąbkę, zmuszając do połknięcia gorzko smakującego płynu. Modliła się, żeby to nie była belladonna. Teraz inaczej myślała już o Julii Matthews. Wiedziała, jak śmiertelny jest to narkotyk. Chwilami jej myśli biegły ku Sarze Linton. Wątpiła, czy Sara dotrze tutaj, by ją uratować. Poza tym wcale nie była już pewna, czy chce zostać uratowana. Gdzieś w głębi jej umysłu krążyła myśl, że najlepszym rozwiązaniem sytuacji, w jakiej się znalazła, będzie śmierć.

– Próbowałem coś naprawić, żeby ta woda tak nie ciekła – wyjaśnił jej Jeb, jakby zamierzał przeproszać. – Jednak wciąż nie wiem, w czym tkwi problem.

Lena nie skomentowała jego słów, a jedynie oblizwała usta.

– Była tu Sara – powiedział. – Czy wiesz, że ona naprawdę nie ma pojęcia, kim jestem?

Nadal milczała. Jeb mówił do niej głosem zmęczonego, samotnego człowieka, który szukał u niej pocieszenia. Nie potrafiła i nie zamierzała mu tego dać.

– Chcesz wiedzieć, co zrobiłem z twoją siostrą? – zapytał.

– Tak – odparła Lena, zanim zdołała się powstrzymać.

– Miała chore gardło – zaczął, zdejmując koszulę. Kątem oka Lena obserwowała, jak się rozbiera. Mówił spokojnym, opanowanym głosem, takim samym, jakim wyjaśniał klientom w aptece działanie lekarstwa na kaszel czy witamin. – A tymczasem nie chciała zażywać żadnych leków, nawet aspiryny. Kiedyś zapytała mnie, czy mam jakieś zioła na kaszel. – Był już zupełnie nagi i zbliżył się do Leny. Kiedy położył się obok niej, spróbo-



wała jakoś się odsunąć, ale nie miało to sensu. Jej dłonie i stopy były przybite do podłogi. Każda próba poruszenia nimi powodowała jedynie dodatkowy, paraliżujący ból.

Jeb kontynuował:

– Sara powiedziała mi, że będzie szła na drugą do baru. Wiedziałem, że Sibyl też tam będzie. Obserwowałem ją co poniedziałek, jak tam chodziła. Była bardzo ładna. Ale niepodobna do ciebie, Leno. Nie miała twojej energii, ikry.

Lena popatrzyła na jego ręce, którymi zaczął głaskać ją po brzuchu. Delikatnie muskał palcami jej skórę, wywołując u niej nie rozkosz, lecz dreszcz przerażenia. Oparł głowę na jej ramieniu i patrzył na swoją rękę, kiedy znów mówił:

– Wiedziałem, że Sara będzie z nią, że będzie mogła ją uratować, ale nie tak to się odbyło, prawda? Sara spóźniła się. Spóźniła się i pozwoliła twojej siostrze umrzeć.

Ciało Leny nagle zadrżało. Podczas poprzednich seansów pilnował, żeby znajdowała się pod wpływem narkotyków, czyniąc je znośnymi. Gdyby chciał zgwałcić ją teraz, świadomą wszystkiego, co się z nią dzieje, nie przetrwałaby tego. Pamiętała ostatnie słowa Julii Matthews. Powiedziała, że Jeb się z nią kochał. To Julię zabiło. Lena wiedziała, że jeśli z nią będzie robił to delikatnie, będzie zachowywał się jak łagodny kochanek, a nie jak gwałciciel, będzie ją całował i pieścił, nigdy już nie dojdzie do siebie. Nie ważne, co z nią zrobi, jeśli Lena nawet przetrwa kolejny dzień, jeśli przeżyje tę ciężką próbę, i tak jej część umrze.

Jeb pochylił się nad nią i przesunął językiem po jej podbrzuszu, aż dotarł do pępka. Roześmiał się z zadowoleniem.

– Jesteś taka słodka, Leno – wyszeptał, sunąc językiem aż do brodawki jej piersi.

Ssał ją delikatnie, używając dłoni, by bawić się drugą piersią Leny. Położył się na niej i poczuła jego twardego członek, przyciśnięty do własnej nogi.

Głos Leny drżał, kiedy prosiła:

– Opowiedz mi o Sibyl.

Palcami delikatnie ścisnął jej brodawkę. W innej sytuacji, w innych oko-

licznościach byłoby to nawet przyjemne. Teraz jednak głos podnieconego mężczyzny wywoływał u Leny odruch wymiotny.

– Obszedłem bar dookoła i wszedłem tylnymi drzwiami. Ukryłem się w toalecie. Wiedziałem, że po wypiciu herbaty będzie musiała z niej skorzystać, więc... – Przesunął palcami po brzuchu Leny i zatrzymał je dopiero na włosach łonowych. – Zamknąłem się w jednej z dwóch kabin. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Powinienem zgadnąć, że była dziewczyną. – Wydał z siebie pełne zadowolenia westchnienie, niczym pies, który właśnie najadł się do syta. – Kiedy wszedłem w nią, była taka ciepła i mokra...

Lena zadrżała, kiedy jego palce wsunęły się pomiędzy jej nogi. Zaczął ją masować, wzrok utkwiał w jej oczach, chcąc obserwować reakcję. Bezpośrednia stymulacja sprawiła, że jej ciało zaczęło zachowywać się wbrew temu, co czuła. Pocałował jej piersi.

– Boże, masz wspaniałe ciało – jęknął, wsuwając z kolei palce do jej ust, zmuszając, by je otworzyła. Smakowała własne soki, gdy przesuwał palcami w ustach, do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu. – Julia też była śliczna, ale nie taka jak ty – powiedział. Powrócił palcami pomiędzy jej uda, wsuwając je najgłębiej, jak mógł. – Mógłbym ci coś dać. Coś, co by cię rozszerzyło. Mógłbym wsadzić w ciebie całą pięść.

W pokoju rozległ się szloch Leny. Jeszcze nigdy w życiu nie była taka zrozpaczona. Sam dźwięk tego pełnego żalości i rozpaczony szlochu bardziej ją przerażał niż to, co w tej chwili robił z nią Jeb. Całe jej ciało poruszało się w górę i w dół, kiedy ją pieprzył palcami, przytrzymujące ją łańcuchy trzaskały w podłogę, a głowa uderzała w twarde drewno.

Wreszcie wysunął z niej palce i położył się obok niej, przyciskając się jednak do jej ciała. Czuła każdy jego fragment, całym ciałem odczuwała, jak jest podekscytowany. Zapach seksualnego podniecenia, jaki zapanował w pokoju, sprawił, że trudno jej było oddychać. Jeb znów zaczął coś robić, jednak nie potrafiła odgadnąć co.

Przycisnął usta do jej ucha i wyszeptał:

– Przejrzyj na oczy, daję ci władzę nad węzami i skorpionami, a ponad wszystko władzę nad twoimi wrogami. Nikt i nic nie zdoła cię zranić.

Zaczęła szczękać zębami. Poczowała ukłucie na udzie i zrozumiała, że dał

jej właśnie kolejny zastrzyk.

– Na krótki moment cię porzuciłem, lecz moja łaska jest wielka. Znów jestem przy tobie.

– Proszę cię – załkała Lena. – Nie rób tego.

– Sara mogła uratować Julię. Twoją siostrę nie – powiedział Jeb. Wyprostował się i usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Mówiąc, spokojnie, jakby o niewiele znaczących rzeczach, bawił się swoim członkiem. – Nie wiem, czy zdoła uratować ciebie, Leno. A co ty o tym myślisz?

Nie potrafiła odwrócić od niego wzroku. Nawet kiedy podniósł z podłogi spodnie i wyciągnął coś z tylnej kieszeni, Lena wpatrywała się w jego oczy. Po chwili pokazał jej szczypce. Miały mniej więcej dziesięć cali długości, a nierdzewna stal, z której je wykonano, lśniła w blasku lampy.

– Zjem dzisiaj późny lunch – powiedział. – Potem muszę pobiec do miasta i zająć się papierkową robotą. Do tego czasu powinnaś przestać krwawić. W okładzie jest trochę środka znieczulającego. Dodałem także coś, żebyś nie wymiotowała. Nie chcę cię okłamywać, zabieg będzie dość bolesny.

Lena zaczęła przewracać głowę z boku na bok. Niczego nie rozumiała. Czuła, że znów obezwładnia ją środek nasenny. Odnosiła wrażenie, że całe jej ciało stapia się z podłogą.

– Krew to wspinały smar. Wiedziałaś o tym?

Wstrzymała oddech. Nie wiedziała, co ją czeka, podświadomie wyczuwała jednak ogromne niebezpieczeństwo.

Penis Jeba oparł się na jej klatce piersiowej, kiedy usiadł na niej okrajką. Silną ręką unieruchomił jej głowę, palcami zmuszając ją, żeby otworzyła usta. Wzrok Leny zaszedł mgłą, a następnie zaczęła widzieć podwójnie, kiedy zrozumiała, że stalowe szczypce powoli zbliżają się do jej ust.

Zbliżając się do swojej przystani, Sara wyłączyła silnik motorówki. Jeb czekał już na nią. Właśnie zdejmował pomarańczową kamizelkę ratunkową. Wyglądał równie śmiesznie jak nad ranem. Tak jak Sara, ubrany był w gruby sweter i džinsy. Burza, która przeszła minionej nocy, znacznie ochłodziła temperaturę powietrza, i Sara nie potrafiła racjonalnie uzasadnić, dlaczego ktoś, kto nie musi koniecznie tego robić, wypływa dzisiaj na jezioro.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedział, wyciągając ku niej rękę. Złapał linę i przyciągnął motorówkę do siebie.

– Przywiąż ją tutaj – poprosiła Sara, wyskakując z motorówki. – Później muszę jeszcze popłynąć do domu rodziców.

– Chyba nic złego się u nich nie dzieje?

– Skądże – odparła i przywiązała drugą linę.

Popatrzyła na linę, którą rzuciła Jebowi i którą teraz przymocowywał do słupka. Zauważyła, że zastosował kiepski, damski węzeł. Węzeł najprawdopodobniej poluźni się za dziesięć minut, jednak Sara nie miała serca, by teraz udzielać mu lekcji o węzłach żeglarskich.

Sięgnęła jeszcze na pokład i wzięła dwie plastikowe torby z zakupami.

– Musiałam pożyczyć samochód siostry, żeby pojechać do sklepu – wyjaśniła. – Mój samochód wciąż jest aresztowany.

– Przez... – Jeb urwał i popatrzył gdzieś ponad ramieniem Sary.

– Tak – odparła, ruszywszy wzdłuż nabrzeża. – Naprawiłeś swoją rynę?

Zrównawszy się z nią, odebrał torby i potrząsnął przecząco głową.

– Niestety, nie wiem, na czym polega problem.

– Czy pomyślałeś o tym, żeby na samym dnie położyć jakąś gąbkę albo inny podobny materiał? Może przynajmniej zlikwidowałyby to hałas?

– Doskonały pomysł.

Dotarli do domu i Jeb otworzył przed Sarą tylne drzwi. Kiedy postawił

torby na stoliczku przy wejściu, obok kluczy do swojej motorówki, posłał jej spojrzenie pełne niepokoju.

– Powinnaś zawsze zamykać na klucz drzwi do swojego domu – powiedział.

– Nawet jak wychodzę na kilka minut?

– Nawet wtedy – odparł, przenosząc torby do kuchni. – Nigdy nic nie wiadomo. Tym bardziej wobec tego, co się ostatnio dzieje... Wiesz, z tymi dziewczynami.

Sara westchnęła. Miał rację, chociaż nie mogła nawet myśleć o tym, że to, co dzieje się w mieście, mogłoby dotyczyć także jej domu. Czuła się chroniona w myśl starej zasady, że „piorun nigdy nie uderza w to samo miejsce dwukrotnie”. Ale, niestety, mimo wszystko powinna mieć się bardziej na baczności, bardziej uważać na siebie.

– Jak się ma twoja motorówka? – zapytała, podchodząc do automatycznej sekretarki przy telefonie.

Lampka oznaczająca, że pozostawiono wiadomość, nie migiała, jednak na ekranie identyfikującym rozmówców widniał numer telefonu komórkowego Jeffreya; w ciągu ostatniej godziny telefonował przynajmniej trzy razy. Cokolwiek chciałby jej powiedzieć, Sara nie miała zamiaru tego słuchać. Właśnie dzisiaj przysłała jej do głowy myśl, żeby zaprzestać pracy w charakterze koronera. Byłby to jeden ze sposobów pozbycia się Jeffreya z własnego życia, jednak musiały istnieć także jakieś inne, lepsze. Na razie powinna skupić się na teraźniejszości, zamiast rozpamiętywać przeszłość. Prawda bowiem była taka, że minione lata nie mogły stanowić przedmiotu jej dumy.

– Sara? – odezwał się Jeb, wyciągając w jej kierunku kieliszek z winem.

– Och. – Sara przyjęła kieliszek, mimo że przyszło jej do głowy, iż godzina jest zbyt wczesna na picie alkoholu.

Jeb wzniosł w górę własny kieliszek.

– Na zdrowie.

– Na zdrowie – odpowiedziała Sara i wysączyła odrobinę alkoholu. Skrzywiła się, kiedy poczuła jego smak. – Boże! – zawołała i przyłożyła dłoń do ust. Ostry smak płynu utkwiał na jej języku niczym mokra szmata.

– Co się stało?

– Faj – jęknęła i podsunęła głowę pod kuchenny zlew. Długo płukała usta, zanim znów popatrzyła na Jeba. – To sfermentowało. Wino jest sfermentowane.

Podsunał kieliszek pod swój nos, po czym przyznał:

– Pachnie jak ocet.

– Rzeczywiście – przyznała Sara i wypła kolejny łyk wody.

– Cholera, bardzo cię przepraszam. Chyba trzymałem je trochę za długo.

Kiedy zakręciła kurek, zadzwonił telefon. Sara uśmiechnęła się do Jeba przepraszająco i przeszedłszy do pokoju, sprawdziła identyfikator rozmówcy. To znów był Jeffrey. Nie podniosła słuchawki.

– Tutaj Sara – usłyszała własny głos z automatycznej sekretarki. Zastanawiała się, który guziczek trzeba nacisnąć, żeby przerwać połączenie, kiedy usłyszała głos Jeffreya.

– Saro – mówił. – Właśnie mam otrzymać listę pacjentów z Grady Hospital, więc...

Wyciągnęła z sekretarki kabel zasilania, przerywając mu w pół słowa. Odwróciła się do Jeba, jeszcze raz przywołując na usta uśmiech, który miał wyglądać przepraszająco.

– Bardzo mi przykro – powiedziała.

– Czy coś się stało? – zapytał. – Pracowałaś kiedyś w Grady?

– W poprzednim wcieleniu – odparła, zdejmując słuchawkę z widełek. Przez chwilę wsłuchiwała się w sygnał, po czym odłożyła słuchawkę na stół.

– Coś takiego! – wykrzyknął Jeb.

Uśmiechnęła się, widząc zdziwiony wyraz jego twarzy. Z trudem walczyła z sobą, by nie zwymiotować. Podeszła do stołu i zaczęła rozpakowywać zakupy.

– Mięso kupiłam w sklepie spożywczym – powiedziała. – Nie jechałam do delikatesów. Mam jednak pieczoną wołowinę, kurczaka, indyka i sałatkę ziemniaczaną. – Urwała, zauważywszy, że Jeb uważnie się jej przygląda.  
– Co takiego?

Potrząsnął głową. Uśmiechał się szeroko.

– Jesteś taka śliczna.

Usłyszawszy komplement, Sara zarumieniła się.

– Dziękuję – powiedziała i wyciągnęła z szafy bochenek chleba. – Jeb, czy lubisz majonez?

Wciąż uśmiechnięty, pokiwał twierdząco głową. Wpatrywał się w nią niemal jak w boginię. Sara zaczynała czuć się nieswojo. Chcąc przerwać nieprzyjemną sytuację, odezwała się:

– Może nastawisz jakąś muzykę?

Słuchając jej wskazówek, skierował się ku wieży stereo. Jednak kiedy Sara skończyła przygotowywanie kanapek, Jeb wciąż przeglądał jej płyty.

– Lubimy taką samą muzykę – powiedział.

Wyciągając talerze z kredensu, Sara stłumiła w sobie zawołanie: „Wspaniale”. Dzieliła właśnie kanapki na pół, kiedy rozległy się pierwsze dźwięki muzyki. Było to stare nagranie Roberta Palmera; nie słuchała go od wielu lat.

– Doskonały sprzęt – zauważył Jeb. – Czy to system surround?

– Tak.

Nagłośnienie zainstalował jeszcze Jeffrey, w taki sposób, żeby odtwarzana muzyka była słyszalna we wszystkich pomieszczeniach. Głośnik znajdował się nawet w sypialni. Czasami kąpali się razem w nocy. Wannę otaczały wtedy zapalone świece, a z głośników dobiegały dźwięki kojącej muzyki.

– Sara?

– Och, przepraszam – zareagowała. Zdała sobie sprawę, że przed chwilą myślami była w zupełnie innym czasie.

Postawiła talerze na kuchennym stole, na dwóch jego końcach. Poczekała na Jeba, następnie usiadła, wsuwając nogi pod krzesło.

– Nie słyszałam tego całe wieki.

– To bardzo stare nagranie – powiedział i ugryzł kawałek kanapki. – Moja siostra wprost uwielbiała je i słuchała bardzo często. – Uśmiechnął się. – *Sneakin' Sally Through the Alley*. Tak jej właśnie było na imię. Sally.

Sara zlizwała z palca trochę majonezu, mając nadzieję, że jego smak zabi-je w końcu natrętny odór starego wina.

– Nie wiedziałam, że masz siostrę.

Wyprostował się i z tylnej kieszeni spodni wyciągnął portfel.

– Umarła jakiś czas temu – powiedział, starając się wyciągnąć starą fotografię. Wreszcie mu się udało i przytrzymał ją przed oczami Sary. – Cóż, stało się.

Uznała za dziwne, że opowiada jej teraz o śmierci siostry. Wzięła jednak od niego fotografię przedstawiającą młodą dziewczynę w stroju cheerleaderki. Dłonie z pomponami unosiła wysoko do góry. Była uśmiechnięta i bardzo podobna do Jeba.

– Bardzo ładna – powiedziała, oddając mu zdjęcie. – Ile miała lat?

– Niewiele jej brakowało do trzynastu – odparł, wpatrując się przez chwilę w fotografię. Schował ją z powrotem do plastikowej przegródki i wsunął portfel do kieszeni. – Jej narodziny były niespodzianką dla rodziców. Kiedy przyszła na świat, miałem piętnaście lat. Mój ojciec obejmował swój pierwszy kościół.

– Był duchownym? – zdziwiła się Sara. Zastanawiała się, jak mogła spotykać się z Jebem, nic o nim nie wiedząc. Poza tym mogłaby przysiąc, że powiedział jej kiedyś, iż jego ojciec był elektrykiem.

– Był baptystą, kaznodzieją – wyjaśnił Jeb. – Gorąco wierzył, że Pan dysponuje mocą, która uleczy wszystkie nasze troski. Cieszę się, że wiara pozwoliła mu wszystko przetrwać, jednak... – Wzruszył ramionami. – Są rzeczy, których nie można puścić płazem. Są rzeczy, o których nie można zapomnieć.

– Przykro mi z powodu twojej straty – powiedziała Sara. Doskonale rozumiała, co Jeb ma na myśli, mówiąc, że są rzeczy, których nie można puścić płazem. Popatrzyła na kanapkę i stwierdziła, że nie jest to najbardziej odpowiednia chwila, by ugryźć kawałek. Była głodna, pusty żołądek ją po-naglał, lecz zignorowała go.

– To było dawno temu – odezwał się w końcu Jeb. – Właśnie dzisiaj o niej rozmyślałem, o tym wszystkim, co się stało.

Sara nie wiedziała, co powiedzieć. Myśli o śmierci już ją męczyły. Nie chciała uspokajać Jeba. Spotkanie z nim miało oderwać ją od ostatnich wydarzeń, a nie o nich przypominać.

Wstała od stołu i zapytała go:

– Chciałbyś coś wypić? – Wypowiadając te słowa, podeszła do lodówki. – Mam coke, trochę kool-aid i sok pomarańczowy. – Otworzyła drzwi i nie-



spodziewanie odgłos ssania powietrza o czymś jej przypomniał. Przez chwilę stała, zdezorientowana, i nagle wiedziała już. Gumowe obramowanie drzwi prowadzących na oddział intensywnej terapii w Grady Hospital wydawało przy otwieraniu taki sam dźwięk. Nigdy dotąd ich ze sobą nie zestawiała, jednak teraz uświadomiła to sobie z niezwykłą mocą.

– Chętnie wypiję cokie – powiedział Jeb.

Sara sięgnęła do lodówki, szukając pomiędzy napojami gazowanymi. Wreszcie natrafiła na charakterystyczną czerwoną puszkę. Poczowała, że jej głowa staje się bardzo lekka, jakby miała za dużo powietrza w płucach. Zamknęła oczy, starając się utrzymać równowagę. Znowu znajdowała się na intensywnej terapii. Drzwi ponownie wydały odgłos ssania. Na noszach wwożono młodą dziewczynę. Sanitariusze zawołali o natychmiastową pomoc, dziewczynę zaintubowano. Była w szoku, miała rozszerzone źrenice i bardzo rozgrzane ciało. Ktoś zawołał, że ma prawie sto trzy stopnie Fahrenheita temperatury. Ciśnienie krwi sięgało nieprawdopodobnej wysokości. Krwawiła obficie spomiędzy nóg.

Sara natychmiast się nią zajęła. Najpierw postanowiła zatrzymać krwawienie, jednak dziewczyna wpadła w konwulsje i zrzuciła z noszy tacę z medykamentami, którą ktoś postawił u jej stóp. Sara pochyliła się nad nią, próbując uniemożliwić jej dokonanie jakichkolwiek dalszych zniszczeń. Konwulsje nagle ustały i Sara pomyślała, że dziewczyna umiera. Miała bardzo mocny puls. Jej odruchy były słabe, jednak wciąż reagowała na bodźce zewnętrzne.

Badanie miednicy wykazało, że dziewczyna niedawno przeszła aborcję, jednak z pewnością nie wykonał jej wykwalifikowany lekarz. Jej macica była w strzępach, a ścianki pochwy podrapane i pokaleczone. Sara zrobiła, co było w jej mocy, jednak zniszczenia wyglądały na nieodwracalne. Niezależnie od tego, jakie zaleciłaby leczenie, kwestia życia i śmierci zależała od siły organizmu dziewczyny.

Wyszła do samochodu, żeby zmienić koszulę, zanim przystąpi do rozmowy z rodzicami. Znalazła ich w poczekalni i powiedziała, jakie są prognozy leczenia. Używała poprawnych lekarskich sformułowań, jak „ostrożny optymizm”, „stan krytyczny, ale stabilny”. Jednak dziewczyna nie przeżyła następnych trzech godzin. Kolejny atak spowodował nagły wylew

krwi do mózgu.

W tym dniu trzynastoletnia dziewczynka okazała się najmłodszą pacjentką, jaką Sara utraciła. Inni pacjenci, którzy umarli, znajdując się pod jej opieką, byli starsi i bardziej chorzy i chociaż ich strata zawsze była smutna, doganiająca ich śmierć nie była tak niespodziewana. Kiedy ponownie szła do poczekalni, była zszokowana i przerażona tragedią. Rodzice dziewczynki zdawali się równie zszokowani. Nie mieli pojęcia, że ich córka była w ciąży. Według nich, nie miała jeszcze swojego chłopaka. Nie rozumieli, jak ich córka mogła zająć w ciążę, nie mówiąc już o śmierci.

– Moje dziecko – szeptał ojciec. Powtarzał te słowa bez końca, cichym głosem, w którym tkwił bezkresny żal. – Była moim ukochanym dzieckiem.

– Pani musi się mylić – mówiła matka.

Pogrzebawszy przez kilka chwil w torebce, wyciągnęła z niej portfel. Zanim Sara zdołała ją powstrzymać, wydobyla fotografię – szkolne zdjęcie młodej dziewczynki w kostiumie cheerleaderki. Sara nie chciała patrzeć na zdjęcie, jednak kobieta nie uspokoiła się, dopóki nie zerknęła na nie. Rzuciła krótkie spojrzenie, potem drugie, lecz za drugim razem popatrzyła na fotografię uważniej. Dziewczynka ze zdjęcia wymachiwała rękami, do których przymocowane były pompony. Uśmiechała się. Wyraz jej twarzy ostro kontrastował z twarzą dziewczyny leżącej bez życia na noszach, oczekującej na transport do kostnicy.

Ojciec dotknął dłoni Sary. Pochylił głowę i zmówił modlitwę, która zdawała się trwać wieczność. Prosił Boga o wybaczenie, deklarował swą wiarę w niego. Sara nie była osobą religijną, jednak w modlitwie było coś, co ją poruszyło. Zadziwiła ją ufność ojca w Boga w obliczu tak straszliwej straty.

Po modlitwie Sara znów pobiegła do samochodu, żeby zebrać myśli, może też przejechać kilka przecznic dla opanowania się i uspokojenia wobec tragicznej, niepotrzebnej śmierci. Wtedy właśnie spostrzegła, że ma poniszczoną karoserię. To wtedy pobiegła do łazienki. To wtedy Jack Allen Wright ją zgwałcił.

Fotografia, którą przed chwilą pokazał jej Jeb, była tą samą fotografią, którą widziała przed dwunastu laty w szpitalnej poczekalni.

– Sara?

Z głośników płynęła nowa piosenka. Sara poczuła, jak żołądek podbiega jej do gardła, kiedy usłyszała słowa *Hey, hey, Julia*.

– Coś nie tak? – zapytał Jeb. Po chwili zacytował kolejne słowa piosenki: – „Jesteś nadzwyczajna”.

Sara wyprostowała się, z puszką w dłoni, i zamknęła lodówkę.

– To ostatnia puszka coke – powiedziała i ruszyła w kierunku drzwi do garażu. – Ale mam jeszcze kilka na zewnątrz.

– Wystarczy nam. – Jeb wzruszył ramionami. – Jeśli o mnie chodzi, mogę nawet zadowolić się wodą. – Odłożył na talerz kanapkę i zaczął wpatrywać się w Sarę.

Sara zerwała zawleczkę z puszki. Jej dłonie lekko drżały, ale Jeb chyba tego nie zauważył. Przyłożyła puszkę do ust tak gwałtownie, że struga czerwonego napoju popłynęła na jej sweter.

– Och! – udała zaskoczoną. – Pozwól, że się przebiorę. Zaraz wracam.

Na uśmiech, który Jeb jej posłał, odpowiedziała także uśmiechem, mimo że jej usta drżały. Zmusiła się, żeby ruszyć do holu powoli, nie chcąc wzbudzać jego podejrzeń. Kiedy znalazła się w swojej sypialni, złapała za słuchawkę telefonu i wyjrzała przez okno na brzeg jeziora. Zdziwiła się, że po słonecznej pogodzie nie pozostało ani śladu. To absurdalnie, że pogoda zmieniła się na taką, która współgrała z jej przerażeniem. Wystukała na aparacie numer Jeffrey'a, jednak w słuchawce nie było sygnału. Popatrzyła na telefon, siłą woli chcąc go zmusić, żeby zaczął działać.

– Odłożyłaś słuchawkę w holu, nie pamiętasz? – zdziwił się Jeb.

Sara aż podskoczyła na łóżku.

– Właśnie telefonowałam do ojca. Ma przyjść do mnie za kilka minut.

Jeb stał w drzwiach, oparty o framugę.

– Jeśli dobrze pamiętam, mówiłaś, że to ty pójdziesz później do domu rodziców.

– Zgadza się – powiedziała Sara, cofając się pod ścianę. Pomiedzy nią a Jebem znajdowało się łóżko, była jednak uwięziona, stojąc plecami do okna. – Przyjedzie, żeby mnie zabrać.

– Tak sądzisz? – zapytał Jeb.

Uśmiechał się tak samo jak zawsze, psotnym półuśmieszkiem, charakterystycznym niegrzeczne dzieci. Był taki spokojny i w ogóle nie sprawiał

wrażenia agresywnego osobnika. Na moment Sarze przyszło do głowy, że wyciągnęła złe wnioski. Jednak, kiedy spojrzała na jego ręce, od razu zmieniła zdanie. U boku trzymał ostry kuchenny nóż.

– Co mnie zdradziło? – zapytał. – Pewnie ocet, co? Straciłem mnóstwo czasu, wstrzykując go przez korek. Bogu dzięki za strzykawki dosercowe.

Sara cofnęła ręce za siebie i poczuła na dłoniach zimną taflę szyby.

– Zostawiłeś je dla mnie – powiedziała, błyskawicznie kojarząc wydarzenia ostatnich dni.

Jeb wiedział o jej lunchu z Tessą. Wiedział, że znajdowała się w szpitalu tego dnia, kiedy Jeffrey został postrzelony.

– To dlatego zostawiłeś Sibyl w toalecie. To dlatego Julia znalazła się na moim samochodzie. Chciałeś, żebym je uratowała.

Uśmiechnął się i powoli pokiwał głową. W oczach miał smutek, jakby żałował, że gra się skończyła.

– Chciałem dać ci tę szansę.

– To dlatego pokazałeś mi jej fotografię? Żeby przekonać się, czy ją pamiętam?

– Twoja pamięć mnie zaskoczyła.

– Jak mogłeś myśleć, że potrafiłabym zapomnieć coś takiego? Przecież ona była dzieckiem.

Wzruszył ramionami.

– To ty jej to zrobiłeś? – zapytała Sara, przypominając sobie brutalność domowej aborcji. Derrick Lange, jej przełożony, ocenił później, że zabieg wykonano przy użyciu wieszaka do ubrań. – Czy to ty? – powtórzyła.

– Skąd wiesz? – W tonie Jeba Sara usłyszała obronną nutę. – Powiedziała ci?

Za jego słowami kryło się coś więcej, jeszcze bardziej złowieszczy sekret. Jeszcze zanim Sara odezwała się po raz kolejny, wiedziała, jaka powinna być jego odpowiedź. Biorąc pod uwagę, do czego był zdolny, wszystko powoli logicznie się układało.

– Zgwałciłeś swoją siostrę, prawda?

– Kochałem ją – odparł, jakby się bronił.

– Przecież była dzieckiem.

– Przyszła do mnie – powiedział, jakby to mogło być wymówką. –

Chciała być ze mną.

– Miała trzynaście lat.

– Jeśli mężczyzna weźmie swoją siostrę, córkę swojego ojca, zobaczy ją nagą i ona zobaczy jego nagość, postąpi niegodziwie. – Uśmiech na twarzy Jeba świadczył teraz, że jest z siebie zadowolony. – Nazywaj mnie niegodziwcem.

– Była twoją siostrą.

– Wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi, prawda? Mamy tych samych rodziców.

– Ale czy potrafisz usprawiedliwić gwałt? Potrafisz usprawiedliwić morderstwo?

– Dobrą stroną Biblii jest to, Saro, że jest otwarta na interpretacje. Bóg daje nam znaki, okazje, i albo będziemy szli wytyczoną przez nie drogą, albo nie. Możemy wybierać, co ma się nam przydarzyć na tej drodze. Nie lubimy poddawać się tej myśli, jednak jesteśmy sternikami własnego przeznaczenia. To my wszyscy podejmujemy decyzje, które wyznaczają kurs życia. – Przez kilka sekund wpatrywał się w Sarę w milczeniu. – Powiedziałbym, że nauczyłaś się tej lekcji dwanaście lat temu.

Sara poczuła, że grunt usuwa się jej spod stóp, kiedy dopadła ją straszliwa myśl.

– To byłeś ty, w tej łazience?

– Na Boga, nie. – Jeb machnął ręką. – To był jak najbardziej Jack Wright. Dzisiaj myślę, że mnie po prostu wyprzedził. Ale podsunął mi doskonały pomysł. – Znów oparł się o framugę. Z jego ust nie schodził pełen zadowolenia uśmiešek. – Widzisz, obaj jesteśmy mężczyznami głębokiej wiary. Obaj pozwalamy, by kierował nami Duch Święty.

– Obaj jesteście po prostu zwierzętami.

– Jestem mu wiele winien za to, że zetknął mnie z tobą. To, co ci zrobił Wright, Saro, było doskonałym przykładem dla mnie. Chciałbym ci podziękować, że wzięłaś w tym udział. W imieniu całej rzeszy kobiet, które nadeszły od tego czasu, a mam na myśli biblijne nadejście, z całego serca ci dziękuję.

– Boże – westchnęła Sara i przyłożyła dłoń do ust. Na własne oczy widziała, co Jeb zrobił swojej siostrze, Sibyl Adams i Julii Matthews. Myśl, że

wszystko zaczęło się wtedy, kiedy ją samą zaatakował Jack Wright, sprawiła, że żołądek podszedł jej do gardła. – Ty potworze – syknęła. – Ty morderco.

Wyprostował się, na jego twarzy niespodziewanie pojawił się gniew. Nagle z cichego, bezbarwnego aptekarza zamienił się w mężczyznę, który zgwałcił i zamordował przynajmniej dwie kobiety. Z jego postawy emanowała skrajna złość.

– Pozwoliłaś jej umrzeć. Zabiłaś ją.

– Była martwa, zanim do mnie dotarła – zaprzeczyła Sara. Starła się mówić mocnym, pewnym głosem. – Utraciła zbyt dużo krwi.

– To nieprawda.

– Spieprzyłeś sprawę. Twoja siostra gniła od środka.

– Kłamiesz.

Sara potrząsnęła głową. Poruszyła rękoma za plecami, szukając po omacku klamki u okna.

– Zabiłeś ją.

– To nieprawda – powtórzył, chociaż ze zmiany barwy jego głosu można było sądzić, że przynajmniej częściowo jej uwierzył.

Sara znalazła klamkę i spróbowała ją przekręcić. Bez rezultatu.

– Sibyl też umarła przez ciebie.

– Kiedy ją zostawiłem, miała się doskonale.

– Przeszła atak serca – powiedziała Sara, mocując się z klamką. – Zmarła z przedawkowania, w konwulsjach, tak jak twoja siostra.

– To nieprawda! – Krzyk Jeba zabrzmiał straszliwie głośno w małej sypialni. Pod dłońmi Sary zadrzała szyba.

Kiedy zrobił krok w jej kierunku, zrezygnowała z prób otwarcia okna. Nóż wciąż trzymał przy nodze, jednak jego bliskość potęgowała zagrożenie.

– Zastanawiam się, czy twoja pizza wciąż jest taka słodka, jak wtedy, kiedy miał ją Jack – mruknął. – Pamiętam twój proces, chłonałem każdy szczegół. Nawet chciałem robić notatki, jednak po pierwszym dniu zorientowałem się, że wcale nie potrzebuję. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął parę kajdanek. – Czy wciąż masz kluczyk, który ci zostawiłem?

Słowa Sary zatrzymały go.

– Nie przejdę przez to drugi raz – powiedziała z przekonaniem. – Najpierw będziesz musiał mnie zabić.

Wbił spojrzenie w podłogę, jakby się uspokoił. Sara poczuła ulgę, która trwała tylko do momentu, kiedy znów na nią spojrzął. Na jego twarzy widniał szeroki uśmiech, kiedy mówił:

– Dlaczego niby uważasz, że ma dla mnie znaczenie, czy jesteś martwa czy też nie?

– Chcesz zrobić dziurę w moim brzuchu?

Zaskoczyła go tak, że upuścił kajdanki na podłogę.

– Co takiego? – wyszeptał.

– Nie potrafiłeś normalnie jej pieprzyć.

Widziała, jak struga potu spływa po jego skroni, kiedy zadawał kolejne pytanie:

– Kogo?

– Sibyl – odpowiedziała. – W jaki inny sposób kał mógł się dostać do jej pochwy?

– To jest niesmaczne.

– Naprawdę? Gryzłeś Sibyl, kiedy pieprzyłeś ją w dziurę, którą zrobiłeś jej w brzuchu?

Zaczął gwałtownie kręcić głową.

– Nie robiłem tego.

– Czyżby? Znalazłam ślady zębów na jej ramieniu, Jeb.

– Nieprawda.

– Widziałam je. Widziałam wszystko, co zrobiłeś tym dziewczynom. Widziałam, jaki ból im wszystkim zadałeś.

– Nie zadawałem im bólu – powiedział z naciskiem. – Nic je nie bolało.

Sara zrobiła kilka kroków w jego kierunku, aż kolanami oparła się o łóżko. Stał po drugiej stronie, obserwując ją z obrażoną miną.

– Cierpiały, Jeb. Obie cierpiały, tak jak twoja siostra. Tak jak Sally.

– Wcale nie kazałem im cierpieć – wyszeptał. – Nie sprawiałem im bólu. A ty pozwoliłaś im umrzeć.

– Zgwałciłeś trzynastoletnie dziecko, niewidomą kobietę i nie zrównoważoną emocjonalnie dwudziestodwulatkę. O to ci chodziło, Jeb? Sprawiało ci to przyjemność? Atakowanie bezbronych kobiet? Władza nad nimi?

Zacisnął szczęki.

– Pogarszasz swoją sytuację.

– Pieprz się, chory bałwanie!

– Nie – odparł. – Tym razem nie siebie, ale ciebie.

– Tylko spróbuj – powiedziała Sara szyderczym głosem i zacisnęła pięści. – No, spróbuj!

Skoczył ku niej, jednak była już na to gotowa. Unikając go, całym swym ciężarem naparła na szybę, głową rozbijając szkło. Ból poraził jej zmysły, a w ciało wbiły się kawałki szkła. Wylądowała na podwórku i kilkakrotnie przeokożółkowała na pochyłym trawniku.

Szybko wstała i, nie oglądając się za siebie, jak szalona ruszyła biegiem w kierunku jeziora. Miała rozorany biceps i odłamki szkła w czole, jednak w tej chwili nie stanowiło to dla niej największego zmartwienia. Kiedy dobiegła do przystani, Jeb był już tylko o kilka kroków za nią. Nie myśląc, co robi, zanurkowała w lodowatą wodę. Następnie płynęła pod wodą tak długo, dopóki nie zabrakło jej oddechu. Wypłynęła na powierzchnię mniej więcej dziesięć jardów od pomostu. Zobaczyła, jak Jeb wskakuje do jej motorówki; zbyt późno przypomniała sobie, że pozostawiła kluczyk w stacyjce.

Znów zanurkowała i znów płynęła pod wodą tak długo, dopóki wystarczyło jej powietrza. Kiedy obejrzała się do tyłu, ujrzała, że motorówka płynie w jej kierunku. Zanurkowała tak gwałtownie, że dotarła do dna, a tymczasem motorówka przemknęła ponad nią. Postanowiła zmienić kierunek ucieczki i skierowała się ku niedalekiemu skalistemu brzegowi. Dzieiliła ją od niego odległość dwudziestu stóp, jednak z każdą chwilą była bardziej zmęczona i bolały ją ręce. Zimna woda mroziła jej twarz. Sara zdała sobie sprawę, że niska temperatura z każdą chwilą odbiera jej siły.

Wypłynęła na powierzchnię i zaczęła rozglądać się za łodzią. Jeb znów natarł na nią z pełną szybkością, a Sara ponownie zanurkowała. Kiedy się wynurzyła, natychmiast zrozumiała, że motorówka nieuchronnie zbliża się do podwodnych skał. Jej nos uderzył już w pierwszą z nich poniżej linii wody. Motorówka natychmiast podskoczyła i przeokożółkowała. Sara obserwowała, jak Jeb wypada na zewnątrz. Zrobił w powietrzu spory łuk, aż wreszcie wpadł do wody. Ratując się przed utonięciem, zaczął rozpaczliwie



wymachiwać rękami. Usta miał otwarte, a jego przerażone oczy były szeroko otwarte. Znikając pod wodą, jeszcze zdołał kilkakrotnie poruszyć dłonią na powierzchni. Sara czekała, wstrzymując oddech, jednak Jeb długo nie wypływał.

Wpadł do wody w odległości mniej więcej dziesięciu stóp od łodzi, daleko od podwodnych skał. Sara wiedziała, że będzie zdolna dopłynąć do brzegu, jeśli popłynie pomiędzy tymi skałami. Jeśli próbowałaby je ominąć, nie wystarczyłoby jej sił. Dystans do przystani był już zbyt duży, by mogła go pokonać w lodowatej wodzie, nie miała na to żadnych szans. Najkrótsza i najbezpieczniejsza trasa do brzegu wiodła obok przewróconej łodzi.

Właściwie to chciała pozostać w miejscu, była jednak świadoma, że zimna woda wprawia ją w coraz większe otępienie. Gdyby pozostała w niej zbyt długo, organizmowi groziło niebezpieczne wyiębienie.

Ruszyła wolnym kraulem, żeby jak najdłużej zachować ciepło ciała. Powietrze, które wydychała, tworzyło przed nią gęstą zimną chmurę, próbowała jednak myśleć o czymś ciepłym, na przykład o tym, jak siedzi przy kominku i piecze ciasteczka. Albo o ciepłym basenie w YMCA. O saunie. O wygrzanym łóżku.

Zmieniwszy nieco kierunek, zaczęła omijać łódź. Pilnowała się, żeby nawet nie zbliżyć się do miejsca, w którym Jeb zniknął pod wodą. Obejrzała już zbyt wiele horrorów. Przerażała ją myśl, że Jeb mógłby nagle wypłynąć z głębin i wciągnąć ją pod powierzchnię wody. Mijając motorówkę, zobaczyła dużą dziurę w burcie, w miejscu, w którym zderzyła się ze skałą. Motorówka była przewrócona dnem ku niebu. Sara zobaczyła jednak także Jeba. Trzymał się burty z drugiej strony. Jego wargi były sine, ostro kontrastując z trupio bladą twarzą. Trząśł się, nie panując nad sobą. Z jego ust ze świstem wydobywał się ciężki oddech. Z trudem utrzymywał jeszcze głowę nad wodą, gwałtownie tracił siły. Zimna woda bardzo szybko wychładzała jego organizm.

Sara wciąż płynęła, teraz jednak wolniej. Plusk wody pod jej ramionami i głośny oddech Jeba były w tej chwili jedynymi dźwiękami, które można było usłyszeć na spokojnym jeziorze.

– Nnnie uumiem płyyyywać – wycharczał Jeb.

– To niedobrze – powiedziała Sara przez ściśnięte gardło. Odnosiła

wrażenie, że opływa z daleka ranne, lecz wciąż niebezpieczne zwierzę.

– Nie możesz mnie tutaj zostawić – jęknął Jeb, szczękając zębami.

Ułożyła się na boku, żeby płynąć, ani na chwilę nie tracić go z pola widzenia.

– Właśnie, że mogę.

– Jesteś lekarzem.

– Tak, jestem. – Wciąż była daleko od niego.

– Nigdy nie znajdziesz Leny.

Sara poczuła się, jakby nagle spadł na nią ogromny ciężar. Zatrzymała się w miejscu i wbiła uważne spojrzenie w Jeba.

– Co z Leną?

– Zaabrałem ją. Jeeest w bezpiecznym miejscu. Tylko ja wiem gdzie.

– Nie wierzę ci.

Zrobił ruch, jakby chciał pod wodą wzruszyć ramionami.

– Gdzie jest to bezpiecznie miejsce? – zapytała Sara ostro. – I co jej zrobiłeś?

– Zostawiłem ją dla ciebie, Saro – odparł. W miarę jak coraz mocniej trzęsło się jego ciało, zaciął się jego głos. Z głębi umysłu dotarła do Sary myśl, że niekontrolowane drżenie i irracjonalne majaki to już drugie stadium hipotermii. – Gdzieś ją zostawiłem.

Sara podpłynęła jedynie odrobinę bliżej. Nie ufała mu.

– Gdzie ją zostawiłeś?

– Mmusisz ją ocalić – wyjąkał i zamknął oczy. Jego twarz, głowa, usta znalazły się poniżej linii wody. Prychnął, kiedy woda wdarła się do jego nosa, i niespodziewanie połuźnił na chwilę uchwyt na burcie łodzi, dzięki której utrzymywał się do tej pory na powierzchni.

Sara poczuła, jak niespodziewana fala gorąca ogarnia jej ciało.

– Gdzie ona jest, Jeb? – Nie otrzymała odpowiedzi. – Umrzesz tutaj! Woda jest wystarczająco zimna. Twoje serce z każdą chwilą bije wolniej, aż w końcu się zatrzyma. Daję ci najwyżej dwadzieścia minut! – krzyknęła, wiedząc, że jego agonía może trwać nawet godzinę. – Umrzesz tutaj, dopilnuję tego! – krzyknęła znów, zdecydowana jak nigdy, bezlitosna. – Powiedz mi, gdzie ona jest?

– Ppooowiem cci nna brzegu.

– Powiesz mi teraz. Wiem, że nie mógłbyś zostawić jej, żeby zmarła w samotności.

– Nie mógłbym – powiedział. Błysk w jego oku świadczył, że zaczyna myśleć. – Przenigdy, Saro. Nie mógłbym pozostawić jej na samotną śmierć.

Sara utrzymywała się w jednym miejscu, poruszając rękami i nogami, żeby nie zamarznąć.

– Gdzie ona jest, Jeb?

Potrząsnął głową tak gwałtownie, że zakotyssała się nawet motorówka, której się trzymał.

– Musisz ją uratować, Saro – wyszeptał. – Musisz ją uratować.

– Albo mi powiesz, gdzie ona jest, albo tu umrzesz, w tym jeziorze, przysięgam na Boga. Utopisz się albo zamarzniesz!

Oczy Jeba jakby zaszyły mgłą, a na sinych ustach pojawił się słaby uśmiech.

– Dokonało się – wyszeptał.

Jego głowa zaczęła opadać, jednak tym razem już się nie wyprostował. Sara obserwowała, jak puszcza motorówkę i cały znika pod powierzchnią wody.

– Nie! – krzyknęła Sara i rzuciła się w jego kierunku.

Zdołała chwycić koszulę na plecach Jeba i spróbowała pociągnąć go do góry. Instynktownie zaczął się z nią zmagać. Zaczął ciągnąć ją w dół, zamiast pozwolić Sarze, żeby wyciągnęła go na powierzchnię wody. Walczyli: Jeb szarpał jej spodnie, sweter, próbował użyć jej jak drabiny, dążąc do wciągnięcia w płuca powietrza. W pewnej chwili jego paznokcie podrażniły ranę na ramieniu Sary i w pierwszym odruchu go odepchnęła.

Wyciągnął przed siebie ręce i chwycił z przodu jej sweter, w rozpaczliwej walce o uratowanie życia.

Szarpiąc się, zdołał wydobyć głowę na powierzchnię, jednak wciągał Sarę pod wodę. Ale kiedy w szamotaninie uderzył głową w burtę motorówki, rozległ się głuchy odgłos. Jego usta otworzyły się w niemym zdziwieniu i bez czucia zaczął opadać na dno. Na burcie pojawiła się plama jasnoczerwonej krwi. Sara zanurkowała po niego. Ignorując ból w płucach, niemal pękających z braku powietrza, dotarła na dno i spróbowała pociągnąć Jeba z powrotem ku powierzchni wody. Było tu tak ciemno, że z trudem

dostrzegła jego sylwetkę. Leżał na plecach, z otwartymi oczami i szeroko rozrzuconymi rękami. Zorientowała się, że nie wyciągnie go stąd, jeśli natychmiast nie zaczerpnie powietrza.

Wyłynęła na powierzchnię, kilkakrotnie głęboko odetchnęła, po czym zanurkowała ponownie. Niestety, nie natrafiła na Jeba. Dostrzegła go dopiero za trzecim lub czwartym razem; kiedy wielokrotnie wypływała na powierzchnię wody i nurkowała, jego ciało przemieściło się. Teraz leżał oparty o wielki pień, z rękami przed sobą i wciąż szeroko otwartymi oczami. Objęła dłonią jego przegub, chcąc sprawdzić, czy jeszcze żyje. Następnie jeszcze raz powróciła po powietrze, spiesząc się jak oszalała. Jej zęby szczękały.

Znów zanurkowała do Jeba. Tym razem znalazła go bez trudu. Zamknęła mu oczy i ujęła pod pachami. Wynurzywszy się, unieruchomiła ramieniem jego szyję, po czym, pracując w wodzie tylko jedną ręką, zaczęła płynąć w kierunku brzegu.

Po czasie, który zdawał się jej wiecznością, a mógł trwać niespełna minutę, zatrzymała się, żeby uspokoić oddech. Brzeg zdawał się jej jeszcze odleglejszy niż przed chwilą. Odnosiła wrażenie, jakby nogi oddzieliły się od jej ciała, mimo że wciąż pracowały w wodzie. Nieruchomy Jeb był strasznie ciężki i musiała intensywnie pracować, żeby nie dać się ponownie wciągnąć pod wodę. Było zimno i Sara czuła się bardzo senna. Intensywnie mrugała, nie chcąc, aby oczy były zbyt długo zamknięte. A tak bardzo przydałby się jej krótki wypoczynek. Chciała odpocząć, dojść do siebie i dopiero potem zaciągnąć Jeba na brzeg.

Odchyliła głowę i spróbowała płynąć na plecach. Jednak z ciężarem było to niemożliwe. Na moment wraz z nim zniknęła pod wodą. Kiedy zdołała wypłynąć, gwałtownie wykaszała wodę z jeziora. Zaczęła do niej docierać nieunikniona prawda: jeśli sama chce przeżyć, będzie musiała zostawić Jeba. A jednak nie potrafiła go puścić. Nie puściła go nawet wtedy, kiedy znów się zanurzyła.

Nagle złapała ją czyjaś dłoń, ktoś otoczył ramieniem jej talię. Była już zbyt słaba, żeby walczyć, i zbyt oszołomiona, aby mogła pojąć, co się dzieje. Przez ułamek sekundy myślała, że to Jeb, jednak siła, która zaczęła ciągnąć ją na powierzchnię, była zbyt wielka. Osłabiła swój uścisk wokół szyi Jeba,

otworzyła oczy i ujrzała, jak jego ciało opada na dno jeziora.

Jej głowa wydostała się ponad taflę wody. Zaczęła gwałtownie oddychać, mimo że każdy oddech zdawał się rozrywać płuca. Dostała ataku kaszlu, tak gwałtownego, że o mało nie zatrzymał akcji serca. Z jej ust popłynęła woda, później żółć. Poczula, jak ktoś uderza ją w plecy, starając się, by wyrzuciła z siebie jak najwięcej wody. Jej głowa na chwilę znów się zanurzyła, ale tym razem ktoś gwałtownie pociągnął ją do góry za włosy.

– Saro – powiedział Jeffrey, jedną ręką podtrzymując jej szczękę, a drugą chwytając ją za ramię. – Popatrz na mnie – zażądał. – Saro.

Jej ciało przestało reagować na wszelkie bodźce, jednak była świadoma tego, że Jeffrey ciągnie ją do brzegu. Objął ją ramieniem pod pachami i, ratując ją, płynął, posługując się tylko jedną ręką.

Bardzo chciała mu pomóc, ale zdołała tylko oprzeć głowę na jego klatce piersiowej i pozwoliła, żeby zabrał ją do domu.

Lena pragnęła Jeba. Chciała, żeby uwolnił ją od bólu i posłał ją tam, gdzie byli już i Sibyl, i mama, i tata. Chciała połączyć się z całą rodziną. Nieważna już była cena, jaką musiałyby za to zapłacić. Chciała być z nimi.

Do jej gardła gęstym strumieniem spływała krew, przez co od czasu do czasu pokastywała. Miał rację co do bólu w ustach, jednak percodan sprowadzał ból do dającego się znieść poziomu. Wierzyła w słowa Jeba, że krwawienie szybko ustanie. Wiedziała, że jeszcze z nią nie skończył. Nie mógł pozwolić, by zachłysnęła się własną krwią, po trudzie, jaki sobie zadał, żeby ją tutaj ściągnąć. Doskonale wiedziała, że przygotował dla niej coś nadzwyczajnego.

Rozmyślając, wyobraziła sobie, jak jej ciało leży porzucone przed domem Nan Thomas. Z jakiegoś powodu ucieszyła ją ta wizja. Przede wszystkim Hank zobaczyłby, co się z nią stało. Dowiedziałby się, co się stało z Sibyl. Zobaczyłby to, czego nie mogła zobaczyć Sibyl. Wszystko doskonale pasowało.

Od strony schodów dotarł do niej znajomy dźwięk kroków na drewnianej podłodze. Kiedy ktoś wszedł na dywan, odgłosy stały się przytłumione. Usłyszała, że ktoś chodzi po salonie. Nie знаła rozkładu domu, ale nasłuchując różniących się od siebie odgłosów, jakie wydawał, zazwyczaj wiedziała, w jakim miejscu Jeb się znajduje.

Jednak teraz po domu chodziły dwie osoby.

– Lena?

Ledwie dosłyszała rzucone głośno pytanie, jednak natychmiast zorientowała się, że to Jeffrey Tolliver. Przez moment zastanawiała się, co on tutaj robi.

Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Żeby ją znaleźć, powinien wejść po schodach, na strych. A może nie wpadnie na to, żeby tu zajrzeć? Może zostawi ją samą? Umrze tutaj i nikt nigdy nie dowie się, co jej zrobiono?

– Lena? – usłyszała kolejny głos. To była Sara Linton.

Usta miała wciąż otwarte, ale nie mogła mówić.

Zdawało się jej, że mijają długie godziny, a oni wciąż krążą na parterze. Usłyszała trzaski i uderzenia, kiedy przesuwali meble i przeszukiwali szafy. Ich przytłumione głosy brzmiały w jej uszach jak bezładne dźwięki orkiestry przygotowującej się do próby. Nawet uśmiechnęła się, pomyślawszy, że uderzają pałkami w rondle i garnki.

Nagle zaczęła się śmiać. Niekontrolowany śmiech zatrzęsł jej klatką piersiową i wkrótce przemienił się w gwałtowny kaszel. Do oczu Leny napłynęły łzy. Zaczęła łkać, ból ścisnął jej pierś, a przed oczami w jednej chwili pojawiło się wszystko, co wydarzyło się w minionym tygodniu. Ujrzała Sibyl na stole w kostnicy. Ujrzała Hanka, opłakującego śmierć siostrzenicy. Ujrzała Nan Thomas z podkrążonymi oczami, zrozpaczoną. Ujrzała Jeba na sobie samej, kochającego się z nią.

Jej palce zacisnęły się na gwoździach, które przytwierdzały dłonie do podłogi, jej ciało napięło się w spóźnionym proteście przeciwko fizycznej krzywdzie, którą jej uczyniono.

– Lena? – zawołał Jeffrey. Jego głos zabrzmiał bardzo wyraźnie. – Lena!

Usłyszała, że się zbliża, jakiś szybki stukot, potem nastąpiła przerwa, ale zaraz stukanie ponowiło się.

– To fałszywa deska – powiedziała Sara.

Jeszcze kilka uderzeń i nagle Lena usłyszała odgłosy kroków na schodach prowadzących na strych. Drzwi gwałtownie się otworzyły, światło rozproszyło ciemność. Lena zamknęła oczy, czując taki ból, jakby ktoś wbił w nie niewielkie igiełki.

– Mój Boże – wyszeptała Sara. Po chwili opanowała się. – Przynies jakiegoś ręcznika. Prześcieradła, cokolwiek.

Kiedy Sara przed nią klękła, Lena powoli otworzyła oczy. Poczuła, że ciało Sary jest zimne i mokre.

– Już wszystko jest dobrze – powiedziała Sara. Trzymała dłoń na czole Leny. – Nic ci nie będzie.

Lena szerzej otworzyła oczy, pozwalając, by źrenice zaczęły przyzwyczajać się do światła. Popatrzyła w kierunku drzwi, spodziewając się, że w każdej chwili stanie w nich Jeb.

– On nie żyje – powiedziała Sara. – Już nie może nic ci zrobić...

Urwała, jednak Lena wiedziała, co Sara zamierzała powiedzieć. Jej ostatnie słowa usłyszała nie uszami, lecz wyłącznie umysłem. Nigdy więcej...

Pozwoliła sobie na nią popatrzeć. Coś błysnęło w oczach Sary i Lena zgadła, że Sara w jakiś sposób zrozumiała. Jeb był teraz częścią Leny. Będzie ranił ją codziennie, do końca jej życia.



## NIEDZIELA

### 30

Jeffrey wracał ze szpitala w Auguście, czując się jak żołnierz powracający z wojny. Wiedział już, Lena z pewnością wyleże się z ran fizycznych, nie miał jednak pojęcia, czy kiedykolwiek odzyska równowagę po zniszczeniach emocjonalnych, które spowodował Jeb McGuire. Tak jak Julia Matthews, Lena do nikogo się nie odzywała, nawet do swojego wujka, Hanka. Jeffrey nie wiedział, co będzie mogło ją wyleczyć. Może czas?

Mary Ann Moon zatelefonowała do niego ponownie w sobotę dokładnie po godzinie i dwudziestu minutach. Nazwisko pacjentki Sary brzmiało: Sally Lee McGuire. Moon postanowiła skojarzyć to nazwisko z nazwiskami wszystkich osób zatrudnionych wtedy w szpitalu. Ponieważ było rzadkie, już po kilku sekundach na ekranie komputera pojawił się Jeremy „Jeb” McGuire. Był w Grady Hospital praktykantem w aptece na trzecim piętrze. Sara z całą pewnością nie miała wtedy powodów, żeby się z nim spotykać. On jednak postanowił spotkać się z nią.

Jeffrey wiedział, że już nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Leny, kiedy wdarł się na strych. Pomieszczenie zaprojektowano tak, żeby sprawiało wrażenie czarnego pudełka. Czarna farba pokrywała dosłownie wszystko, nawet sklejki, którymi zabite były okna. Dziury w podłodze wyznaczały miejsce, w którym przybijane były ofiary Jeba. Każdą dodatkowo zabezpieczał łańcuchem.

Jeffrey przetarł oczy. Próbował chociaż przez chwilę nie myśleć o tym wszystkim, co widział od dnia zamordowania Sibyl Adams. Przejeżdżając granicę hrabstwa Grant, ponuro rozmyślał o tym, co się teraz tutaj zmieni. Wiedział, że na pewno już nigdy nie będzie patrzył na ludzi w miasteczku, ludzi, którzy byli jego przyjaciółmi i sąsiadami, tak ufnie jak o tej samej porze jeszcze poprzedniej niedzieli. Był tym zdruzgotany.

Skręcając na podjazd przed domem Sary, zdał sobie sprawę, że jej dom także wygląda teraz w jego oczach inaczej. To tutaj Sara walczyła z Jebem. Tutaj utonął. Wydobyli z jeziora jego zwłoki i nigdy go nie zapomną.

Siedział w samochodzie i wpatrywał się w dom. Sara powiedziała mu, że teraz potrzebuje czasu, ale nie zamierzał go jej podarować. Musiał opowiedzieć jej o wszystkim, co się z nim działo. Musiał upewnić zarówno siebie, jak i ją, że nie może już być mowy o tym, by usunął się z jej życia.

Frontowe drzwi były otwarte, Jeffrey jednak zapukał. Z głośników dobiegały dźwięki *Have a Good Time* Paula Simona. Wewnątrz wszystko było przewracane. Po holu walały się kartony, na podłodze leżały porozrzucone książki. Znalazł Sarę w kuchni z kluczem francuskim w ręce. W białym męskim podkoszulku i w szarych, luźnych spodniach, wyglądała w oczach Jeffreya przesłicznie, jak nigdy w życiu. Kiedy zapukał, przymierzała się akurat do naprawy zlewu.

Odwróciła się, wcale nie zdziwiona jego przybyciem.

– To w taki sposób dajesz mi czas na ochłonięcie? – zapytała.

Wzruszył ramionami i wsunął ręce do kieszeni. Szeroki opatrunek okrywał czoło Sary, białym bandażem miała owiniętą rękę; odłamki szkła uszkodziły ją tak mocno, że trzeba było założyć kilkanaście szwów. Jeffrey wciąż nie mógł się nadziwić, że przeżyła ostatnie spotkanie z Jebem. Mógł jedynie podziwiać siłę jej ducha.

Z głośników rozległa się kolejna piosenka, *Fifty Ways to Leave Your Lover*.

– To nasz utwór – spróbował zażartować Jeffrey.

Sara zmierzyła go ostrzegawczym spojrzeniem i sięgnęła po pilota. Nagle muzyka urwała się i dom wypełniła cisza. Zdawało się, że oboje potrzebują kilku sekund, żeby się do niej przyzwyczaić.

– Co tutaj robisz? – zapytała.

Jeffrey otworzył usta, chcąc powiedzieć coś romantycznego, że jest naj-

piękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znał, że nie wiedział, co to znaczy być zakochanym, dopóki jej nie spotkał. Nie potrafił jednak wykrztusić tych słów. Oznajmił za to:

– W domu Jeba znalazłem stenogramy z twojego procesu, procesu Wrighta.

– Naprawdę? – Sara skrzyżowała ręce na piersiach.

– Miał wycinki z gazet, fotografie i tego typu rzeczy. – Urwał na chwilę.

– Moim zdaniem Jeb sprowadził się tutaj, żeby być blisko ciebie.

– Tak sądzisz? – spytała łaskawym tonem.

Zignorował jej ostrzeżenie.

– Otrzymałem informacje o atakach na kobiety w hrabstwie Pike – kontynuował.

Nie potrafił zamilknąć, mimo że wyraz twarzy Sary mówił mu wyraźnie, iż ma się zamknąć, bo ona nie chce o tym słuchać. Cóż, problem polegał na tym, że łatwiej mu było relacjonować fakty, niż powiedzieć coś naprawdę romantycznego.

– Tamtejszy szeryf jest skłonny przypisać Jebowi przynajmniej cztery przypadki. Będziemy musieli przesłać mu próbki do porównania z materiałem DNA zabezpieczonym w miejscach przestępstw. Także próbki od Julii Matthews. – Odchrząknął. – Jego ciało jest już w kostnicy.

– Nawet na nie nie spojrzę.

– Ściągniemy do niego kogoś z Augusty.

– Nie – powiedziała Sara stanowczo. – Nic nie rozumiesz. Jutro złożę rezygnację.

– Dlaczego? – Potrafił zdobyć się tylko na to jedno słowo.

– Bo nie mogę już wykonywać tego zawodu. – Sara wskazała na przestrzeń, która ich rozdzielała. – Tak nie może już być. To przez to się rozwiedliśmy.

– Rozwiedliśmy się, bo popełniłem głupi błąd.

– Nie. – Uciszyła go. – Nie możemy znów kłócić się o to samo. Dlatego rezygnuję. Nie chcę przez to znów przechodzić, znów trzymać cię na peryferiach mojego życia. Musi być inaczej.

– Kocham cię – powiedział, jakby to miało znaczenie w tej dyskusji. – Wiem, że nie jestem dość dobry dla ciebie. Wiem, że nawet nie umiem za-

czyć cię rozumieć. Wiem, że robię niewłaściwe rzeczy i mówię niewłaściwe rzeczy, że powinienem być tutaj z tobą, zamiast jechać do Atlanty po tym, jak mi powiedziałaś... jak przeczytałem... co się wydarzyło. – Na chwilę umilkł. – Wszystko to wiem. I wciąż nie potrafię przestać cię kochać. – Ponieważ Sara milczała, dorzucił: – Saro, ja nie potrafię istnieć bez ciebie. Potrzebuję cię.

– Której mnie potrzebujesz? Tej poprzedniej czy tej zgwałconej?

– Obie są tą samą osobą – odparł. – I obie są mi potrzebne. Obie kocham. – Wpatrując się w Sarę, zastanawiał się, jakie słowa będą teraz właściwsze. – Nie chcę być bez ciebie.

– Nie masz wyboru.

– Mam. Nie dbam o to, co powiesz, Saro. Nie obchodzi mnie, czy porzucisz pracę koronera, przeniesiesz się do innego miasta czy zmienisz nazwisko. Zawsze cię znajdę.

– Jak Jeb?

Jej słowa zraniły go straszliwie. Ze wszystkiego, co mogła w tej chwili powiedzieć, to było najokrutniejsze. Chyba zdała sobie z tego sprawę, ponieważ szybko go przeprosiła:

– To było nie w porządku – powiedziała. – Wybacz.

– Ale czy tak myślisz naprawdę? Że jestem taki jak on?

Jeffrey wbił wzrok w podłogę, urażony, zraniony. Gdyby krzyknęła, że go nienawidzi, cios byłby mniej bolesny.

– Jeff – powiedziała i zbliżyła się do niego. Położyła dłoń na jego policzku, a on natychmiast ją ujął i pocałował.

– Nie chcę cię stracić, Saro – wyszeptał.

– Już mnie straciłeś.

– Nie. Nie straciłem. Wiem, że cię nie straciłem, ponieważ nie stałabyś tu teraz przede mną. Stałabyś przy drzwiach i kazała sobie pójść.

Sara nie zaoponowała, lecz odeszła od niego. Znowu stanęła przy zlewie.

– Mam robotę – powiedziała i wzięła do ręki klucz.

– Wyprowadzasz się?

– Sprzątam – odparła. – Zaczęłam już wczoraj wieczorem. Nie wiem, gdzie co się zapodziało, poginęło. Musiałam spać na sofie, bo łóżko jest w takim stanie...

Jeffrey spróbował humorem rozładować ponurą atmosferę.

– Przynajmniej twoja mama będzie zadowolona.

Roześmiała się bez radości i ukłękła przed zlewem. Owinęła ręcznikiem rurę odpływową i zaczęła przekręcać jakąś uszczelkę. Mimo jej widocznego wysiłku uszczelka ani drgnęła.

– Pomogę ci – zaproponował i zdjął marynarkę. Zanim zdołała zaoponować, klęczał już obok niej i razem z nią próbował kręcić kluczem. Rura i uszczelka były stare, od lat nieruszane, gwint zardzewiały, i jego pomoc nie zdała się na nic. – Będziesz chyba musiała ją odciąć.

– Ani myślę – powiedziała Sara i delikatnie go odepchnęła. Zaparła się o szafę i wyteżyła wszystkie siły. Uszczelka powoli zaczęła się obracać. Sara uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Widzisz?

– Jesteś niesamowita – powiedział Jeffrey z przekonaniem w głosie. Przykucnął obok, obserwując jej dalsze czynności. – Czy istnieje coś, czego byś nie potrafiła?

– Uzbierałaby się długa lista.

Zignorował to.

– Była zatkana?

– Chyba wrzuciłam coś do środka – odparła Sara, badając palcem wnętrze rury. Po chwili coś wyciągnęła i zacisnęła dłoń, zanim Jeffrey mógł to zobaczyć.

– Co to? – zapytał, wyciągając rękę przed siebie.

Potrząsnęła głową, wciąż trzymając pięść zaciśniętą. Jeffrey uśmiechnął się, coraz bardziej zaciekawiony.

– Co to jest? – powtórzył.

Ukucnęła i schowała obie ręce za plecy. Przez chwilę zabawnie marszczyła czoło, jakby się koncentrując, po czym niespodziewanie wyciągnęła przed siebie obie zaciśnięte pięści.

– Wybieraj.

Wykonał polecenie, dotykając jej prawej ręki.

– Jeszcze raz.

Tym razem ze śmiechem klepnął ją w lewą dłoń.

Sara otworzyła pięść. Na jej dłoni leżała mała złota obrączka. Ostatni raz Jeffrey widział ją, kiedy Sara ściągała ją z palca, żeby mu rzucić nią

w twarz. Teraz był tak zdziwiony, że brakowało mu słów.

– Powiedziałaś mi, że ją wyrzuciłaś.

– Jestem lepszym kłamcą, niż myślisz.

Popatrzył na nią pytająco i wziął od niej obrączkę.

– No i co dalej?

– Jest jak bumerang. Zawsze wraca.

Odebrał to jako zaproszenie i zapytał:

– Co robisz jutro wieczorem?

Sara wyprostowała się i westchnęła:

– Nie wiem. Pewnie będę długo w pracy.

– A potem?

– Chyba wrócę do domu. A dlaczego?

Wsunął obrączkę do swojej kieszeni.

– Mógłbym przyjść z kolacją.

Sara potrząsnęła głową.

– Jeffrey...

– Z „Tasty Pig” – kusił Jeffrey, wiedząc, że Sara uwielbia jedzenie stamtąd. Ujął jej dłonie w swoje i mówił: – Gulasz brunszwicki, żeberka z grilla, kanapki z wieprzowiną, fasola opiekana na piwie...

Długo patrzyła na niego w milczeniu.

– Wiesz, że to nie podziła – odezwała się wreszcie.

– A co mamy do stracenia?

Zacząła się nad tym zastanawiać. Patrząc na nią, Jeffrey czekał, próbując nie okazywać zniecierpliwienia. Sara uwolniła się z jego rąk, następnie wstała, podpierając się na jego ramieniu.

Jeffrey także wstał i obserwował, jak Sara otwiera i zamyka jakieś szuflady. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz powstrzymał się. Żadne słowa nie pasowały do tej sytuacji. Znał Sarę Linton na tyle dobrze, że wiedział, iż jeśli podejmie jakieś postanowienie, nie mogło być od tego odwrotu.

Staął za nią i pocałował jej nagie ramię. Może istniał jakiś lepszy sposób, żeby powiedzieć: „Do widzenia”, ale w tej chwili żaden mu nie przychodził do głowy. Nigdy nie był mocny w mowie. Lepszy był w działaniu. Przeważnie.

Odchodził do holu, kiedy Sara zawołała go:

– Przynieś srebrną zastawę.

Odwrócił się, pewien, że coś źle usłyszał.

Sara nie patrzyła na niego. Wciąż zajmowała się szufladami.

– Jutro wieczorem – wyjaśniła. – Wciąż nie mogę sobie przypomnieć, gdzie podziałam widelce.

## PODZIĘKOWANIA

Victoria Sanders, moja agentka, była dla mnie kotwicą przez cały ten proces. Nie wiem, jak mogłabym dokonać czegokolwiek bez niej. Mój wydawca, Meaghan Dowling, była pomocna w sprecyzowaniu treści tej książki i zaskarbiła moją z głębi serca płynącą wdzięczność za to, że odważyłam się stawić czoło wyzwaniu. Kapitan Jo Ann Cain, szefowa detektywów dla miasta Forest Park w stanie Georgia, uprzejmie zechciała opowiedzieć mi swoje „wojenne” historie. Rodzina Mitchella Cary odpowiedziała na wszystkie moje pytania o pracę hydraulików i podsunęła mi kilka interesujących pomysłów. Doktor medycyny Michael A. Rolnick i Carol Barbier Rolnick nadali wiarygodność postaci Sary. Tamara Kennedy udzieliła mi wielu wstępnych rad. Jednak jeśli w zagadnieniach, które skonsultowałam z ekspertami, wystąpiły jakiegokolwiek pomyłki, obciążają one tylko mnie.

Moje podziękowania składam koleżankom pisarkom: Ellen Conford, Jane Haddam, Eileen Moushey i Katy Munger. Wszystkie wiedzą, za co. Nieocenieni dla mnie okazali się czytelnicy: Chris Cash, Cecile Dozier, Melanie Hammet, Judy Jordan i Leigh Vanderels. Greg Pappas, święty patron pisarzy, ułatwił mi bardzo wiele. B.A. pospieszyła z dobrą radą i zaoferowała mi spokojne miejsce, gdzie mogłam pisać. S.S. był moją opoką w tarapatkach. Wreszcie dziękuję D.A. – jesteś mną bardziej, niż jestem ja sama.